SKANDAL URATUJE KIEPSKIE KINO?

Semka i Gociek bezlitośni dla „Polityki” – filmu Patryka Vegi

TYGODNIK LISICKIEGO

DO RZECZY

CENA 7,90 ZŁ (W TYM 8% VAT)

NR 37/339 9–15 WRZEŚNIA 2019

Amazonia płonie? – Warzecha o kolejnej manipulacji ekologów

ŁYSIAK EKSTRA: HITLER I STALIN – W 80. ROCZNICĘ NAPAŚCI DWÓCH LEWAKÓW NA POLSKĘ

Masłoń: seks piórem prawicy kontra seks piórem lewicy

Plus piąte wydanie specjalne DO RZECZY O ZDROWIU

PANI NA GDAŃSKU

Wszystkie odloty Aleksandry Dulkiewicz

ISSN 2299-8500 Nr indeksu 288829

9 772299 850000 37 >

Nakład: 77 tys. egzemplarzy

Na koncert

Gintrowski

a jednak coś po nas zostanie...

Zaprasza Mecenas

ORLEN

WARSZAWA TEATR POLSKI IM. ARNOLDA SZYFMANA

9 GRUDNIA 2019 R.

eprasa.pl c850b8daf1

PAWEŁ LISICKI

W RZECZY SAMEJ

Kto panuje nad historią

Większość komentatorów, oceniając uroczystości 1 września, skupiła się na wystąpieniu prezydenta Andrzeja Dudy i na prośbie o przebaczenie, którą wypowiedział prezydent Niemiec, Frank-Walter Steinmeier. To zrozumiałe. Jednak na nie mniejszą uwagę zasługują słowa innego zagranicznego gościa, mianowicie wiceprezydenta USA Mike'a Pence'a. Nie tylko ze względu na to, co mówił o relacjach polsko-amerykańskich, ale bardziej z innego powodu: wiceprezydent USA zarysował w Warszawie prawdziwie religijną, chrześcijańską z ducha teologię historii. Właśnie tak! Mówił rzeczy, których niestety nie jest w stanie wydusić z siebie żaden inny europejski przywódca. Żaden ważny unijny polityk nie odważyłby się powiedzieć, że panem historii jest Bóg, że utrata wiary pociąga za sobą dziejową katastrofę, że wolność człowieka musi być osadzona na fundamencie prawa Bożego, że naród i państwo odgrywają osobną rolę w planach Opatrzności. Wynika z tego zresztą, że chrześcijański polityk ma obowiązki nie tylko wobec wyborców i elektoratu, lecz także przede wszystkim wobec Boga.

„Gdyby kazano mi wskazać pokrótce główną cechę XX w., nie mógłbym znaleźć nic bardziej precyzyjnego niż to – człowiek zapomniał Boga" – mówił, cytując Aleksandra Sołżenicyna, wiceprezydent Pence. I dalej: „Ci, którzy chcieli przeobrazić świat, nie mieli ostatniego słowa. Polska i inne narody ujarzmione przetrwały i nigdy nie straciły ducha. Polska nie może być złamana". Dlaczego? Bo w Polsce wiara miała charakter nie prywatny i jednostkowy, ale właśnie społeczny i narodowy. Wiceprezydent USA wspomniał też o naukach polskiego papieża: „[...] Ale tego dnia, w tym miejscu, papież Jan Paweł II powiedział: »Człowiek nie zrozumie swojej prawdziwej natury ani czym jest godność i dokąd zmierza, bez Chrystusa«. Kiedy Ojciec Święty wypowiedział te słowa, miliony Polaków chciały być słyszane. Śpiewali: Chcemy Boga. Tu stoi przed nami krzyż, dokładnie naprzeciwko Grobu Nieznanego Żołnierza. To symbol polskiej wiary i wytrwałości. To trwałe świadectwo wiary Polaków. Solidarność narodów jest możliwa wtedy, kiedy uwzględnia się działania boskie. [...] Tam, gdzie trwa duch Boży, tam jest i wolność. [...]". Słyszą Państwo? Jeden z najważniejszych polityków amerykańskich jawnie twierdzi, że bez uwzględnienia działania Boga, Chrystusa i krzyża nie ma ani wolności, ani solidarności narodów.

Warto te słowa przywoływać. Nie dlatego, że są wyjątkowo odkrywcze – to raczej stara mądrość. Nie. Warto je przywoływać dlatego, że padły właśnie z ust czynnego i wpływowego polityka. Kogoś, kto nie boi się okazywać wiary i rozumie, że ma ona też, mieć musi, wymiar publiczny. Tak kiedyś rozumieli znaczenie chrześcijaństwa również europejscy politycy. Rozumieli, że wielkość Zachodu to wielkość cywilizacji opartej na wierze w Boga, że bez boskiej gwarancji człowiek traci godność i wolność. Nie widzieli w sobie ostatecznych kreatorów dziejów, bo rozumieli, że historia jest w rękach Stwórcy. Doprawdy, jest ironią losu, że właśnie polityk amerykański musi dziś o tym przypominać.

Większość liberalnych mediów nazwała wiceprezydenta USA ultra czy skrajnie konserwatywnym. Smutne to, ale pokazuje, jak bardzo zmienił się współczesny świat. To, co kiedyś było powszechną mądrością i normą – uznanie Boskich rządów nad światem – stało się wyrazem skrajności i ekstrawagancji.

Jednak nie wolno się temu podporządkować. Przykład Mike'a Pence'a pokazuje, że chrześcijaństwo jako siła polityczna nie całkiem zginęło. Niezależnie od tego, co powtarzają przedstawiciele wielkich liberalnych i lewicowych mediów, Boga nie całkiem udało się wypchnąć z historii i ze świata. Jest nadal jej panem i wciąż, rzadko wprawdzie, można o tym usłyszeć od najważniejszych przywódców politycznych świata. ©℗

RYSUNEK TYGODNIA

eprasa.pl c850b8daf1

TEMAT TYGODNIA

18 WOJCIECH WYBRANOWSKI
PREZYDENT-WPADKA
Potknięcia Aleksandry Dulkiewicz

22 RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ
KŁOPOTLIWE NADZIEJE OPOZYCJI

KRAJ

24 ROZMOWA Z ADAMEM BIELANEM
SCHETYNA UCIEKA PRZED KACZYŃSKIM
Przedwyborcze manewry

26 PIOTR SEMKA
OFENSYWA WRZEŚNIOWA

30 KAMILA BARANOWSKA
GRZEGORZ I MAŁGORZATA

32 KRYSTIAN KRATIUK
PRZEBUDZENIE?

36 ŁUKASZ ZBORALSKI
SZYBSI OD SZYBKICH

38 AGNIESZKA NIEWIŃSKA
LECHÓW DWÓCH

KULTURA

40 PIOTR GOCIEK
GOŁO I NIEWESOŁO
Kino w służbie propagandy

43 KRZYSZTOF MASŁOŃ
SEKS PIÓREM PRAWICY KONTRA SEKS PIÓREM LEWICY

NIE PRZEGAP

46 NASZ PRZEWODNIK
FILMY, KSIĄŻKI, PŁYTY, GRA

OPINIE

52 TOMASZ P. TERLIKOWSKI
NATURALNE, NIENATURALNE – MORALNE?
Nic nie wynika z braku genu homoseksualizmu

54 KS. ANDRZEJ KOBYLIŃSKI
PO PIERWSZE DEMOGRAFIA

56 TOMASZ ROWIŃSKI
CYTATY OD PODSZEWKI

HISTORIA

58 WALDEMAR ŁYSIAK
HITLER & STALIN
W 80. rocznicę napaści dwóch lewaków na Polskę

ŚWIAT

68 OLIVIER BAULT
BREXIT: OSTATNIE STARCIE?
Wielka Brytania w politycznym wirze

72 ŁUKASZ WARZECHA
AMAZONIA NIE PŁONIE

74 PIOTR WŁOCZYK
BARDZO ZŁA ŚMIERĆ

EKONOMIA

76 ROZMOWA Z PAWŁEM BORYSEM
WIERZĘ W INTELIGENTNY INTERWENCJONIZM
Przez najbliższe spowolnienie przejdziemy suchą nogą

80 JACEK PRZYBYLSKI
CUD NAD FRANKIEM?

86 STEFAN SĘKOWSKI
BAŁTYK BEZ DORSZA?

STYL

88 JOANNA BOJAŃCZYK
RAJE UTRACONE
Miejsca, gdzie turystów mają już dość

O ZDROWIU

90 KATARZYNA PINKOSZ
DŁUŻEJ MARZYĆ
Bohaterowie walczą o życie

FELIETONY:

SEMKA (8), ZIEMKIEWICZ, WYBRANOWSKI (10), KOWALCZUK (12), GMYZ, GOCIEK (16), ZALEWSKI, WOLSKI (57), ZYCHOWICZ, KOPER (66), WARZECHA (71), GABRYEL, RYBIŃSKI (84), KOMUDA (92), NOWAK (96), JASTRZĘBOWSKI, MAKOWSKI (97), KATARYNA (98), ŁYSIAK (99)

eprasa.pl c850b8daf1

Patronat Narodowy Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy w Stulecie Odzyskania Niepodległości

1918 · 2018

ISKRA PAMIĘCI

14 WRZEŚNIA 2019 R.
GODZ. 14^{00} – 21^{00}

PLAC MARSZAŁKA JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO W WARSZAWIE

„Iskra Pamięci" to patriotyczne wydarzenie, upamiętniające polskich obywateli, w tym oficerów, podoficerów oraz szeregowych Wojska Polskiego, których krew przelano w lasach katyńskich w 1940 r. Celem inicjatywy jest pokazanie, że spuścizna żołnierzy, którzy oddali swoje życie dla ojczyzny, przetrwała do dziś, że Polska, za którą cierpieli i oddali życie, nadal o nich pamięta i pamiętać będzie.

W 80. rocznicę agresji sowieckiej oddajmy wspólnie hołd jej ofiarom, zapalając ponad 20 tysięcy zniczy, które utworzą kształt polskiego orła wojskowego według wzoru z 1919 r.

ZAPRASZAMY NA WIECZORNY KONCERT PANIEN WYKLĘTYCH!

Informacje o wydarzeniu

www.facebook.com/IskraPamieci/

Fundator

PGNiG

Organizator wydarzenia

FUNDACJA PGNiG IM. IGNACEGO ŁUKASIEWICZA

Patronat medialny wydarzenia

TVP TELEWIZJA POLSKA

POLSKIE RADIO

eprasa.pl:c850b8da1

W tym tygodniu w listach o polskiej polityce i o tym, jak instytucję małżeństwa pokazuje nam Wikipedia. Korespondencję prosimy kierować na adres: listy@dorzeczy.pl.

„Błąd antysystemu", Rafał A. Ziemkiewicz, „DRz" 35/2019

Piszę w odniesieniu do artykułu red. Ziemkiewicza pt. „Błąd antysystemu". Znalazłem tam takie zdanie: „Czyż to nie zdumiewające, że temat, na który, jako na najważniejszy, wskazuje w sondażach 87 proc. wyborców, usprawnienie służby zdrowia, praktycznie w sporze politycznym PiS-PO nie istnieje?" [...]

Ten postulat deklarują wszystkie chyba ekipy od ostatnich kilkunastu lat – poprawa jakości w służbie zdrowia. Hasło bardzo proludzkie, powinno przyciągnąć wyborców. Jeśli się jeszcze doda do tego postulat wygłoszony przez szefową Razem o zwiększeniu liczby ginekologów, to już w ogóle zapowiada się, że będzie wspaniale.

Prawda jednak wygląda tak, że polska służba zdrowia ma problem głównie strukturalny (nie odnoszę się do kwestii finansowo-ubezpieczeniowych). Mówiąc po ludzku – mamy bodaj najmniejszy w Europie odsetek lekarzy na każdy tysiąc obywateli. Od zwiększenia tej liczby zależy, i to wprost, poprawa jakości obsługi w służbie zdrowia.

Tyle że jest jedno „ale". Tego, z roku na rok, zrobić się nie da. Trzeba bowiem zwiększyć liczbę miejsc zarówno na uczelniach medycznych, jak i miejsc specjalizacyjnych. Tak się składa, że rząd PO-PSL liczbę tych miejsc ograniczał. Lekarzom stażystom i rezydentom płaci podstawowe wynagrodzenia Ministerstwo Zdrowia, dopiero Łukasz Szumowski zdołał podnieść pensje lekarzom-stażystom [...]. Zwiększono również – i proces ten ma trwać – liczbę miejsc specjalizacyjnych na rezydenturach. Efekty będziemy mogli jednak obserwować nie szybciej niż za 7–8 lat. Wykształcenie lekarza specjalisty to bowiem minimum 10 lat, a czasem nawet 18 lat (jak w przypadku choćby endokrynologów). [...] W dodatku nie da się lekarza zmusić do wyboru specjalizacji, np. ginekologicznej – można proponować więcej miejsc na tej specjalizacji, ale to niekoniecznie musi się przełożyć na większy wzrost zainteresowania akurat tą specjalizacją.

Postulat poprawy jakości w służbie zdrowia w ciągu jednej kadencji (w tym zwiększenia liczby ginekologów) można więc włożyć między bajki. Chyba że pomysłem lewicy jest hurtowy import lekarzy z innych krajów – a na to się raczej nie zanosi.

Podejrzewam, że nieporuszanie tego tematu w dyskusji głównych oponentów, tzn. PiS i PO, wynika, paradoksalnie, z... wiedzy o tym, co się dzieje w polskiej służbie zdrowia. I to wiedzy obu ugrupowań. PiS zrobił tu więcej niż poprzednicy. PO go nie zaatakuje, bo kiedy istnieją twarde dane na temat jej działań w kwestii zwiększenia liczby lekarzy specjalistów, może ściągnąć na siebie atak naprawdę ciężkiej artylerii.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

Małżeństwo z Wikipedii

Proszę w przeglądarce Google wpisać wyrażenie: „małżeństwo etymologia". I oczywiście enter, aby wyszukało.

Ciekawy jestem, czy u was również na pierwszym miejscu będzie krótka definicja z Wikipedii okraszona zdjęciem dwóch facetów.

Po rozwinięciu tego pierwszego odszukanego hasła przez Google na górze będzie uwaga (w górnej części), że hasła nie należy edytować w polskim rozumieniu, gdyż zawęża.

Proszę również zobaczyć, gdzie – chodzi o kolejność – jest zdjęcie małżeństwa z dziećmi. [...]

Tak napisałem, aby pokazać, na co Wikipedia zbiera pieniądze i jak pokazuje, jak odwraca pojęcia.

Imię i nazwisko do wiadomości redakcji

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ADRES: Tygodnik DO RZECZY
Batory Office Building II
Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 529 12 00, *fax:* +48 22 529 12 01
e-mail: listy@dorzeczy.pl, www.DORZECZY.PL

REDAKCJA: Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
I zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Gabryel**
Zastępca redaktora naczelnego: **Piotr Zychowicz**

Z ZESPOŁEM: Sekretariat redakcji: **Jacek Przybylski** (I sekretarz redakcji), **Łukasz Zboralski** (II sekretarz redakcji), **Andrzej Dziekan, Radosław Wojtas**

Kolegium komentatorów:
Cezary Gmyz, Piotr Gociek, Waldemar Łysiak, Krzysztof Masłoń, Piotr Semka, Łukasz Warzecha, Rafał A. Ziemkiewicz
Stali współpracownicy i felietoniści:
Kamila Baranowska, Olivier Bault, Robert Bogdański, Joanna Bojańczyk, Grzegorz Brzozowicz, Sławomir Cenckiewicz, Wiesław Chełmniak, Dominika Ćosić *(Bruksela)*, **Krzysztof Czabański, Piotr Gursztyn, Maria Kądzielska, Kataryna, Jacek Komuda, Sławomir Koper, Piotr Kowalczuk** *(Rzym)*, **Jakub Kowalski, Grzegorz Kucharczyk, Tomasz Lenczewski, Ewa Łosińska, Łukasz Majchrzyk, Marcin Makowski, Monika Małkowska, Karolina Marchlewska-Trzmiel, Gabriel Michalik, Filip Memches, Agnieszka Niewińska, Andrzej Nowak, Maciej Pieczyński, Katarzyna Pinkosz, Witold Repetowicz, Agnieszka Rybak, Krzysztof Rybiński, Stefan Sękowski, Joanna Siedlecka, Teresa Stylińska, Artur Szeremeta, Tomasz P. Terlikowski, Błażej Torański, Szewach Weiss, Piotr Włoczyk, Marcin Wolski, Tomasz Wróblewski, Wojciech Wybranowski, Igor Zalewski, Tomasz Zbigniew Zapert**

PORTAL DORZECZY.PL redaguje **Antoni Trzmiel** (także dziennikarz Telewizji Polskiej) z zespołem: **Karol Gac** (zastępca), **Blanka Aleksowska, Zuzanna Dąbrowska** (także Radio Maryja), **Zofia Magdziak, Anna M. Piotrowska, Małgorzata Puzyr, Damian Cygan, Jan Fiedorczuk, Przemysław Harczuk** (także „Super Express")

Studio graficzne: **Wojciech Niedzielko** (szef studia), **Jakub Tański, Jacek Nadratowski, Anna Sobieska-Wójtowicz, Włodzimierz Zakrzewski**
Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska, Marzena Dobosz, Agnieszka Wasilewska**
Rysownicy: **Andrzej Krauze, Cezary Krysztopa**
Okładka: **Przemek Świderski/Gallo Images Poland, Mateusz Słodkowski/Zuma Press/Forum, oprac. JAN**

WYDAWCA: **Orle Pióro sp. z o.o.**
Batory Office Building II, Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa
tel.: +48 22 347 50 00, *fax:* +48 22 347 50 01
Wydawca tytułu, spółka Orle Pióro, wchodzi w skład Grupy Kapitałowej PMPG Polskie Media SA, notowanej na GPW

PMPG POLSKIE MEDIA SA
spółka notowana na GPW
POLSKA WYDAWCA

Zarząd PMPG Polskie Media SA:
Piotr Piaszczyk, Robert Pstrokoński, Ewa Rykaczewska
Zarząd Spółki Orle Pióro:
Katarzyna Gintrowska, Paweł Lisicki

FIRMA RODZINNA

BIURO REKLAMY: reklama@dorzeczy.pl; tel. 500 112 386

PUBLIC RELATIONS
(PR manager), pr@pmpg.pl

DYSTRYBUCJA I PRODUKCJA:
Adam Borzęcki (kolportaż);
Joanna Nowakowska (prenumerata wydawnicza),
prenumerata@pmpg.pl, tel.: +48 22 529 12 10

ISSN 2299-8500
Nr indeksu 288829
Nakład 77 tys. egzemplarzy

DRUK: WALSTEAD CENTRAL EUROPE
Sprzedaż egzemplarzy aktualnych i archiwalnych po cenie innej niż cena detaliczna ustalona przez wydawcę jest zabroniona i grozi odpowiedzialnością karną.

PRENUMERATA:
Prenumerata realizowana przez RUCH SA:
Zamówienia na prenumeratę w wersji papierowej i na e-wydania można składać bezpośrednio na stronie www.prenumerata.ruch.com.pl

Ewentualne pytania prosimy kierować na adres
e-mail: prenumerata@ruch.com.pl lub kontaktując się z Centrum Obsługi Klienta „RUCH" pod numerami: 22 693 70 00 lub 801 800 803 – czynne w dni robocze w godzinach 7–17. Koszt połączenia wg taryfy operatora.

Redakcja nie odpowiada za treść ogłoszeń ani nie zwraca materiałów niezamówionych. Zastrzegamy sobie prawo do skracania i adiustacji tekstów oraz zmiany ich tytułów. Na podstawie art. 25 ust. 1 pkt 1b prawa autorskiego wydawca wyraźnie zastrzega, iż dalsze rozpowszechnianie materiałów opublikowanych w tygodniku „Do Rzeczy" jest zabronione.

© ℗ Wszystkie materiały w tygodniku chronione są prawem autorskim. Wszelkie prawa zastrzeżone. Dalsze rozpowszechnianie artykułu tylko za zgodą wydawcy. Regulamin i warunki licencjonowania materiałów prasowych na www.dorzeczy.pl/regulamin/

eprasa.pl c850b8daf1

Już 16 września w DO RZECZY dodatek

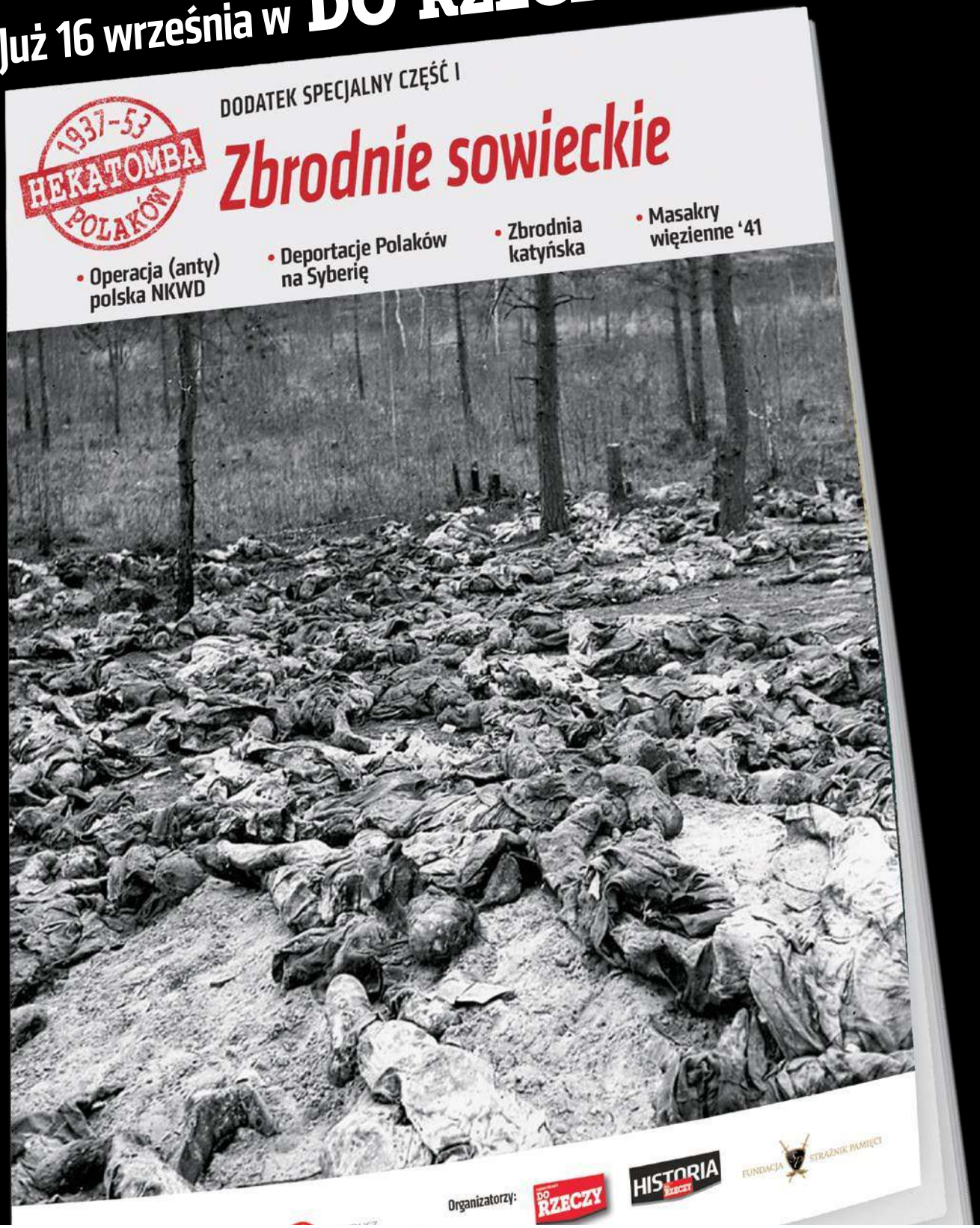

Współfinansowane ze środków Funduszu Sprawiedliwości, którego dysponentem jest Minister Sprawiedliwości

MINISTERSTWO SPRAWIEDLIWOŚCI
www.ms.gov.pl

FUNDUSZ SPRAWIEDLIWOŚCI

eprasa.pl c850b8daf1

PIOTR SEMKA

NA PIERWSZY OGIEŃ

Dylemat czterech liter

Żyję dostatecznie długo, by pamiętać, jak w końcu epoki Gierka, jesienią 1979 r., opowiadano sobie pewną efektowną historię. Oto do warszawskiej kawiarni SPATiF miał wkroczyć Andrzej Jaroszewicz, syn ówczesnego PRL-owskiego premiera Piotra Jaroszewicza, pod rękę z Marylą Rodowicz. Według plotki pierwszy playboy RP, zły, że jego entrée nie skupiło uwagi sali, miał wykrzyczeć : „Jak pastuch z Wadowic (chodziło o Jana Pawła II, było parę miesięcy po jego wizycie) przyjeżdża, to wszyscy wiwatują. A jak wchodzi pierwsza dama piosenki, to nikt nie wstaje". Na takie dictum do Jaroszewicza miał podejść obecny na sali Daniel Olbrychski i dać mu w zęby.

Historia jest ponoć wymyślona, ale pokazuje, jak w tamtych czasach najpopularniejsi aktorzy odgrywali rolę depozytariuszy zbiorowych tęsknot. Ot, choćby tej, by ktoś natłukł nielubianego „czerwonego księcia". Do tej roli idealnie pasował Olbrychski, którego Polacy pokochali wtedy jako Kmicica.

O tej historyjce przypomniałem sobie, gdy z redakcyjnego obowiązku obejrzałem „Politykę" – ostatni film Patryka Vegi. Liczący sobie dziś 74 lata Olbrychski zagrał w nim spokojnego, ale wrażliwego społecznie emeryta, który zasłynął jako ofiara stłuczki z kolumną pani premier stylizowanej na Beatę Szydło. Po wyjściu na wolność na listy wyborcze wciąga go partyjny boss wystylizowany na Grzegorza Schetynę. Wrażliwy emeryt odkrywa, że bossa nie interesuje jego program społeczny. W finałowej scenie w Sejmie jako marszałek senior wygłasza tyradę: „Nie dla władzy dla władzy, tylko władzy dla ludzi". Po czym staje na marszałkowskim fotelu, spuszcza spodnie i pokazuje posłom z lewa oraz prawa goły tyłek.

Zastanawiałem się, dlaczego Olbrychski przyjął tę rolę. Najpierw naiwną, a potem prostacką. Nietrudno było rozszyfrować film Vegi jako chałę i zlepek kpin à la „Sok z buraka". Akurat epizod z Olbrychskim to kpina z PO, ale w całym filmie dominuje walenie na odlew w PiS. Podobnie demoniczną i przerysowaną rolę „Ojca Dyrektora" zaakceptował Zbigniew Zamachowski. I wreszcie trzeci aktor z „Polityki" – młody Antoni Królikowski, którego rok temu polubiłem za rolę w „Dywizjonie 303". Teraz musiałem oglądać go w roli kogoś przywodzącego na myśl Bartłomieja Misiewicza. I znów Królikowski zaakceptował głupawą rolę naznaczoną rynsztokowymi homoaluzjami na temat relacji bohatera, którego grał, z szefem MON.

Wiem, że niektórzy czytelnicy ofukną mnie, iż zapominam stare przysłowie, że aktor jest do grania jak d… do wiadomo czego. Tyle że w tym przypadku Olbrychski, Zamachowski i Królikowski dali się kupić do filmu tak złego, że wyśmiała go nawet „Gazeta Wyborcza". Być może dlatego, że jej krytycy z niemiłym zdziwieniem odkryli, iż tak prostacki film nie zrobi PiS żadnej szkody. Wcześniej ta sama „Wyborcza" zachęciła aktorów do udzielania długachnych wywiadów, w których na wzór epoki Gierka kreowano ich na sumienie walki o demokrację. Część z nich tę rolę potraktowała tak serio, że uznała, iż każde walenie w PiS, nawet tak karykaturalne jak film Vegi, jest godne ich udziału. I to w przypadku Daniela Olbrychskiego skłoniło aktora do wystawiania przed kamerą czterech liter. Żałość. Ani sławy, ani przyzwoitości. ©℗

FOT. SIPHIWE SIBEKO/REUTERS/FORUM

ROBERT MUGABE: OD WYZWOLICIELA DO DYKTATORA

W wieku 95 lat zmarł były prezydent Zimbabwe. Władzę w kraju obejmował w chwale bohatera walki o niepodległość. W 1980 r., w wyniku wyborów parlamentarnych, stanął na czele pierwszego rządu Republiki Zimbabwe. Zaoferował pojednanie dawnym wrogom i doprowadził do szybkiego rozwoju kraju. Po kilku latach brutalnie rozprawił się z konkurentami i jako dyktator doprowadził kraj do ruiny. W 2007 r. stracił władzę wskutek bezkrwawego zamachu stanu. ***(jap)*** ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

Nowy rurociąg uratuje Wisłę?

FOT. GRZEGORZ BANASZAK/REPORTER

Ścieki z Warszawy nie powinny już dłużej zagrażać Wiśle. W piątek, gdy zamykaliśmy ten numer „Do Rzeczy", dobiegała końca budowa alternatywnego rurociągu. W weekend za jego pomocą do oczyszczalni Czajka miały zacząć płynąć ścieki z lewobrzeżnej Warszawy. Od ponad tygodnia do Wisły trafiało 3 tys. litrów ścieków na sekundę. W obliczu poważnego zagrożenia ekologicznego na polecenie premiera Mateusza Morawieckiego wojsko zbudowało most pontonowy, na którym ułożono dwie nitki tymczasowego rurociągu. Jednocześnie min. Michał Dworczyk wezwał władze Warszawy do jak najszybszego przekazania informacji, jak w długiej perspektywie miasto planuje rozwiązać tę sytuację. ***(jap)*** ©℗

JAROSŁAW KACZYŃSKI: STWORZYMY NOWE WOJEWÓDZTWO

Prezes PiS Jarosław Kaczyński zapowiedział w Siedlcach podział województwa mazowieckiego na dwa nowe: województwo obejmujące Warszawę i okolice oraz województwo mazowieckie. Zabieg ten według szefa Prawa i Sprawiedliwości ma rozwiązać problem, jakim jest zawyżanie dochodów mieszkańców Mazowsza przez zarobki w Warszawie, co jest niesprawiedliwe dla ludności tej części województwa, która mieszka dalej od stolicy. Jarosław Kaczyński podkreślał, że nowy podział administracyjny ma ułatwić prowadzenie polityki zrównoważonego rozwoju.

Plan PiS dotyczący wydzielenia Warszawy z województwa mazowieckiego potwierdził też w rozmowie z Polskim Radiem Jacek Sasin. – W tej kadencji Sejmu doprowadziliśmy do rozdzielenia województwa mazowieckiego na dwa odrębne byty statystyczne. To nie wystarczy, bo w UE panuje zasada, że podmioty statystyczne powinny pokrywać się z podmiotami administracyjnymi – podkreślał wicepremier. ***(jap)*** ©℗

REKLAMA

Książka do kupienia na: www.xlm.pl

Patronat medialny: DO RZECZY HISTORIA.ORG.PL

eprasa.pl c850b8daf1

RAFAŁ A. ZIEMKIEWICZ

PŁYWANIE W KISIELU

Sędziowie z muszkietem

Antypisowski portal OKO.press doniósł z nieskrywanym zachwytem: „Odważny sędzia orzekł na podstawie konstytucji i prawa UE. Nie czekał na wyrok Trybunału Konstytucyjnego". Chodzi o sędziego Marka Przysuchę z Sądu Okręgowego w Częstochowie, który rozpatrując skargę byłego esbeka na obniżenie emerytury, nie bawił się w ustalanie, czy podsądny podpadał pod ustawę, czy nie, ale pojechał po całości: ustawa dezubekizacyjna jest sprzeczna z Konstytucją RP, „nie licuje z demokratycznym państwem prawa", a sądy, które ją uznają, „nie są niezawisłe w rozumieniu prawa unijnego".

Bunt sędziego Przysuchy (zwłaszcza że podobny „wyrok" zapowiada się także w Piotrkowie) wprawił totalną opozycję w stan orgiastycznej lewitacji, do takiej rewolucji bowiem wzywali liderzy prawniczego buntu od samego początku, nazywając to rozproszoną kontrolą konstytucji. Co prawda, to wedle owej właśnie konstytucji, którą propaganda rebeliantów podnosi do rangi fetyszu, jej interpretowanie oraz ocenianie pod kątem zgodności z nią ustaw jest wyłączną kompetencją Trybunału Konstytucyjnego. Ale, jak pamiętamy, opozycja istnienie Trybunału ignoruje od czasu, gdy przestał on być „peowski", a stał się „pisowski". „Trybunał z dekretem, Radziwiłł z muszkietem" – taka tradycja zobowiązuje.

W praktyce rzekoma „rozproszona kontrola" oznacza po prostu nieopisany bajzel i rozkład wymiaru sprawiedliwości, w którym każdy, kto załapał się na togę, mógłby orzekać sobie, co zechce, zupełnie po uważaniu. Dajmy na to, ukradnie ktoś portfel. A sędzia wskaże artykuł w konstytucji mówiący, że Polska „realizuje zasady sprawiedliwości społecznej", i orzeknie, że skoro podsądny nie miał, a okradziony miał, to taki akt redystrybucji „bezpośrednio na podstawie konstytucji" należy usprawiedliwić.

Sondaże wyborcze pokazują, że rozpaczliwa walka sędziowskiego establishmentu o zachowanie status quo ante chyli się ku przegranej. PiS będzie miał większość, może nawet konstytucyjną, za pół roku skończy się kadencja pani Gersdorf, a Timmermans szefem Komisji nie został. W tej sytuacji przegrani robią to, co zwykle pokonani na wojnie: niszczą i wysadzają w powietrze, co mogą, by zwycięzcy nie mieli pożytku. Skoro sądy nie mogą być dłużej „nasze", to niech zamienią się w jedno wielkie bezhołowie. A co! ©℗

WOJCIECH WYBRANOWSKI

CZERWONE I CZARNE

Jak nie idzie...

Medialne narzekania, westchnienia pełne rozpaczy, a to, że opozycja sobie nie radzi, że nie nadąża z narracją za Prawem i Sprawiedliwością, w tej jakże na razie nudnej kampanii wyborczej stały się tak powszechne, że aż męczące. Litości! Jak mają ludzie Schetyny dobrze sobie radzić w kampanii, jak mają bić niecnych pisiorów, aż kurz poleci, skoro przez lata media bliskie obozowi III RP odzwyczaiły ich od politycznej samodzielności, pozwalając politykom obozu lewicowo-liberalnego odgrywać jedynie role wtórne?! A teraz – im bardziej krzyczącym o wolności, tym bardziej upolitycznionym – mediom „demokratycznym" batalia z PiS udaje się jak, za przeproszeniem, pani lekkich obyczajów praca w deszcz.

Oto „GW" ogłasza kolejną „bombę", która okazuje się informacją o tym, że biuro Jarosława Kaczyńskiego ostrożnie deklarowało ewentualną pomoc „Małej Emi", internetowej hejterce, która skarżyła się, że ma problemy z ludźmi resortu sprawiedliwości, czyli de facto z członkami rządu partii Kaczyńskiego. Szlachetna reakcja. Plus 10 punktów popularności dla prezesa PiS za reakcję. Z tymi reakcjami różnie bywa.

Były publicysta „GW" Jacek Żakowski wbrew standardom zawodu zaangażował się w polityczne akcje i zbierał podpisy pod listami poparcia dla szefa organizacji Obywatele RP, skarżąc się potem, że ludzie się ze wstrętem od niego odwracali. Co się więc dziwić, że inny dziennikarz „GW" Paweł Wroński z rozpaczą apeluje na Twitterze – „Lewicowcy. Nie bijcie się ze Schetyną, bijcie się z PiS-em". Słabe?

Ot, takie dziennikarskie śnięte ryby, ale nie te, które według „GW" ktoś podrzuca do Wisły, by PiS mógł oskarżać Trzaskowskiego o katastrofę ekologiczną. Kupa śmiechu. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

REKLAMA

10 ANNIVERSARY

IL VOLO

Musica TOUR

KONCERT

14 WRZEŚNIA 2019
ARENA GLIWICE

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

IL VOLO WEBSITE: ILVOLOMUSIC.COM FB: /ILVOLOMUSIC INSTAGRAM: / @ILVOLOMUSIC

Prestige MJM · Gliwice · Arena Gliwice · Dziennik Zachodni · wprost · Do Rzeczy · WP · naszemiasto.pl · STRÖER · Press Service · Vixon · pap · TVS · TV Toruń · Grupa Medialna · proart · ETV

REKLAMA

Kebu

ZAKLINACZ SYNTEZATORÓW
WYSTĄPI W POLSCE!

12 października 2019
Klub Progresja
Warszawa

BILETY: PRESTIGEMJM.COM

Prestige MJM · Regent Warsaw Hotel · wprost · Do Rzeczy · WP · cgm.pl · STRÖER · Vixon · Press Service · pap

eprasa.pl c850b8daf1

PIOTR KOWALCZUK
Z RZYMU

PIECZEŃ RZYMSKA

Co za piękna sierpniowa katastrofa

8 sierpnia Matteo Salvini, ówczesny wicepremier, szef MSW i eurosceptycznej Ligi, najliczniej obecnie wspieranej w sondażach partii w Italii, wypowiedział koalicję antysystemowemu Ruchowi Pięciu Gwiazd, zażądał głosowania nad wotum nieufności dla premiera Giuseppe Contego i przygotowywał się do przejęcia władzy.

Niecały miesiąc później Salvini i jego Liga poszli w odstawkę, bo Ruch skumał się z lewicową Partią Demokratyczną, tworząc równie egzotyczne małżeństwo z rozsądku jak poprzednie z Ligą. Innymi słowy – wartogłowy Salvini podał władzę na tacy swoim politycznym wrogom i wiele wskazuje na to, że będą rządzić Italią co najmniej do końca kadencji parlamentu, która upływa dopiero w 2023 r. Poniewczasie próbował desperacko cofnąć czas i pogodzić się z Ruchem, oferując jego przywódcy Luigiemu Di Maio fotel premiera. Propozycja przypominała pomysł Zagłoby, by oferować Szwedom Niderlandy. Mało tego! Salvini wycofał nawet wniosek o wotum nieufności dla premiera Contego. W odpowiedzi zobaczył wyprężony środkowy palec.

Jeśli to nie jest wspaniałą spektakularną katastrofą, to nie wiem, co może nią być. Walka polskich drużyn futbolowych o grę w europejskich pucharach odpada, bo dzieje się tak co roku. Gdy piszę te słowa, Conte tworzy nowy rząd. W telewizji pokazują najnowszy filmik, który zamieścił na FB Salvini. Agresywna retoryka brzmi teraz jak bezsilne ujadanie psa na łańcuchu. Słowem – rozmiarami kompromitacja Salviniego bije na głowę to, co ściągnął sobie sam na głowę pewien nauczyciel z Gorzowa, nazywany kiedyś premierem.

A Salviniego dobił prezydent Trump. Zatweetował, że dobrze byłoby, aby prof. Conte ponownie został premierem. Jak domyślają się biegli w geopolityce, Salvini zapłacił w ten sposób za swoje podróże do Moskwy i Pjongjangu, gdzie wygadywał najróżniejsze głupoty i afiszował się z miłością do tamtejszych satrapii i satrapów.

Wniosek jest jeden: czasem za brak rozsądku się jednak płaci. ©℗

Autor jest korespondentem Polskiego Radia.

MIĘDZY TWEETAMI

Marcin Makowski

Wybitni historycy, wybitna aktywistka

Najnowsze „Między tweetami" poświęcam dwóm niezwykłym zjawiskom z pogranicza historii, aktywizmu i ludzkiej głupoty. Ponieważ niedawno obchodziliśmy 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej, zacznijmy od przeszłości. „Nie rozumiem, dlaczego Fundacja Narodowa zamieszcza w zagranicznych gazetach teksty prezydenta i premiera o wojnie. Przecież wybitni historycy, prof. Gross i prof. Grabowski, od lat piszą na te tematy po angielsku. Wystarczy ich świetne teksty przedrukować" – oburzyła się Katarzyna Markusz z Jewish Telegraphic Agency.

Bez odpowiedzi, ale jednak z istotnym doprecyzowaniem pospieszył były doradca premiera Morawieckiego. „1. Gross nie jest historykiem, jest socjologiem. 2. Grabowski nie jest profesorem, jest doktorem. 3. Nie PFN, tylko Fundacja Instytut Nowych Mediów oraz PFN. Widzę, że nic się nie zmieniło w Pani »warsztacie dziennikarskim«" – stwierdził Andrzej Pawluszek.

„Może Pan obrażać wybitnych historyków jak prof. Gross czy prof. Grabowski, ile wlezie. To wielcy intelektualiści. Za sto lat dzieci będą się o nich uczyć z książek, a Panu musi wystarczyć uścisk dłoni obecnego polskiego premiera" – odparła Markusz. I został Pawluszek z tym uściskiem jak Himilsbach z angielskim. A my, cóż – tych książek za sto lat i tak nie dożyjemy. Więc kto sprawdzi warsztat dziennikarki?

Zmieniając temat. Pamiętają państwo niejaką Klementynę Suchanow, która „zasłynęła" tym, że na fasadzie Sejmu nabazgrała „Czas na sąd ostateczny! Wyp...ć!". Oddajmy jej głos. „Ten tego. Dostałam miesiąc »ograniczenia wolności« i 20 h prac społecznych za »czas na sąd ostateczny«. Kamiński, a jak tam twoja odsiadka trzech latek? Rozumiem, że po Tobie moja kolejka, prawda?" – ubolewała represjonowana przez PiS-owski reżim aktywistka. „Nie wiem, o co jej chodzi. Napisała »czas na sąd«, więc zgodnie z życzeniem sąd skazał ją na 20 h prac społecznych za niszczenie mienia. Szkoda, że pani Klementyna nie zrealizuje wobec siebie tego życzenia w trzecim wersie i nie da nam spokoju" – spuentował Mateusz Parys. Czego i nam życzę. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

KONGRES 590

4. Edycja

7-8.X.2019

G2A Arena,

Jasionka k. Rzeszowa

6 000
gości

500
panelistów

30
godzin
networkingu

Patronat Honorowy
Prezydenta Rzeczypospolitej Polskiej
Andrzeja Dudy

Dowiedz się więcej
www.kongres590.pl

PARTNERZY STRATEGICZNI:

BANK GOSPODARSTWA KRAJOWEGO 95 lat

GRUPA CEDROB

KGHM POLSKA MIEDŹ

ORLEN

Bank Polski 100 1919/2019

GRUPA PKP

PARTNERZY GŁÓWNI:

Energa

PFR Grupa Polskiego Funduszu Rozwoju

PGE Polska Grupa Energetyczna

PZU

TOTALIZATOR SPORTOWY

eprasa.pl c850b8daf1

SPRZĘŻENIE ZWROTNE

Aktor Tomasz Karolak wyznał ostatnio, że w związku z serialem, w którym gra, zaczął częściej myśleć o śmierci i bać się jej. W zwiastunie serialu „39,5" wcielający się w rolę głównego bohatera Karolak leży w trumnie, a wokół niego tańczą kobiety – bohaterki serialu. – Ja grałem ten serial z duszą na ramieniu, może dlatego on jest taki dobry! Ja się bałem cały czas jako aktor – zdradza w rozmowie z Pudelkiem. – Najnowsze badania dotyczące psychologii zarówno zawodu aktora, jak i po prostu człowieka mówią, że jeżeli się wypowiada pewne słowa na tzw. otwarciu, czyli kiedy gram tak, żebyś ty, widzu, uwierzył w to, co robię, to muszę być prawdziwy na ekranie. Nie mogę nic zagrywać, modulować głosu, wykorzystywać przesadnie środków aktorskich. Ja nie wierzę w takie aktorstwo. Ale na tym otwarciu te słowa, które wypowiadasz, też wchodzą w ciebie, jest sprzężenie zwrotne. Nieraz aktorom sprawdza się to, co grają wcześniej – dodaje. Karolakowi sprawdza się cały czas. Im więcej gra w polskich komediach romantycznych, tym większe głupoty wygaduje. Jak nic sprzężenie zwrotne.

ŚLUB NA NIBY

Niejaka Blanka Lipińska, nowy nabytek polskiego show-biznesu, robi wszystko, by wypromować film, który powstaje na podstawie jej debiutanckiej książki. Bo pani Blanka jest pisarką. Napisała poczytną powieść erotyczną, wzorowaną na „50 twarzach Greya", i stąd jej kariera. Ostatnio gruchnęła wieść, że oto nowa celebrytka stanęła na ślubnym kobiercu! Na Instagramie pojawiły się zdjęcia z uroczystości, a Lipińska wylewnie dziękowała fanom za życzenia. Kilka dni później gwiazda postanowiła wyznać prawdę: żadnego ślubu nie było! Okazuje się, że cała mistyfikacja miała posłużyć wyłącznie promocji filmu. – Dzień dobry, dzięki produkcji filmu „365 dni" udało mi się spełnić jedno z moich marzeń. Jedno z nich spełniło się w poprzednim tygodniu – wyszłam za mąż, co prawdopodobnie nigdy w moim realnym życiu się nie stanie (nigdy, bo jak wiadomo, nikt nie wytrzyma ze mną dłużej niż dwa lata), a ja zawsze chciałam przeżyć chwilę, kiedy stoję cała na biało, all eyes on me, obok faceta, którego kocham, i zasuwam przez kościół w białej sukni. Jak ktoś ma możliwość napisać sobie bajkę, to proponuję to zrobić, ja właśnie swoją napisałam – stwierdziła. Teraz może w spokoju wziąć prawdziwy ślub. Pies z kulawą nogą się tym nie zainteresuje. Ku prawdziwej rozpaczy pani Blanki.

FOT. BARTOSZ KRUPA/EAST NEWS

FOT. PAWEŁ GROMADA

NIE WIADOMO, CO GORSZE

Piosenkarka Margaret po swoim słynnym już wywiadzie dla „Playboya", w którym to wyznała, że myśli o apostazji z Kościoła katolickiego, bo pamięta, jak będąc w szkole, musiała spowiadać się z masturbacji, idzie za ciosem. Teraz w ramach krzewienia edukacji seksualnej napisała wiersz poświęcony stosunkom płciowym. Naprawdę. „Czy sprawy cielesne to sprawy święte, ja wolę seks przy zapalonym świetle. Powiedziałam to na głos? Zaraz afera będzie. Kiedy kij w mrowisko wetknę, to nie czują się bezpiecznie. Ja tam wolę seks przy zapalonym świetle" – brzmi początek dzieła Margaret. „Co w tym złego, że ktoś kipi seksem? Wstyd to narzędzie kontroli, której nie chcę. System się broni, kiedy poruszam te kwestie. Mimo emocji poproszę o ciszę! Dzieci boją się mówić! Rodzice boją się słyszeć! Dzieciaki nie mogą widzieć! Rodzice nie mogą wiedzieć! Intymne to są szczegóły! A nie, że w ogóle TEGEZ! Pokrzywdzeni są niemi, kiedy my ślepi na krzywdę. Wszystko po to, żeby bronić tego tabu. To mega dziwne" – czytamy dalej.

Z dwojga złego wolimy już chyba, jak Margaret śpiewa.

MOCNO NACIĄGANE

Blogerka modowa Julia Kuczyńska, znana jako Maffashion, pochwaliła się udziałem w reklamie jednej z bieliźniarskich marek. Wraz z nią w reklamie mają także wystąpić influencerki z innych krajów. Przy tej okazji Maffashion opowiedziała na Instagramie, jaką furorę zrobiła wśród swoich nowych koleżanek, gdy zdradziła im, ile ma lat. Podobno dziewczyny nie mogły uwierzyć, że można wyglądać tak dobrze jak ona w wieku 31 lat. – Jak stałyśmy wszystkie z dziewczynami na podeście, co się kręcił, to sobie rozmawiałyśmy w chwili, kiedy zmieniali i ustawiali światła. No i tam dziewczyny opowiadają, która się czym zajmuje, no i ile lat która ma. Jedna mówi, że 26, i wszystkie na to: „Ooo, nie wyglądasz, dałabym ci tak 24 lata". No i ona mówi: „Pewnie jestem z was tu najstarsza". Później przychodzi moja kolej i mówię, że mam 31. I one: „Co, 21?". I one wszystkie nagle wstają, przyglądają się, dotykają mojej twarzy. I pytają: „Ale ty nie masz botoksu? Nici? Czy coś naciągałaś?". Doszukiwały się szwów. To było zabawne. 31 lat? Co w tym wieku się naciąga? – pyta Maffashion. Jak to co? Relacje na Instagramie! ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

MŁODZI WYKSZTAŁCENI I Z WIELKICH OŚRODKÓW

Kochani, w ostatnim tygodniu odczuwaliśmy potrzebę zrobienia czegoś na rzecz płonącej Amazonii. Niestety, jako iż Amazonia leży daleko od naszego korpo, nie mogliśmy sami polecieć i wziąć udziału w akcji gaszenia pożaru. Zrobiliśmy więc, co mogliśmy, a więc zaktualizowaliśmy nakładkę na zdjęcie profilowe na fejsie, wstawiliśmy na insta zdjęcie pożaru lasu w innej części świata sprzed kilkunastu lat (Celebryci robili tak samo!), iżby pokazać, że się martwimy, oraz staraliśmy się rozesłać po całej Amazonii pozytywne wibracje. Chcieliśmy też zorganizować w korpo Dzień dla Amazonii, ale pomysł został storpedowany przez Nowego z Tarnowa, który ponownie zagonił nas do sprzedawania pakietów Internet + telefon.

Tak jak można było się spodziewać, obchody rocznicy wybuchu II wojny światowej zostały zawłaszczone przez ten kraj i zdominowane przez narrację zgodną z patriotyczno-nacjonalistycznym interpretowaniem historii.

Otósh z przemówień polskich polityków wynikało, jakoby ten kraj był ofiarą nazistów. No jednak zgodnie ze stanem naszej wiedzy to to, kto był ofiarą, a kto nie, zostało już dawno rozstrzygnięte. Poza tym jak tak można – mówić o cierpieniu Polaków, a nie innych narodów? Znów ta polska martyrologia ma przesłaniać krzywdy, których doznali z rąk nazizmu inni? :(

Co więcej – najwidoczniej pod presją siepaczy Kaczafiego – podobne w tonie przemówienie wygłosił prezydent Niemiec, który mówił o cierpieniu polskich rodzin i przepraszał. A my zachodzimy w głowę, dlaczego on w ogóle musiał się wypowiadać. Przecież co wspólnego mają Niemcy z nazistami poza tym, iż zostali przez nich podbici i skolonizowani? Nie możemy w taki sposób patrzeć na historię, iż naturą historii jest to, że już była, a jakie to ma znaczenie? Przecież liczy się tylko to, co będzie :/

Kiepskie wieści dochodzą do nas z Chin. Odbywają się tam mistrzostwa świata w koszykówce mężczyzn, w których występuje reprezentacja tego kraju i pokonuje kolejnych przeciwników.

W ogóle powinniście wiedzieć, iż koszykówka jest bez sensu z dwóch powodów: po pierwsze nie jest to sport zero-waste, iż polega na wyrzucaniu całkiem niezłej piłki do dziurawego kosza. Bez sensu. Poza tym jak prawie żaden inny sport na świecie dyskryminuje z uwagi na warunki fizyczne. Im ktoś jest niższy tym ma mniejsze szanse na poważną karierę. ©℗

FASHYSM NIE PRZEJDZIE! BĄDŹ Z NAMI OSOM NA FEJSIKU: FB.COM/MWIZWO

REKLAMA

POBYTY Z ZABIEGAMI
w Ciechocinku „Pod Tężniami"

Leczymy m.in.:
- bóle kręgosłupa i dyskopatie
- bóle mięśni i stawów oraz zmiany przeciążeniowe
- stany po urazach i operacjach ortopedycznych
- schorzenie zwane ostrogą piętową
- łokieć tenisisty i golfisty
- nietrzymanie moczu
- stany po udarach mózgu

posiłki bez limitu - bufet
25 zabiegów na 7 dni pobytu
dwa badania lekarskie •
wstęp na basen oraz do zespołu saun do 90 min. dziennie •
seans w Komnacie Solnej do 45 min. co drugi dzień •
wstęp na wszystkie imprezy kulturalno-rozrywkowe •
Tygodniowe lub dłuższe pobyty w terminie:
08.09 - 29.09.2019 r. - 29.09 - 20.12.2019 r.

KLINIKA UZDROWISKOWA® „Pod Tężniami" im. Jana Pawła II

Klinika Uzdrowiskowa
„Pod Tężniami" im. Jana Pawła II
ul. Warzelniana 7, 87-720 Ciechocinek
www.podtezniami.pl

tel. 54 416 70 00

eprasa.pl c850b8daf1

dwaj panowie g

Ludzie się ekscytują programem i konwencją PiS, a przecież miniony tydzień to jeszcze ciekawsza impreza – forum w Krynicy. Jak to ciekawsza? – ktoś zapyta. Odpowiadamy: bo program PiS jest dla wszystkich, a Krynica tylko dla bogatych i wpływowych. A przecież ekscesy tych ostatnich zawsze są ciekawsze.

Licznych gości Krynicy witała gazetka z Adamem Hofmanem na okładce. Tak, tym słynnym Adamem, niegdyś w PiS, a teraz we własnej firmie piarowsko-wpływaniowej. Z zazdrością patrzyły na okładkę inne firmy, które też chciałyby na różne sprawy powpływać. Komunikat był jednak jasny: wiecie, gdzie trzeba iść, żeby ten teges ora co i jak.

Nie wszystkich gości udało się powitać. Na przykład ważna szycha z Goldman Sachs nie dotarła, gdyż dwa kolejne loty nie dotarły na czas do Krakowa. I nawet specjalnie przygotowany helikopter, który miał gościa imieniem James Ashley z Balic zabrać wprost do Krynicy, też się zmarnował.

Działy się w Krynicy rzeczy smutniejsze. Złamany został niepisany pakt polityczno-medialny, że forum nie jest terenem łowieckim ani terenem działania politycznych raubritterów. Pakt złamała – jakżeby inaczej – „GazWyborcza" rękami swej reporterki Dobrosz-Oracz, która goniła z kamerą Bogu ducha winnego prezesa Pekao SA Michała Krupińskiego, wykrzykując coś o „dwóch wieżach". I nie miała wcale na myśli Tolkiena. Może jednak rację miał minister Piontkowski, mówiąc o chaosie w głowie Justyny?

Ulubionym zajęciem gości forum było rozważanie, kto mógłby zostać po wyborach nowym premierem, gdyby się okazało, że nowe otwarcie ma być jeszcze nowsze. Zaufany, raczej młody niż stary, no i raczej niespodzianka. Któż to mógłby być? Najczęściej mówiono: Tomasz Poręba. Nas to jednak mało przekonuje. Słyszeliśmy, że jednak albo Mateusz, albo inny człowiek z imieniem na M.

Wracając do spraw międzynarodowych. Mało kto wie, że przy okazji warszawskiej wizyty na jej obrzeżach miało dojść do ważnego spotkania Donalda Trumpa z Łukaszenką. Nie doszło, bo obaj do Warszawy nie przyjechali. Trump z powodu huraganu, wiadomo. Natomiast Łukaszenko przestraszył się Putina, który się zorientował, że mu Amerykanie chcą z łap wyrwać Białoruś, i dał mało delikatnie do zrozumienia, że nie życzy sobie takiego spotkania. Spokojnie, co się odwlecze, to nie uciecze. Trump, jak wiadomo, ma słabość do dyktatorów.

Sposób trzeci. Wykorzystuje się skserowane listy z poprzednich wyborów. Pod warunkiem, że PKW nie zorientuje się, robiąc wyrywkową kontrolę

Tam, gdzie zanika gotowość do porozumienia i dialogów, tam zawsze polityka podżega do wojny" – powiedziała 1 września na Westerplatte gdańska Dulczessa Dulkiewicz. Nie spodziewaliśmy się po niej tak brutalnego ataku na Eine Totalopposition.

To jednak nie koniec! Jeszcze bardziej przerażająca jest opowieść autorytetu moralnego Jacka Żakowskiego, który postanowił zbierać podpisy pod kandydaturą totalnego totalsa Pawła Kasprzaka z Obywateli RP. „Większość ludzi nie chce podpisywać, odchodzą obrzydzeni" – komentował Jaś Fasola polskiego dziennikarstwa. My też nie przepadamy za Kasprzakiem, ale żeby od razu jechać tak ostro…

FOT. ROBERT GARDZIŃSKI

À propos kłopotów ze zbieraniem podpisów. Ohydna plotka. Nie wierzymy. Przedstawiciele pewnego komitetu firmowanego przez pewnego rozłamowca, co kiedyś był kukistą, poszli na skróty. Na cmentarz. Asystenci spisywali w miarę świeżych nieboszczyków. Mając datę urodzin, można ją wrzucić do internetowego generatora PESEL i uzyskać poprawny numer. Potem tylko jeszcze adresik ze starej książki telefonicznej i jazda. Niestety, ten sposób jest znany w PKW.

Jest i inny sposób. Na Piniora. Podpisy są prawdziwe, autentycznie żyjących ludzi. Tyle że złożone na innego kandydata w innym okręgu. Trzeba tylko dopasować adresy. Ten sposób od czasów zatrzymania Piniora niestety też jest już znany organom.

Wreszcie sposób trzeci. Na archiwum. Wykorzystuje się skserowane listy z poprzednich wyborów. Ten jest najskuteczniejszy pod warunkiem, że PKW nie zorientuje się, robiąc wyrywkową kontrolę, iż część wyborców opuściła ten padół łez.

Na żaden z powyższych sposobów nie wpadła Maria Nurowska, która została rzucona przez Grzegorza Króla Skorpiona Schetynę do rejonu Nowego Targu. Gwoli sprawiedliwości oddać jej trzeba, że akurat w tym okręgu szansa na mandat senatorski dla PO była raczej homeopatyczna. Jest to bowiem region zamieszkany przez „ryje i mordy pisowskie", jak była łaskawa określić ten typ elektoratu wspomniana pani prozaik.

À propos Grzegorza Skorpiona. Informacja o firmie PR-owskiej doradzającej Schetynie, by usunął się w cień, jest potwornym kłamstwem. Tak potwornym, że żeby je zdementować, Schetyna postanowił usunąć się w cień i namaścić na premiera Kidawę-Błońską. Co było do udowodnienia.

prasa.pl c850b8daf1

Przy okazji potępiamy tych, którzy komentując wspomniane badania firmy doradczej dla Grzegorza, zamiast słów „izraelska firma" używali sformułowania „żydowska firma". Zaraz, zaraz… A może akurat prowadzą ją Palestyńczycy?

W związku z nominacją Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na kandydata na premiera jesteśmy w żałobie. No bo nici z jej zamieszkania we Wrocławiu. Po ubiegłotygodniowym przywitaniu Małgorzaty Kidawy-Błońskiej w grodzie nad Odrą teraz szybko musimy ją pożegnać. Przy okazji wiemy, że decyzja o jej przeniesieniu znów na listy w Warszawie była naprawdę last minute. Jeszcze parę dni przed konferencją Schetyny Skorpiona autentycznie się bowiem pakowała.

Miejsce co prawda 17., ale na liście jest. Przypominamy, że to my jako pierwsi ukuliśmy jakże adekwatne sformułowanie „konfederacja siarska"

Grzegorz Król Skorpion Schetyna ogłosił, że to społeczeństwo wskazało kandydata i że społeczeństwo czekało na Kidawę-Błońską. Cóż, widać, nie należymy do społeczeństwa.

Listy zarejestrowane, czas na ciekawostki. W okręgu Rybnik do Sejmu z listy Konfederacji startuje lider tamtejszego Ruchu Narodowego Jacek Lanuszny. Zasłynął akcją wieszania portretów samorządowców na placu Sejmu Śląskiego w Katowicach oraz członkostwem w stowarzyszeniu, które urządzało prowokację TVN pod nazwą „urodziny Hitlera" w lesie pod Wodzisławiem. Miejsce co prawda 17., ale na liście jest. Przypominamy, że to my jako pierwsi ukuliśmy jakże adekwatne sformułowanie „konfederacja siarska".

Idźmy dalej. Dawno, dawno temu sekretarz Ruchu Autonomii Śląska niejaki Michał Buchta utracił członkostwo i funkcję za tzw. żart polegający na zamieszczeniu zdjęcia swoich dzieci prezentujących nazistowskie pozdrowienie. Teraz pewien Michał Buchta z ramienia Wiosny kandyduje do Sejmu z list Lewicy. Miejsce nr 22. Przypadek? ©℗

REKLAMA

eprasa.pl c850b8daf1

Prezydent-wpadka

Najnowsze kontrowersje dotyczące Aleksandry Dulkiewicz to sprawa jej urzędowego łańcucha ze srebra i z bursztynu, który wykonano po objęciu przez nią urzędu. Musiano go poprawiać, bo okazał się dla niej za ciężki – włącznie z poprawkami wydano na to z miejskiej kasy Gdańska 24 tys. zł FOT. PRZEMEK ŚWIDERSKI/GALLO IMAGES POLAND

eprasa.pl c850b8daf1

Wojciech Wybranowski

Prezydent Gdańska Aleksandra Dulkiewicz weszła przebojem do opozycyjnej polityki. Jednak po niekończącej się serii wpadek może się okazać gwiazdą jednego sezonu

Aleksandra Dulkiewicz, od kiedy objęła stanowisko prezydenta Gdańska, nie szczędzi krytyki obecnym władzom kraju. A jednocześnie ubolewa, że ze strony zwolenników władzy pod jej adresem wylewać ma się fala hejtu. W ostatnim czasie w mediach pojawiło się wiele materiałów pokazujących ją w ciepłym świetle i kreujących wręcz na ikonę samorządowego oporu wobec PiS.

Sporo uwagi Dulkiewicz – i to kilkukrotnie w ostatnich miesiącach – poświęcił kolorowy magazyn „Viva!", a branżowy portal Wirtualnemedia.pl w obszernym materiale popularyzującym polityczną aktywność prezydent Gdańska przekonywał, że jest ona „jak na polskie warunki zjawiskiem niezwykłym". Sama zaś Dulkiewicz w czerwcu w audycji „Onet rano" wyznawała, jak jej smutno, że premier Morawiecki nie podał jej ręki. Tygodnik „Newsweek" (należący podobnie jak Onet do wydawnictwa Ringier Axel Springer Polska) poświęcił nawet Aleksandrze Dulkiewicz okładkę, reklamując ją sloganem: „Współpracownicy nazywają ją Panią Premier. Kim jest kobieta, której tak bardzo boi się PiS?".

Medialne promowanie Dulkiewicz skończyło się jednak wpadką. Jak ujawniła „Gazeta Gdańska", za usługę wywiadu z Dulkiewicz i publikacji Urząd Miasta Gdańska zapłacił koncernowi Ringier Axel Springer Polska, wydawcy „Newsweeka", „Faktu" i Onetu, 49,2 tys. zł. Zaczęto wytykać Dulkiewicz, że za pieniądze podatników kreuje swój wizerunek i prowadzi polityczną kampanię.

– Pani Dulkiewicz weszła na drogę do profesjonalnej polityki i szybko przekonała się, że droga od roli de facto urzędnika do polityki krajowej, gdy jest się całą dobę obserwowanym przez opinię publiczną, jest bardzo trudna. Trudniejsza, niż myśleli zwolennicy nowej prezydent Gdańska – ocenia w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Rafał Chwedoruk, politolog z UW.

– Drobne wpadki pani prezydent to lapsusy, które każdemu na początku drogi politycznej się zdarzają. To efekt pewnego braku politycznego doświadczenia Oli, bez większego znaczenia dla jej kariery – przekonuje poseł Jerzy Borowczak (PO), przyjaciel rodziny Dulkiewiczów.

KARIERA „CIENIA"

Aleksandra Dulkiewicz jeszcze kilka miesięcy temu należała do osób, które poza pracownikami gdańskiego magistratu niewielu rozpoznawało, i to nie tylko w polityce krajowej, lecz także lokalnej. Wśród ludzi związanych z urzędem za czasów śp. Pawła Adamowicza uchodzi za cień zamordowanego prezydenta. – Słyszę dzisiaj różne opinie na jej temat ludzi, którzy mówią, że ją znali. Mam wrażenie, że są mocno naciągane. Cała zabawa polega na tym, że prawie nikt jej nie zna – mówi nam jeden z byłych gdańskich samorządowców Platformy Obywatelskiej. – Ona całe swoje zawodowe życie była w cieniu Pawła, miała bardzo niewiele swoich wypowiedzi, wystąpień. W polityce pojawiła się nagle.

To „nagle" to tragiczna śmierć Pawła Adamowicza. Dulkiewicz była w jego gabinecie wiceprezydentem do spraw polityki gospodarczej. Jej najsilniejsze zaplecze polityczne to aktywiści stowarzyszenia Wszystko dla Gdańska, założonego przez samego Adamowicza po tym, gdy zrobiło się głośno o nieprawidłowościach związanych z jego mieniem i Platforma odmówiła mu swojego wyborczego poparcia.

Kariera Dulkiewicz także związana jest z Platformą. W latach 2010 i 2014 uzyskiwała mandat radnej Gdańska z ramienia PO, a w 2014 r. została szefową jej klubu radnych. Dopiero w wyborach w 2018 r. wystartowała z ramienia komitetu Wszystko dla Gdańska, uzyskując reelekcję. Aktywistą tego samego stowarzyszenia jest Paweł Grzelak, wiceprezydent Gdańska. Były szef kampanii wyborczej obecnej prezydent Gdańska jest jedną z osób, z których zdaniem Dulkiewicz się liczy. O samym Grzelaku zrobiło się głośno, gdy podczas uroczystości w 74. rocznicę zakończenia II wojny światowej wypalił: „Na początku było słowo, złe słowo. Słowo jednego przeciwko drugiemu. I to złe słowo było Polaka przeciwko innemu narodowi".

Wśród ludzi, którzy mają wpływ na działania Dulkiewicz, są także Jacek Karnowski, prezydent Sopotu; Alan Aleksandrowicz, wiceprezydent Gdańska znający się z nią jeszcze z czasów wspólnej pracy w biurze zarządu Gdańskiej Agencji Rozwoju Gospodarczego, i wreszcie były premier Donald Tusk.

– Nie sądzę, by ktoś nią sterował – mówi „Do Rzeczy" poseł Borowczak. – Znam ją od dziecka, śledziłem jej karierę, widziałem, jaka była aktywna w samorządzie studenckim, organizowała wtedy spotkania ze mną z Tuskiem, z działaczami opozycji lat 70., nawet Adasia Michnika ściągnęła do Gdańska. Osoba z inicjatywą.

Wśród polityków Platformy Obywatelskiej nie brakuje jednak tych, którzy twierdzą, że to właśnie nierozpoznawalność i brak własnego zaplecza otworzyły jej drogę do polityki. – Gdy rozmawiam z kolegami z Trójmiasta, mam wrażenie, że było to tak: reprezentowała środowisko Tuska, Agnieszka Pomaska była przekonana, iż Dulkiewicz jest tak nijaka, że nie będzie stanowić dla niej żadnego zagrożenia. Jarosław Wałęsa też się nią specjalnie nie przejmował, Adamowiczowie byli zadowoleni, że jest następczynią Pawła, dla Karnowskiego była OK, więc na drodze konsensusu została wylansowana na twarz naszej kampanii w mieście – mówi nam jeden z posłów Platformy. Uważa, że prezydent Gdańska zaskoczyła dotychczasowych mentorów. – Skutecznie przejęła narrację Pawła oraz całej jego grupy i ma spore apetyty – dodaje nasz rozmówca.

Podobną narrację dotyczącą „ścieżki kariery" obecnej prezydent Gdańska słychać też w tamtejszym PiS. Tyle że tam twierdzą, iż była ona „błędem" ich własnej partii. – Trzeba było powołać komisarza po śmierci Adamowicza. Było przekonanie, że trzeba wziąć kogoś nieumaczanego w bagienko polityki w Gdańsku, kogoś, co prawda, ze środowiska PO, ale na tyle niezależnego, by sytuację można było uspokoić – opowiada pomorski polityk PiS. – Wybrano właśnie Dulkiewicz, bo do tej pory nie była twarzą politycznej wojny w mieście. Wszyscy u nas myśleli, że będzie chciała współpracować, rozmawiać, że będzie uległa. I się przejechano, bo u Adamowicza nie było uległych ludzi.

NA WOJNIE Z PIS

Jak będzie wyglądał „polityczny pokój" w Gdańsku, okazało się już podczas pogrzebu prezydenta Pawła Adamowicza. Uczestniczący w uroczystej mszy świętej w bazylice Mariackiej w Gdańsku przedstawiciele władz państwowych, w tym premier Mateusz Morawiecki i prezydent Andrzej Duda, zostali umieszczeni w tylnych rzędach.

eprasa.pl c850b8daf1

Gości z zagranicy, m.in. burmistrza Londynu, Dulkiewicz nazwała niedawno „egzotycznymi" FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

Później wybuchła polityczna wojna między Dulkiewicz a wicepremierem Piotrem Glińskim o to, kto będzie miał wpływ na Europejskie Centrum Solidarności, a ośrodek, kierowany przez ludzi bliskich Dulkiewicz i lokalnej Platformie, stał się ważnym ośrodkiem propagandy „anty-PiS" na Pomorzu. Zarzewiem poważnego konfliktu stał się też spór o to, kto powinien zajmować się zaniedbanym obecnie miejscem pamięci narodowej, którym jest Westerplatte, i organizować tam uroczystości związane z rocznicami wybuchu II wojny światowej. Musiało się oprzeć na Sejmie, który przyjął specustawę – na jej mocy rząd przejął teren byłej placówki wojskowej.

– Mam nadzieję, że ci, którzy biorą odpowiedzialność za swoje decyzje, wezmą odpowiedzialność za to, jak niszczą polską wspólnotę – komentowała wówczas oburzona prezydent Gdańska.

Wcześniej, w lipcu, Dulkiewicz zasugerowała, że wzrastająca liczba samobójstw wśród młodzieży szkolnej to wina PiS i realizowanej przez rząd Morawieckiego reformy oświatowej.

– Wojenka z PiS, której Dulkiewicz chce być forpocztą, ma oblicza krajowe i lokalne. Przykłady? Sekretarz miasta na polecenie pani prezydent wydał zalecenie, które de facto blokuje radnym PiS możliwość przeprowadzenia doraźnej kontroli działalności miejskich instytucji czy spółek, do czego jako radni mamy prawo – opowiada nam jeden z gdańskich radnych. – Teraz trzeba wypełniać formularz i czekać na odpowiedź w trybie dostępu do informacji publicznej, czy w ogóle dostaniemy dostęp do dokumentów.

Wojna Dulkiewicz z PiS często kończy się dla niej politycznymi kompromitacjami. Kiedy Prawo i Sprawiedliwość ostro krytykowało przyjmowanie przez niektóre samorządy deklaracji LGBT+ i prowadzenie w szkołach zajęć promujących ideologię LGBT, Aleksandra Dulkiewicz wzięła udział w gdańskim Marszu Równości LGBT. „Jestem dumna i zaszczycona, że mogłam otworzyć i uczestniczyć w V Trójmiejskim Marszu Równości. Gdańsk nie boi się różnorodności" – komentowała na Twitterze. Tyle że w trakcie marszu niedaleko od idącej prezydent Gdańska szły aktywistki z grupy kobiet Dziewuchy Dziewuchom przebrane za Matki Boskie z tęczowymi aureolami na głowach, niosąc ze sobą transparent przedstawiający sprofanowany Przenajświętszy Sakrament (miał kształt waginy w koronie). Dopiero pod wpływem mocno krytycznych głosów opinii publicznej, zarzucających Dulkiewicz brak reakcji na znieważanie katolików, wydała oświadczenie, w którym odcięła się od incydentu.

Gdy rząd ogłosił, że uroczyste obchody rocznicy wybuchu II wojny światowej odbędą się w stolicy, Dulkiewicz postanowiła zorganizować własne w Gdańsku. W trakcie konferencji prasowej dotyczącej rocznicy strasznej tragedii zaprosiła do... wspólnego świętowania. A na oficjalnym portalu www.gdansk.pl uroczystość przedstawiano tak: „Radosny pochód, który rozpocznie się nieopodal Teatru Szekspirowskiego. Stamtąd uczestnicy marszu przejdą pod Bramę Zieloną, gdzie zaplanowano koncert, tańce i wspólne świętowanie".

Obchody rocznicy wybuchu II wojny światowej na Westerplatte stały się dla Dulkiewicz polem bitewnym. I znów zaliczyła kompromitację. Rocznicę wykorzystała do ataków na PiS. Stwierdziła w wystąpieniu, że każda wojna jest zła, zarówno ta „państwa z państwem", jak i ta „rządzących ze społeczeństwem". – Tam, gdzie zaczyna brakować praw i tłumi się wolność, tam prędzej czy później pojawia się przemoc w życiu publicznym – mówiła.

– Jest mi przykro, gdy patrzę na to, co się dzieje z Aleksandrą Dulkiewicz – mówi „Do Rzeczy" Kacper Płażyński, gdański radny PiS. – Myślę, że dała się po prostu oszukać swoim politycznym patronom z Sopotu, a więc Tuskowi i Karnowskiemu, którzy udawali, że namaszczają ją na liderkę, a tak naprawdę wpychali ją w rolę harcowniczki.

Największą wpadkę Dulkiewicz zaliczyła podczas niedawnej debaty w Europejskim Centrum Solidarności w Gdańsku, kiedy to, zwracając się do ciemnoskórych: burmistrza Londynu Sadiqa Khana oraz sekretarz stanu landu Berlin Sawsan Chebli, nazwała ich „egzotycznymi gośćmi".

Zachowanie prezydent Gdańska zirytowało nawet aktywistów środowisk opozycyjnych i przychylnych jej dziennikarzy.

Z kolei w ubiegłym tygodniu dziennikarz śledczy TVP Daniel Liszkiewicz ujawnił, że miasto Gdańsk zapłaciło 42 tys. zł firmie należącej do żony Wojciecha Stybora, prywatnie kolegi Aleksandry Dulkiewicz, który wspierał ją w kampanii wyborczej, za spot „Gdańsk bez plastiku". Internauci zwrócili uwagę, że produkcja sprawia wrażenie amatorskiej, a koszty jej realizacji mogą być zawyżone.

NADZIEJE SCZEZŁY

Wiele wskazuje, że częste wpadki połączone z polityczną nadaktywnością zniechęciły do prezydent Gdańska wpływowych polityków PO. W dodatku Grzegorz Schetyna doskonale zdaje sobie sprawę, że buduje ona grupę lojalną nie wobec niego, ale w stosunku do Donalda Tuska. – Apetyty ma większe niż umiejętności – ocenia Dulkiewicz jeden z polityków PO z frakcji Grzegorza Schetyny. – W wywiadach mówi, że nie chce być premierem, prezydentem, że nie chce, by ją tak nazywać, a do nas docierają sygnały, iż uwierzyła w medialną narrację, jakoby miała zmierzyć się z Dudą. Niech mierzy siły na zamiary. Zdaniem naszych informatorów lokalni działacze PO obawiają się, że promocja Dulkiewicz zaczęła zagrażać ich własnym wpływom w regionie. – Cieszy się tylko grupa Pawła, która od wyborów w 2018 r., gdy nie poparliśmy Adamowicza, dba o własne interesy – mówi nam pomorski polityk PO.

– Duża część opozycji, zwłaszcza środowisko wciąż wierzące w Donalda Tuska, miała nadzieję, że jest droga na skróty do zbawienia i być może pojawi się osoba będąca swoistą reinkarnacją Tuska, która nada opozycji nową twarz, a dzięki temu Platforma, zwłaszcza jej liberalny trzon, stanie się równorzędnym przeciwnikiem dla PiS – ocenia prof. Rafał Chwedoruk, politolog. Ekspert wskazuje, że te oczekiwania różnych opozycyjnych środowisk skutkowały gwałtownymi medialnymi karierami Mateusza Kijowskiego, Ryszarda Petru, Władysława Kosiniaka-Kamysza czy Joanny Scheuring-Wielgus. – Bardzo szybko okazywało się w każdym z tych przypadków, że problemów jest wiele i te osoby nie mają zbyt wielkich predyspozycji do roli profesjonalnego polityka, lidera opozycji. Nadzieje dotyczące pani Dulkiewicz sczezły jeszcze szybciej niż w przypadku poprzedników – mówi prof. Chwedoruk.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Oblackie Centrum Edukacji i Kultury otwarte

Oblackie Centrum Edukacji i Kultury

Oblate Centre of Culture and Education is opened

Herbaciarnia w piwnicy dawnego kapitularza

Przebudowa obiektu klasztornego przy ul. Elżbietańskiej 9 w Gdańsku dobiegła końca. Czas wpuścić nowe życie w stare mury. Rusza oferta edukacyjno-kulturalna tego wyjątkowego miejsca.

Turysto, Amatorze Kultury, Podróżniku, Aktywny i Ciekawy Świata Człowieku! – do takiego odbiorcy kierują swoje zaproszenie Misjonarze Oblaci MN. Po kilku latach prac rewitalizacyjnych w kompleksie kościelnym pw. św. Józefa zrealizowano najważniejsze cele: poddano obiekt konserwacji, odrestaurowano go i wyremontowano; zabezpieczono obiekty ruchome przed kradzieżą i zniszczeniem; przystosowano kompleks do potrzeb osób z niepełnosprawnościami oraz zaadaptowano i wyposażono miejsce do działalności kulturalnej i edukacyjnej. To właśnie ta działalność będzie teraz najistotniejsza z punktu widzenia projektu.
Celem zadania realizowanego z dotacji Programu Operacyjnego Infrastruktura i Środowisko 2014-2020 jest udostępnienie miejsca na nowo, ze świeżą funkcjonalnością i bogatym programem dla odbiorców. W tym celu już w 2017 r. ruszył portal www. elzbietanska.pl informujący o postępach w pracach i ciekawych inicjatywach w przyszłości. W ofercie m.in. cykliczne koncerty muzyczne, warsztaty taneczne, muzyczne lub teatralne dla młodzieży i dorosłych, przeglądy, prelekcje i wystawy, „kulturalne wieczory we dwoje", debaty i spotkania autorskie twórców literatury współczesnej oraz zaproszonych gości, a także Inkubator Kultury dla młodych artystów. Nie zabraknie też udostępnienia przestrzeni sprzyjającej wyciszeniu i medytacji oraz możliwości zwiedzania.
Praca misjonarzy oblatów koncentruje się wokół najuboższych, zapraszają więc oni każdego, bez jakichkolwiek barier finansowych czy społecznych.

Krzysztof Zieliński

A refurbishment of the monastery complex at 9 Elżbietańska Street in Gdańsk has finished. It's high time to revive the old structure. A cultural and educational offer of this exceptional place is on the rise.

Tourist, Culture Amateur, Traveller, Active Man with Curiosity of the World at Heart, you are most welcome by the Missionary Oblates of Mary Immaculate! After a couple of years of restoration of the monastery complex dedicated to saint Joseph most important goals have been achieved: a maintenance of the object has been performed, the movables have been secured, refurbishment and renovation have completed also taking into account the needs of persons with disabilities, the place has been adapted and equipped for the purpose of cultural and educational activity. The latter will prove to be the most significant from the point of view of the project.
The aim of the undertaking carried out thanks to the subsidy from the Operational Programme Infrastructure and Environment 2014–2020 is to make the monastery complex available again for the recipients, with its fresh functionality and abundant programme. Already in 2017 a portal www. elzbietanska.pl was launched to inform about the refurbishment progress and interesting future initiatives. Among other things, the offer includes cyclical music concerts, dance, music and theatre workshops both for kids and adults, overviews, lectures and exhibitions, 'cultural evenings for two', debates and meetings with authors of modern literature as well as other invited guests in addition to Culture Incubator for young artists.
A space inclining towards tranquillity and meditation, as well as a possibility of sightseeing won't be at scarce, either.
The oblates focus on the underprivileged, hence they invite anyone willing to visit the monastery complex, with neither financial nor social barriers.

Krzysztof Zieliński

POIS.08.01.00-00-1036/16-00 pn. „Zachowanie i udostępnienie zabytku o wyjątkowej wartości artystycznej – zespołu klasztornego pw. św. Józefa w Gdańsku – poprzez prace konserwatorskie i renowację"

Fundusze Europejskie Infrastruktura i Środowisko

Unia Europejska Europejski Fundusz Rozwoju Regionalnego

eprasa.pl c850b8daf1

Rafał A. Ziemkiewicz

Kłopotliwe nadzieje opozycji

Ze wszystkich kandydatur, które mogła wysunąć Koalicja Obywatelska, wskazanie Małgorzaty Kidawy-Błońskiej na potencjalnego premiera jest stosunkowo najmniej złe. Po stronie „totalnej opozycji" nie ma dobrych liderów

Opozycja powinna zrobić to samo co PiS w roku 2015: Grzegorz Schetyna i inni liderzy budzący negatywne odczucia elektoratu powinni się schować, a na front trzeba wystawić kogoś nowego – doradzają specjaliści od marketingu i komentatorzy. Jednak to czcza gadanina i to nawet nie dlatego, że szef PO, słysząc od ekspertów, że jest zbyt agresywny, miał ponoć „wpaść w szał". Opozycja po prostu nie ma „swojego Dudy" i „swojej Szydło". I raczej nie będzie ich mieć, bo od lat kolejne próby znalezienia przez anty-PiS nowych frontmanów kończą się blamażem, i to za każdym razem coraz większym.

PiS, doskonale zdając sobie sprawę z niepopularności Schetyny, próbował zmusić go, żeby zadeklarował się jasno jako kandydat opozycji na premiera. Schetyna wcześniej takie deklaracje składał kilkakrotnie, jest zresztą „premierem" wciąż istniejącego (choć kto o tym pamięta?) „gabinetu cieni" PO. Ogłoszenie kandydatką na premiera Małgorzaty Kidawy-Błońskiej odebrano więc jako unik, a samą kandydaturę polityk znanej od lat, ale z niczego szczególnego, jako mało porywającą. Bardziej niż z Beatą Szydło, „lokomotywą" kampanii PiS w 2015 r. skojarzyła się ona z Hanną Suchocką, wyciągniętą kiedyś z tylnych szeregów Unii Demokratycznej wobec wzajemnego zablokowania się wszystkich uczestników skomplikowanego układu koalicyjnego.

Mimo wszystko większość komentatorów zgodziła się, że to i tak kandydatura stosunkowo najmniej zła. Bo kogóż innego mogłaby wskazać opozycja jako swego kandydata czy kandydatkę na premiera?

PLATFORMERSKI OUTSOURCING

Zapewne jeszcze rok czy nawet pół roku temu by się domagano, aby był to Rafał Trzaskowski. Do niedawna uchodził on za naturalnego następcę Schetyny (a właściwie Tuska) i widziano w nim same zalety – młody, wykształcony, medialny, obyty w Europie… Ale to przeszłość. Prezydentura Warszawy pokazała Trzaskowskiego jako polityka nieporadnego, pozbawionego wyczucia i przez to łatwego do ośmieszania i dyskredytowania. A na dodatek niekonsekwentnego. Tuż przed wyborami europejskimi zaskoczył swą partię ogłoszeniem „karty LGBT", która zirytowała i zmobilizowała przeciwko PO elektorat prawicowy. Teraz, przed kolejnymi wyborami, z jej obietnic się nagle wycofał, co bynajmniej nie przywróciło opozycji poparcia zachowawczego obyczajowo wyborcy centrowego, ale za to rozjuszyło zwolenników lewicy i dało mocne argumenty starającej się odciągnąć ich od PO koalicji SLD, Wiosny i Razem. Nawet pomijając już wszystkie „strefy relaksu" i różne przejawy nieudolności, z kryzysem ściekowym na czele, ta jedna operacja pokazuje, jak bardzo typowanie go na „wschodzącą nadzieję" opozycji było chybione.

Problem PO z kandydatami do przywództwa ujawnił się dramatycznie już w momencie nieoczekiwanej ucieczki do Brukseli Donalda Tuska. Pozostawienie przez niego na kluczowych stanowiskach Ewy Kopacz i Bronisława Komorowskiego było początkiem końca potężnej wówczas formacji. Ale było to również logicznym skutkiem wieloletniej polityki Tuska, który, nastawiony wyłącznie na swój osobisty sukces, bezlitośnie tępił w swojej partii jakikolwiek przejaw wybitności. Zamiast tworzyć mechanizmy awansu i selekcji wewnątrz partii, wolał w razie potrzeby stosować „outsourcing", przyciągając stanowiskami i apanażami znane nazwiska z innych partii – zarówno z PiS, jak i lewicy.

Skutki boleśnie obnażył grudniowy „ciamajdan" w roku 2016, kiedy to ujawnił się poziom platformerskiej „młodzieży". Trudno doprawdy wyobrazić sobie wyborcy, żeby z politycznych zadymiarzy i hejterów pokroju Michała Szczerby, Sławomira Nitrasa albo Kingi Gajewskiej mógł wyrosnąć ktoś dający się poważnie traktować.

Metoda „outsourcingu" jest jednak w PO stosowana nadal – z braku innej. Tyle że partia więdnąca w opozycji nie przyciąga już osób, które mogą porwać wyborców, a raczej – nikogo nie obrażając – zbiera polityczne „spady". Opieranie list wyborczych na ludziach, których wylano z konkurencji, raczej nie wzbudza szacunku i nie rokuje sukcesu – a już na pewno nie jest sposobem na znalezienie przywódcy, który tchnąłby w anty-PiS jakąś nową energię. Opowieści zaś, że do

eprasa.pl c850b8daf1

Jedną z wielkich nadziei Salonu był „nowy Wałęsa", przywódca „ludowy" – Mateusz Kijowski, organizator Komitetu Obrony Demokracji. Jego kariera nie trwała jednak długo FOT. JAN BIELECKI/EAST NEWS

opozycji wniosą nową jakość samorządowcy, dla zorientowanych od razu były zwykłym bajaniem – nawet zanim jeszcze typowana na „drugiego Tuska" Aleksandra Dulkiewicz okazała się raczej „drugą Kopacz". Już przed laty przykład Rafała Dutkiewicza pokazał, że samorząd i polityka krajowa to dwa różne światy i nawet największe sukcesy w dużym mieście nie przygotowują do kariery ogólnopolskiej ani nie dają w niej handikapu. I że można, tak jak Tadeusz Ferenc, wygrywać raz za razem wybory lokalne, przegrać w parlamentarnych i znowu wygrać w lokalnych.

Zresztą trudno wyobrazić sobie kogoś na tyle nierozsądnego, by chciał dającą realną władzę i wpływy pozycję prezydenta miasta zamienić na mandat poselski czy senatorski.

SPADAJĄCE GWIAZDY

Z wyjałowienia PO lewicowo-liberalny salon, kontrolujący antypisowskie media, zdał sobie sprawę już cztery lata temu, i zresztą początkowo uznał to za okoliczność bardzo dla siebie pomyślną. Nawet Tusk nigdy w gruncie rzeczy nie był jego wyborem – poparcie dla człowieka, który wbił nóż w plecy Bronisławowi Geremkowi i zniszczył ukochane dziecko tego salonu, Unię Wolności, było wymuszone grozą perspektywy rządów PiS, a sławne „Tusku musisz" wycedzone zostało przez zęby. Tym bardziej wcale nie budzili entuzjazmu owego Salonu jego następcy. Przykrą skądinąd dla Salonu okoliczność, którą było zdobycie władzy przez PiS (Salon bardzo długo wierzył, że tylko na chwilę, tak jak w 2005 r.), uznano tam za okazję, by wykreować nowych liderów – neoliberalnych w podtrzymywania „kapitalizmu politycznego" ustanowionego w Magdalence i zarazem wyraziście lewicowych, zapaterystowskich w kwestiach obyczajowych. Takich jak Janusz Palikot, o którym swego czasu „Gazeta Wyborcza" pisała w zachwycie: „Udał nam się".

Palikot wprawdzie był już w tym momencie politykiem zgranym i przegranym, ale jego wersją poprawioną miał być Ryszard Petru, polecony przez samego Leszka Balcerowicza. Podobnie jak Palikot zdobył popularność jako technokrata, pragmatyk i człowiek od biznesu i podobnie jak on okazał się potem szermierzem lewackiej rewolucji obyczajowej. Z tą różnicą, że o ile Palikot utrzymał się na powierzchni przez kilka lat, o tyle Petru okazał się meteorem – medialne peany dla „przyszłego premiera", „polskiego Kennedy'ego" i festiwal zaproszeń do programów telewizyjnych zawróciły mu w głowie tak mocno, że dość szybko stał się dla wyborców „człowiekiem memem", by nie rzec – pośmiewiskiem. Nieszczęsna wyprawa z nieślubną przyjaciółką na Maderę w samym środku ogłoszonej z emfazą antypisowskiej rewolucji, a potem wyrzucenie z własnej partii przez „babski spisek" tylko dopełniły nieuchronnego upadku.

Drugą wielką nadzieją Salonu był „nowy Wałęsa", przywódca „ludowy" – Mateusz Kijowski, organizator Komitetu Obrony Demokracji. Jego równie przypominająca rozbłysk meteoru i równie napompowana przez media kariera to ciekawy dla powieściopisarzy przypadek współczesnego Dyzmy. Kijowski, typowy narcyz, już wcześniej szukający rozgłosu w różnych lewicowych akcjach w rodzaju przebierania się w spódniczki w proteście przeciwko „kulturze gwałtu", tak idealnie trafił w oczekiwania Salonu, że nikt tam nawet nie pomyślał o bliższym przyjrzeniu mu się, zanim zostanie wykreowany na międzynarodową gwiazdę. Chociaż o jego kłopotach z alimentami i fakturami naprawdę łatwo było się dowiedzieć, a niestabilność emocjonalną pokazywały już pierwsze wywiady.

DEFICYT ROZUMU

Wielu historyków głosi tezę, że gdy pojawia się autentyczne zapotrzebowanie „mas" na przywódcę, to przywódca się znajduje – choć czasem po latach się okazuje, że został dowieziony przez służby w odpowiednie miejsce motorówką. Czteroletnie pasmo nadziei i rozczarowań „totalnej opozycji" dowodzi, że albo ta zasada jest fałszywa, albo zapotrzebowanie na przywódcę „antypisu" nie jest autentyczne.

A może – że po prostu po stronie „totalnej opozycji" nie ma żadnych ludzi mądrych? Może dlatego właśnie nie może znaleźć lepszych przywódców niż pajacujący celebryci typu Kijowskiego czy Biedronia albo fanatycy w rodzaju Kasprzaka i Podleśnej, lepszych ekspertów niż Andrzej Rzońca (kolejne odkrycie prof. Balcerowicza), który zapowiadał 100 mld zł deficytu do końca 2017 r., czy wypromowany przez Tuska Jażdżewski i lepiej rokującej politycznej młodzieży niż Kinga Gajewska i Klaudia Jachira? Bo po prostu cechą niezbywalną nienawiści do „tej drugiej Polski, ciemnej i ksenofobicznej" (określenie reżysera Pawlikowskiego) jest… hm, mówiąc uprzejmie, deficyt rozumu – nie wspominając już innych cnót.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. DAREK GOLIK/FORUM

Z Adamem Bielanem, europosłem PiS
rozmawia Maciej Pieczyński

Schetyna ucieka przed Kaczyńskim

MACIEJ PIECZYŃSKI: „Huragan Dorian jest tak wielki i potężny, że jego skutki odczuwają dwa kraje, które dzieli od siebie ponad 8 tys. km" – zażartował jeden z twitterowiczów. Jednak chyba coś w tym jest?

ADAM BIELAN: Oczywiście, przyjazd prezydenta Trumpa na obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej zwiększyłby zasięg relacji medialnych z tego bardzo dla nas ważnego wydarzenia. Nie mamy jednak wpływu na pogodę. Drwiny z huraganu są bardzo nie na miejscu.

Część komentatorów sugeruje jednak, że Dorian był dobrym pretekstem do odwołania wizyty. Zresztą amerykański prezydent w dniu obchodów nie tylko czuwał nad bezpieczeństwem mieszkańców Florydy, lecz także umilał sobie czas grą w golfa.

Jeśli ktoś uważa, że huragan nie był jedynym powodem odwołania wizyty Trumpa, to znaczy, że nie ma zielonego pojęcia o amerykańskiej scenie politycznej. Prezydent USA nie pełni jedynie roli reprezentacyjnej, lecz także stoi na czele egzekutywy. Dlatego musi być w kraju nie tylko po to, by dodawać otuchy mieszkańcom, lecz po to, by nadzorować prace służb. Nie ma nic złego w tym, że w chwili przerwy, w niedzielę, zagra w golfa – jest przecież znanym miłośnikiem tego sportu. Wizyta w Polsce była dopięta na ostatni guzik, została jedynie przełożona. Trump od początku kadencji ani razu nie odwiedził tak ważnego dla polityki USA kraju, którym jest Meksyk. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, to jeszcze w tym roku, po raz drugi od momentu objęcia urzędu, odwiedzi Polskę. Już sam ten fakt świadczy, jak ważne są dla Waszyngtonu relacje z Warszawą. Relacje polsko-amerykańskie nigdy nie były tak dobre. Oczywiście są pewne środowiska, które uważają, że im gorzej dla rządu, tym lepiej dla nich. USA to gwarant naszego bezpieczeństwa, dlatego każdy, kto aktywnie działa na rzecz pogorszenia relacji Warszawy z Waszyngtonem – a mam tu na myśli takie inicjatywy jak nieszczęsny list byłych już na szczęście ambasadorów do Trumpa – postępuje wbrew polskiej racji stanu.

Z czysto wizerunkowego względu pan, jako doświadczony spin doctor, a także jako jeden z organizatorów pierwszej wizyty Trumpa w Polsce, zapewne bardzo żałuje, że nie da się wykorzystać wizyty prezydenta USA w kampanii wyborczej.

Ze względu na wagę tego wydarzenia dla naszej polityki historycznej już dwa lata temu proponowałem, by na 80. rocznicę wybuchu II wojny światowej zaprosić prezydenta USA. Wydawało się to wtedy bardzo mało realne. Donald Trump niechętnie podróżuje za granicę, a nasz kraj odwiedził przecież już w 2017 r. Chociaż Biały Dom takie wizyty potwierdza z jednomiesięcznym wyprzedzeniem, to mogę zdradzić, że przyjazd do Polski znalazł się w kalendarzu amerykańskiego prezydenta już na początku tego roku. Pomimo nieobecności prezydenta USA obchody miały spory rozmach.

Wystąpił za to wiceprezydent Mike Pence. Albo raczej wielebny Mike Pence – „Bóg" w jego przemówieniu pojawiał się tak często, że w uszach lewicowo-liberalnych liderów opinii zachodnioeuropejskiej z pewnością budziło to konsternację.

Mike Pence jest przedstawicielem konserwatywnego skrzydła Partii Republikańskiej. Takie słowa musiały zdziwić wielu Polaków, zwolenników opcji liberalnej, którym przez lata wmawiano, że to wstyd mówić głośno o swoich przekonaniach religijnych. Jednak każdy, kto zna politykę amerykańską, wie, że zarówno republikanie, jak i demokraci często publicznie nawiązują do swojej wiary.

A może cichym bohaterem obchodów był prezydent Niemiec? Tak dużo mówi się o antypolonizmie, o próbach zrzucenia win za zbrodnie Hitlera albo na pozbawionych narodowości nazistów, albo wręcz na Polaków... Tymczasem Frank-Walter Steinmeier powiedział w Warszawie wprost: „Ta wojna była zbrodnią niemiecką [...]. Nie zapomnimy ran, które Niemcy zadali Polakom".

Cieszą mnie słowa prezydenta Steinmeiera. Zresztą akurat niemieccy socjaldemokraci nigdy nie mieli problemów z wyznawaniem historycznych win. Jednak za słowami powinny pójść czyny...

... czyli wypłata reparacji. Na razie nie widać na to szans, więc może lepiej cieszyć się tym, co mamy – słowa prezydenta Niemiec, niezależnie od opcji

eprasa.pl c850b8daf1

politycznej, którą reprezentuje, mogą być skuteczną bronią w wojnie na symbole, w walce o prawdę historyczną.

Nawet niemieccy historycy ubolewają, że ich rodacy tak naprawdę niewiele wiedzą o tym, co się wydarzyło 1 września 1939 r. Często nie mają świadomości, jaka była skala zbrodni popełnionych przez III Rzeszę. Trwa spór prawny o to, czy możemy się wycofać z decyzji Bieruta o rezygnacji z reparacji. Niezależnie od jego rozwiązania moralna racja leży po naszej stronie.

Gwiazdą obchodów była też Aleksandra Dulkiewicz, ważna postać anty-PiS. „Każda wojna, także rządzących ze społeczeństwem, jest zła" – powiedziała prezydent Gdańska na Westerplatte. Pochwalił ją za to Tomasz Lis…

To już kolejna fatalna, zakłamująca historię wypowiedź przedstawiciela władz Gdańska. Przypomnę, że zastępca pani Dulkiewicz zasłynął jakiś czas temu stwierdzeniem, że do wojny doprowadziła mowa nienawiści Polaków pod adresem Niemców. Włos mu z głowy za to nie spadł. Rozumiem więc, że pod tymi słowami pani Dulkiewicz się podpisuje. Władze Gdańska, zafałszowując historię i wykorzystując ją do bieżącej walki politycznej, działają wbrew polskiej racji stanu. Media, które lansują panią prezydent na lidera anty-PiS, chyba kompletnie już utraciły kontakt z rzeczywistością. To objaw jakichś autodestrukcyjnych tendencji. Ktoś, kto kwestionuje podstawowe fakty historyczne, zostanie z pewnością odrzucony przez większość Polaków. Oczywiście, zgodnie z diagnozą Jarosława Kaczyńskiego, część opozycji i jej zwolenników cierpi na oikofobię. To jednak absolutna mniejszość.

Na gdańskie obchody zaprosiła Fransa Timmermansa oraz burmistrza Londynu Sadiqa Khana, którego nazwała „egzotycznym" gościem. Niby zwykła wpadka, ale strach pomyśleć, jak byłaby interpretowana, gdyby przydarzyła się politykowi PiS…

Wówczas medialni treserzy pani Dulkiewicz, którzy dziś ją usprawiedliwiają, wyraziliby święte oburzenie. Niezależnie jednak od tego, kto tę wpadkę zaliczył, lepiej jej nie nagłaśniać, bo jeszcze podchwycą ją zagraniczne media i będziemy mieć problemy.

Firma, której Grzegorz Schetyna zlecił budowę nowej strategii kampanijnej, poradziła liderowi Koalicji Obywatelskiej… by usunął się w cień, bo „wzbudza ogromną nieufność własnego elektoratu". Myśli pan, że właśnie dlatego kandydatem KO na premiera jest Małgorzata Kidawa-Błońska? Skąd w ogóle ten wybór? Jakie zalety ma pani marszałek?

W ostatnich tygodniach każdy kto uważnie przygląda się naszej scenie politycznej otrzymał co najmniej dwa wyraźnie sygnały, że Grzegorz Schetyna przestał wierzyć w zwycięstwo wyborcze i przejęcie władzy w Polsce, a skupia się teraz na utrzymaniu pozycji w swojej partii po porażce wyborczej. Pierwszym była formuła startu i kształt list wyborczych PO. Przy ich ustalaniu nie liczyła się osobista popularność polityków i ich pozycja w regionie, a jedynie lojalność wobec Schetyny. Tak postępuje lider, który jest niepewny swojej pozycji. Drugim sygnałem było wysunięcie pani Kidawy-Błońskiej. Decyzja całkowicie unieważniająca pomysł gabinetu cieni, na którego czele stał przecież Schetyna i w który PO bardzo dużo zainwestowała przez ostatnie lata. Schetyna wie, że za dwa miesiące padną w jego ugrupowaniu pytania o skuteczność lidera, i przygotowuje sobie wygodną wymówkę: „Przecież to nie ja kandydowałem na urząd premiera, rozliczajcie Kidawę-Błońską". Dodatkowo unika prestiżowej porażki w Warszawie z Jarosławem Kaczyńskim.

Kiedy usłyszał pan o aferze w Ministerstwie Sprawiedliwości, zwątpił pan w wyborcze zwycięstwo Zjednoczonej Prawicy?

Od wielu miesięcy wiedzieliśmy, że w kampanii, której stawką jest druga kadencja rządów „dobrej zmiany" w Polsce, nasi przeciwnicy będą walczyć za pomocą rozmaitych haków…

Jednak w tym przypadku to wasi ludzie zbierali haki na przeciwników. A konkretnie: na nieprzychylnych wam sędziów. Wyborcy PiS nie przepadają za „nadzwyczajną kastą", ale jednak szukanie kompromatów źle się kojarzy.

Nie znam sędziów zamieszanych w tę aferę. Pana Piebiaka widziałem dwa–trzy razy w Senacie. On nie jest politykiem, ale sędzią. Pracował, co prawda, nad reformą przygotowywaną przez Ministerstwo Sprawiedliwości, nie jest jednak przedstawicielem naszego obozu politycznego w ścisłym sensie tego słowa.

A może cała afera dotyczy właśnie porachunków wewnątrz środowiska sędziowskiego i tylko potwierdza diagnozę Zbigniewa Ziobry, że jest to środowisko zdemoralizowane?

Byłem zaskoczony tą aferą. Uważam tego typu metody za niemoralne, nieetyczne, ale też zwyczajnie głupie. Podjęte zostały jednak właściwe decyzje personalne. Tym się właśnie różnimy od naszych konkurentów, że nie zamiatamy takich spraw pod dywan. Do szeroko pojętego obozu Zjednoczonej Prawicy można zaliczyć kilkanaście tysięcy osób. W tak dużej grupie zawsze znajdzie się ktoś, kto popełni błąd. Po pierwsze jednak, skala tych błędów jest o wiele mniejsza niż w przypadku Platformy, a po drugie – my w podobnych sytuacjach reagujemy błyskawicznie. Za rządów PO-PSL aferzyści tracili stołki tylko wówczas, kiedy było to na rękę Tuskowi. Ówczesny premier nie tyle dymisjonował skompromitowanych ministrów, co pozbywał się konkurentów w walce o władzę.

Czy zanieczyszczona ściekami Wisła „podtopi", czy może nawet „zatopi" opozycję? Uda wam się przeforsować narrację o katastrofie ekologicznej, zawinionej przez Rafała Trzaskowskiego?

To z pewnością bardzo mocny cios wizerunkowy dla PO. Działacze tej partii przez wiele lat wmawiali Polakom, że potrafią skutecznie rządzić. Może nie zawsze uczciwie, może nie do końca ideowo, ale przynajmniej skutecznie. Jednak prawica rozprawiła się z tym mitem. Przez cztery lata naszych rządów udowodniliśmy, że Platforma zwyczajnie nie potrafiła zarządzać naszym krajem. Polacy stracili miliardy złotych poprzez lukę VAT-owską, aferę paliwową, przez gospodarczą nieudolność koalicji PO-PSL… A teraz jeszcze się okazuje, że nie potrafią zadbać nawet o ekologię, która przecież jest tak istotna dla środowisk lewicowo-liberalnych.

Przenieśmy się na koniec do Brukseli. Początkowo polskim kandydatem na komisarza miał być Krzysztof Szczerski. Ostatecznie został nim Janusz Wojciechowski. Zamiast polityka z pierwszej linii, bliskiego współpracownika prezydenta Dudy – doświadczony technokrata, eurokrata, daleki od wpływów w centrali PiS. Komisarz ds. rolnictwa Janusz Wojciechowski to dobry wybór czy nagroda pocieszenia dla Polski?

Polska dostała bardzo ważne stanowisko. Teka komisarza ds. rolnictwa jest jedną z najważniejszych, w szczególności z naszej perspektywy – jesteśmy przecież jednym z najbardziej rolniczych krajów w UE, bierzemy najwyższe dotacje. Cieszę się też, że komisarzem zostanie właśnie Janusz Wojciechowski, który doskonale zna tę problematykę. Mam wielką osobistą satysfakcję, ponieważ przez wiele lat wspólnie z nim zasiadałem w ławach Parlamentu Europejskiego, namawiałem go, by przystąpił do PiS. Jak się okazało, skutecznie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Piotr Semka

Obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej zrobiły wrażenie. Oprócz nieobecności Donalda Trumpa – wszystko zagrało. Było nieporównanie lepiej niż 11 listopada 2018 r.

Kluczem zapraszania gości było członkostwo w UE, NATO i Partnerstwie Wschodnim. Wśród 17 głów państw prócz krajów Międzymorza i republik bałtyckich byli nawet prezydenci Islandii czy Malty. Nieobecność Donalda Trumpa w pewnym sensie nawet pomogła PiS. Pozwoliła wysunąć na pierwszy plan obecność prezydenta RFN Franka-Waltera Steinmeiera oraz kanclerz Angeli Merkel i obalić zarzut lekceważenia partnerów z Unii i „opierania się na jednym sojuszniku – USA". Tym bardziej że do Warszawy przybył też Belg Charles Michel – następca Donalda Tuska na stanowisku szefa Rady Europejskiej. I wreszcie kolejny ważny gość – Wołodymyr Zełenski, któremu prócz spotkania z Andrzejem Dudą zależało na rozmowie z wiceprezydentem Stanów Zjednoczonych. Goście z USA dopięli umowy z Polską i Ukrainą w sprawie bezpieczeństwa gazowego. Co do Polski zawarto umowy o telefonii 5G. Szefowi BBN Pawłowi Solochowi udało się wreszcie doprowadzić w Warszawie do spotkania doradcy Trumpa Johna Boltona z sekretarzem Państwowej Rady Bezpieczeństwa Republiki Białorusi gen. Stanisławem Zasiem i sekretarzem Rady Bezpieczeństwa Narodowego i Obrony Ukrainy Ołeksandrem Daniłukiem. Moskwa musiała to odczuć jako groźny precedens i prztyczek w nos.

Warszawskie uroczystości, obok negocjacji z Amerykanami, były kluczowe dla stosunków Polski z Niemcami i Ukrainą. To dwaj nasi sąsiedzi, w relacjach z którymi interesy polityczne i gospodarcze splatają się ze sporami o przeszłość.

NIEMCY, CZYLI SKRUCHA, ALE BEZ PŁACENIA

Berlin po eurowyborach wyraźnie zmienia ton wobec Warszawy. Najwyraźniej tamtejsi analitycy uznali, że skoro opozycja przegrała w maju, to PiS wygra wybory

Nieobecność Donalda Trumpa w pewnym sensie nawet pomogła PiS. Pozwoliła wysunąć na pierwszy plan obecność prezydenta RFN Franka-Waltera Steinmeiera oraz kanclerz Angeli Merkel (na zdjęciu: z premierem Mateuszem Morawieckim) i obalić zarzut lekceważenia partnerów z Unii FOT. ARTUR WIDAK/NURPHOTO/GETTY IMAGES

eprasa.pl c850b8daf1

Ofensywa wrześniowa

jesienią i trzeba przygotować się na kolejne cztery lata rządów Jarosława Kaczyńskiego. Z liderem PiS w latach 2016–2017 próbowała uładzić się już Angela Merkel, ale ten dialog rozbił się o poparcie pani kanclerz dla reelekcji Donalda Tuska na szefa RE wbrew woli Polski.

Teraz Merkel nie wraca już do odnowienia dialogu z Nowogrodzką, ale postawiła na partnerskie kontakty z Mateuszem Morawieckim. W ciągu ostatnich dziesięciu miesięcy odwiedziła w Polsce naszego premiera już trzy razy, nie licząc rozmów na szczytach unijnych.

Jej ostatnia wizyta w Warszawie była ewenementem. Niezwykle rzadko zdarza się w RFN, by prezydent i kanclerz wyjeżdżali gdzieś razem. Merkel spotkała się z polskim premierem m.in. w celu „domknięcia procesu obsadzania stanowisk w nowej Komisji Europejskiej". Czy chodziło o wsparcie dla kandydatury Janusza Wojciechowskiego na komisarza ds. rolnictwa? Jednocześnie Merkel uważała, by nie wchodzić w rolę prezydenta Franka-Waltera Steinmeiera jako „sumienia Niemiec". Milcząco autoryzowała ona przemówienie prezydenta Niemiec.

Mowa Steinmeiera była ważna, brakowało takich po 1991 r. Napisano ją z dużą znajomością polskiej wrażliwości historycznej. Gość z Berlina zarówno w Wieluniu, jak i w Warszawie mówił jedynie o „zbrodni niemieckiej" i „ranach, jakie Niemcy zadali Polakom", wystrzegając się ogólnych określeń typu „naziści" lub „hitlerowcy".

Nie należy lekceważyć szczerości uczuć niemieckiej głowy państwa w jego pełnej skruchy przemowie. Niezależnie od tego jego ekspiacja miała jednak w tle dwa polityczne przesłania. Pierwsze na użytek Polski było subtelnym podkreśleniem, że Niemcy nie mają zamiaru zdejmować z siebie ciężaru win, ale nie oznacza to zgody na reparację. Drugi komunikat, mało zauważany nad Wisłą, związany był z odbywającymi się tego dnia wyborami w Brandenburgii i Saksonii, gdzie AfD miało szanse wygrać. Steinmeier, opowiadając o winie Niemców za zniszczenie Polski i zbrodni nazizmu, ostrzegał rodaków „już raz to przerabialiśmy".

Warszawska wizyta dwóch najważniejszych przywódców Niemiec skłania do opinii, że między Berlinem a Warszawą ukształtowało się status quo. Premier Morawiecki został zaakceptowany jako polityk cenny w kooperacji unijnej i gospodarczej. A Angela Merkel zrozumiała, że z Warszawą trzeba robić wzajemnie korzystne deale, a nie czekać na powrót PO do władzy. Taką transakcją była prośba o wsparcie przez PiS kandydatki na szefową Komisji Europejskiej Ursuli von der Leyen w zamian za spodziewane osłabienie ataków na Polskę w Brukseli. Obie strony umieją zauważyć, na jakich polach mogą być pomocne dla drugiej strony, i robią sobie przysługi bez szumnych deklaracji i bez europustosłowia.

Odbywa się to przy jednoczesnym deklarowaniu rozbieżnych opinii w sprawie reparacji za ostatnią wojnę.

W wywiadzie z okazji rocznicy 1 września dla „Westdeutsche Allgemeine Zeitung" Morawiecki przypomniał, że sprawę rozliczeń z lat wojny „uważa za niezałatwioną". Współbrzmiał z tym prezydent Andrzej Duda, udzielając pismu „Bild am Sonntag" wywiadu z okazji 80. rocznicy wybuch wojny, także starał się być jednoznaczny: „Kwestia reperacji nie jest rozstrzygnięta".

Takie sygnały ze strony polskiej rząd RFN kwituje krótko jako bezzasadne. O wiele mocniejszego języka używają niemieckie media. 22 sierpnia Reinhard Müller, komentator dziennika „FAZ", ostrzegał: „Po dziesięcioleciach partnerstwa w sojuszu europejskim i transatlantyckim nie należy ponownie otwierać beczki zadośćuczynienia. Jest bez dna. Niemcy zapłaciły – i dziś trzeba je oceniać po tym, jak postępują ze świadomością swego udziału w historycznej niesprawiedliwości. Polska również bywa krytykowana za sposób radzenia sobie ze swoją przeszłością".

Tymczasem, jak się wydaje, Berlin i Warszawa przyjmują do wiadomość, że na tym polu się różnią, ale nie blokuje to kooperacji na innych polach. Polacy liczą, że ta sprawa w dłuższej perspektywie będzie dla Niemców kulą u nogi i skłoni ich to do jakiegoś rozwiązania. Niemcy nie chcą ułatwić naszemu rządowi takiej licytacji i twardo mówią, że z punktu widzenia prawa nie ma żadnych podstaw do reparacji. Obie strony odkładają załatwienie sprawy na później – na razie szukając bieżących pól kooperacji. Co może być kompromisem dla obu stron w kwestii reparacji?

Sławomir Dębski, szef Polskiego Instytutu Spraw Międzynarodowych, już wskazuje na możliwe rozwiązania. Jedną z opcji mogłoby być stworzenie przez RFN funduszu dofinansowującego z niemieckich pieniędzy infrastrukturę obronną Polski i państw bałtyckich, co jednocześnie wzmacnia pośrednio bezpieczeństwo RFN. Pytanie tylko, czy coraz bardziej pacyfistyczne Niemcy będą gotowe na taki pomysł. Dobrze pasuje on jednak do podkreślanego w mowie Steinmeiera z 1 września poczucia zwiększonej odpowiedzialności Berlina za pokój w Europie. Pokój, który wymaga gotowości obrony granic przed agresją.

W Berlinie zrozumiano też już, że uznawanie pojednania za odrobioną lekcję w ostatnich dwóch dekadach było błędem i krótkowzrocznością. Że kolejne polskie pokolenia wciąż szokują niemieckie zbrodnie i one także muszą słyszeć kolejne niemieckie wyznania win.

To dlatego Heiko Maas, szef niemieckiego MSZ, odwiedził ponad miesiąc temu Warszawę w rocznicę Powstania Warszawskiego. Jego wizyta przypomniała Niemcom o mało znanym za Odrą mordzie na polskiej stolicy. Z tego samego powodu Steinmeier ubolewał, że tak niewielu Niemcom mówi coś nazwa Wieluń.

eprasa.pl c850b8daf1

W całym tym dyskursie najmniej emocji po polskiej stronie budzi pojawiający się co pewien czas pomysł postawienia pomnika polskich ofiar nazizmu w Berlinie. To efekt wałkowania sprawy już od ponad siedmiu lat, co wygasiło zainteresowanie tą ideą w Polsce.

Inaczej jest za Odrą. Około 240 posłów Bundestagu z wszystkich partii oprócz AfD podpisało apel w tej sprawie. Czy to oznacza, że wszystko jest już na dobrej drodze? Nie bardzo, bo Bundestag liczy 709 deputowanych. Jeden z polskich dyplomatów wskazuje: „Na razie to jedynie apel, który chadecki szef Bundestagu Wolfgang Schäuble przyjął z życzliwością. CDU nie chce jednak, by zbyt szybko apel zmienił się w projekt ustawy ustalający budowę pomnika polskich ofiar. Nie dlatego, że ją odrzucają, wręcz przeciwnie. W obliczu delikatnego resetu polsko-niemieckiego sytuacja, w której projekt przepadłby w głosowaniu, wywołałaby w Polsce rozgoryczenie. Na razie więc Schäuble woli wszystko trzymać w zawieszeniu".

Nie zmienia to faktu, że w niemieckiej prasie trwa dyskusja, jak uhonorować zbrodnie na Polakach. Jedni popierają ideę pomnika, inni proponują zamiast monumentu powołanie jakiegoś ośrodka badającego zbrodnie na Polakach, a jeszcze inni są otwarcie przeciw. To pogląd np. Uwe Neumärkera, dyrektora Fundacji Pomnik Pomordowanych Żydów Europy. Na łamach „Süddeutsche Zeitung" ostrzegał on niedawno przed „nacjonalizacją pamięci, w ramach której kolejne narody, które ucierpiały w wojnie, również będą domagać się pomników".

UKRAINA, CZYLI ZACZNIJMY OD NOWA

Pierwsza wizyta Wołodymyra Zełenskiego w Warszawie była pozytywnym, odświeżającym impulsem po zastoju późnej fazy prezydentury Petro Poroszenki.

Prezydent Andrzej Duda w swoim przemówieniu nie zapomniał wymienić Ukraińców wśród obywateli polskich mniejszości walczących w Wojsku Polskim we wrześniu 1939 i jednoznacznie potępił rosyjską politykę aneksji ziem Ukrainy. Zełenski zauważył i docenił oba akcenty.

„Widać, że to człowiek, który w polityce jest od niedawna" – mówi jeden z naszych dyplomatów. „Ma to zalety, bo Zełenski jest chętny do działania. Wierzy, że da się zrobić prawie wszystko. Ma to jednak i wady, bo brak głębszej wiedzy każe mu wierzyć, że zaszłości historyczne polsko-ukraińskie da się szybko i łatwo usunąć. A to bardziej skomplikowane" – wskazuje jeden z polskich urzędników.

Warszawa to dla Zełenskiego ważny punkt z dwóch powodów. Po pierwsze, Kijów obawia się, że Francja i Niemcy mogą zacząć skłaniać Ukrainę do zaakceptowania bardzo ryzykownego dealu. Chodzi o powrót dwóch prorosyjskich republik w Donbasie w skład Ukrainy za cenę uznania ich autonomicznego statusu w zamian za dalsze potępienie aneksji Krymu przez Berlin i Paryż. Zełenski musi w tej sytuacji wzmocnić kontakty z USA i ocieplić stosunki z Warszawą. Pierwszy krok na tej drodze to umowy z USA i Polską mogące uniezależnić energetycznie Ukrainę od Rosji. Chodzi o podłączenie się do paliw LNG sprowadzanych do gazoportu w Świnoujściu i dostęp do gazu z Baltic Pipe.

Zełenski rozumie, że bez poprawy w dialogu historycznym daleko nie zajedzie. Dlatego przyjechał do Warszawy z obietnicą wznowienia ekshumacji na Wołyniu, odnowienia legalnych miejsc pochówku Ukraińców w Polsce i Polaków na Ukrainie i wreszcie zaproponował usypanie kurhanu pamięci ku czci ofiar z obu narodów na wspólnej granicy. Już ciszej sugerowano rychłe odejście szefa ukraińskiego IPN Wołodymyra Wiatrowycza, który lansował kult UPA jako kościec pamięci zbiorowej Ukrainy.

Polska strona przyjęła te obietnice życzliwie, ale ostrożnie. „Już za Poroszenki na szczycie w Charkowie w listopadzie 2017 r. obiecywano wznowienie ekshumacji. A potem niżsi urzędnicy blokowali działania. Zełenski musi udowodnić, że potrafi wymusić zmiany, i wtedy dopiero zaczniemy jego obietnice traktować serio" – mówi jeden z uczestników rozmów.

IZRAEL, CZYLI WIELKI NIEOBECNY

Oblicza się, że we wrześniu 1939 r. w polskich oddziałach służyć mogło do 100 tys. Żydów. Żołnierze polscy, walcząc z Wehrmachtem, własną piersią blokowali posuwanie się w głąb Polski wojsk reżimu, który stworzył potem getta i fabryki śmierci. Wszystko to pozwalało oczekiwać, że w 80. rocznicę wybuchu wojny na uroczystości w stolicy Polski przybędzie ktoś ważny z Izraela.

Tak się nie stało. Oficjalnie podstawą do zaniechania wysyłania zaproszenia do Jerozolimy był wybór formuły „UE, NATO i kraje Partnerstwa Wschodniego". Ale ważny ponoć był też brak sygnałów zainteresowania rocznicą ze strony Jerozolimy.

„Między Polską a Izraelem wciąż panuje lodowata atmosfera" – słyszę od jednego z dyplomatów. Warszawa wciąż ma uraz po konferencji bliskowschodniej z lutego, która zakończyła się skandalem wokół uwag premiera Netanjahu. „Wybory do Knesetu w kwietniu br. nie doprowadziły do powstania nowego rządu" – słyszę. „Kolejne odbędą się 17 września. Lepiej poczekajmy, aż miną wyborcze emocje".

Polskie władze liczą, że okazją do złagodzenia napięcia będzie 75. rocznica wyzwolenia Auschwitz w styczniu 2020 r. Prezydent Duda jedzie na obchody w Yad Vashem, ale liczy też, że ktoś ważny z Izraela przyjedzie na polskie uroczystości do Oświęcimia.

O nastrojach przynajmniej części środowisk żydowskich wiele mówił w dzienniku „Haaretz" komentarz Ofera Adereta. „W długiej wojnie o »kulturę pamięci« – będącej celem, który postawił sobie polski rząd, dochodząc do władzy w 2015 r. – wczoraj został zdobyty ostatni bastion. Po tym, jak Izrael uznał polską narrację – która podkreśla cierpienia polskiego narodu i minimalizuje jego udział w spowodowaniu cierpień innego – teraz także Niemcy i Stany Zjednoczone zostały przekonane do polskich twierdzeń".

Aderet zwrócił uwagę na przeprosiny prezydenta Niemiec Franka-Waltera Steinmeiera i słowa Mike Pence'a o Polakach jako „narodzie bohaterów" i „bojownikach o wolność".

Słowa korespondenta izraelskiego dziennika pokazują, że przynajmniej dla części Żydów polska polityka historyczna to wejście na teren zarezerwowany wyłącznie dla Żydów. I że żyrowanie narracji o Polakach jako bohaterach, a nie współwinnych Holokaustu przez USA i Niemcy budzi sprzeciw i irytację. To pośrednia pochwała warszawskich uroczystości i akcji Polskiej Fundacji Narodowej, która wraz z zespołem „Wszystko Co Najważniejsze" dotarła do wielu gazet na świecie z prawdą o polskiej odwadze 80 lat temu.

To jednak też wskazówka, że wszelka samodzielność w polityce zagranicznej daje zyski, ale i uruchamia sprzeciw. Każdy kolejny sukces na tej drodze wymaga konsekwencji i wiary w siebie. I ciężkiej pracy. Tylko wszystkie te czynniki razem coś dają. Wrześniowa ofensywa pokazała jednak, co może szanujące same siebie państwo polskie. Nie zapomnijmy tej lekcji.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

HISTORIA DO RZECZY

NAJNOWSZY NUMER JUŻ W SPRZEDAŻY!

Walczyłem nad Bzurą!
Poruszający wywiad ze 105-letnim weteranem kampanii 1939 r.

Maciej Rosalak – **Westerplatte walczy!**
Jacek Komuda – **Sucharski kontra Dąbrowski**
Roger Moorhouse – **Jak Anglia i Francja zdradziły Polskę**
Zaremba kontra Karbowiak – **Debata nad Brygadą Świętokrzyską**
Krzysztof Masłoń – **Nowak-Jeziorański: mściwy i bezwzględny**
Sławomir Koper – **Miłosna zbrodnia we Lwowie**
Mikołaj Iwanow – **Sowiecki agent w powstańczej Warszawie**
Rafał A. Ziemkiewicz – **Chałat i pejsachówka**

I WIELE, WIELE WIĘCEJ

CZYTAJ TAKŻE NA **HISTORIA.DORZECZY.PL**

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. ANDRZEJ IWAŃCZUK/REPORTER

Grzegorz i Małgorzata

Kamila Baranowska

Grzegorz Schetyna próbuje powtórzyć manewr Jarosława Kaczyńskiego sprzed czterech lat. Sam usuwa się w cień, a kandydatką na premiera Koalicji Obywatelskiej zostaje Małgorzata Kidawa-Błońska. Czy polityczny ruch, który sprawdził się w przypadku PiS, sprawdzi się dziś w wykonaniu opozycji?

Grzegorz Schetyna podejmując w ostatniej chwili – tuż przed upływającym terminem rejestracji list wyborczych przez PKW – zaskakującą decyzję, miał zasugerować się badaniami, jakie Platforma zamówiła w zewnętrznej firmie doradczej. Wyszło z nich, że lider PO ma bardzo negatywny wizerunek także we własnym twardym elektoracie i jedynym sensownym rozwiązaniem jest schowanie go na czas kampanii. To zmusiło Schetynę do weryfikacji dotychczasowych planów, które zakładały, że to on jako lider Platformy będzie jedynką w Warszawie i bezpośrednio zmierzy się z Jarosławem Kaczyńskim, tradycyjnie startującym w stolicy. Z politycznego punktu widzenia to decyzja racjonalna, bo Kidawa-Błońska ma szansę na lepszy wynik w stolicy niż Schetyna. A byłoby jednak kompromitacją, gdyby lider Platformy dostał tu mniej głosów niż choćby Ewa Kopacz cztery lata temu (ponad 230 tys. głosów) i gdyby przegrał z Kaczyńskim.

TO NIE BEATA SZYDŁO

Kiedy Schetyna ogłaszał decyzję, że to nie on będzie kandydatem Koalicji na premiera, nie uniknął porównań do ruchu Kaczyńskiego z 2015 r., który – usuwając się w cień – dla dobra kampanii kandydatką na premiera uczynił Beatę Szydło. Tyle tylko że wtedy Schetyna był pierwszym, który takie rozwiązanie krytykował.

– Kaczyński jako szef zwycięskiej partii powinien zostać premierem, a nie sterować rządem z tylnego siedzenia. Dzisiaj Kaczyński jest Krzaklewskim bis. Doradzałbym mu więcej odwagi i odpowiedzialności, a mniej ukrywania się za kobietą. Wszyscy

eprasa.pl c850b8daf1

tracimy na tym, że premier jest kukiełką w rękach władcy marionetek – twierdził jeszcze nie tak dawno w wywiadzie dla „Rzeczpospolitej". Platforma przez ostatnie lata konsekwentnie przekonywała, że formuła, w której to nie lider partii dzierży stery rządów, to psucie państwa. Dzisiaj przekonuje, że to świetny pomysł, podając PiS na tacy gotowy materiał na spot wyborczy na temat politycznej wiarygodności.

Krzysztof Łapiński, który współtworzył w 2015 r. kampanię PiS, w rozmowie z „Do Rzeczy" przyznaje, że ruch Schetyny jest ciekawy i może dać Koalicji niewielką premię, ale dynamiki kampanijnej nie odmieni. Jest także sceptyczny co do możliwości powtórzenia sukcesu PiS sprzed czterech lat.

– Beata Szydło wchodziła w rolę kandydatki na premiera opromieniona zwycięstwem Andrzeja Dudy jako współautorka jego zwycięstwa, to był jej wielki atut. Do tego miała więcej czasu na kampanię, w której bardzo dobrze sobie poradziła. W efekcie kampania ją poniosła i zbudowała jako przyszłego premiera – mówi „Do Rzeczy".

Małgorzata Kidawa-Błońska czasu na zaprezentowanie się w nowej roli ma bardzo mało, do wyborów pozostał miesiąc. Kalkulacje Platformy są jednak czytelne, chodziło o osobę, która ma pozytywny wizerunek i którą trudno będzie zaatakować na finiszu kampanii. A także o kogoś, kto mógłby zawalczyć o wyborców bardziej liberalnych, którzy rozważają głosowanie na lewicę. Kidawa-Błońska była swego czasu twarzą liberalnej części Platformy. To ona firmowała projekt ustawy o in vitro, przygotowywany w kontrze do projektu Jarosława Gowina, wtedy polityka Platformy.

– Nie wiem, jak mogliśmy na to wcześniej nie wpaść. Przecież to takie oczywiste – mówił lider PO. – Trzeba słuchać ludzi, naprawdę trzeba słuchać ludzi. A Małgorzata, warszawianka, kobieta sukcesu, matka, ludzi potrafi słuchać. Z taką samą uwagą i szacunkiem rozmawia zarówno z ambasadorem filharmonii, jak i ze sprzedawczynią na miejskim bazarku. I w jednym, i drugim przypadku potrafi z rozmówcą nawiązać tak samo ciepłą i serdeczną relację – dodał, prezentując Kidawę-Błońską jako kandydatkę na premiera.

DOŚWIADCZONA, ALE BEZ ZAPLECZA

Kidawa-Błońska ma wizerunek polityka łagodnego i koncyliacyjnego, nie politycznego fightera. Nawet politycy z konkurencyjnych partii wypowiadają się o niej z sympatią. Ryszard Terlecki, szef klubu PiS, stwierdził nawet, że Kidawa-Błońska jako osoba spokojna i wyważona „mentalnie bardziej pasowałaby do Prawa i Sprawiedliwości niż Platformy".

Także dziennikarze mają z nią raczej dobre doświadczenia z czasów, gdy była rzecznikiem rządu (a była nim dwukrotnie: raz, gdy premierem był Donald Tusk, i ponownie, gdy funkcję tę objęła Ewa Kopacz) i później, gdy zostawała marszałkiem Sejmu. Tę ostatnią funkcję pełniła dość krótko, tylko pięć miesięcy. W nowej kadencji, gdy Platforma przeszła do opozycji, została wicemarszałkiem Sejmu.

Z punktu widzenia Schetyny, dla którego decyzja o usunięciu się w cień łatwa nie była, Kidawa-Błońska ma jeszcze jedną zaletę – nie należy do żadnej partyjnej frakcji, nie dysponuje własnym zapleczem.

Kidawa-Błońska ma duże doświadczenie w polityce – przez wiele lat była radną, potem posłanką, szefowała też warszawskim strukturom Platformy. Nie ustrzegła się jednak niewygodnych wpadek, które dzisiaj są jej wypominane. „To są na pewno jakieś kwoty, które wynikają z różnych takich działań, i nie chciałabym tutaj nikogo wprowadzać w błąd" – odpowiedziała zapytana o to, gdzie podziały się pieniądze z OFE, skoro OFE przelały do ZUS 153 mld, a dług publiczny spadł „tylko" o 134 mld. A o przekopie Mierzei Wiślanej mówiła, że „gdyby natura chciała, żeby tam był przekop Mierzei, toby był".

Zanim na dobre związała się z polityką, jej pasją był film. Co prawda skończyła socjologię na Uniwersytecie Warszawskim, ale jeszcze jako studentka chodziła jako wolny słuchacz na zajęcia do szkoły teatralnej. Jest żoną znanego reżysera Jana Kidawy-Błońskiego, z którym założyła firmę producencką Gambit Productions. Razem wyprodukowali m.in. głośny film „Skazany na bluesa" o życiu Ryśka Riedla z zespołu Dżem. Chwilę później Kidawa-Błońska po raz pierwszy została posłanką.

– Ona ma predyspozycje do tego, co teraz robi. Już wcześniej pracowała w samorządzie, dopiero stamtąd poszła do parlamentu. Niepokoiło mnie tylko, kto zajmie się produkcją moich filmów, bo nagle utraciłem oddanego producenta – mówił w jednym z wywiadów Jan Kidawa-Błoński.

Schetyna, przedstawiając Małgorzatę Kidawę-Błońską jako kandydatkę na premiera, odniósł się także do jej rodzinnych korzeni. – Zawsze chce się porozumieć dla dobra Polek i Polaków. Może ma to w genach? Jednym z jej pradziadków był prezydent II RP Stanisław Wojciechowski, a drugim premier II RP Władysław Grabski. Obaj nie pracowali dla żadnej partii, tylko dla Polski, tak jak Małgorzata – podkreślał szef Platformy. Sama Kidawa-Błońska w wywiadzie dla „Vivy!" opowiadała, że nie tylko pradziadkowie, lecz także dziadkowie i rodzice wysoko podnieśli jej poprzeczkę.

– Miałam wspaniałych pradziadków, ale i wyjątkowych dziadków. Dziadek pisał książki, babcia zaś malowała obrazy. Mój ojciec, dziś już emerytowany profesor Politechniki Warszawskiej, wieloletni prezes Fundacji na rzecz Nauki Polskiej, również narzucał wysokie standardy – mówiła.

KROK W TYŁ

– To jest odpowiedź na oczekiwania ludzi – ocenia wybór Kidawy-Błońskiej Tomasz Siemoniak, wiceprzewodniczący PO, były szef MON. – To oni podczas spotkań w terenie mówią nam, że trzeba skończyć tę wojnę, że mają dość brutalnej polityki – podkreśla w rozmowie z „Do Rzeczy". Dodaje też, że to mocny sygnał w kierunku kobiet, a także wzięcie pod uwagę głosów, że być może przewodniczący Schetyna powinien zrobić krok w bok. – Suma wielu różnych czynników przesądziła o tej decyzji, a powszechnie pozytywne reakcje utwierdzają nas w przekonaniu, że była to dobra decyzja. Wchodzimy w decydującą fazę kampanii mocnym akcentem – wskazuje.

Radosław Fogiel z PiS odpowiada, że ów mocny akcent nie pokrzyżuje planów sztabowi PiS, który realizuje wcześniej ustalony plan. – Nasze zadanie to docierać do wyborców i przekonywać ich, że jesteśmy partią wiarygodną, odpowiedzialną i dotrzymującą słowa, nie interesują nas przepychanki po stronie opozycji – deklaruje. Ruch Schetyny ocenia jako zagrywkę taktyczną, ale nie wróży jej powodzenia. – Grzegorz Schetyna powinien wiedzieć, że nie wchodzi się dwa razy do tej samej rzeki, i coś, co się raz udało, nie musi się udać drugi raz – mówi „Do Rzeczy".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Przebudzenie?

Krystian Kratiuk

Słowa abp. Jędraszewskiego o „tęczowej zarazie" oburzyły środowiska propagatorów homoseksualizmu. Jednak postawa hierarchy pomogła również w przebudzeniu innych biskupów oraz wielu świeckich katolików

Od dawna żadne słowa polskiego duchownego nie wywołały emocji tak wielkich jak porównanie przez krakowskiego arcybiskupa aktywistów LGBT do komunistów. Co ciekawe, jest to przecież porównanie, od którego aktywiści ruchów homoseksualnych nigdy się nie odżegnywali – od początku swego istnienia odwołują się wszak do neomarksistowskiej retoryki, w której walkę klas zastąpiła walka płci i tzw. orientacji seksualnych, a grupę uciśnioną zamiast proletariatu zaczęły stanowić wszelkie mniejszości do niedawna powszechnie określane mianem dewiacyjnych.

Nie ma co pochylać się nad łatwymi do przewidzenia reakcjami na słowa arcybiskupa środowisk zarażonych owym, jak nazywa to prof. Chodakiewicz, marksizmem-lesbianizmem. Znacznie ciekawsza jest bowiem reakcja katolików – w tym również przedstawicieli episkopatu, i to nie tylko polskiego.

ŚWIECCY MUREM ZA ARCYBISKUPEM

Po pierwszych atakach na arcybiskupa katolicy zaczęli skrzykiwać się pod hashtagiem „Murem za arcybiskupem". Bardzo szybko powstała – przygotowana

eprasa.pl c850b8daf1

10 sierpnia pod oknem papieskim przy ul. Franciszkańskiej 3 w Krakowie kilka tysięcy ludzi stawiło się na modlitwie mającej być manifestacją poparcia dla atakowanego abp. Jędraszewskiego

FOT. M.LASYK/REPORTER

przez Stowarzyszenie Księdza Piotra Skargi – petycja katolików solidaryzujących się z krakowskim metropolitą. W ciągu dwóch tygodni za pośrednictwem strony internetowej popierajmy.pl podpisało ją ponad 55 tys. osób.

Kilka godzin po rozpętaniu fali agresji wobec słów arcybiskupa Dariusz i Beata Walusiakowie, małżeństwo z Krakowa, postanowili zorganizować pod kurią przy ul. Franciszkańskiej 3 modlitwę, mającą być manifestacją poparcia dla atakowanego pasterza. Odzew przerósł ich oczekiwania – 10 sierpnia pod oknem papieskim stawiło się kilka tysięcy ludzi. Krakowskie media na siłę próbowały uczynić z tego zgromadzenia wydarzenie polityczne, ale nie znalazły ku temu żadnych podstaw – nikt nikogo nie zwoził autobusami, katolicy sami nawzajem się mobilizowali, i to głównie dzięki mediom oraz organizacjom kierowanym przez świeckich.

Podczas krakowskiej modlitewnej manifestacji przyjęto niezwykły dokument – „Odezwę polskich katolików" – którego autorzy nie tylko solidaryzowali się z arcybiskupem, lecz także wzywali pozostałych polskich kapłanów i biskupów do odważnego bronienia chrześcijańskiego porządku w życiu publicznym. „Z tego miejsca wołamy do polskich księży: nie bójcie się głosić prawdy zgodnie z Ewangelią, mówcie głośno o tym, co dzisiaj zagraża naszym dzieciom, rodzinom, Kościołowi, a przez to Polsce i jej chrześcijańskim wartościom! Przypominajcie katolickie nauczanie Kościoła o tym, czym jest prawdziwa rodzina i co grozi za grzechy sodomskie oraz sianie zgorszenia" – czytamy w tekście odezwy.

Jednak katolicy obecni 10 sierpnia pod kurią metropolitalną w Krakowie domagali się także od swych biskupów stanowczych kroków wobec tzw. katolików otwartych, którzy w sporze arcybiskupa ze środowiskami LGBT i ateistycznymi mediami stanęli w tym drugim szeregu.

BISKUPI TEŻ

Autorzy dokumentu szybko doczekali się przynajmniej częściowej odpowiedzi na te żądania. Symbolem „katolików otwartych" stał się o. Paweł Gużyński, dominikanin, którego prowincjał postanowił wysłać na przymusowe zamknięte rekolekcje za… nawoływanie do odwołania abp. Jędraszewskiego.

Doczekaliśmy się również wyrazów jedności ze wściekle atakowanym krakowskim arcypasterzem ze strony jego braci w biskupstwie. Jako pierwszy głos zabrał arcybiskup szczecińsko-kamieński Andrzej Dzięga. Kilka dni później oświadczenie wydał przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Stanisław Gądecki, słusznie zauważając, że fala krytyki, która wylała się na arcybiskupa, „świadczy o zakorzenionym w pewnych środowiskach totalitaryzmie światopoglądowym, polegającym na usuwaniu poza sferę obszaru wolności ludzi myślących inaczej".

Biskup pomocniczy diecezji płockiej Mirosław Milewski modlił się natomiast następującymi słowami: „Maryjo, ocal nas od zła, które chce zawojować umysły i dusze Polaków, zaradź rozprzestrzenianiu się chorej ideologii LGBT, która uderza w tradycyjną rodzinę".

Ze zdecydowaną diagnozą abp. Jędraszewskiego zgodzili się między innymi: abp Stanisław Nowak, emerytowany ordynariusz częstochowski, świdnicki biskup Ignacy Dec, biskup włocławski Wiesław Mering, biskup sosnowiecki Grzegorz Kaszak, pomocniczy biskupi krakowscy, a także kardynałowie Stanisław Dziwisz i Zenon Grocholewski.

A pozostali polscy biskupi? Wydaje się, że po prostu potraktowali oświadczenie przewodniczącego KEP, abp. Gądeckiego, jako wspólne stanowisko polskiego episkopatu. Warto bowiem dodać, że podczas sierpniowych obrad na Jasnej Górze episkopat przyjął dokument potępiający liczne profanacje i wzywający katolików do modlitw przebłagalnych. W „Stanowisku biskupów diecezjalnych w sprawie aktów przemocy motywowanych nienawiścią wobec Kościoła katolickiego i jego wiernych" zawarto również konkretną prośbę do polityków – o podjęcie działań „jednoznacznie potępiających przemoc motywowaną przynależnością wyznaniową oraz kroków prawnych lub innych, które skutecznie zapewnią realizowanie wolności religijnej i sprawią, że Kościół katolicki w Polsce będzie mógł bez przeszkód nieść orędzie Chrystusa i wypełniać swoją misję".

Hierarchowie zapowiedzieli również, że opublikują dokument dotyczący nauki Kościoła na temat „osób LGBT". Jednak owa zapowiedź musi być odczytywana w kontekście – dokonanego przez hierarchów – zdecydowanego przestrzeżenia rodziców przed demoralizującą edukacją seksualną. „Biskupi przypominają, że to konstytucja gwarantuje im prawo do wychowania dzieci zgodnie z własnymi przekonaniami. Zajęcia dodatkowe mogą natomiast zgłaszać kompetentne podmioty kierujące się chrześcijańską i katolicką antropologią. Biskupi przypominają rodzicom, że mogą oni składać specjalne oświadczenia w przedszkolach oraz innych placówkach wychowawczych" – czytamy w komunikacie.

Dzięki takiemu stanowisku biskupów tysiące polskich rodziców pobierało z Internetu deklaracje o braku zgody na

eprasa.pl c850b8daf1

uczestnictwo w zajęciach z seksedukacji. Być może to również dzięki katolickiej presji urzędnicy warszawskiego ratusza, mimo podpisania przez prezydenta Trzaskowskiego tzw. karty LGBT+, przyznali, że miasto nie planuje wprowadzenia do szkół zajęć dodatkowych z zakresu edukacji seksualnej, a w budżecie miasta na bieżący rok nie ma zaplanowanych środków na wdrażanie zapisów karty.

ZALĄŻKI KONTRREWOLUCJI?

Warto jednak zauważyć, że wsparcie odważnych słów abp. Jędraszewskiego, które ośmieliły innych duchownych oraz potwierdziły starania środowisk świeckich katolików, nadeszło także z zagranicy – ostry sprzeciw wobec rozpychającej się łokciami w europejskich społeczeństwach ideologii LGBT wyrazili również prymas Czech kard. Dominik Duka, przewodniczący Konferencji Episkopatu Węgier bp Andras Veres, przewodniczący Konferencji Biskupów Słowacji abp Stanislav Zvolenský oraz bp Bronisław Bernacki, przewodniczący Konferencji Episkopatu Ukrainy.

Owa geografia międzynarodowego poparcia pozwala łatwo zauważyć, że abp Jędraszewski mógł liczyć na wsparcie wyłącznie ze strony biskupów z Europy Środkowo-Wschodniej. Dlaczego? Odpowiedź wydaje się prosta – wyłącznie w tych krajach polityczna poprawność nie zniszczyła jeszcze odwagi biskupów, a homolobby nadal natrafia na społeczne przeszkody. Na zachodzie Europy jest już w tej sprawie znacznie gorzej, co udowodnił chociażby zeszłoroczny synod ds. młodzieży, podczas którego biskupi Niemiec, Francji, Włoch czy Hiszpanii z troską pochylali się nad wykluczonymi grupami „katolików LGBT".

Jednak mentalność progresywnych biskupów Zachodu może zatriumfować również w Kościele nad Wisłą. Aby tak się nie stało, potrzebne są właśnie takie wypowiedzi jak głośne słowa abp. Jędraszewskiego, które wielu oburzą, ale wielu również… obudzą.

Polscy świeccy wierni, od lat uznawani za „śpiącego giganta", mogą bowiem w końcu powstać z letargu i stać się ważnym głosem nie tylko w „sprawach obyczajowych". To wielce symptomatyczne, że mobilizuje ich do tego lewacki atak na następcę Karola Wojtyły na stolicy św. Stanisława. Warto bowiem pamiętać, że sam abp Jędraszewski kilka tygodni temu wzywał do „katolickiej kontrrewolucji", mówiąc: „Jedynie Kościół potrafi powiedzieć, że trzeba się opamiętać, jeżeli chcemy przekazać dalej najlepsze wartości kultury europejskiej […]. Nie możemy powiedzieć, że nas to nie obchodzi! Konieczna jest mobilizacja mężczyzn, którzy czują się odpowiedzialni za swoje rodziny i dzieci, które mogą stać się ofiarami wielkiej krzywdy".

Zalążkiem tej kontrrewolucji może się stać właśnie akcja solidarności z atakowanym biskupem. Jednak tej nadziei na przebudzenie polskich świeckich nie byłoby, gdyby nie nagłe przyspieszenie i zmiana mądrości etapu przez środowiska LGBT. W ciągu ostatnich kilku miesięcy polscy katolicy nie tylko byli bowiem już ofiarami usypiającej taktyki „gotowania żaby", lecz także stali się ofiarami przemocy symbolicznej, którą stanowiły przecież okropne profanacje najświętszych artefaktów naszej wiary. Polski katolicyzm od wieków ma niezbywalny rys maryjny i nawet źle uformowanych katolików XXI w., którym można było wmówić wiele ideologicznych bredni, nikt nie przekona, że hańbienie wizerunku Matki Bożej Częstochowskiej jest w porządku. Lewackie bluźnierstwa podpisane tęczowym flamastrem wywołały zdrową furię, a atak na arcybiskupa i nagła oddolna potrzeba wyrażenia solidarności tylko tę reakcję wzmocniły.

Można to było dostrzec również podczas tegorocznych pielgrzymek do Częstochowy. Uczestnicy wielu z nich modlili się za abp. Jędraszewskiego i pozdrawiali go z wdzięcznością. Na wielu innych pielgrzymkach wysłuchiwano konferencji na temat zagrożenia współczesnej rodziny. A jeszcze inne wchodziły na Jasną Górę, rezygnując w tym roku ze śpiewania piosenek o „stanięciu pięknym kołem" czy „abyśmy byli jedno" na rzecz rycerskiej „Bogurodzicy" czy… „Pieśni konfederatów barskich"!

A POLITYCY?

Emocje społeczne wyczuwają już politycy obozu rządzącego – krakowskiego arcybiskupa gorąco poparli zarówno prezydent Duda, jak i prezes Kaczyński. Jednak politycy PiS powinni wsłuchać się w katolicki głos uważniej – w cytowanej tu już „Odezwie polskich katolików" zawarto wszak żądanie skierowane również w ich kierunku: „Nasz apel kierujemy również do rządzących! My, polscy katolicy, żądamy od prezydenta, rządu, parlamentarzystów, sądów i prokuratury stanowczego przeciwstawienia się tym, którzy walczą z chrześcijaństwem, z Kościołem, z polską tradycją i moralnością! Którzy obrażają naszą Matkę Maryję, Królową Polski! Którzy walczą z polską rodziną! Którzy chcą deprawować nasze dzieci! Panie Prezydencie, Panie Premierze, posłowie i senatorowie! Nie wystarczy nam, że nie zalegalizujecie homozwiązków! Żądamy od was konkretnych działań – natychmiastowego wypowiedzenia genderowej konwencji stambulskiej, szybkiego, jeszcze w tej kadencji, przyjęcia ustawy o zakazie szkodliwej edukacji seksualnej, uchwalenia prawa zakazującego promowania dewiacji na polskich ulicach oraz bezwzględnego ścigania i karania tych, którzy bezczeszczą polskie świętości!".

„Odezwa polskich katolików" żyje swoim życiem w Internecie – podpisało ją wiele zacnych osobistości, a chęć jej promowania zadeklarowały liczne media oraz organizacje społeczne. To rodzi nadzieje – jeżeli bowiem miałoby dojść do katolickiej kontrrewolucji, próby przywrócenia porządku w erze szalejącej antychrześcijańskiej rewolucji, to wymienione w dokumencie postulaty powinny zostać zrealizowane w pierwszej kolejności. Jednak rządzący przez cztery lata politycy, powołujący się przecież na wartości chrześcijańskie, niewiele w tych kwestiach uczynili. Są bowiem demokratami i liczy się dla nich to, co jest jasno artykułowane przez większość – a nie oszukujmy się, wielkim mediom (tym z prawa i tym z lewa) na promowaniu katolickich postulatów wcale nie zależy, trudno więc zbudować wokół nich szerokie poparcie społeczne. Jednak w Polsce większość obywateli wciąż stanowią katolicy i jeśli proces przebudzenia polskich księży oraz świeckich nie tylko nie ustanie, lecz także nabierze tempa, to wtedy, z Bożą pomocą, wszystko jest możliwe.

Powszechna mobilizacja dla obrony wizerunku Matki Bożej i wielka solidarność z odważnym arcybiskupem mogą stanowić początek tego procesu. W przeciwnym razie spełni się marzenie lewicy, która przez nikogo nieniepokojona będzie mogła spokojnie rządzić postchrześcijańską Polską, w której katolickie niedobitki zmuszone będą do działalności w podziemiu. Tertium non datur.

©℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest redaktorem naczelnym PCh24.pl.

eprasa.pl c850b8daf1

Fundacja
im. Przemysława
Gintrowskiego

ZA WOLNOŚĆ W KULTURZE

NAGRODA IM. PRZEMYSŁAWA GINTROWSKIEGO

Nagroda dla twórców kultury stojących na straży prawdy i umiłowania wolności. Jej laureatem może zostać osoba, której działalność wpisuje się w hasło: **„A jednak coś po nas zostanie".**

IV EDYCJA NAGRODY

Laureaci NAGRODY poprzednich edycji:

III EDYCJA 2018
FRANCISZEK PIECZKA
/NA ZDJĘCIU/

II EDYCJA 2017
EWA BŁASZCZYK

I EDYCJA 2016
STANISŁAWA CELIŃSKA
JAN POLKOWSKI
ANTONINA KRZYSZTOŃ

NA ZGŁOSZENIA KANDYDATÓW CZEKAMY DO 30 WRZEŚNIA

SZCZEGÓŁY NA **WWW.GINTROWSKI.PL**
LUB **FUNDACJA@GINTROWSKI.PL**

MECENASI KONCERTU: PGNiG, ORLEN

PARTNERZY: LOTTO, Poczta Polska, fundacja arp

PATRONI MEDIALNI: Do Rzeczy, wprost

eprasa.pl c850b8daf1

Policyjne patrole SPEED mają do dyspozycji m.in. szybkie auto KIA Stinger
FOT. ANDRZEJ GRYGIEL

Szybsi od szybkich

Łukasz Zboralski

Nocne wyścigi i rajdy przez miasta nie są już tak łatwe jak przed laty. Policja stworzyła specjalne grupy SPEED. Od tego lata działają w każdym województwie

Wyjące silniki motocykli i samochodów, wariackie przejazdy przez ulice – to nie tylko problem mieszkańców, którzy nie mogą spać nawet przy zamkniętych oknach. To też spore zagrożenie dla ludzi, którzy późną porą poruszają się po ulicach polskich miast. „Szybcy i wściekli" narażają nie tylko siebie, lecz także i wszystkich dookoła.

Dawno minęły już czasy, gdy „wyścigi" urządzały sobie grupy młodych kierowców gnające przez miasto starymi golfami z kolorowymi alufelgami i plastikowymi lotkami na bagażnikach. Dzisiaj na ulicach adrenaliny szukają też – wydawałoby się – dojrzali ludzie. Dużo zarabiają, kupują drogie, sportowe auta. Szukają więc miejsca, by wykorzystać w swoim samochodzie to, czego faktycznie nigdy nie można wykorzystać na publicznych drogach. Zamiast na specjalnych torach, których wbrew pozorom nie jest tak mało, wolą pokazać swoje „umiejętności" na zwykłych ulicach.

Sprawę dobrze zobrazował ubiegłoroczny materiał w programie „Uwaga" TVN. Dziennikarze weszli w środowisko amatorów nielegalnych wyścigów, biorących udział w imprezach Warsaw Street Racing. Rozdali im podarki, w których były nadajniki GPS. Niektórzy z nich mieli je przy sobie potem w samochodach. To pokazało, jak jeżdżą – 117 km/godz. na al. Niepodległości, gdzie dopuszczalna prędkość to 50 km/godz.; 123 km/godz. na ul. Modlińskiej (dopuszczalny limit – 60 km/godz.), 110 km/godz. na ul. Jagiellońskiej (limit – 60 km/godz.).

POMYSŁ ZE STOLICY

To właśnie tych ludzi na celownik wzięła polska policja. Pomysł narodził się w Warszawie. Komendant stołecznej policji pod koniec ubiegłego roku powołał pierwszą w kraju grupę SPEED. W jej skład weszli nie tylko funkcjonariusze drogówki. W grupie współpracować zaczęli też policjanci z innych komórek, m.in. z działów kryminalnych. Owszem, trudno nie zauważyć, że był to także swoistego rodzaju PR policji, która akurat nabyła nowy radiowóz. Do garnizonu trafiła bowiem wówczas kia stinger GT. Funkcjonariusze musieli jakoś pokazać, że zakup samochodu z silnikiem 3,3 V6 o mocy 370 KM i napędem na cztery koła ma sens (auto to rozpędza się do 100 km/godz. w 5,1 s, a osiąga w sumie 270 km/godz.), miał sens. Tuż przed kupnem przebąkiwano bowiem jedynie, że ten oznakowany (!) radiowóz będzie przydatny m.in. w celach reprezentacyjnych. Potem do policji w różnych komendach trafiły jeszcze nieoznakowane stingery. Jednak już nie w tak mocnych wersjach, choć i tamte rozpędzają się bardzo szybko.

Trudno też powiedzieć, że uderzenie w najszybszych na drogach nie ma sensu. Wprawdzie – jak wiadomo ze statystyk samej Komendy Głównej Policji – najwięcej wypadków wydarza się w ciągu dnia, podczas dobrej widoczności i na prostych odcinkach dróg, a nie nocami, gdy zbierają się „szybcy i wściekli", jednak ostrze grupy SPEED wymierzono nie tylko w zbiórki wieczorową porą. Specgrupa policji uderza też w jeżdżących za szybko w ciągu dnia. I są już w Polsce przykłady, jak tragicznie to się może skończyć. Tacy jak osławiony Frog mogą mieć nawet świetne umiejętności prowadzenia pojazdu, ale ich czas reakcji jako ludzi jest stały. Średnio wynosi 1 s. Do tego czas, w którym zadziała układ hamulcowy, to ok. 0,3 s. Zanim więc ktoś uderzy w pedał hamulca, jadąc 100 km/godz., i zanim ten hamulec zadziała, przejedzie prawie 40 m. A przy wyższych prędkościach? A przy mokrej nawierzchni, gdy droga hamowania jeszcze się wydłuża? Tacy kierowcy – i jest to zresztą ogólny problem kierowców w Polsce, którzy z przymrużeniem oka traktują limity ustanawiane oznakowaniem – nie dają sobie szansy na margines błędu na drodze, który nie musi powstać z ich winy.

Odbicie tego też widać w statystykach wypadków w Polsce. Wprawdzie od kilku lat najczęstszą przyczyną wypadków jest „nieustąpienie pierwszeństwa przejazdu" (co świadczy z jednej strony o braku szacunku dla znaków i sygnałów drogowych, a z drugiej może być świadectwem braku wiedzy oraz – być może – zbyt szybkiego pokonywania skrzyżowań), ale zaraz na drugim miejscu jest „niedostosowanie prędkości do warunków na drodze". Wiadomo, że policja w statystykach ten dział

eprasa.pl c850b8daf1

zaburza – nadmierna prędkość często jest tylko jednym z kilku przyczyn wypadków, trudno też jednak ten styl jazdy całkowicie ignorować. Dość dobrze problem ten zobrazował raport OECD („Speed and Crash Risk"). Badacze przyjrzeli się krajom, w których na przestrzeni dwóch dekad zmieniały się przepisy dotyczące dozwolonej prędkości (Węgry, Australia, Dania, Norwegia, Szwecja, Izrael), oraz krajom, gdzie wzmocniono automatyczne kontrole prędkości (Francja, Austria, Włochy, stan Karolina Północna w USA). Wnioski? „Wzrost średniej prędkości o 1 proc. powoduje wzrost częstotliwości występowania wypadków o ok. 2 proc., poważnych obrażeń o 3 proc. oraz wzrost liczby śmiertelnych wypadków o 4 proc." – czytamy w opracowaniu. W konkluzji raportu oszacowano, że niewłaściwa prędkość jest przyczyną od 20 do 30 proc. wszystkich śmiertelnych wypadków drogowych.

PROBLEM NARASTA

W ten bolesny problem uderzyły właśnie grupy SPEED. Sama warszawska specgrupa od początku działania za zbyt szybką jazdę odebrała już na trzy miesiące prawo jazdy ponad 2 tys. kierowców. W sumie namierzyła blisko 8 tys. jadących za szybko (dane do czerwca 2019 r.). Do tego udokumentowano ponad tysiąc innych wykroczeń kierujących. Wręczono ponad 8 tys. mandatów, a do sądów skierowano 126 spraw. Zatrzymano też blisko 400 dowodów rejestracyjnych samochodów.

Komenda Główna Policji uznała, że taka grupa sprawdza się w działaniach, więc od tych wakacji grupę SPEED ma już każda wojewódzka komenda. Efekty? W siedmiu grupach, gdzie po miesiącu podsumowano działania, policja wlepiła piratom ponad 13 tys. mandatów i ponad pięciuset kierowcom zatrzymała prawa jazdy. Sama Policja Zachodniopomorska w jeden wakacyjny miesiąc zatrzymała blisko stu kierowcom prawo jazdy za nadmierną prędkość w obszarze zabudowanym i ujawniła w sumie 1,6 tys. wykroczeń.

Funkcjonariusze z tych grup są tak czujni, że niedawno funkcjonariusz z Rybnika działający w tamtejszym SPEED zauważył na ulicy kierowcę porsche, któremu niedawno odebrał prawo jazdy. Ścigał auto przez miasto rowerem – bo akurat jechał nim do pracy – dogonił mężczyznę, zablokował mu drogę, odebrał kluczyki i przekazał w ręce mundurowych z innego patrolu.

Tymczasem wszystko wskazuje na to, że problem z przekraczaniem prędkości na polskich drogach narasta. Zaczęło się od odebrania w 2015 r. przez parlament uprawnień samorządom do używania fotoradarów, również stacjonarnych. Z późniejszych badań Instytutu Transportu Samochodowego wiadomo, że kierowcy zaczęli w miejscach zafoliowanych fotoradarów jeździć dużo szybciej (i powodować więcej wypadków). Efekt ten prawdopodobnie psychologicznie przełożył się na całą sieć dróg. Policja alarmuje, że przyłapuje coraz więcej tych, którym musi zatrzymywać prawo jazdy za pędzenie w obszarze zabudowanym. A statystyki za pierwsze sześć miesięcy tego roku wskazują, że choć liczba wypadków w Polsce spada, to ginie w nich więcej osób. Jasne jest więc, że ciężkość wypadków wzrosła. I jest wielce prawdopodobne, że ma w tym udział pozwalanie sobie na coraz szybsze przejażdżki, nie tylko w miastach. Tego już same grupy SPEED nie załatwią.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

eprasa.pl c850b8daf1

Lechów dwóch

Magdalena Wałęsa, córka Lecha Wałęsy, i radny z Gdańska Lech Kaźmierczyk, który po ślubie przyjął nazwisko żony

FOT. MACIEJ KOSYCARZ/KFP

Agnieszka Niewińska

Lech Wałęsa wydał córkę za mąż za gdańskiego radnego, który przyjął nazwisko żony i teraz też jest Lechem Wałęsą. Zmiana z pewnością pomoże mu w walce wyborczej

Uroczystość zaślubin Magdaleny Wałęsy z gdańskim radnym Lechem Kaźmierczykiem odbyła się w bazylice Mariackiej w Gdańsku w 39. rocznicę podpisania w Stoczni Gdańskiej Porozumień Sierpniowych. Na uroczystości zjawili się rodzina i przyjaciele młodej pary. Nie mogło zabraknąć i rodziców panny młodej. Były prezydent Lech Wałęsa przybył w koszulce z napisem „Konstytucja".

„BĘDĘ JUNIOREM"

O uroczystości zapewne wspomniałyby tylko tabloidy i plotkarskie portale, gdyby nie fakt, że pan młody zdecydował się na zaskakujący krok – przyjął nazwisko żony i od teraz jest… Lechem Wałęsą.

– Dostałem taką propozycję od żony, był to dla mnie zaszczyt, ponieważ darzę ogromnym szacunkiem Lecha Wałęsę, a teraz sam będę Lechem Wałęsą, tyle że juniorem. Uznaliśmy z żoną, że będzie dobrze, jeśli będziemy się tak samo nazywać, Lech Wałęsa wyraził na to zgodę – tłumaczył trójmiejskiej „Gazecie Wyborczej" nowy Lech Wałęsa. I dodał: – Podejmując decyzję, myślałem głównie o rodzinie, a nie w kategoriach politycznych czy ewentualnych korzyści z noszenia znanego nazwiska.

Niezależnie od motywacji na nazwisku Wałęsa może skorzystać. – Nie mam wątpliwości, że przyjęcie przez radnego Gdańska nazwiska Wałęsa zwiększa jego szanse wyborcze. Przypuszczam, że w następnych wyborach znajdzie się na liście PO do parlamentu i z takim imieniem i nazwiskiem będzie mógł liczyć na dobry wynik – ocenia dr Sergiusz Trzeciak, specjalista w dziedzinie wizerunku politycznego. – Decyzja o zmianie nazwiska na Wałęsa choć jest zaskakująca, to dobrze, że nastąpiła za aprobatą rodziny i właściwego Lecha Wałęsy. W przeciwnym razie wzbudzałaby dodatkowe kontrowersje – zauważa.

O tym, że dobre nazwisko kandydata to już połowa sukcesu, wiedzą wszyscy ci, którzy w partiach układają listy wyborcze. Nic więc dziwnego, że można na nich znaleźć kandydatów, którzy nazywają się tak samo jak ktoś znany albo których przynajmniej z kimś znanym można pomylić. W 2007 r. do Sejmu z 22. miejsca na opolskiej liście PO przebojem wszedł 22-letni tapicer. Głos na niego oddało 21 tys. osób. Zdecydowało najwyraźniej nazwisko, bo kandydat nazywał się Łukasz Tusk.

Z kolei w 2011 r. na listach partii PJN w Białymstoku znalazł się Jarosław Kaczyński, wówczas 36-letni przedsiębiorca i znawca branży rolniczej. „Jarosław Kaczyński startuje z list PJN" – informowały portale. Partia nawet nie kryła, że kandydat o tym samym imieniu i nazwisku co prezes PiS to „element promocyjny". – Chłopak chce wystartować. A mnie marketingowo ten pomysł bardzo się spodobał. Więc wziąłem go na listę – tłumaczył wówczas TVN Karol Tylenda, inny białostocki kandydat PJN.

W poprzednich wyborach do europarlamentu koalicja Twój Ruch-Europa Plus postawiła z kolei na Kwaśniewskich. W okręgu obejmującym Warmię, Mazury i Podlasie na listach znalazła się Jolanta Kwaśniewska – tyle że nie pierwsza dama, tylko kandydatka o tym samym imieniu i nazwisku. Na Podkarpaciu kandydatem miał być Aleksander Kwaśniewski i też nie chodziło o byłego prezydenta (ostatecznie nie kandydował, bo okazało się, że ukrył, iż był karany). Koalicja znalazła także Jacka Kwaśniewskiego, który startował w województwie kujawsko-pomorskim.

W poprzedniej kadencji Sejmu w poselskich ławach zasiadało dwóch Ziobrów – Jan Ziobro i Kazimierz Ziobro, a Zbigniew Ziobro, dzisiejszy minister sprawiedliwości, w tamtym czasie był europarlamentarzystą.

22-letni wówczas Jan Ziobro, który został wybrany z 17., przedostatniego

eprasa.pl c850b8daf1

miejsca na liście PiS w Tarnowie, nie ukrywał, że w kampanii nie powiesił żadnego plakatu. Rozdawał jedynie ulotki. – Magia nazwiska Ziobro zadziałała, choć nie jestem spokrewniony ze Zbigniewem Ziobro – mówił dziennikarzom.

ŻONY, CÓRKI, KOCHANKI

Rekord pobiła jednak partia Janusza Korwin-Mikkego. Na listach Kongresu Nowej Prawicy w wyborach europejskich w 2014 r. znalazło się aż pięć osób o nazwisku Korwin-Mikke: Janusz Korwin--Mikke, jego córka, syn i dwie synowe. Po co aż tylu? Wyjaśnił to telewizyjnym „Wiadomościom" sam ówczesny prezes Kongresu Nowej Prawicy. – Jak mój syn startował z Włocławka i mimo że nie rozwinął tam żadnego plakatu i ani razu tam nie był, dostał więcej głosów niż cała reszta, mimo iż startował z ostatniego miejsca na liście – powiedział Janusz Korwin-Mikke. Tłumaczył też, że to przez wprowadzenie parytetu na listy wyborcze trzeba brać „matki, żony, córki, kochanki z łapanki".

Doktor Sergiusz Trzeciak zwraca uwagę, że w polskiej polityce już w latach 90. wykorzystywano zbieżność imion i nazwisk. – O ile ktoś z rodziny znanego polityka decyduje się na działalność partyjną i pracuje na dobrą opinię o sobie, to w tej zbieżności nazwisk nie widzę niczego niewłaściwego. Nieetyczne jest natomiast, jeśli zbieżność nazwisk jest wykorzystywana jedynie do tego, żeby zwiększyć liczbę głosów oddanych na własną partię lub by odebrać głosy innej, wprowadzając w błąd wyborców. Pamiętam przypadek Ryszarda Bugaja startującego z list Unii Pracy. Wówczas inna partia, która zarejestrowała się jako Polska Unia Pracujących, wstawiła na listę innego Ryszarda Bugaja.

Dlaczego wciąż nabieramy się na znane nazwiska na listach wyborczych? – Jest kilka powodów, dla których nazwisko zbieżne z nazwiskiem kogoś znanego działa na wyborców. Decydują się na oddanie głosu na taką osobę, bo mylą ją ze znanym politykiem. Czasami wiedzą, że nie chodzi o znanego polityka, ale nie mają pojęcia, na kogo głosować, więc decydują się na postawienie krzyżyka przy znanym nazwisku. Chętnie też głosują na osobę spokrewnioną z kimś znanym – szanowanym profesorem, pisarzem. To np. przypadek Arkadego Fiedlera, byłego posła PO, wnuka autora „Dywizjonu 303" – wyjaśnia dr Trzeciak.

NIE TACY NAIWNI?

Okazuje się jednak, że wyborcy nie da się nabrać na samo nazwisko dwa razy. Łukasz Tusk, startując do Sejmu po raz drugi, nie uzyskał mandatu. Został jeszcze posłem w 2013 r., wchodząc na miejsce parlamentarzysty, któremu wygasł mandat. W wyborach w 2015 r. nie zdobył miejsca w Sejmie.

Także Jan Ziobro jak dotąd w Sejmie spędził tylko jedną kadencję. W 2015 r. nie dostał się do parlamentu.

W ostatnich wyborach samorządowych nie zadziałała też magia nazwiska Grobelny. Na listach komitetu „Dobro Miasta" znalazło się aż dwóch Ryszardów Grobelnych – były prezydent miasta i Ryszard F. Grobelny, przedsiębiorca i były radny PO. I choć byłemu prezydentowi miasta sondaże przedwyborcze dawały nawet 22 proc. poparcia, gdyby zechciał wrócić na stanowisko prezydenta, to ostatecznie żaden Grobelny nie dostał się do rady miasta.

Działający w Kukiz'15 Paweł Kukiz--Szczuciński, nazywany w partii „drugim Kukizem" i uchodzący za szarą eminencję, startował w tym roku w wyborach do Parlamentu Europejskiego. Bez sukcesu, ale o ten było trudno, bo Kukiz'15 nie przekroczył progu wyborczego. Paweł Kukiz-Szczuciński nie uniknął w kampanii pytań o imię i nazwisko. Tłumaczył, że Kukiz to nazwisko panieńskie jego żony, które przyjął 20 lat temu, po ślubie. Kukiz „pierwszy" już wcześniej musiał odnosić się do oskarżeń o nepotyzm. Wskazywano, że to z powodu powiązań rodzinnych „drugi Kukiz" odgrywa w jego ruchu tak dużą rolę. – Paweł Kukiz-Szczuciński jest mężem kobiety o nazwisku Kukiz. Przyjął jej nazwisko. A moje „rodzinne związki" z żoną Szczucińskiego polegają na tym, że istnieje prawdopodobieństwo, iż w XVII w. mieliśmy wspólnego przodka – wyjaśniał Kukiz „pierwszy" na Facebooku.

Fakt, że teraz w rodzinie Wałęsów jest dwóch Lechów też może się okazać trudnym doświadczeniem. W polityce może być atutem, ale też poważną przeszkodą, bo Lech Wałęsa – ten pierwszy – wzbudza wiele kontrowersji – zarówno w związku ze swoją przeszłością jak i całkiem współczesnym zachowaniem, wypowiedziami publicznymi czy osobliwą działalnością w mediach społecznościowych. Jak zwraca uwagę dr Trzeciak zbieżność imion i nazwisk jest jak miecz obosieczny. – To duże ryzyko reputacyjne. Wyobraźmy sobie nagłówki tabloidów. Jeśli przyłapią na czymś właściwego Lecha Wałęsę, to jego zachowanie będzie przypisywane radnemu Wałęsie. I na odwrót – jeśli jakieś zachowanie radnego Wałęsy wzbudzi kontrowersje będzie przypisywane byłemu prezydentowi – zwraca uwagę specjalista w dziedzinie wizerunku politycznego.

Nowy Lech Wałęsa jeszcze w lipcu pochwalił się na Facebooku zdjęciem USG dziecka, którego oczekuje z Magdaleną Wałęsą. Na razie młoda para nie zdradziła, czy jeśli będzie to syn, dostanie na imię Lech. Byłby trzecim Lechem Wałęsą w rodzinie.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

REKLAMA

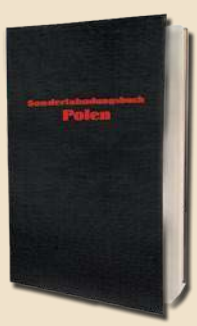

Instytut Pamięci Narodowej
zaprasza na promocję książki:

Grzegorza Bębnika *„Sonderfahndungsbuch Polen (Specjalna Księga Gończa dla Polski). Reprint"*

Udział wezmą:

dr hab.Grzegorz Bębnik
autor opracowania, Oddziałowe Biuro Badań Historycznych IPN w Katowicach

dr Marcin Przegiętka
Biuro Badań Historycznych IPN, koordynator CPB „Ziemie polskie pod okupacją 1939–1945"

dr Paweł Kosiński
Biuro Badań Historycznych IPN

INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

Prowadzenie:
dr hab. prof. UG Grzegorz Berendt

11 września (środa) 2019 r., godz. 17:30

Przystanek Historia
Centrum Edukacyjne IPN
ul. Marszałkowska 21/25, Warszawa

Patroni medialni:
TVP HISTORIA
DZIEJE.PL
książki
Rzeczy

Organizatorzy:
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ
PRZYSTANEK HISTORIA

eprasa.pl c850b8daf1

Goło i niewesoło

Piotr Gociek

Niby-komedia, niby-thriller polityczny, a tak naprawdę kinowa wersja Soku z Buraka – ot i cała „Polityka" Patryka Vegi

Reżyser zrobił film złożony z gagów, miejscami mocno żenujących

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Wchodzi Kubuś Puchatek do sklepu mięsnego, wyciąga karabin i nap…la: ratatatatatata! I wrzeszczy: »To za Prosiaczka!«". Kiedy niby-Misiewicz opowiedział z ekranu ten niby-dowcip, publika lekko się zaśmiała. Dopiero pierwszy raz, a minęło już dobre pół godziny najnowszego filmu Patryka Vegi „Polityka".

Żarcik drugiej świeżości, w dodatku nie Vega go wymyślił – to stwierdzenie jak ulał pasuje do całej produkcji, która nadaje nowe znaczenie słowu „kuriozalna". Tak jak „Kler" Wojciecha Smarzowskiego był składanką kilkunastu wątpliwej jakości antyklerykalnych dowcipów przedstawionych w formie filmowych scenek, tak i „Polityka" jest antypisowskim „the best of…" w wersjach zaczerpniętych już nawet nie z „Wyborczej", lecz wprost z mokrych rojeń najbardziej zapalczywych KOD-ziarzy.

Chwalił się zawsze Vega, jakiego to dogłębnego researchu dokonuje, jakie to sekrety ujawnia (mafii, policji, lekarzy). Teraz też opowiadał w wywiadach o dogłębnych studiach na temat tajników brudnego politycznego biznesu. Bzdura, nic z tego, to, co widzimy na ekranie, nie wykracza poza obiegową wiedzę z internetowych antypisowskich przedsięwzięć pseudosatyrycznych w stylu facebookowego profilu Sok z Buraka oraz doniesień nieprzepadających za obecną władzą mediów. Doniesień, których jednostronną optykę (to taka delikatna forma na określenie manipulacji i kłamstw) Vega bezkrytycznie przyjmuje.

Oglądałem „Politykę" w środowe popołudnie, pierwszego dnia wyświetlania, w sporym warszawskim multipleksie. Sala była zapełnienia w trzech czwartych, seanse wyznaczone co pół godziny, co jest bez wątpienia zapowiedzią weekendowych kompletów. Kiedy jednak Vega chwalić się będzie setkami tysięcy sprzedanych w premierowym tygodniu biletów, proszę pamiętać, że film na ekrany wprowadzony został

eprasa.pl c850b8daf1

właśnie w środę, kiedy to największe sieci kin oferują bilety za pół ceny.

SZEŚĆ ODSŁON

„Polityka" składa się z sześciu odsłon, które w kolejności chronologicznej pokrótce opiszę [uwaga spojler].

Pierwsza: „Pani premier". Wiejska kobiecina karmi na podwórku kury. „Taś, taś!" – woła. Biegnie do niej zaaferowany mąż. Przyszły wieści z Warszawy. Niby-Szydło, czyli filmowa Jadwiga (Ewa Kasprzyk), ma zostać premierem, twarzą dobrej zmiany. „Twarzą, nie mózgiem" – napomina ją niby-Kaczyński (Andrzej Grabowski) na odprawie w swym gabinecie. Niby-Szydło każe usunąć z sali posiedzeń rządu flagę Unii Europejskiej, bo kolor niebieski zlewa się z barwą jej garsonki, rzuca tekstami w stylu „niedzielna praca w g… się obraca", nie ma o niczym pojęcia i najchętniej obierałaby ziemniaki w kuchni. Jej mąż to ciamajdowaty safanduła (Tadeusz Chudecki), który wykrzesze z siebie nieco energii dopiero w ostatnich scenach tego rozdziału, gdy wstrętny niby-Kaczyński pozbędzie się pani premier. Wtedy to imć mąż odgraża się, że pojedzie do szefa partii i powie mu, „że z niego ch… nie prezes".

Część druga. „Pupil". To dzieje wzlotu i upadku młodego cymbała niby-Misiewicza. Arek (Antoni Królikowski) to świętoszkowaty student z Torunia, który zostaje szefem gabinetu politycznego niby-Macierewicza (Janusz Chabior). Niby-Macierewicz jest chorym psychicznie osobnikiem, który gdy czuje, że jest mu gorzej, jeździ do szpitala psychiatrycznego na elektrowstrząsy. Niby-Misiewiczowi władza uderza do głowy, czego dowodem jest wysyłanie żołnierzy po burgery, sprowadzanie do gabinetu panienek na fellatio za biurkiem, rozbijanie się po nocnych klubach i pomiatanie wojakami przy wszystkich możliwych okazjach.

Z tej części filmu dowiadujemy się także, że Ojciec Dyrektor (Zbigniew Zamachowski) uknuł szczwany plan. Zmusi nowego premiera, ksywa Bankster (Marcin Bosak w roli niby-Morawieckiego), żeby obficie dotował TV Ufam w zamian za ukrycie niewygodnych dla Bankstera afer finansowych. Elementem dealu mają być nominacje na sędziów dla studentów Ojca Dyrektora, którego uczelnia „nawet nie prowadzi wydziału prawa". Najbardziej oryginalnym wkładem scenariuszowym w ten segment filmu jest parokrotne poinformowanie widza, że niby-Misiewicz „się zes…ał". I scena imprezki narkotykowej, podczas której niby-Macierewicz obmacuje niby-Misiewicza po łydce i czyni mu inne homoseksualne awanse.

Część trzecia. „Prawdziwy romans". Tu głównymi postaciami są świętoszkowaty poseł Skiba (Zbigniew Kozłowski), pupilek Ojca Dyrektora, teoretycznie przykładny mąż i ojciec rodziny, a tak naprawdę erotoman, który wikła się w romans z Julią (Karolina Szymczak). Jednak nie seks będzie przyczyną jego upadku, lecz knowania Ojca Dyrektora, który nakazuje mu zorganizować nową partię na prawicy. Europa Christi ma być narzędziem szantażu i wyduszenia z rządzących kolejnych pieniędzy. To zaś nie uchodzi uwadze niby-Mariuszowi Kamińskiemu (Tomasz Sapryk). Pojawiający się w drugim planie minister od służb specjalnych haki ma na każdego i na polecenie Prezesa kompromituje posła Skibę.

Część czwarta. „Ojciec Dyrektor". Z niej dowiadujemy się (po raz kolejny), że właściciel TV Ufam to chciwiec bez miary, który swą miłość do pieniędzy maskuje pobożnością. A że marzy mu się „zjednoczenie Polaków" przeciw wspólnemu wrogowi, nakazuje młodej reporterce ze swej szkoły (Basia – w tej roli Anna Karczmarczyk) dokonać prowokacji. Ma przeniknąć w szeregi lewaków i nakłonić ich do zorganizowania urodzin Józefa Stalina (w czym pomaga jej towarzyszący specjalny wysłannik Ojca Dyrektora, osiłkowaty ksiądz grany przez Tomasza Oświecińskiego). Naiwne dziewczę słono zapłaci za swe wyczyny, najpierw zaćpany marychą lewak pozbawi ją dziewictwa, potem banda nazioli ją zgwałci. Co specjalnie Ojca Dyrektora nie martwi, bo jako spec od propagandy „ma już pomysł na ten gwałt".

Część piąta. „Prezes". Niby-Kaczyński wychodzi ze szpitala, gdzie operowano mu kolano. Dostaje do pomocy sympatycznego speca od fizjoterapii, który spędza w domu Prezesa długie godziny i pomaga mu wrócić do pełnej sprawności. Między Bartkiem (Maciej Stuhr) a niby-Kaczyńskim nawiązuje się nić sympatii, razem piją herbatkę i oglądają amerykańskie rodeo w telewizji. Prezes zwierza się chłopakowi, że brakuje mu brata. Ta przyjaźń jest jednak skazana na smutny koniec, bo szlachetny Bartek odkrywa, że wszystko, co Prezes mówi o Polsce i Polakach, mówi na serio, co jest dla niego nie do przyjęcia.

Część szósta. „Ale to już było". Wracamy tu do sceny z części pierwszej, kiedy to kolumna rządowa niby-Szydło staranowała auto nieszczęsnego staruszka, Stefana Drzewieckiego (Daniel Olbrychski). Policja i prokuratura na polecenie władzy preparują oskarżenia pod adresem Stefana, obwiniając go o spowodowanie wypadku. Policjanci chcieliby być uczciwi i wiedzą, jak było naprawdę, ale zwierzchnicy im zakazują. Potem pojawia się element krytyki pod adresem opozycji.

Niby-Schetyna, który tu zwie się Pacyna (Zbigniew Suszyński), proponuje Drzewieckiemu start z list opozycji. Nie tylko jest ofiarą reżimu, lecz także ma nazwisko takie samo jak minister od służb specjalnych, co ma gwarantować mu sukces. Korzyścią dla biednego nauczyciela historii, obecnie hodującego pszczoły, ma być pensja poselska oraz kasa z przekrętów kampanijnych. Zdumiony Drzewiecki dowiaduje się bowiem, że politycy żyją z przekrętów: na fakturze zapisano tysiąc plakatów, wydrukowano i wywieszono dziesięć, różnica trafia do kieszeni.

Przewodniczący Pacyna jest postacią daleko mniej złowrogą od wszechmocnego Prezesa. To zwykły cynik i geszefciarz, którego największym zmartwieniem są podkładający sobie nawzajem świnie działacze. Spragniona miejsca na listach aktywistka przynosi Pacynie kompromitujące zdjęcia swego głównego partyjnego konkurenta do „jedynki". Ten w rewanżu pokazuje szefowi wydruki e-maili, w których wspomniana pani wyraża się o Pacynie mało przychylnie.

BEZ RÓWNOWAGI

To próba wykazania przez Patryka Vegę, że jego film jest ogólnie o bagnie, jakim jest świat polityki, a nie jednostronna krytyka obecnej władzy. Ale proszę nie mieć złudzeń, nie ma tu równowagi ani jeśli chodzi o czas ekranowy, ani o ciężar zarzutów. Ciapowata chciwa opozycja, czyli niby-PO, pokazana jest może przez dziesięć minut, reszta to jazda po niby-PiS. Który to niby-PiS składa się z ludzi całkowicie niekompetentnych (niby-Szydło, niby-Misiewicz), chciwych (generalnie wszyscy), wariatów (niby-Macierewicz), uwikłanych w afery i bezdusznych (niby-Morawiecki), nadużywających władzy (ponownie – wszyscy, ze szczególnym uwzględnieniem niby-Kamińskiego). Wszystkimi zaś steruje niby-Kaczyński, cynik z nich wszystkich największy.

Ten filmowy niby-PiS ma w nosie obywateli, szarpie tylko kasę dla siebie,

eprasa.pl c850b8daf1

Vega nakręcił film dla tych, którzy i tak już uważają, że rządy PiS wyglądają tak jak w „Polityce" FOT. MATERIAŁY PRASOWE

wie, że „500 plus jest na kredyt", używa policji, prokuratury i sądów do własnych politycznych celów oraz łamie konstytucję i wprowadza dyktaturę. Argumentów uzasadniających te ostatnie oskarżenia brak, wiemy to tylko stąd, że dokądkolwiek się ruszą bohaterowie filmu, tam demonstrują przeciwnicy władzy skandujący „Kon-sty-tu-cja!" oraz „Precz z Kaczorem Dyktatorem!".

Często używam słowa „niby", bo oddaje ono najlepiej to, czym jest nowy film Patryka Vegi. Niby-komedia, bo śmiech na sali kinowej rozlega się rzadko. Najgłośniej przy scenie, kiedy po kokainie w gabinecie niby-Macierewicza ten ostatni wraz z niby-Misiewiczem pląsa w takt przeboju disco polo. Ale nawet to nie jest śmiech wywołany dobrym gagiem, tylko tym, że ludzie najwyraźniej lubią rechotać na widok znanych aktorów robiących z siebie idiotów.

Dzieło niby-demaskatorskie, a w istocie niewychodzące przecież poza przegląd fobii z Czerskiej, Wiertniczej i portali naTemat czy OKO.press. Scenariusz firmuje swoim nazwiskiem Olaf Olszewski (wcześniej napisał „Botoks" i „Kobiety mafii"). Równie dobrze mogliby być pod nim podpisani Paweł Kasprzak z Obywateli RP albo Adam Mazguła z KOD. Wtedy można byłoby dołożyć nawet: konsultacja scenariuszowa i dialogi: Franciszek Jagielski, ksywa „Farmazon". Nad wszystkim zaś unosi się duch panświnizmu znany dobrze z wypowiedzi Janusza Palikota, a wcześniej z tygodnika „NIE" Jerzego Urbana.

Jest jednak jedna rzecz, przy której dopisać „niby-" nie mogę. Powinniśmy – co prawda – być już przyzwyczajeni do tego, że Patryk Vega granice dobrego smaku zostawił już dawno za sobą, jednak w „Polityce" bije własne rekordy chamstwa i nieczułości. Co gorsza, podejrzewam, że czyni to, nawet nie zauważając, że kolejną granicę przekroczył.

Scena, w której posłowie urządzający w hotelu poselskim libację obłapiają piękną Julkę, którą poznali „na miesięcznicy smoleńskiej", jest po prostu odrażająca. To samo tyczy sugestii, że Ojciec Dyrektor nie tylko pochwala gwałcenie kobiet, lecz także nawet nie przeszkadza mu inspirowanie tegoż. Próba „uczłowieczenia potwora" dialogiem, w którym Prezes wspomina dzieciństwo i zabawy z bratem, jest obrzydliwym żerowaniem na jego nieszczęściu. Sceny, w których kaplica sejmowa jest miejscem rzucania przez posła Skibę wiązankami grubych przekleństw, są zwyczajnie wstrętne i głęboko raniące dla ludzi wierzących.

Jedyną naprawdę zabawną sceną w całej „Polityce" jest ta, kiedy ujeżdżająca w łóżku posła Skibę kochanka prosi go, by podczas seksu coś do niej mówił. Ten zaczyna od „O, jaka jesteś… piękna". „Nie!" – odpowiada Julia – „mów tak jak w Sejmie!". Wtedy poseł cudzołożnik zakłada okulary i zaczyna krzyczeć „Degeneraci, zboczeńcy!", co zwiększa jego i jego kochanki erotyczną ekstazę. Śmiejemy się nie dlatego, że to film o polskiej polityce, ale dlatego, że hipokryta zdemaskowany jest dobrym obiektem kpin.

NUDNO I NIEŚMIESZNIE

Reszta jest milczeniem. Pełnym zażenowania milczeniem. Oczywiście można by zadać Vedze kilka prostych pytań. Dlaczego szukając nieudolnej premier do obśmiania, zapomniał o Ewie Kopacz i jej posiedzeniach ciasteczkowo-herbacianych z psiapsiółkami w siedzibie rządu. Dlaczego szukając okazji do żartów polityczno-homoerotycznych, nie pamiętał o tym, że to minister Sławomir Nowak karierę zaczynał jako model męski, a jego ulubionym asystentem był Michał Klimczak, 23-latek, który nie ukończył jeszcze studiów, za to działał w partyjnej młodzieżówce. Czemu rozglądając się za księdzem hipokrytą, pominął Kazimierza Sowę, miłośnika drogich samochodów i garniturów, brylującego bez koloratki na rozmaitych imprezach towarzyskich. I tak dalej, i tym podobne. Nie ma sensu pytać, bo odpowiedź już znamy. „Dlaczego nie kontestował pan poprzedniej władzy, kiedy rządził Donald Tusk?" – chciał wiedzieć słuchacz Radia Zet, gdy Vegę przepytywała Beata Lubecka. „Widocznie wydawało mi się to wtedy nieinteresujące" – odparł Vega.

Vega niczego nie demaskuje, niczego nie ujawnia, niczym nie bawi. Nakręcił film dla tych, którzy i tak już uważają, że rządy PiS wyglądają tak jak w „Polityce". Wyszło mu przy tym dzieło zwyczajnie nieśmieszne i nudne. Pod tym względem nie jest więc „nowym Wajdą liberalno-lewicowego salonu", tylko nowym Jerzym Stuhrem, nie jako aktor rzecz jasna, lecz jako niby-autorytet moralny i jako reżyser. Bo to przecież Jerzy Stuhr nakręcił swego czasu niby-komedię polityczną „Obywatel", tak słabą i mało śmieszną, że początkowo nawet jego salonowi koledzy z PISF nie chcieli dać na nią pieniędzy.

Na sam koniec „Polityki" Vega przypomina sobie, że chciałby być też moralistą. Dlatego pokazany w ostatniej części filmu ideowy Drzewiecki, grany przez Olbrychskiego, jest głęboko zdumiony i zniesmaczony praktykami zawodowych polityków, którzy drą jego kartki z programem. Drzewiecki-Olbrychski do Sejmu się jednak dostaje i jako marszałek senior otwiera pierwsze posiedzenie nowej kadencji. W przemówieniu przypomina o konstytucji, demokracji i innych ważnych rzeczach. Vega nie jest jednak żadnym moralistą ani demaskatorem, tylko Patrykiem Vegą, więc w ostatniej scenie każe Olbrychskiemu wejść na fotel marszałka, zdjąć spodnie, odwrócić się i pokazać nam wszystkim gołą d… Trudno o dzieło, które lepiej komentowałoby się samo.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Świnia by się wyrzygała

Krzysztof Masłoń

Po ukazaniu się opowiadań „Nowa wspaniała przyszłość" salon zawył

Były czasy, że o obszernej recenzji ze swojej książki na łamach „Gazety Wyborczej" marzył każdy polski pisarz. Kto wie, może i Paweł Lisicki byłby zadowolony, gdyby doczekały się takiej niektóre jego przemilczane tytuły, nie debiutanckie wszak, bo po tym, jak Czesław Miłosz nazwał go najwybitniejszym polskim eseistą metafizycznym, sam Michnik mizdrzył się do niego, cukrując jego zgoła niepoprawne politycznie teksty i wypowiedzi. No, ale działo się to w tamtym, innym świecie.

W świecie obecnym książki Pawła Lisickiego są na Czerskiej niezauważane, po pierwsze z powodów, rzekłbym, zasadniczych. Po drugie, komu z recenzentów „GW" chciałoby się przedzierać przez zawikłane treści „Kto zabił Jezusa?", „Tajemnicy Marii Magdaleny", „Czy Jezus jest Bogiem?"?

Lisicki jednak rozpisał się (nad miarę, nad miarę, o czym potem) i nie tylko wadzi się z osobistymi wrogami Pana Boga, których jakby przybyło, ale i śmiało wkroczył w rejony political fiction w zeszłym roku „Epoką Antychrysta", całkiem niedawno zaś zbiorem sześciu opowiadań „Nowa wspaniała przyszłość", z których fragment opowiadania tytułowego opublikowaliśmy w 31/2019 numerze „Do Rzeczy". Salon zawył, co mnie o tyle dziwi, że generalnie grami i zabawami literackimi uprawianymi pod hasłem, co by było, gdyby było, niespecjalnie się przejmuję. A w „Nowej wspaniałej przyszłości" Lisicki pofantazjował sobie o tym, jak mogłaby wyglądać niedaleka przyszłość Polski po ewentualnym zwycięstwie platformersów i ich akolitów oraz przegranej Andrzeja Dudy w wyborach prezydenckich. Już z tego jednego zdania wynika, że mamy do czynienia z fikcją do sześcianu, przez autorów polemik z kręgów „GW" potraktowaną jednak zadziwiająco serio. Chociaż. oczywiście, z przynależną temu środowisku lekkością i finezją.

KLĘKAJCIE NARODY

I tak wytrawny zagończyk felietonistyki polskiej Janusz Anderman rozpoczyna swój wywód od dwóch wiadomości: dobrej i złej. „Zła: Bronisław Wildstein nie jest już najlepszym polskim pisarzem. Dobra: palmę pierwszeństwa wydarł mu inny autor z tej samej drużyny prezesa – Paweł Lisicki". Wildstein w tej sprawie akurat nie ma nic do rzeczy, ale cóż to szkodzi „Gazetowemu" prześmiewcy (?) ukłuć i jego. Na marginesie pozwoliłbym sobie na uwagę, że nie inna powieść, ale właśnie „Dolina nicości" Wildsteina – niezależnie od jej mankamentów – była jedną z najważniejszych książek pierwszej dekady obecnego stulecia. Czego w żaden sposób nie da się powiedzieć o dziełach Andermana.

Ten ostatni do niedawna przez swego krakowskiego wydawcę reklamowany był jako „jeden z najbardziej cenionych pisarzy swego pokolenia". Może i tak, tyle że swego czasu ów prozaik mocno się dziwował, że ten sam edytor na okładce mojej książki nazwał mnie „jednym z najbardziej cenionych polskich dziennikarzy". Widocznie w Wydawnictwie Literackim spodobała się ta fraza, skądinąd powielana potem w wielu materiałach informacyjnych. Anderman był innego zdania na temat mojej skromnej osoby – jego prawo, nie będę się rewanżował, zwłaszcza że we wdzięcznej pamięci przechowałem fragmenty jego debiutanckiej „Zabawy w głuchy telefon" i – Bóg raczy wiedzieć, dlaczego ochrzczonej „kultową" – krótkiej, a smakowitej „Gry na zwłokę", z której najbardziej podobało mi się zdecydowane stwierdzenie: „Nima chuja we wsi" i poetyckie wezwanie: „Ułani! do ułan bator". Od wydania „Gry…" minęło 40 lat, od „Zabawy…" – 43. Autor z lekka zezgredział, ale i doczekał się zupełnie nowej prezentacji, bo już w „Łańcuchu czystych serc" z 2012 r. staje się „jednym z najbardziej cenionych pisarzy współczesnych", a na okładce „mistrzem krótkiej formy" i autorem „genialnych opowiadań, dla których krytycy nie znajdują porównania w polskiej literaturze". A gdyby ktoś był ciekawy, to „The Philadelphia Inquirer" – klękajcie narody! – zaręcza, że jest Anderman „krwistym polemistą, obdarowanym poczuciem absurdalnego humoru i umiejętnością kreślenia surrealistycznego portretu".

Tymczasem Lisicki, o którego talentach „The Philadelphia Inquirer" milczy, w opowiadaniu „Nowa wspaniała przyszłość" śmiał umieścić pod znaczącymi, a kpiącymi pseudonimami takie tuzy polityki polskiej jak nowy prezydent Mrówa i premier Schit, co słynącemu z dobrych manier autorowi „Gry na zwłokę" bardzo się nie podoba. Także i to, że nawet abp. Żbikowi się dostało, o czym donosi wyraźnie zniesmaczony wytrawny obrońca Kościoła z „Gazety Wyborczej", tak zasłużonej w dziele ewangelizacyjnym. Wreszcie żeby już do reszty pognębić adwersarza, z wyraźną satysfakcją podaje nakład „Do Rzeczy", który – jak powszechnie wiadomo – maleje, w przeciwieństwie do „Gazety Wyborczej", po którą sięgają miliony, skuszone oczywiście tekstami Andermana czy Vargi.

ARMATY POD SOMOSIERRĄ

Właśnie Krzysztof Varga również poczuł się dotknięty pesymistycznymi wizjami Lisickiego, w których m.in. na Krakowskim Przedmieściu powstanie pomnik hańby narodu polskiego, władze za Holokaust

eprasa.pl c850b8daf1

przepraszać będą na okrągło i nawet kultura służyć będzie plugawieniu obywateli. Że to przesada przynależna gatunkowi – to jasne, ale że dokonania wielu naszych twórców są plugawe już teraz, to jest oczywiste jeszcze bardziej.

Varga naśmiewa się z erotyki w opowiadaniach Lisickiego, u którego – zdaniem autora dzieła „Chłopaki nie płaczą" – „kobieta to diablica na usługach lewackich dogmatyków, która mężczyznę zamienia w »merdającego pieska«". O co tu chodzi, dalibóg, nie wiem, bardziej zrozumiałe jest zdanie, jakoby Vargę do prozy prawicowo-katolickiej ciągnęły najbardziej „wątki erotyczne, zespolenie męsko-damskie nieodmiennie nosi tu bowiem znamiona niepohamowanego szaleństwa, nierzadko sprowadza się do zwierzęcego zrywania ubrań i tarzania się po podłodze. Nie inaczej jest w »Nowej wspaniałej przyszłości« Pawła Lisickiego".

Ano sprawdziłem: „[…] zostawiła uchylone drzwi. Po krótkiej chwili rzucił się za nią, nie mógł się opanować. Chwycił ją, przewrócił na podłogę, w pośpiechu zrywał z niej ubranie, zachowywał się jak dzikus, jak szaleniec, jak ktoś, kto zaraz umrze z pragnienia. W ciemnościach przetaczali się po podłodze, w pewnej chwili wymknęła mu się i znaleźli się na łóżku".

I to wszystko. Jak się ma ten pruderyjny wręcz opis harców męsko-damskich do wspaniałej sceny dotyczącej wyuzdanego seksu oralnego z opowiadania „Święto Zmarłych" z tomu „Egzorcyzmy księdza Wojciecha", oczywiście mistrza polskiej prozy, Krzysztofa Vargi? Albo do fragmentu „Całego czasu" Janusza Andermana:

„– Możesz się teraz częściowo zrehabilitować. Chodź tutaj – wstawał i za włosy przyciągał do siebie jej głowę – bierz szamana do dzioba, może ci nie odmówi, jak będzie w dobrym nastroju.

A ona opadała na kolana, rozpinała mu spodnie i pochlipując, zabierała się do wytrwałej pracy. A.Z. czuł ciepło jej kapiących łez. Lubił te łzy i lubił ją upokarzać, choć czasem myślał, że może ona w takich chwilach wcale nie czuje się upokorzona.

– Kocham tego zaganiacza… – mówiła zdyszana i przerywała na moment, podnosiła w górę załzawione oczy. – Czarodzieja…

Dalej! – szepnął i mocniej ściskał w garści kłąb jej włosów. – Dalej, rumuńska lejo! – popędzał".

PIERŚCIEŃ BISKUPI

Anderman poza miłością zwaną francuską poleca również seks na parapecie i stosunek w kaftanie bezpieczeństwa. Varga zajmuje się miłością bardziej wysublimowaną, nie dość bowiem, że homoseksualną, to jeszcze księżowską. Taki to autor na czasie!

„Biskup przyciągnął go do siebie i położył mu rękę na kolanie – czytamy w opowiadaniu »Egzorcyzmy księdza Wojciecha« z tomu pod tym samym tytułem. – Drogi Wojciechu – zaczął ojcowskim głosem zapewne mimowolnie masując okrężnym ruchem dłoni kolano egzorcysty. – Diabeł uderza tam, gdzie widzi słabość, gdzie znajduje podatny grunt dla swej niecnej działalności, ale stara się także zaatakować w miejscu, w którym znajduje wzmożony opór, albowiem ów opór go rozwścieczа. Zatem widząc, że Kościół i wierni zwierają szyki, wzmacniają swą armię, zwiększają liczbę księży egzorcystów, tak jak ja to uczyniłem w naszej diecezji, chętniej i zajadlej knuje i stara się nas pokonać.

[…] Ksiądz biskup przestał masować kolano księdza Wojciecha, ale za to klepnął go mocno w udo […].

– Bóg zapłać! – krzyknął ksiądz Wojciech z emfazą i rzucił się, aby w przyklęku pierścień biskupi całować, wzniecając przy tym połami sutanny małą chmurę piasku na parkowej alejce, co sprawiło, że biskup musiał odwrócić głowę i zmrużyć zachłanne oczy, kładąc drugą dłoń na głowie Wojciecha i głaszcząc go po włosach.

Wojciech klęczący przed przełożonym w pozie pełnego oddania nie mógł zauważyć, że oczy księdza biskupa zachodzą mgłą, a potem nagle ciemnieją, czernieją wręcz, nie są już więc tak jasne, jak były wcześniej, zupełnie zmieniają barwę, a nawet jakby kształt. Wojciech zaś całował wciąż pierścień i rękę biskupa, wpił się ustami w tę miękką ciepłą dłoń, tak przyjazną, opiekuńczą, a ksiądz biskup głaskał go po głowie ręką drugą powoli, pieszczotliwie, lekko mierzwiąc mu włosy, i obu było tak dobrze, jak nigdy wcześniej".

POSTACI Z PIEKŁA RODEM

Boh trojcu lubit' – zatem pozostaje jeszcze przyjrzeć się wypracowaniu trzeciego krytyka inkryminowanej książki, a właściwie opowiadania, bo – jak się zdaje – wyłącznie Varga przeczytał inne opowiadania poza tym drukowanym w „Do Rzeczy". Marcin Sendecki ograniczył się do mrożącej krew w żyłach historii prezydenta Mrówy, premiera Schita, abp. Żbika i jeszcze kilku postaci z polskiego piekła rodem. Trzeci mędrzec, bardzo zadowolony z siebie, przyłapuje Lisickiego na tym, że skoro wszyscy przedstawieni przez niego antypisowcy są tak straszni, to jakim cudem będą mogli wygrać wybory, i te w tym roku – do Sejmu, i w przyszłym – prezydenckie. Odpowiedziałbym, że nie takie cuda się już zdarzały – i nad urną, i obok niej, że sama nazwa „political fiction" wskazuje, że z rzeczywistością cała ta historia ma niewiele wspólnego, bo w końcu z Pawła Lisickiego też prorok jest taki sobie – w „Nowej wspaniałej przyszło-

eprasa.pl c850b8daf1

ści" nie zdążył jeszcze w roli przyszłej pani premier obsadzić Małgorzaty Kidawy-Błońskiej.

Redaktor naczelny „Do Rzeczy" wyraźnie się jednak rozpisał, niewykluczone więc, że i nową kandydatkę Koalicji Obywatelskiej na premiera uwzględni w jakiejś swojej nowej prozie. Z aktywności pisarskiej Lisickiego szydzi Varga, jak wiadomo – autor zaledwie 18 tomów prozy, po które rzesze czytelników ustawiają się w kolejkach jak Polska długa i szeroka, a kuszą ich rekomendacje Muńka Staszczyka, konsekwentnie uważającego swego kolegę za najwybitniejszego prozaika, którego kiedykolwiek nosiła ziemia polska. W zdaniu tym jest wszakże odosobniony, ale to nie szkodzi.

Po wynurzeniach Andermana, Vargi i Sendeckiego książki Pawła Lisickiego należałoby spalić, bo też zasługują jedynie na unicestwienie, a w najlepszym razie na postawienie na półce z taką, powiedzmy, „Pierwszą dekadą" Magdy Cień, drukowaną zaraz po końcu komunizmu w „Trybunie Ludu" i „Nie". Za to złotymi literami w dziejach literatury polskiej wyryć należy stosowne fragmenty z dzieł naszych prawdziwych mistrzów, na przykład: nieodżałowanej pamięci Janusza Głowackiego, Eustachego Rylskiego, Jacka Dehnela.

Przypomnijmy tylko, że ten pierwszy w swej ostatniej książce „Bezsenność w czasie karnawału" z wdziękiem cytował tak popularne dwuwiersze jak: „Cała Polska śpiewa z nami, wypierdalać z uchodźcami" czy „Dziś są Żydów imieniny, niech się palą skurwysyny". A patrząc na to, co się dzieje na Krakowskim Przedmieściu (i nie tylko tam), narrator dochodzi do wniosku, sparafrazowanego następnie przez Leszka Jażdżewskiego, że „nawet świnia by się wyrzygała".

Drugi z wymienionych snuje dla Kościoła taką wizję: „Odwieczna opoka narodu w czasach przełomów, między jedną narodową grandą a drugą, skruszała w tempie, jakie powinno zaniepokoić, gdyby to nie było poza jej zasięgiem. Obywatele niereligijni od wieków, dalecy od Boga na co dzień i bliscy mu od święta w sposób, jakiego najłaskawszy Bóg nie zaakceptuje, realizujący swoje metafizyczne iluzje w pogańskich rytuałach, przysposobili kapłanów do swoich wyobrażeń o transcendencji, czyniąc z nich szamanów plemiennej sprawy tak trywialnej, płytkiej, prostackiej, że cały Kościół narodowy wraz z, pożal się Boże, hierarchami został przez podążający w przeciwnym kierunku Rzym ekskomunikowany".

Trzeci pisarz, któremu niedawno poświęciłem na tych łamach więcej miejsca, wsławił się porównaniem w swej powieści „Ale z naszymi umarłymi" prezydenta RP do „cwaniaczka z remizy" obdarzonego „głupawym uśmieszkiem".

WIELKIE ŚWIĘTO ŚMIERCI

To wszystko – w przeciwieństwie do prozy Lisickiego – jest literaturą piękną, mądrą i wartościową. Przywołam tu jeszcze jednego bohatera Vargi, z „Masakry", który lubił spacerować po Saskiej Kępie, „po tutejszych uliczkach, które nazywały się Zwycięzców, Obrońców, Walecznych, jakby w tym podłym mieście na każdym kroku trzeba było, choćby niebezpośrednio, przypominać o bohaterstwie nieżywych ludzi, o minionych dniach chwały, po których nie został kamień na kamieniu, a jeno sterty kości". W ogóle spacery po Warszawie są kształcące: „Doszedł już do ronda de Gaulle'a, po lewej miał pomnik francuskiego generała, a po prawej pomnik poległego partyzanta leżącego na kolanach kobiety, polską Pietę, którą to rzeźbę nazywali kiedyś, w czasach jeszcze studenckich, »Zgwałconym«. Historia gwałciła tu bowiem ludzi od urodzenia, molestowała od dziecka, historia w tym kraju uprawiała pedofilię, zostawiała po sobie całe zrujnowane pokolenia skrzywionych dzieci, które już jako dorośli wciąż nie mogły się pozbyć traumy, nieustannie drapały się po swędzącej skórze i zrywały strupy, by rany się nie zagoiły".

I już na sam koniec dialog z tej samej powieści: „Doktor upił łyk ginu i powiedział: – Słyszeliście, panowie, że ma przez miasto dziś w nocy jechać Wrak?

– Wrak? Jaki wrak? – zdziwił się Stefan, sam był wszak wrakiem człowieka chodzącym po mieście, wrakiem wyciągniętym z odmętów, z mrocznej głębi, w której trwał bez świadomości przez ostatnie dni, wrakiem rdzewiejącym na dnie wyschniętego morza, wrakiem wyrzuconym na brzeg jak zdechły wieloryb.

[...] – Wrak samolotu. Wrak prezydencki, smoleński Wrak – wyjaśnił Doktor. – Nocą ma dojechać na Krakowskie Przedmieście pod Pałac Prezydencki i tam pozostać, aby być adorowanym. Najprawdopodobniej będzie najpierw poświęcony przez metropolitę warszawskiego, a może nawet przez samego prymasa, to nie jest jasne. W każdym razie poświęcony Wrak osiądzie przed Pałacem, gdzie ma zostać już na zawsze. Nie wiadomo jednak do końca, czy w roli pomnika czy na przykład ołtarza, przy którym będą się odbywały nabożeństwa. [...] ... zgon ma tutaj większe znaczenie niż gdziekolwiek indziej, o czym należy pamiętać. Polska śmierć jest lepsza i ważniejsza niż każda inna śmierć. Mamy najlepszy na świecie bigos, najlepszy żurek, a także najlepszą na świecie śmierć. Dziś więc, kiedy Wrak będzie jechał przez miasto, będziemy mieli wielkie święto śmierci – zakończył".

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

WIESŁAW CHEŁMINIAK

PRAWDA CZASU, MAGIA EKRANU

Naprzód, Frajerzy!

Dlaczego dorośli boją się bardziej niż dzieci? Bo wydaje im się, że mają więcej do stracenia. Pokrzepieni tym odkryciem zasiądźmy przed ekranem, by po dwuletniej przerwie znów doświadczyć cudu w postaci udanego przekładu sztandarowego dzieła Stephena Kinga na język filmu. „To" w wersji oryginalnej jest okrutnie opasłym tomiszczem, więc rozwalmy się wygodnie w fotelu. Razem z reklamami seans będzie trwał bite trzy godziny.

Liczmy się z tym, że większość pomysłów wyda się nam dziwnie znajoma. No cóż, od premiery książki minęły już 33 lata: mniej i bardziej zdolni naśladowcy króla horroru zdążyli ją po wielokroć splagiatować. Senne miasteczko zmieniające się w piekło na ziemi, koszmary śnione na jawie, czołowe zderzenia z hipokryzją i patologią świata dorosłych, traumy wyparte z pamięci – witajcie w stanie Maine!

Zło, czyhające w kanałach Derry, znów daje znać o sobie. Tymczasem niegdysiejsi pogromcy Tańczącego Klauna obrośli w piórka. Bill Jąkała zbił fortunę, pisząc powieści o potworach, po czym ruszył na podbój Hollywood. Wieść, że muszą wrócić, by dotrzymać dziecięcej przysięgi („Frajerzy trzymają się razem"), spada na nich jak grom z jasnego nieba. Znów zapłoną trupie światełka, zaś szkolny oprawca Henry Bowers, aktualnie pensjonariusz zakładu dla obłąkanych, usłyszy znajomy głos nakazujący dokończyć dzieło rozpoczęte przed 27 laty.

Nie samą grozą człowiek żyje, więc adaptatorzy sięgnęli po sprawdzoną broń – autoironię. Bill pracuje dla Warner Bros. (czyli studia, które „To" wyprodukowało), gdzie ma opinię autora psującego zakończenia. Identyczny zarzut formułowano niegdyś wobec Kinga, który pojawia się w epizodzie jako… handlarz starzyzną. Filmowcy skorygowali niektóre koncepty mistrza. Z radiowego prezentera zrobili stand-upera, z kierowcy limuzyn – speca od ubezpieczeń.

Przemoc balansuje tu na granicy groteski, obsada na granicy doskonałości, natomiast wątki obyczajowe potraktowano śmiertelnie poważnie. Różnica między tym, co można było napisać w roku 1986, a co wypada pokazać w roku 2019, jest znamienna. King płynął w głównym, freudowskim nurcie. Dzisiaj LGBT i przemoc w rodzinie to w Hollywood tematy wręcz pożądane. Niecenzuralne pozostało wszystko, co zahacza o pedofilię. Idę o zakład, że nawet w zapowiadanej reżyserskiej wersji filmu nie znajdzie się książkowa scena seksu 11-latków.

Pod kostiumem horroru kryje się opowieść o definitywnym pożegnaniu z dzieciństwem. Żaden z Frajerów nie zapuści korzeni w Derry, wyjeżdżających pożegna napis: „Dzięki za miłe wspomnienia". Bez sensu, bo i tak wszystko – dobre i złe – zapomną. ©℗

★★★★☆☆

REŻ. ANDRES MUSCHIETTI
„TO: ROZDZIAŁ 2" („IT: CHAPTER TWO")
USA 2019

wyst. James McAvoy, Jessica Chastain, Jay Ryan

KINOWA PREMIERA TYGODNIA: „PIŁSUDSKI"

Jedna z dwóch najbardziej wyczekiwanych historycznych premier roku (drugą są „Legiony" Dariusza Gajewskiego – premiera tydzień później). Reżyseria – Michał Rosa (m.in. seriale „Bodo" czy „Czas honoru", filmy „Farba" czy „Rysa"). W roli głównej Borys Szyc, którego czeka aktorski pojedynek korespondencyjny, bo ojca polskiej niepodległości w serialu „Ziuk" kreuje przecież ktoś inny – Grzegorz Otrębski. Twórcy filmu opowiadają o wcześniejszej działalności Józefa Piłsudskiego (lata 1901–1914). ©℗ *Piotr Gociek*

- ***„Piłsudski", reż. Michał Rosa, wyst. Borys Szyc, Magdalena Boczarska, Jan Marczewski, Polska 2019***

NA EKRANY WCHODZĄ TAKŻE:

- ***„Downton Abbey", reż. Michael Engler, Wielka Brytania 2019***
- ***„Niezbędna konieczność", reż. Erwan Le Duc, Francja 2019***
- ***„Głos Pana", reż. György Pálfi, Węgry/Francja/Kanada 2018***
- ***„Wyprawa Magellana", reż. Ángel Alonso, Hiszpania 2019***

eprasa.pl c850b8daf1

Gorzki smak ajranu

Turcja przeżywa potężny kryzys tożsamości, a Emin Alper ucieka w krainę baśni. Trudno bowiem uwierzyć, by gdzieś w Anatolii uchowała się wieś, do której nie dociera sygnał telewizji satelitarnej i telefonii komórkowej. Ba! W górskiej osadzie, zrodzonej w wyobraźni stambulskiego reżysera z dyplomem historyka, nie ma nawet meczetu!

Panuje tu marazm gorszy niż w dramatach Czechowa. Mężczyźni sączą rakiję i narzekają. Pracy nie ma. Była kopalnia, ale zostały po niej tylko biedaszyby. W okolicach grasują bandyci i złodzieje owiec, jedyna droga łącząca ze światem często jest nieprzejezdna, zaś kobiety robią się coraz bardziej krnąbrne i bezużyteczne. Sekvet, którego Allah pobłogosławił samymi córkami, zgodnie z obyczajem oddał je na służbę do miasta. Wróciły na tarczy: najstarsza z powodu ciąży, średnia za sprawą niewyparzonego języka. Najmłodsza miała po prostu pecha – umarł dzieciak, którym się zajmowała.

★★★★☆☆

REŻ. EMIN ALPER
„OPOWIEŚĆ O TRZECH SIOSTRACH"
GRECJA/ HOLANDIA/ NIEMCY/TURCJA 2018

wyst. Cemre Ebuzziya, Ece Yüksel, Helin Kandemir

Prawie wszyscy, nawet mało rozgarnięty zięć Sekveta, marzą o ucieczce. Jak na ironię, wioska jest wspaniale położona, widoki wręcz zapierają dech. Oprócz gości z nizin potrafi to jednak docenić tylko miejscowa wariatka. Ludzie uważani powszechnie za idiotów czasem widzą więcej i lepiej niż normalni. Jednak to już nie Czechow, tylko Dostojewski. ©℗

Wiesław Chełminiak

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

FRANCUSKA ROBOTA

★★★★☆☆

REŻ. ANTONIN BAUDRY
„WILCZE ECHA"
FRANCJA 2019, KINO ŚWIAT

wyst. François Civil, Omar Sy, Mathieu Kassovitz

Czas akcji? Niedaleka przyszłość. Miejsce? Morza wokół Europy, pod których powierzchnią operują francuskie okręty podwodne. Świat stoi na krawędzi wojny. Rosyjskie dywizje wkraczają do Finlandii, irańska flota poluje na zachodnie jednostki u wybrzeży Syrii. Palce na atomowych guzikach zaczynają niektórych mocno świerzbić. Główny bohater, obdarzony słuchem absolutnym operator sonaru, zalicza wpadkę podczas ważnej misji podwodnej – nie potrafi właściwie rozpoznać zagrożenia. Odsunięty od rejsów rozpoczyna prywatne śledztwo. Tymczasem świat staje na krawędzi zagłady. „Wilcze echa" to zaskakująco dobry thriller, zwłaszcza w pierwszej części. Nieco mniej emocjonujący wtedy, gdy reżyser za bardzo kopiuje „Polowanie na »Czerwony Październik«". Całość skąpana jest w dyskretnej francuskiej propagandzie (w chwili zagrożenia USA są bezczynne, za to Francja broni „idei Europy", czymkolwiek ona jest). Dla uważnych: spójrzcie, w jakim kontekście na mapie pojawi się Polska. ©℗

SPRAWĘ PROWADZI DUŃCZYK

★★★☆☆☆

REŻ. BRIAN DE PALMA
„DOMINO"
DANIA 2019, DASAN

wyst. Nikolaj Coster-Waldau, Carice van Houten, Guy Pearce

Brian De Palma, uczeń i admirator Hitchcocka, powraca thrillerem „Domino". Równie stylowym jak jego dawne dokonania, ale na tle współczesnych produkcji robiącym wrażenie staroświeckiego. Co jest w moich oczach komplementem. De Palma to wciąż mistrz, wie, jak budować napięcie, wie, jak opowiadać kamerą, i stawia na ciekawych aktorów. W „Domino" główną rolę zagrał Nikolaj Coster-Waldau (Jamie Lannister z „Gry o tron"). Kopenhaski gliniarz próbuje rozwikłać zagadkę śmierci partnera, rzecz rozgrywa się współcześnie i związana jest z koszmarem islamskiego terroryzmu. To nie jest w pełni udany film, były kłopoty z budżetem i postprodukcją, jednak miłośnicy kina znajdą w nim wiele rzeczy godnych uwagi i powolnego smakowania. Dawne filmy De Palmy oferowały co prawda bardziej zaskakujące zwroty akcji, ale tu wińmy nie reżysera, lecz scenariusz Pettera Skavlana. ©℗

recenzuje Piotr Gociek

GRA TYGODNIA: „HUNT: SHOWDOWN"

★★★★★☆

Studio Crytek znane jest głównie z serii prostych, acz efektownych strzelanek „Far Cry" – stworzonych na opracowanym przez firmę silniku graficznym. Teraz przyszła pora na coś więcej. „Hunt: Showdown" to produkcja ambitniejsza oraz stawiająca na sieciowy aspekt rozgrywki. Akcja została umiejscowiona w XIX-wiecznej Luizjanie, którą nawiedzają mityczne kreatury z piekła rodem. Zadaniem – solo lub w pięcioosobowych zespołach – jest upolowanie jak największej liczby potworów i ucieczka z tego świata w jednym kawałku. Elementy survivalu oraz świetna grafika pomagają wczuć się w mroczny klimat. ©℗

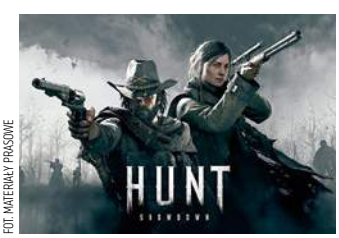

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Marcin Makowski

- ***Gatunek:*** *FPS*
- ***Platforma:*** *PC/PS4/XONE*
- ***Producent, dystrybutor:*** *Crytek/CDP*
- ***Klasyfikacja PEGI:*** *18+*

eprasa.pl c850b8daf1

KRZYSZTOF MASŁOŃ

MOJA PÓŁKA

Dziesiąta muza po sowiecku

Jeszcze jedne opowieści galicyjskie sprokurował Jurij Andruchowycz, kiedyś uchodzący u nas za ukraiński odpowiednik Stasiuka, od dłuższego czasu szczęśliwie wiodący samodzielny byt literacki, w którym zawsze nie bez znaczenia było miejsce urodzenia pisarza w roku 1960: Stanisławów, Iwano-Frankowskiem zwany i za Sowietów, i obecnie.

W Stanisławowie właśnie, i w jego okolicach, toczy się akcja „Kochanków Justycji", której poszczególne części dzieją się od wieku XVII do XX. A bohaterami ich są rozmaici rozbójnicy, przestępcy i złoczyńcy, którzy dając się porwać niepowszednim namiętnościom, popełniają równie niezwykłe czyny, niestety także zbrodnie. Dużo w tej książce postmodernistycznych gierek z formą i stylem, niekiedy – choć temat, generalnie, ponury – zabawnych. Osobiście urzekła mnie łotrzykowska opowieść o Felusiu, królu światka przestępczego przedwojennego Stanisławowa, i jego miłości do dziesiątej muzy, które to uczucie dzielił z nim, niestety, kapitan sowieckiej służby bezpieczeństwa państwowego, niejaki Altajew (Altman).

Jednak najpierw słów kilka o Felusiu, królu miasta, mieszkańcu proletariackiej Górki. Żył – jak to mówią nasi wschodni sąsiedzi – z rekietu, hazardu, prostytucji, no ze wszystkiego, z czego można było wyciągnąć pieniądze. Zakochany w kinie fizycznie naśladował Douglasa Fairbanksa, choć kolczyk w lewym uchu zaczął nosić dopiero po wejściu na ekrany „Prywatnego życia Don Juana".

Po zajęciu przez Sowietów miasta we wrześniu 1939 r. szybko się okazało, że i dla nich, podobnie jak dla miejscowych, najważniejszą ze wszystkich sztuk było kino. „A za najlepsze

FOT. FORUM

na świecie – czytamy – uważali swoje własne. Nawet więc nie zamierzali pozwalać na jakieś inne".

I oto „wszystko, co zachodnie, natychmiast zostało wykluczone i zabronione. Zamiast Mary Pickford, Marleny Dietrich czy polskiej Ordonki – niekończąca się Lubow Orłowa. Zamiast powszechnie ulubionych westernów – »Czapajew« i »Człowiek z karabinem«. Zamiast sympatycznych i atrakcyjnych gangsterów i złodziei z Bagdadu – partyjni sekretarze. Zamiast Doktora Mabuse i Doktora Caligari – Włodzimierz Iljicz Uljanow, Lenin".

W pierwszym roku okupacji sowieckie filmy zaopatrywano jeszcze w polskie napisy. „Zdążono pokazać »Delegata floty«, »Bogatą narzeczoną« i »Wołgę, Wołgę«. Dwa ostatnie filmy miały być komediami, chociaż publiczność najbardziej zrywała boki ze śmiechu na tym pierwszym".

Felusiowi i jego ferajnie tak zasadnicze zmiany w repertuarze filmowym nie mogły się spodobać. Prędzej czy później musiało dojść do otwartego konfliktu i taki nastąpił podczas projekcji obrazu Iwana Pyrjewa „Górą dziewczęta" („Traktorzyści"). Była to „radosna i ogólnie średnio śmieszna komedyjka o tym, jak, proszę bardzo, wspaniale się żyje i swobodnie oddycha chłopom z południowoukraińskich stepów po tym, jak w ciągu jednej zimy zrobiło się ich o kilka milionów mniej. Tę ostatnią okoliczność film, rzez jasna, pomijał milczeniem, ale tutejsi widzowie od dawna wiedzieli, co i jak z tym Wielkim Głodem na tak samo wielkiej Ukrainie".

Obecny na seansie kapitan bezpieki „Traktorzystów" widział po raz czwarty i podobali mu się coraz bardziej, wprost proporcjonalnie do uwielbienia przez niego aktorki Mariny Ładyniny. Bardzo mu się za to nie spodobały okrzyki i gwizdy towarzyszące pojawieniu się na ekranie traktorów wypełniających step po horyzont. Ale kiedy wrzasnął ze swego miejsca: „Priekratit" albo „Otstawit'", król Feluś równie głośno odpowiedział: „Precz z kołchozami!". Następnie ferajna Felusia zaczęła rzucać nożami w stronę kinowego ekranu. „Trafiały w niebo, w stepowe pola, w kabiny traktorów, w piersi Mariny Ładyniny, grającej seksowną i powabną przodownicę pracy Marianę Bażan". Po tym wystąpieniu stanisławowscy miłośnicy dziesiątej muzy wstali z miejsc i udali się do wyjścia, gdzie jednak – jakżeby inaczej! – czekały już na nich dwa oddziały milicji, „z sierżantami Burłakiem i Kowtunem na czele. To byli prawdziwi zabójcy z pięściami jak głazy i szczękami buldogów, swego czasu sprawdzeni w niejednym boju z kułakami, basmaczami i Finami. Zablokowali obydwa wyjścia".

Wysłuchali więc jeszcze „Marsza sowieckich czołgistów" i już niebawem zostali przetransportowani na Syberię, gdzie „wyciągnęli spuchnięte nogi na dalekim wyrębie lasów". Czy wszyscy? Nie, Felusia los potoczył się inaczej. Jak? Bez przesady, niech przeczytają Państwo sami. ©℗

★★★☆☆☆

JURIJ ANDRUCHOWYCZ „KOCHANKOWIE JUSTYCJI. POWIEŚĆ PARAHISTORYCZNA W OŚMIU I PÓŁ ODCINKACH"
WARSTWY 2019

eprasa.pl c850b8daf1

PIOTR GOCIEK

POCZYTANKI

Wiatr od morza

Bardzo chciałem, żeby to była dobra książka. Kibicuję Annie Kańtoch od dawna, choć nie aż z takim entuzjazmem jak Łukasz Orbitowski, który głosi, że to najlepsza polska pisarka, w dodatku lepsza od Stephena Kinga. Prawda jest taka, że proza Kańtoch wybija się ponad przeciętność. Jej cykl „Przedksiężycowi" to jedno z najoryginalniejszych dzieł polskiej fantastyki. „Czarne" to powieść niezwykła.

Od kilku lat Anna Kańtoch próbuje swych sił w kryminale, nie wiem, na ile z potrzeby serca, na ile za namową wydawcy. „Pokuta" to opowieść, której akcja rozgrywa się za czasów PRL w niewielkiej miejscowości nad Bałtykiem. Jest już po sezonie, turyści wyjechali, mnożą się za to zagadki. Pewnej nocy do lokalnego milicjanta zgłasza się osobnik twierdzący, że jest seryjnym mordercą. W tym czasie trwa śledztwo w sprawie zabójstwa młodej dziewczyny. A co, jeśli naprawdę ofiar jest więcej?

Postępy dochodzenia poznajemy dzięki wspomnianemu milicjantowi oraz zaprzyjaźnionemu z nim lekarzowi. Przewodnikiem po lokalnej społeczności jest zahukana nastolatka, która ma własny powód, by dociekać, co przydarzyło się ofierze. Pola to najbardziej udana kreacja w powieści, drugą jest jej zaborcza matka. Anna Kańtoch potrafi budować intrygujące kobiece postacie. One są zresztą w „Pokucie" najciekawsze. Cóż jednak z kryminałem?

Są tu zaskakujące elementy, ale warstwa kryminalna nie składa się z warstwą obyczajową. To zresztą mankament wielu polskich kryminałów. Może z powodu żądań wydawców, którzy wolą zamiast prozy obyczajowej rzucać na rynek kryminały, więc naciskają autorów: dołóż tu jakiegoś trupa i ekipę śledczą? W „Pokucie" świetne są klimat i wspomniane bohaterki, milicjant już wydaje się papierowy. Raził mnie brak poważnej części ówczesnej rzeczywistości – polityki. A przecież w 1986 r. o niczym innym nie rozmawiano, nawet w najmniejszych miejscowościach. Tematami rozmów były wieczorne doniesienia komunistycznego dziennika, kościelne kazania, plotki o tym, co w solidarnościowym podziemiu, i o tym, co tam kombinują ruski niedźwiedź oraz Ronald Reagan. Kamyczek do konstrukcji intrygi kryminalnej: krzyżyk na szyi młodego Polaka nie był w owych czasach żadną sensacją.

Myślę, że Anna Kańtoch wciąż szuka swego miejsca w polskiej literaturze, sprawdza rozmaite konwencje, czasem wychodzi jej to lepiej, czasem gorzej. Z kryminałów najlepiej wyszła jej moim zdaniem „Łaska". „Pokutę" mam za przedsięwzięcie bardzo nierówne. Ale i tak nie mogę się doczekać, co autorka zrobi dalej. ©℗

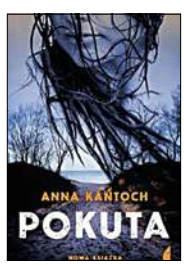

★★★★☆

ANNA KAŃTOCH „POKUTA" CZARNE 2019

NOWOŚCI KSIĄŻKOWE

Telewizyjne kontrakty, wielkie inwestycje i ambicje, fortuny bogaczy z USA, Rosji i krajów arabskich – wszystko to stworzyło potęgę brytyjskiej Premier League. Pasjonująca opowieść o pieniądzach, futbolu i... pieniądzach.

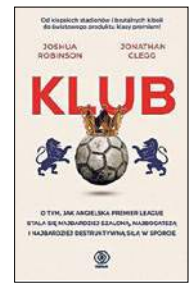

JOSHUA ROBINSON, JONATHAN CLEGG „KLUB" REBIS

Wizerunki władców w kinie, adaptacje klasyki literackiej, kino historyczne w komunistycznej propagandzie i wiele innych intrygujących kwestii. Zbiór ciekawych szkiców pod redakcją Małgorzaty E. Kowalczyk i Jacka Szymali.

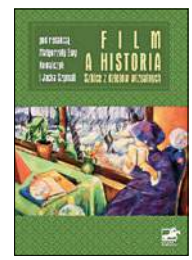

PRACA ZBIOROWA „FILM A HISTORIA" KSIĘGARNIA AKADEMICKA

29 opowieści z dreszczykiem, wywiedzionych czasem z folkloru, czasem ze współczesnych legend miejskich, innym razem z literackiej klasyki. Pozycja dla młodszych czytelników. Doczekała się dwóch kontynuacji.

ALVIN SCHWARTZ „UPIORNE OPOWIEŚCI PO ZMROKU" ZYSK I S-KA

Terminator napędzany samogonem powraca. 17 opowieści o Jakubie Wędrowyczu, ulubionym bohaterze autora opowieści fantastycznych, przygodowych i humorystycznych. Ilustracje – Andrzej Łaski. ©℗

poleca Piotr Gociek

ANDRZEJ PILIPIUK „KARPIE BIJEM" FABRYKA SŁÓW

BESTSELLERY KSIĄŻKOWE:

1. ***Remigiusz Mróz „Wyrok" (Czwarta Strona) – 10. tom serii z Joanną Chyłką w roli głównej. Pokaz siły Mroza: przedsprzedaż, a już bestseller.***
2. ***David Lagercrantz „Ta, która musi umrzeć" (Czarna Owca) – zamknięcie serii „Millennium" Stiega Larssona, już bez Larssona. Tom szósty.***
3. ***Wojciech Chmielarz „Rana" (Marginesy) – jeden z ciekawszych polskich twórców kryminału żegluje w kierunku prozy obyczajowej.***
4. ***Marcin Zaborski „Jeszcze żyjemy. Lato '39" (Bellona/Tamaryn) – życie w II RP tuż przed wybuchem wojny, jedna z kilku nowości na ten temat.***
5. ***Christel Petitcollin „Jak mniej myśleć" (Wydawnictwo Feeria) – „Dla analizujących bez końca i wysoko wrażliwych" – głosi podtytuł poradnika.***

(Najchętniej kupowane tytuły tygodnia na Swiatksiazki.pl)

eprasa.pl c850b8daf1

Game Over

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Już od co najmniej roku Piotr Rogucki, wokalista i lider zespołu Coma, przyznawał, że zespół nie nadążył. „Na początku istnienia Comy mieliśmy zawsze pomysł na to, co dalej. I jakieś sześć lat temu przestaliśmy mieć ten pomysł. [...] Dodatkowo zespół zaczął zmierzać w kompletnie innym kierunku niż cała reszta muzycznego świata w Polsce. [...] Byliśmy zakleszczeni pomiędzy tym wybuchem nowości a pomiędzy starszymi zespołami typu T.Love, Hey czy Kazik" – mówił w rozmowie z „Gazetą Wyborczą". Ten wywiad z lipca ubiegłego roku (i inne z tego czasu) utrzymany był w duchu wychodzenia zespołu z dołka. Rogucki mówił o otwarciu łódzkiej grupy na nowe, na współpracę z innymi muzykami.

Zmiana nadeszła. Nie wszystkim się spodobała. „To, że ktoś słucha mojej muzyki, nie daje mu prawa do tego, żeby decydował, co mam robić. Gdybym miał robić to, co mi mówią fani jedni albo drudzy, to ostatecznie musiałbym zdecydować, żeby nie robić nic, ponieważ każdy ma inne zdanie" – mówił Rogucki w rozmowie z Karolem Paciorkiem w maju 2019 r.

Wszystko wskazuje na to, że to „nic" właśnie nadeszło. 1 września na Facebooku zespół w dość oszczędnym jak na okoliczności wpisie oznajmił, że zawiesza działalność. Po 21 latach wspólnego grania Coma żegna się z fanami nowym singlem „Pożegnanie z Bajką" z gościnnym występem Ralpha Kaminskiego z płyty „Sen o 7 szklankach" i ostatnią (choć w muzyce nigdy przecież nie wiadomo…) trasą koncertową Game Over, którą zaplanowano na listopad i grudzień. Pytanie, czy to będzie trasa bardziej dla fanów starej czy nowej Comy, bo to już prawie jak dwa różne zespoły. Czy dla samej Comy, zgodnie z filozofią, że fani nie mogą dyktować, co i jak grać.

Nie wydaje się, by muzycy mieli zupełnie zejść ze sceny. Mikrofonu w futerał nie odłoży zapewne Piotr Rogucki, angażujący się już od lat w singlową działalność. ©℗

Radosław Wojtas

GRZEGORZ BRZOZOWICZ

NA SŁUCH

Trudna miłość w Kalifornii

Szósta płyta Elizabeth Grant jest jej najodważniejszym, a zarazem stonowanym dziełem. Te emocjonalne piosenki o trudach miłości można bowiem interpretować jako opowieść o gasnącym amerykańskim śnie.

Odniesienia do popkultury są praktycznie w każdym utworze. Tytuł „Norman Fucking Rockwell!" odnosi się do ilustratora, którego okładki uchodzą za oceanem za ikoniczne. Przetworzony przez Lanę utwór „Doin' Time" zespołu Sublime zawiera zarówno cytat z „Summertime" braci Gershwin, jak i sample z Beastie Boys. W „Bartender" autorka wspomina zespół Crosby, Stills & Nash, w „The Greatest" Denisa Willsona z Beach Boys, a w finale płyty fotografkę Slim Aarons i pisarkę Sylvię Plath.

W wielu utworach akompaniują Lanie jedynie fortepian, skrzypce lub gitara akustyczna. Minorowy nastrój współtworzą nienarzucające się orkiestrowe aranżacje.

Subtelne brzmienie albumu jest jedną z najwyraźniejszych zmian w muzyce Amerykanki. Pewnym zaprzeczeniem ogólnego klimatu jest wspaniała „Venice Beach". Wprawdzie zaczyna się od delikatnych smyczków i tkliwej melodii, ale przeistacza się w medytacyjną mantrę przepełnioną syntezatorowymi pasażami i ścianą jazgoczących gitar.

Mimo wyraźnych zmian „NFR!" jest kolejnym rozdziałem sagi o rozczarowaniach w miłości rozgrywających się pod słońcem Kalifornii. ©℗

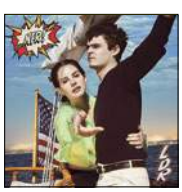

★★★★★☆

LANA DEL REY
„NFR!"
INTERSCOPE

★★★★☆☆

SHERYL CROW
„THREADS"
VALORY

„Wątki" podsumowują muzyczną drogę 57-latki. W nagraniach udział wzięło 24 gości, w tym Willie Nelson, Eric Clapton, Keith Richards oraz raper Chuck D i „alternatywna" St. Vincent. 75 minut historii amerykańskiej muzyki.

★★★★☆☆

TACO HEMINGWAY
„POCZTÓWKA Z WWA, LATO '19"
TACO CORP

Filip Szcześniak przestał użalać się nad sobą, znowu jest w punkt. W letnich opowieściach ze stolicy uczestniczą m.in. Podsiadło, Pezet i Ras oraz lektor z archiwalnej Kroniki Filmowej. Przyjemno-refleksyjne podróżowanie od knajpy do knajpy. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

PRENUMERATA 2019

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY

ROCZNA PRENUMERATA

TYGODNIK „DO RZECZY”

WERSJA PAPIEROWA TYGODNIKA ORAZ DOSTĘP DO E-WYDAŃ W APLIKACJI

+

W PREZENCIE

PAKIET ROZPRAW POLITYCZNYCH

„Lech Kaczyński.Odwaga i wizja”
„Rewolucja Franciszka”, „Paragraf 44”
„Sanacja czy demokracja”

~~693 ZŁ~~ > **243,00 ZŁ** < OSZCZĘDNOŚĆ 450 ZŁ

ZOBACZ NASZE OFERTY: **PRENUMERATA.DORZECZY.PL**

CO ZYSKUJESZ W PRENUMERACIE?

Niższą cenę od ceny w kiosku (nawet o 40%) | Nie przegapisz żadnego wydania | Atrakcyjne oferty z dodatkowymi produktami | Każde wydanie trafi do Ciebie pocztą bez dodatkowych opłat | W cenie dostęp do e-wydania w aplikacji, dzięki temu możesz czytać tygodnik już w niedzielę

JAK ZAMAWIAĆ PRENUMERATĘ:
WEJDŹ NA PRENUMERATA.DORZECZY.PL, WYBIERZ I ZAMÓW W WYBRANEJ OFERCIE
WPŁATA NA KONTO: 62 1140 1010 0000 5184 9500 1007
ORLE PIÓRO sp. z o.o., Al. Jerozolimskie 212, 02-486 Warszawa

JEŻELI MASZ JUŻ PRENUMERATĘ:
Skorzystaj także z tej oferty, przedłużymy Ci obecnie trwającą prenumeratę, a prezent wyślemy z najbliższym wydaniem.

WIĘCEJ INFORMACJI E-MAIL: **prenumerata@pmpg.pl** TELEFON: **22 529 12 10** INTERNET: **prenumerata.dorzeczy.pl**

eprasa.pl c850b8daf1

Naturalne, nienaturalne – moralne?

Tomasz P. Terlikowski

Nic się nie stało, naprawdę nic się nie stało. Informacja o tym, że nie istnieje jeden gen homoseksualizmu, nie ma najmniejszego znaczenia ani dla wiernych nauczaniu Biblii chrześcijan, ani dla zwolenników ideologii LGBTQ+

Z rosnącym zaskoczeniem śledzę entuzjastyczne doniesienia prawej i katolickiej strony na temat rzekomego przełomu, którym miało być odkrycie, że nie istnieje jeden gen homoseksualizmu. Zaskoczenie to jest tym większe, że wystarczy przeczytać owo naukowe doniesienie, żeby wiedzieć, że wcale nie wynika z niego, iż nie ma genetycznych przyczyn homoseksualności, lecz jedynie że nie ma jednego genu, który odpowiadałby za tę skłonność. To jednak wiedzieliśmy już wcześniej, bo od lat wiadomo, że nawet bliźnięta jednojajowe nie muszą mieć tej samej skłonności. Jednakże warto pamiętać, że gdyby nawet znaleziono jeden gen homoseksualizmu, to i tak w niczym nie zmieniłoby to – bo nie mogłoby zmienić – podejścia Kościoła do aktów i skłonności homoseksualnych. Zanim jednak przejdziemy do rozważań metodologicznych, warto powiedzieć, co rzeczywiście odkryto i jakie ma to znaczenie dla nauki.

Zacznijmy od tego, że badania opublikowane w „Science" zostały przeprowadzone na ogromnej, bo liczącej niemal pół miliona osób z kilku krajów, próbie badawczej, a prowadzili je naukowcy z najbardziej znanych, niezależnych ośrodków, w tym z Harvardu, Cambridge, University of Amsterdam i szwedzkiego Karolinska Institutet. Jednym słowem – badania są poważne. A co z nich wynika?

CO NAPRAWDĘ WYNIKA Z BADAŃ?

W największym skrócie tyle, że nie ma jednego genu, który odpowiadałby za skłonność homoseksualną. Nie znaczy to jednak, że nie ma genetycznego uwarunkowania tej skłonności, lecz jedynie że choroba jest bardziej skomplikowana.

Jak zatem jest? Badania podpowiadają, że na skłonność homoseksualną wpływa bardzo wiele wariantów genetycznych, a każdy z nich wywiera pewien określony, ale niewielki wpływ. W pięciu autosomach, czyli chromosomach niezwiązanych z płcią, znaleziono pięć genów, które różnią się u osób heterosexualnych i homoseksualnych. Istnieją także inne geny, które mogą – w znacznie mniejszym stopniu – odpowiadać za rozwój homoseksualizmu. Część z nich jest wspólna obu płciom, a część różna w zależności od płci, co może oznaczać, że genetyczne uwarunkowanie homoseksualizmu może być odmienne u mężczyzn i u kobiet. Co ciekawe, mocno powiązane z homoseksualizmem wydają się geny odpowiedzialne za gospodarkę hormonalną w organizmie. Jest to istotne, bo może sugerować, że kształtowanie się gospodarki hormonalnej w czasie życia płodowego może mieć znaczenie dla powstawania skłonności homoseksualnych. Z badań wynika też jednoznacznie, że w rozwoju skłonności homoseksualnych znaczenie mogą też mieć czynniki środowiskowe, wychowawcze, ale i rozwojowe. Jednym słowem, wieloletnie i pogłębione badania dały nam wiedzę o tym, że pochodzenie homoseksualizmu jest skomplikowane, że mamy w nim elementy genetyczne, hormonalne, rozwojowe i środowiskowe.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. ADOBE STOCK

Ani zatem radykalni ideolodzy LGBTQ+, którzy od dawna przekonywali, że istnieje gen homoseksualizmu, ani konserwatywni protestanci i katolicy, którzy przekonywali, że homoseksualizm nie jest „wrodzony", ale wyrasta z wychowania i uwiedzenia, nie mogą odtrąbić sukcesu i uznać, że oto nauka potwierdza ich własne przekonania. Homoseksualizm nie jest bowiem ani czysto genetycznie, ani czysto społecznie uwarunkowany, ale jego etiologia jest skomplikowana, tak jak skomplikowana jest etiologia wielu cech osobniczych, także tych całkowicie obojętnych moralnie. Nie ma jednego genu wzrostu i nie ma jednego genu homoseksualizmu, ale ani jedno, ani drugie nie oznacza, że nie ma genetycznego uwarunkowania tych cech ani że tylko one są istotne. I już choćby tylko dlatego nie da się wykorzystać wyników tych badań ani do propagandy LGBTQ+, ani jej przeciwnej.

Jest jeszcze jeden powód, dla którego, przynajmniej katolicy, ci konserwatywnie, zgodnie z tradycją nastawieni, nie powinni powoływać się na te badania. I nie ma on nic wspólnego ani z nimi, ani ze zmianą podejścia do homoseksualizmu, które jest tak mocno popierane przez o. Jamesa Martina SJ czy innych apologetów „katolików LGBTQ+".

Chodzi o coś zupełnie innego. Otóż tak się składa, że z perspektywy nauczania Kościoła to, czy homoseksualizm jest, czy nie jest genetycznie uwarunkowany, nie ma najmniejszego znaczenia.

NATURALNE NIE OZNACZA BIOLOGICZNE

Kościół, zgodnie z jasnym wykładem Pisma Świętego i Tradycji, naucza, że homoseksualizm jest „poważnym zepsuciem". Skłonność homoseksualna jest zaś „obiektywnie nieuporządkowana", a akty homoseksualne „są sprzeczne z prawem naturalnym; wykluczają z aktu płciowego dar życia. Nie wynikają z prawdziwej komplementarności uczuciowej i płciowej. W żadnym wypadku nie będą mogły zostać zaaprobowane" – podkreślają autorzy Katechizmu Kościoła katolickiego. Ta surowa ocena wcale nie oznacza, że Kościół jasno wskazuje źródła skłonności homoseksualnej. One są nieznane i Katechizm jasno o tym przypomina. „Jego psychiczna geneza pozostaje w dużej części niewyjaśniona" – wskazują autorzy Katechizmu. I już to jedno krótkie zdanie mocno uświadamia, że ocena moralna nie ma nic wspólnego z pochodzeniem skłonności homoseksualnej.

To, że coś jest zakorzenione w genach, że ma biologiczne uzasadnienie (nawet jeśli owym uzasadnieniem jest jeden gen), nie oznacza, iż jest „obiektywnie uporządkowane", że jest „naturalne" (by posłużyć się starszym określeniem, które uznawało homoseksualizm i akty homoseksualne za contra naturam). Kategorie „naturalne" i „nienaturalne", „obiektywnie uporządkowane" i „obiektywnie nieuporządkowane" wyrastają z klasycznej metafizyki i antropologii oraz mają zakorzenienie filozoficzne, a nie biologiczne. Coś może być biologicznie uzasadnione, zakorzenione, a filozoficznie pozostawać niezgodne z naturą. Nie wszystko, co biologiczne, jest naturalne, nie wszystko, co biologiczne, jest moralne. Grzech pierworodny głęboko skaził naturę człowieka i świata, zniszczył „naturalny" jego stan, a zatem to, z czym mamy do czynienia, z naturą niewiele ma wspólnego.

Trudno też na poważnie traktować sugestie, a takie pojawiają się po stronie ideologii LGBTQ+, że genetyczne uwarunkowanie homoseksualizmu ma w jakikolwiek sposób wpływać na jego ocenę moralną. Z perspektywy człowieka wierzącego czy tylko myślącego w sposób klasyczny samo genetyczne uwarunkowanie nic nie oznacza, mamy bowiem do czynienia także z genetycznie uwarunkowanymi schorzeniami (a te trudno uznać za normę) czy z zachowaniami, które wyrastają z biologicznych determinizmów, a jednak uważane są za głęboko niemoralne. Człowiek nie jest tylko sumą genetycznych uwarunkowań, ale czymś o wiele więcej. Moralność zaś nie opiera się wyłącznie na tym, co biologiczne.

NAUKA NIE JEST KIJEM BEJSBOLOWYM

Mam świadomość, że ten tekst nie zadowoli nikogo. Na Twitterze i Facebooku prawa strona zdążyła już oświadczyć, że z najnowszych badań wynika, iż homoseksualizm jest nabyty, a to oznacza, że trzeba zakazać parad gejowskich, bo przez nie przenosi się homoseksualizm (ciekawe, jak w takim razie homoseksualizmem „zarazili się" Oscar Wilde, Piotr Czajkowski czy Jarosław Iwaszkiewicz). Nic takiego z tych badań nie wynika. Nauka nie jest pałką, którą można wykorzystać do okładania po głowie drugiej strony. Niezadowoleni będą z tego tekstu także ci, którzy budują narrację o naturalnym charakterze homoseksualizmu, bo i to nie wynika wcale z badań. Uczeni zwracają uwagę na to, że genetyczne przyczyny nie są jedyne, a jakby tego było mało – z perspektywy człowieka wierzącego – to, czy coś jest, czy nie jest genetycznie uwarunkowane, niewiele ma wspólnego z tym, czy jest, czy nie jest moralne, a nawet jest czy nie jest naturalne.

Nic też nie wskazuje na to, by badania, o których mowa, kończyły spór o pochodzenie homoseksualizmu. On będzie trwał i to nie tylko dlatego, że ideologia LGBTQ+ stała się niemal nową religią, próbującą wpływać na uczonych, by ci suflowali jej odpowiednie „odkrycia" uwiarygadniające ich stanowisko, lecz także dlatego, że badania nad ludzkim genomem, w tym nad genetycznym uwarunkowaniem ludzkiej seksualności, są w powijakach, a z wielu powodów są one bardzo interesujące. Możemy się więc spodziewać jeszcze wielu odkryć, które zanegują lub potwierdzą te, o których mowa teraz. A dla moralności katolickiej i tak nie będą one miały znaczenia.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Po pierwsze demografia

ks. Andrzej Kobyliński

Europa Środkowo-Wschodnia to jedyny region na świecie, który stoi w obliczu ryzyka prawdziwej zagłady biologicznej

W 1979 r. angielski historyk Norman Davies opublikował książkę pt. „Boże igrzysko. Historia Polski". Ukazuje ona ważne miejsce naszego państwa w historii kontynentu europejskiego. Davies podkreśla m.in. wielokulturowe dziedzictwo naszego kraju. Szczególną uwagę zwraca tytuł książki. Dlaczego Davies twierdzi, że dzieje Polski są formą Bożego igrzyska? Jak należy rozumieć tę metaforę?

Wyrażenie „Boże igrzysko" odnosiło się pierwotnie do renesansowej wizji człowieka, którego wielu myślicieli renesansu postrzegało jako istotę podległą siłom wyższym, biorącą udział w walce, będącą aktywnym podmiotem w dramatycznych zmaganiach dobra ze złem na scenie, którą jest świat. Zdaniem angielskiego historyka metafora „Bożego igrzyska" trafnie oddaje bogate dzieje mieszkańców Polski, którzy na przestrzeni dziejów tracili i odzyskiwali niepodległość, byli brutalnie prześladowani przez ościenne państwa, stawali się ofiarami krwawych wojen i rewolucji, dzielnie walczyli o wolność własną i innych narodów. Państwo polskie odrodziło się po długiej nocy zaborów. W XX w. nie zdołały unicestwić Polski dwie wojny światowe, rosyjski komunizm i niemiecki narodowy socjalizm. Przeżyliśmy Auschwitz i Kołymę. Niestety, naszemu krajowi grozi w najbliższych dziesięcioleciach samozagłada w czasie pokoju. Chodzi o zagładę biologiczną spowodowaną wyludnieniem. Polska jako Boże igrzysko w sercu Europy może przestać istnieć.

Tragiczną sytuację demograficzną naszego kraju potwierdzają raporty przygotowane przez Organizację Narodów Zjednoczonych i Główny Urząd Statystyczny. W pierwszej połowie 2019 r. urodziło się w Polsce 182 tys. dzieci. To oznacza, że w całym bieżącym roku urodzi się ok. 365 tys. nowych mieszkańców. Liczba urodzeń będzie znacząco niższa od liczby zgonów. Przed nami kolejny rok ujemnego przyrostu naturalnego i zmniejszającej się liczby mieszkańców. Podobnie było w roku ubiegłym: przyszło na świat 388 tys. dzieci, natomiast zmarło 414 tys. osób. Wszystko wskazuje na to, że w najbliższych latach liczba zgonów będzie coraz bardziej przewyższać liczbę urodzeń. Jedną z głównych przyczyn takiej sytuacji jest spadająca liczba kobiet w wieku rozrodczym, które urodziły się w latach 90. ubiegłego wieku lub na początku obecnego stulecia.

Krach demograficzny rozpoczął się w Polsce 30 lat temu. W 1989 r. przyszło na świat 564 tys. dzieci, zmarło 383 tys. osób. Niestety, już w 1999 r. liczba urodzeń spadła do poziomu 382 tys. Po dziesięciu latach transformacji ustrojowej liczba urodzeń zmniejszyła się aż o 188 tys. Ta dramatyczna sytuacja trwa do dzisiaj. Co więcej, w najbliższych latach ulegnie ona gwałtownemu pogorszeniu, ponieważ zmniejszająca się liczba kobiet w wieku rozrodczym będzie konsekwencją niżu demograficznego ostatnich dziesięcioleci.

Oczywiście należy docenić wszystkie programy prospołeczne obecnego rządu. W tym kontekście niezwykle ważna jest najnowsza inicjatywa obozu władzy, aby osoby do 26. roku życia mogły pracować i zarabiać bez płacenia podatku na rzecz państwa. To nowe prawo podatkowe może zmniejszyć skalę emigracji ludzi młodych. Gdyby nie mądra polityka prorodzinna obozu Zjednoczonej Prawicy, obecny krach demograficzny byłby jeszcze większy.

ZŁO POSTKOMUNIZMU

W 1989 r. w Europie Środkowo-Wschodniej narodził się postkomunizm, który zaczął się stopniowo przekształcać w poszczególnych krajach w różne formy demokracji liberalnej. Proces przechodzenia państw bloku wschodniego od komunizmu do postkomunizmu, a następnie od postkomunizmu do demokracji nie jest zjawiskiem jednorodnym, dokonywał się z różną intensywnością. W konsekwencji można mówić o wielu prędkościach rozwoju tego zjawiska.

W 2001 r. ukazała się książka Jadwigi Staniszkis pt. „Postkomunizm. Próba opisu". Autorka nadała temu pojęciu rangę kategorii naukowej, która może występować pośród takich pojęć, jak totalitaryzm, modernizacja, sekularyzacja, globalizacja czy kapitalizm. Staniszkis twierdzi, że jednym z głównych elementów przejścia od komunizmu do postkomunizmu była radykalna zmiana rozumienia władzy państwowej. Po 1989 r. w krajach postkomunistycznych dokonało się swego rodzaju odcentrowienie władzy państwowej. Co to znaczy? Zdaniem Staniszkis pojawił się brak wyraźnego centrum, które mogłoby zarządzać całością organizmu państwowego. W konsekwencji państwo przestało być ośrodkiem zaufania i punktem odniesienia dla decyzji indywidualnych o charakterze społecznym czy gospodarczym.

W konsekwencji rozpadu struktur państwowych, w krajach byłego bloku wschodniego okres postkomunizmu łączy się z bardzo wieloma patologiami: narodzinami oligarchii, działalnością grup przestępczych w sferze gospodarczej, skandalami dotyczącymi reprywatyzacji, brakiem dekomunizacji, rozkradaniem majątku narodowego, korupcją, naruszaniem podstawowych zasad sprawiedliwości społecznej itp. W latach 90. ubiegłego wieku patologie postkomunizmu doprowadziły do masowej emigracji, nowych form wykluczenia społecznego, biedy, braku skutecznej polityki prorodzinnej i zapaści demograficznej. Rzetelna ocena

eprasa.pl c850b8daf1

ostatnich 30 lat w naszym kraju nie może nie uwzględniać patologii postkomunizmu. Dlaczego milczały wówczas uniwersytety, media, Kościoły i związki wyznaniowe?

NARODY SŁOWIAŃSKIE

W lipcu 2017 r. Wydział Ludnościowy Departamentu Spraw Gospodarczych i Społecznych ONZ opublikował dokument dotyczący prognozy liczby mieszkańców na naszej planecie w roku 2100. Wnikliwa analiza tego ważnego i rzetelnego opracowania powinna być przedmiotem wielkiej debaty społecznej i politycznej przede wszystkim w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. Dokument przygotowany przez ekspertów ONZ przewiduje bowiem wielką katastrofę demograficzną, która zagraża w szczególny sposób nie tylko Polsce, ale wszystkim narodom słowiańskim. Co więcej, Europa Środkowo-Wschodnia to jedyny region na świecie, który stoi w obliczu ryzyka prawdziwej zagłady biologicznej.

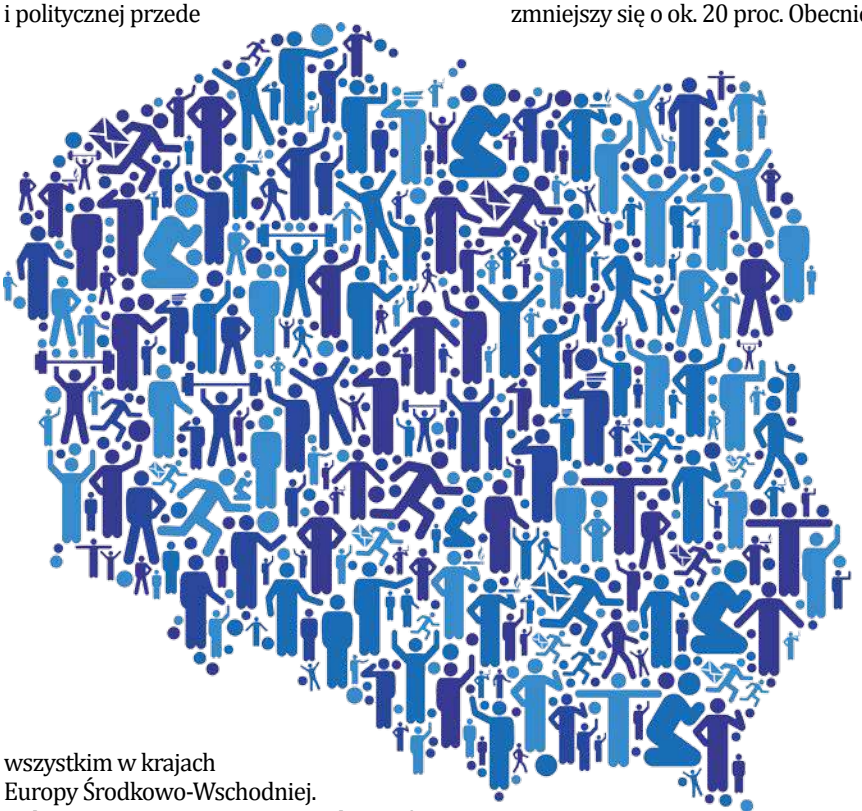

Eksperci ONZ twierdzą, że w 2100 r. liczba mieszkańców naszej planety przekroczy 11 mld. Trzykrotny wzrost ludności nastąpi w Afryce. Obecnie w krajach afrykańskich mieszka 1 mld 256 mln ludzi, natomiast za 80 lat liczba ludności Afryki osiągnie 4 mld 467 mln. Zasadniczo nie zmieni się liczba mieszkańców Azji. O jedną trzecią wzrośnie populacja Ameryki Północnej. Podobne zmiany nastąpią w Australii i Oceanii. O kilkanaście procent wzrośnie także liczba mieszkańców Ameryki Łacińskiej. Jedyny kontynent, w którym pogorszy się o kilkanaście procent sytuacja demograficzna, to Europa. Liczba mieszkańców zmniejszy się drastycznie przede wszystkim w krajach słowiańskich. Państwa Europy Zachodniej, przyjmując dziesiątki milionów imigrantów z różnych regionów świata, nie będą dotknięte kryzysem demograficznym tak głęboko jak kraje byłego bloku wschodniego.

Jak będą wyglądać kraje słowiańskie w roku 2100? Liczba ludności Białorusi zmniejszy się o ok. 20 proc. Obecnie mieszka w tym kraju 9 mln 468 tys. Za 80 lat liczba ta zmniejszy się o 2 mln. Podobny proces nastąpi w Czechach – spadek z 10 mln 618 tys. do 8 mln 892 tys. Liczba mieszkańców Litwy zmniejszy się o jedną trzecią. Podobny dramat wydarzy się na Słowacji – spadek z 5 mln 448 tys. do 3 mln 834 tys. Wielka zagłada biologiczna czeka Ukrainę. W tym kraju liczba mieszkańców zmniejszy się prawie o połowę.

POLSKA 2100

Równie dramatyczna prognoza demograficzna dotyczy także Polski. Według raportu ONZ w 2100 r. w naszym kraju będzie mieszkać 21 mln ludzi. Jest to tzw. wariant średni, który zakłada m.in. wzrost poziomu dzietności do 1,76. Warto jednak w tym miejscu podkreślić, że w 2019 r. poziom dzietności wynosi zaledwie 1,44. Przyjmuje się, że dopiero współczynnik dzietności między 2,10 a 2,15 jest wartością zapewniającą prostą zastępowalność pokoleń. Czy jest możliwy znaczący wzrost dzietności w naszym kraju? Jeśli nie będzie wzrostu liczby urodzeń i jeśli wystąpią negatywne trendy migracyjne, to w 2100 r. w Polsce będzie mieszkać zaledwie kilkanaście milionów mieszkańców. Czy taki wyludniony kraj, zamieszkany głównie przez ludzi starszych, może dalej istnieć w sercu Europy, między Rosją a Niemcami, jako niepodległe państwo?

Trudno zrozumieć obecną zmowę milczenia wobec tych dramatycznych prognoz. Dlaczego katastrofa demograficzna nie stanowi głównego tematu naszej debaty politycznej? Kto odpowiada za obecną sytuację? Dlaczego kwestie demograficzne pojawiają się marginalnie w obecnej kampanii przed wyborami parlamentarnymi? W jaki sposób obudzić nasze społeczeństwo ze swego rodzaju letargu bądź hipnozy? Dlaczego ciągle tak wielu ludzi w naszym kraju karmi się chorym mesjanizmem, myśląc o reewangelizacji świata zachodniego, zamiast skupić się na ratowaniu nas samych?

Oprócz odpowiedniej polityki prorodzinnej ważnym elementem polityki ludnościowej każdego państwa jest polityka migracyjna. Gdy chodzi o Polskę, od wielu lat tysiące Polaków mieszkających na Wschodzie czekają na powrót do Macierzy. Kilkadziesiąt lat temu ich samych lub ich przodków wypędzono brutalnie z ich własnych domów i w bydlęcych wagonach wywieziono w głąb Syberii czy Kazachstanu. Umożliwienie tym Polkom i Polakom powrotu do ojczyzny może mieć niewielki pozytywny wpływ na sytuację demograficzną w naszym kraju. Jednak najtrudniejszym wyzwaniem będzie zmiana mentalności ludzi młodych. Przezwyciężenie zapaści demograficznej wymaga przede wszystkim kształtowania postaw odwołujących się do takich wartości, jak ojczyzna, naród, rodzina, patriotyzm czy sprawiedliwość społeczna. Kto przejmie rząd dusz nad młodym pokoleniem Polek i Polaków? Czy Kościół katolicki ma ciągle realny wpływ na postawy życiowe ludzi? Czy w roku 2100 będziemy jeszcze Bożym igrzyskiem w sercu Europy?

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Cytaty od podszewki

Tomasz Rowiński

Zapewne każdy z nas korzysta z Wikipedii jako źródła powierzchownej, ale potrzebnej informacji. Nieraz też pewnie zastanawiamy się: ufać jej czy nie ufać?

Odpowiedzi ogólnej nie da się udzielić, ponieważ przede wszystkim jest to źródło bardzo nierówne pod względem jakości. Podam jednak pewien przykład, dotyczący spraw zasadniczych, że ta internetowa encyklopedia bywa narzędziem manipulacji.

Od kilku lat w Wikicytatach obserwuję spór o pewien cytat przypisywany św. Augustynowi, mający być dowodem na to, że ten najważniejszy zapewne obok św. Tomasza z Akwinu myśliciel chrześcijański popierał aborcję. Każdy, kto wejdzie na odpowiednią podstronę Wikipedii, znajdzie łacińskie zdanie: „Non est homicida, qui abortum procurat, antequam anima corpori sit infusa" (znane w tłumaczeniu: „Nie jest dzieciobójczynią ta, która sprowadza poronienie, zanim dusza wstąpi w ciało") oraz przypis do źródła: Aemilius Ludwig Richter, Just Henning Boehmer, „Corpus Iuris Canonici", tom 1, wyd. Ecclesia catholica – Sumtibus B. Tauschnitz jun., Lipsk 1839, s. 974.

Wszystko wygląda tu na zgodne z zasadami i obyczajami Wikipedii, a także na prawdziwe. Jeśli jednak ktoś zada sobie trud kliknięcia linku prowadzącego do przywołanego kodeksu, to szybko się zorientuje, że nie mamy tam wcale do czynienia z cytatem z Augustyna, ale kwestią, która jest dopiero rozstrzygana w następującym potem paragrafie. Augustyn jest zaś jedynie odniesieniem do tradycji wyjaśnień. Autentyczność cytatu łatwo potwierdzić. Wszystkie tomy „Patrologia Latina" wyszukiwarka przejrzy w kilka minut i znajdzie każdy rzeczywisty cytat. Oczywiście specjaliści od pism starożytnego chrześcijaństwa już dawno taką operację wykonali i nie znaleźli nic podobnego w żadnym dziele Augustyna.

Cytat ten można znaleźć w pismach zupełnie innego pisarza chrześcijańskiego, a żyjącego 600 lat po św. Augustynie – Iwona z Chartres. Okazuje się jednak, że uznanie tego zdania za poparcie aborcji jest całkowitym nieporozumieniem. Omawiana tu fraza odnosi się bowiem nie do kobiety, ale do mężczyzny, który podczas bójki z innym mężczyzną nieumyślnie doprowadził do poronienia u kobiety próbującej ich rozdzielić. To właśnie wynika z ósmej księgi dzieła pt. „Panormia" rzeczonego Iwona. Co więcej, nie jest to twierdzenie samego Iwona, ale zasada prawna, którą on w swoim dziele wyjaśnia (podobnie jak to jest w przywołanym Kodeksie prawa kanonicznego). Zasada ta powiązana jest bezpośrednio z konkretnym fragmentem Księgi Wyjścia (21, 22) i nie ma żadnego związku z aborcją. Analogiczną sytuację wyjaśniania zasady znajdziemy w kodeksie, który miałby być dowodem, że św. Augustyn jest aborcjonistą.

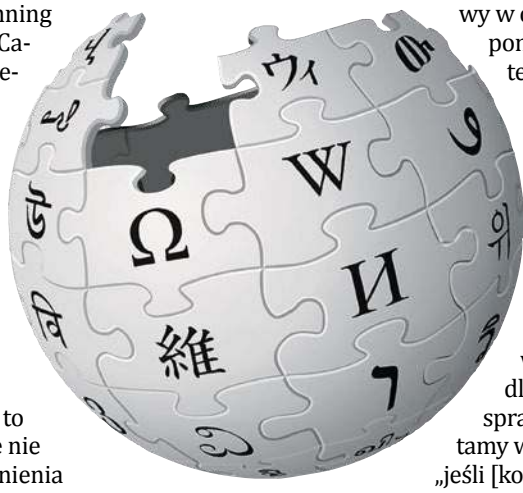

Iwon z Chartres w swoim wyjaśnieniu idzie zaś za dziełkiem św. Augustyna pt. „Pytania dotyczące Siedmioksięgu". Tekst łacińskiego tłumaczenia Pisma Świętego jest kłopotliwy w odnośnym miejscu, ponieważ odchodzi od tekstu hebrajskiego, wprowadzając arystotelesowskie rozróżnienie na płód ukształtowany i nieukształtowany. To właśnie wymagało objaśnienia, dlatego że ochrona ludzkiego życia także w fazie płodowej była dla chrześcijan zawsze sprawą bezwzględną. Czytamy w łacińskim tekście, że „jeśli [kobieta] poroniła płód jeszcze nieukształtowany, ten, co ją uderzył, poniesie karę, jaką naznaczy mąż kobiety; jeśli zaś był ukształtowany, odda duszę za duszę". Wniosek Augustyna dotyczący różnicy jest taki, że „nie da się sprawdzić, czy płód miał już duszę" („quia nec examinatum dici potest, si adhuc animam non habebat"). Zasadę całkiem rozjaśnia św. Rajmund z Pennafort, żyjący nieco po Iwonie z Chartres: „Jeśli płód nie był jeszcze ukształtowany – powiada św. Rajmund z Pennafort (zm. 1275) – winowajca nie zaciąga konsekwencji prawnych za zabójstwo, ale powinien pokutować jako za zabójstwo". Jednak pamiętajmy cały czas, że przedmiotem rozważań nie jest aborcja, ale nieumyślne spowodowanie poronienia.

Tego wszystkiego nie dowie się jednak czytelnik, który raz kliknie hasło poświęcone Augustynowi lub aborcji w Wikicytatach. Dopiero ktoś, kto wejdzie w link do dyskusji toczącej się wokół cytatu, pozna sprawę od podszewki. Wtedy dotrze do jeszcze bardziej szczegółowego omówienia kwestii. Próby umieszczenia prawdziwego opisu sytuacji kończą się zawsze interwencją któregoś z redaktorów i powrotem tego „patrystycznego fejka".

Trudno takie lekceważenie argumentów i arbitralne usuwanie wyczerpującej merytorycznie poprawki uznać za coś innego niż działanie pod wpływem ideologii. Przekonanie o ideologicznych przyczynach encyklopedycznej wojenki o Augustyna czerpię – jeśli tak można powiedzieć – z tego, co ukryte, czyli z wiedzy, jakie jest prawdziwe źródło manipulacji w sprawie biskupa z Hippony. Autorzy wpisu, ewidentnie nierozumiejący zalinkowanego Kodeksu prawa kanonicznego, nie wykonali, co oczywiste, nawet najmniejszych badań w sprawie, ale przepisali tę manipulację z „Piekła kobiet" Boya-Żeleńskiego. Czy „Boy" też nie zrozumiał, czy zwyczajnie nakłamał? Tego nie wiem. Jedno jest pewne, trudno z Wikipedii usunąć już tam wprowadzone ideologiczne kłamstwa, ponieważ mają one tam swoich strażników i obrońców.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

PS Gdy piszę ten tekst, od kilkunastu godzin i zapewne na krótko w encyklopedycznym zmaganiu górą są stronnicy prawdy.

eprasa.pl c850b8daf1

IGOR ZALEWSKI

POD WĄS

Detektyw poszukiwany

Dawno, dawno temu miałem nieco lepszy kontakt z rzeczywistością. Nie to, że już dopadła mnie demencja. Po prostu teraz grzęznę w swoich rozmaitych niszach i znacznie mniej żyję tym, czym żyją Polacy.

W każdym razie w tych dawnych czasach był taki facet, który nazywał się Krzysztof Rutkowski. Był detektywem. Oraz był na etacie detektywa-twardziela w mediach. Z tego stanowiska wygryzł Jerzego Dziewulskiego, ale mniejsza o to. Rutkowski miał, zdaje się, faktyczne dokonania jako detektyw, ale przede wszystkim był mistrzem robienia wokół siebie szumu.

Minęły lata i myślałem – to dowód mego kiepskiego kontaktu z rzeczywistością – że Rutkowski przeminął. Podobnie jak Ich Troje, Gulczas czy fryzury na czeskich hokeistów (z tzw. chlapaczami). Potem jeszcze otarłem się o sensację, którą była kwadratowa fryzura detektywa. Myślałem, że to łabędzi śpiew Rutkowskiego, szukanie poklasku za wszelką cenę. Takie rozpaczliwie próby zazwyczaj zwiastują zakończenie medialnej kariery w telezakupach i wciskaniu ludziom urządzeń do otwierania kartonów z mlekiem.

Jednak okazuje się, że Rutkowski wciąż funkcjonuje. Że funkcjonuje jako detektyw, to rozumiem, skoro jest dobry. Ale że funkcjonuje też jako gwiazda, bo chyba tylko z gwiazdami robi się wywiady, które trafiają na główną stronę wiodącego, ogólnopolskiego portalu informacyjnego.

Zdziwiony medialną żywotnością Rutkowskiego przeczytałem ten wywiad. Dowiedziałem się, że słynny polski detektyw niedawno się ożenił, a wesele kosztowało ponad 1 mln zł. Rutkowski pochwalił się nie tylko tym, ile wydał, lecz także tym, ile zarobił na gościach. Otóż państwo młodzi dostali w kopertach 300 tys. zł, a w przedmiotach przynajmniej drugie tyle.

Zadumałem się nad tym wywiadem. Miałem bowiem wrażenie, że takie dość ordynarne chwalenie się kasą to jednak melodia przeszłości. I od mało gustownych lat 90. ubiegłego wieku, kiedy ludzie sukcesu nosili garnitury z podwiniętymi rękawami, białe skarpetki oraz grube złote łańcuchy, trochę czasu już upłynęło. W końcu jest rok 2019, a „polskimi Beckhamami" nie są już Doda i Radek Majdan, tylko państwo Lewandowscy, którzy plasują się ładnych parę pięter wyżej. Przez te 20 lat jako społeczeństwo ździebko się rozwinęliśmy i dzisiaj szpanowanie hajsem jest trochę jak jeżdżenie daewoo lanosem.

Trudno znaleźć kogoś, komu to zaimponuje. Dlatego w imię trzymania ogólnego poziomu apeluję do mediów: znajdźcie nowego detektywa do wywiadów i śniadaniówek. Na pewno na tym rynku funkcjonuje jakiś przystojny facet w dobrze skrojonym garniturze, który nie strzyże się w Minecrafcie i ma choć odrobinę klasy (nie mylić z kasą). Polska już jest gotowa na następcę Rutkowskiego. ©℗

MARCIN WOLSKI

KRÓTKO PO WOLSKU

Przeprosiny

Jego Wysokość Demokratyczny Car Wszechrusi i Całej Syberii, Książę Krymski, Doniecki, Ługański, Hospodar Naddniestrzański, Suweren Abchazji i Osetii, Hegemon Prus Wschodnich i Wysp Kurylskich, Trzeciego Rzymu Zwierzchnik Najwyższy, Archanioł Pokoju, Władimir Władimirowicz w miejscu.

Wasze Wieliczestwo, w pierwszych słowach mego pisma, ja, rab marny, pragnę przeprosić za wszystkie krzywdy, jakich w ciągu długiej historii Wasza Wielka Ojczyzna doznała od naszej. Przepraszam za imperialne wyprawy Bolesława Chrobrego i Śmiałego połączone z uszkodzeniem za pomocą miecza słynnej Złotej Bramy, za walkę z Waszym hegemonem Mongolią pod Legnicą, za łomot pod Orszą, za agresję w Inflantach, za Batorego pod Pskowem, za wielokrotne zdobywanie Smoleńska, za Połonkę i Cudnów, a nade wszystko Kłuszyn i bezprawne (inspirowane przez grupkę zdrajców bojarów) zajęcie Moskwy, co omal nie zakończyło się zaprowadzeniem przez Wazów zachodniego ładu w Rosji, tak obcego Waszej duszy niezgłębionej. Przepraszamy za niezliczone bunty i powstania, od konfederacji barskiej przez insurekcję kościuszkowską, powstanie listopadowe i styczniowe do zamieszek roku 1905. Szczególnie obrzydliwy był nasz udział w inwazji napoleońskiej na Wasz Pokój Miłujący Kraj, tym haniebniejszy, że uczestniczył w nim zdradziecki gen. Poniatowski, bratanek Stanisława Augusta dopuszczonego do łoża Waszej Wielkiej Poprzedniczki.

Wszystkie jednak winy gasną przy wojnie 1920 r., kiedy wraża łapa polskiego pana zwróciła się przeciwko chorążym światowej rewolucji (mam nadzieję, że KGB prowadzi śledztwo w sprawie współudziału w tzw. Cudzie nad Wisłą obywatelki M.B. Częstochowskiej). Potwierdziło to praktykę wielokrotnego udaremniania przez nas, Polaczków, wielkich planów waszego Mocarstwa, od udaremnienia zdławienia rewolucji francuskiej przez wbicie klina w ideę panslawizmu, który mógł nas, wszystkich Słowian, połączyć pod wspólnym berłem. To niestety Polacy udaremnili pochód światowej rewolucji, sprowokowali wybuch II wojny światowej i solidarnościowym buntem zniszczyli Obóz Pokoju i Socjalizmu, doprowadzając do drugiej smuty w waszym imperium.

Dzisiaj okupowani przez PiS nadal spiskują z imperializmem amerykańskim, budując kordon sanitarny w postaci Trójmorza i mieszając brudnym paluchem w waszym pokojowym rurociągu. Świadom tych niegodziwości, mogę powiedzieć jedynie krótko: Izwienitie tawariszczi. Może kiedyś znów się spotkamy na Unter den Linden lub Champs-Élysées.

Wasz Anonim

PS Ewentualna odpowiedź i gratyfikacja na poste restante Nowa Targowica. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

Hitler & Stalin

[W 80. ROCZNICĘ NAPAŚCI DWÓCH LEWAKÓW NA POLSKĘ]

Stanisław Dawski, „Zbrodnia" (1945/1946)

Jan Czyński: *„Kiedyś się to wydarzy,*
Że się łotr z łotrem skojarzy;
Markotni święci, smutni anieli,
Tylko się diabeł weseli".

Leopold Staff: *„Gdzie zbrodniarz szaty przywdziewa mocarza,*
A oszust słowem chwalby jemu błogosławi".

eprasa.pl c850b8daf1

Waldemar Łysiak

Wzorem Jana Pawła II papież Franciszek lansuje bezwarunkowe miłosierdzie. W adhortacji **„Amoris Laetitia"** ogłosił: *„Nikt nie może być potępiony raz na zawsze"*, a podczas krakowskiego spotkania z młodzieżą całego globu przekonywał: *„ — Bóg nas miłuje takimi, jakimi jesteśmy, i żadna wada, żaden grzech czy błąd nie sprawią, by zmienił zdanie"*. Co oznacza, że najgorszych ludobójców, jak Hitler czy Stalin, też nie czeka *„wieczne potępienie"*, tylko łaska wybaczenia. Dlaczego Ojciec Święty plecie takie głupoty, zaprzeczając Pismu Świętemu i nie rozumiejąc, iż to go kompromituje, bo jego bezgraniczne miłosierdzie może być interpretowane jako obłudny sposób usprawiedliwiania nadmiernej tolerancji? Południowoamerykańska intelektualistka Lucrecia Rego de Planas: *„Bergoglio chce, aby każdy go kochał, więc stara się każdemu dogodzić, likwidując pojęcie piekła i grzechu"*.

Ci, którzy sprowadzili na Ziemię prawdziwe piekło w skali ultramega, też pragnęli być kochani przez miliony, i — co wielce ciekawe — osiągnęli to nie tylko za swego życia, również obecnie mają rzesze fanów. Hordy Kacapów wciąż uwielbiają *„Soso"* Dżugaszwiliego (corocznie w rocznicę jego śmierci stoi pod murami Kremla bezbrzeżna kolejka żałobników pragnących złożyć hołd i kwiaty u stóp jego biustu funeralnego; według Lewady, głównego rosyjskiego centrum badania opinii publicznej, dzisiaj 70% Rosjan bardzo Stalina ceni, a 46% osądza stosowany przezeń terror jako częściowo lub całkowicie uzasadniony), zaś analogiczny psychopata/socjopata (ten z krótszym wąsem), choć ma mniejszą liczbę fanów, to bywają oni głośniejsi i są rozsiani po całej kuli ziemskiej. Wspominam tę dwójkę dziś, gdyż wrzesień to miesiąc kiedy wspólnie napadli na Polskę, dokonując jej kolejnego rozbioru. W moim domu upamiętnia to obraz, który kiedyś trafi do Muzeum Narodowego, ponieważ na to zasługuje:

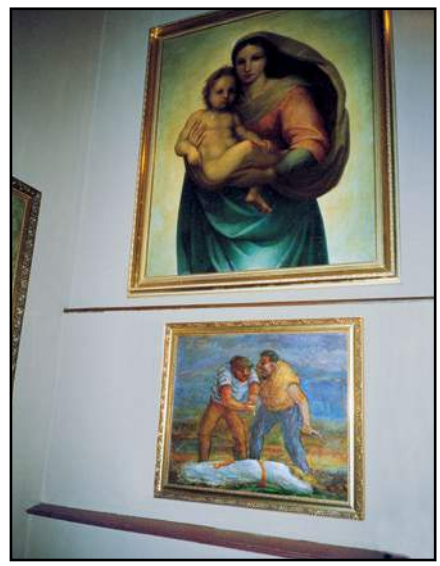

MALUNEK PREZENTUJĄCY RABUNEK

A.D. 1944/1945 sowiecka Armia Czerwona, ta sama, co kilka lat wcześniej rąbnęła Polskę znienacka w plecy, żeby Wehrmacht miał robotę łatwiejszą — *„wyzwalała"* Polskę wskutek faktu, że dwa ludojady zdążyły się pogniewać na siebie i wzajemnie chwyciły się za gardła. Właśnie wtedy renomowany wrocławski malarz, Stanisław Dawski (1905–1990), trzasnął spory *„olej"* (56 × 67 cm) ukazujący wspólną *„mokrą robotę"* duetu Hitler–Stalin z września roku 1939: dwóch knajackich oprychów dzieli się łupem nad zabitą przez nich kobietą w białym stroju. Dwie odrażające gęby. Jeden trzyma narzędzie zbrodni (zakrwawioną *„kosę"*), drugi lustruje drobną biżuterię zerwaną trupowi, dokonując podziału. Dawski wykazał odwagę (zważywszy czytelność fizjonomii rzezimieszków) i zgłosił tę pracę na I Salon Wiosenny w warszawskiej Zachęcie (1946), gdzie rzecz wyeksponowano z enigmatycznym tytułem **„Zbrodnia"**. Otwierał ten Salon uroczyście główny kulturowy aparatczyk nie tylko wczesnego (stalinowskiego) PRL–u, Włodzimierz Sokorski.

Sokorski był figurą tromtadracką, i to dubeltowo — jako partyjny sternik i strażnik kultury PRL–u (przez bite 27 lat!; kolejno: sekretarz do spraw kultury w Komisji Centralnej Związków Zawodowych, wiceminister kultury i sztuki, minister kultury i sztuki, prezes Komitetu do spraw Radia i Telewizji), i jako chlubiący się sukcesami łóżkowymi erotoman. Już przed Wojną komuszył i uprawiał lewackie pisarstwo, podczas Wojny rezydował w Moskwie liżąc dupę Stalina i *„robiąc kulturę"* wśród Berlingowców, a po Wojnie wdrażał sztuce nadwiślańskiej Socrealizm. I pisał, niezmordowanie produkował *„literaturę erotyczno–polityczną"* (na starość demonstrował jeszcze większą obleśność, m.in. tłumaczył indagującej go dziennikarce, że damy to charytatywne anioły, bo ustami potrafią dawać rozkosz mężczyźnie wyzbytemu już sił erekcyjnych). Wróćmy wszakże do I Salonu Wiosennego. Zacytuję mój pamiętnik pt. **„Lepszy"** (1990), gdzie streściłem relację naocznego świadka:

*„Otwierał wystawę z pompą legendarny już dziś aparatczyk kulturowy PRL–u, szerzący wokół siebie mit supermecenasa w typie florenckim i superogiera w typie sułtańskim. Przeciął wstęgę i ruszył ze świtą po salach wystawowych. Ujrzawszy **«Zbrodnię»** zbladł, później zsiniał. Oddychał ciężko, ręce mu drżały. Mordy zbirów stojących nad kobietą były mordami Hitlera i Stalina; dwaj «wodzowie» zostali oddani pędzlem nowoczesnym, lecz nowoczesność warsztatu nic a nic nie zaszkodziła podobieństwu: ten wąsik, a obok ten ukochany ryj wielkiego przewodnika wiszący w każdym gabinecie! Zamordowana u ich stóp była więc Polska.*

eprasa.pl c850b8daf1

Towarzysz dygnitarz chwycił obraz, zerwał ze ściany i klnąc cisnął o ziemię, a giermkowie natychmiast usunęli mu «to» sprzed oczu. Nim minął szok, obraz już wyfrunął z Zachęty, nie dało się go odnaleźć, żeby wzbogacić listę pożarowych strat narodu. Dało się tylko kogoś tam zrugać (ale cicho, bo taki rozgłos to byłby straszny karierołamacz). Zaś ***«Zbrodnia»*** *przeleżała wiele lat w piwnicznej skrytce".*

Wykopana ze skrytki, gdy już nie trzeba jej było ukrywać — zawisła w moim domu. A Dawski rychło odkupił swój „błąd", malując seriami socrealistyczne pierdoły, uwznioślające *„przodowników pracy"*, *„lud"* i *„proletariat"*. Brzydząc się tą swoją socwytwórczością — coraz chętniej sterował ku grafice postmodernistycznej, której wartość jest znikoma wobec jego malarstwa z wcześniejszego (przedpropagandowego) okresu. **„Zbrodnia"** to świetne malarstwo symbolistyczno–kolorystyczne — dowód, że późniejszy tuzinkowy grafik i niewydarzony, epigonalny wobec Zachodu abstrakcjonista Dawski miał talent nietuzinkowy. I odwagę wyjątkową. Nikt inny w tamtej Polsce nie zdobył się olejem na tak heroiczny (wystawienniczy!) akt.

MIŁOŚNICY BRZDĄCÓW

Dwóch hekatombowo rekordowych ludożerców co nieco dzieliło (np. Hitler jako okupant nie wmawiał Polakom i innym zniewolonym ludom, że gnębi ich dla ich dobra, jak również nie kazał sprzedawać okupowanym książeczek dziecięco–młodzieżowych o własnych szczenięcych latach), ale mieli też ciekawe cechy wspólne, nie tylko psychiatryczne. Obaj byli lewakami, jednak swych wielbicieli pozdrawiali prawą ręką, i ta pantomima rozprostowanej dłoni wzniesionej nad głową stanowiła kultowy gest. Obaj nie byli etnicznie tożsami z narodami, którymi rządzili — władający Germanią Hitler był Austriakiem, a władający Rosją Stalin Gruzinem. Obaj smażą się w piekle klnąc, że Historia nie ubogaciła ich imion przydomkiem *„Wielki"* — Józef Wielki i Adolf Wielki brzmiałoby lepiej niż zwykłe Stalin i Hitler. Obaj mieli słabość do obozów koncentracyjnych będących obozami zagłady. Obaj, choć eksterminowali masy ludzkie niby dwa wampiryczne kombajny pracujące bez ustanku, byli ludźmi czułymi i wrażliwymi. Adolf kochał zwierzęta (kurczęta i psy zwłaszcza), Józef dziewczęta (za młodu zwłaszcza), no i jak oni dwaj uwielbiali dzieci! Niepodważalnymi dowodami są fotografie, które obaj złoczyńcy bez ustanku robili sobie z dzieciarnią, grając ciepłych wujaszków o gołębich sercach. Chcecie zobaczyć Adolfa z chłopczykiem? Proszę bardzo — oto *„Führer"* trzyma rączkę chłopczyka i magnetyzuje go przenikliwym spojrzeniem *„ojca narodu"*. Gruzin *„Koba"* nie był gorszy jako wódz ZSRR. Chcecie jego i chłopczyka? Oto generalissimus ze swym dobrotliwym uśmieszkiem, trzymający za rączkę *„riebionka"* (żeby ten nie spadł) na trybunie kremlowskiej podczas

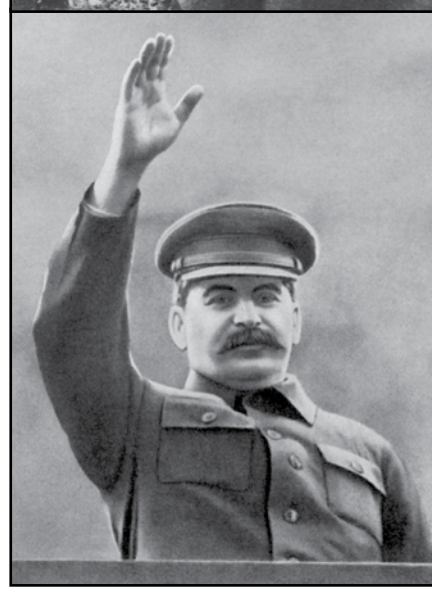

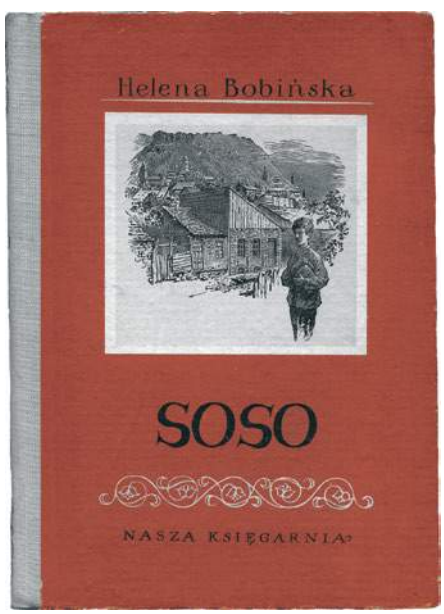

eprasa.pl c850b8daf1

defilady. A może wolicie dziewczynki?... Dziewczynek też nie brakowało. Oto Herr Hitler klepiący małą stokrotkę serdecznie po rozpromienionym buziaku. Towarzysz Dżugaszwili również nie próżnował — oto pisze coś mądrego przy swoim *„stanowisku pracy"*, a tuli się do niego i obejmuje go rączką *„sierotka z tadżyckiego kiszłaku, uczennica Mamłakat Nachangowa"*, serdeczna i rozpromieniona wzorem dzieci szczęśliwych, czyli radzieckich.

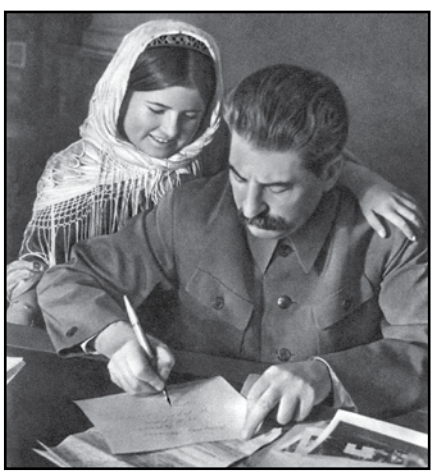

„Parteigenosse" numer 1 sam zresztą był rozkosznym bobaskiem (uchowała się fotka — patrz niżej), czego *„Soso"* może mu zazdrościć (jemu się nie uchowała, więc pewnie nie był), lecz *„towariszcz"* numer 1 miał (prócz partyjnej legitymacji

genseka) legitymację członka Akademii Nauk ZSRS, a Hitler za **„Mein Kampf"** nie dostał nawet doktoratu. Remis.

Remisu nie ma tylko w apologiach deifikujących obu ludojadów. Tuż po II Wojnie Światowej żaden poeta nie ośmielił się kadzić Hitlerowi, gdy Stalinowi niezliczone lewackie rymopisy oddawały bałwochwalczy hołd; jeden przykład — dwie zwrotki z wiersza Stanisława Jerzego Leca **„Złote strofy"**, publikowanego w **„Czerwonym Sztandarze"**:

„Którą poeci wyśpiewali
ojczyzna co to od Kamczatki
po szynach pędzi aż po San,
którą jak mleka pełny dzban
podają dzieciom czułe matki
— to Stalin!

I moja lira z nowej stali
i dumnie przemieniona muza,
obywateli jasny wzrok
i głos, i oddech, myśl i krok
i wolność, która nas odurza
— to Stalin!".

Naród cierpiał wtedy totalitarną niewolę, ale rymotwórcze gnidy (późniejsza noblistka Szymborska i podobni) zachwalali ten stan jako raj, dokładnie wedle wzorów rozbiorowych–procarskich, które tak ganił Franciszek Morawski, oficer i poeta ery Romantyzmu:

„Kajdany smutnych ludów
uzłacać niegodnie
I zbrodnią poezyi wspierać
tronu zbrodnie".

Po Chruszczowowskim zdemaskowaniu Stalina jako sukinsyna to ustało, a dzisiaj już tylko w Rosji Stalin miewa ołtarzyki, gdy *„neofaszyści"* czapkują Hitlerowi na wszystkich kontynentach prócz arktycznych i antarktycznych rejonów, bo ani Eskimosi, ani pingwiny nie wyrażają zainteresowania jakiegokolwiek. Cofnijmy się wszelako o 80 lat:

WOJNA KARYKATURZYSTÓW

Sierpień oraz wrzesień 1939 roku przyniosły układowe zaklepanie komitywy III Rzeszy i ZSRR. ***„Układ o nieagresji"*** (tzw. *„pakt Ribbentrop–Mołotow"*), podpisany 23 sierpnia i mający obowiązywać 10 lat, precyzował strefy wpływów dołączonym z inicjatywy Stalina tajnym protokołem (przez następne pół wieku — aż po rok 1990 — władze sowieckie kwestionowały jego autentyczność), dając Moskwie wolną rękę

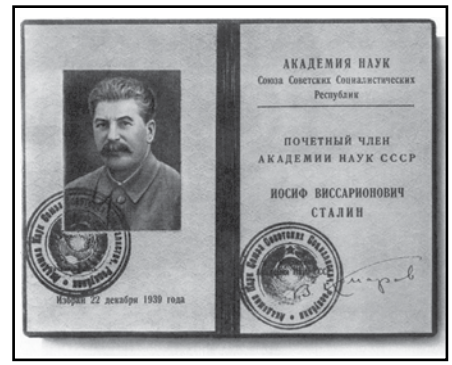

na terenie wschodniej Polski, Łotwy, Estonii, Finlandii i Besarabii, a Berlinowi na Litwie i reszcie polskiego terytorium. Gdy już zaatakowana obustronnie Polska padła — zwycięzcy podpisali w Moskwie (28 września) ***„Traktat o przyjaźni tudzież granicy"*** sankcjonujący rozbiór II RP i mający stanowić *„mocny fundament dla postępującego rozwoju przyjacielskich stosunków"* między Sowiecją a Rzeszą. Chociaż obaj despoci nigdy nie zetknęli

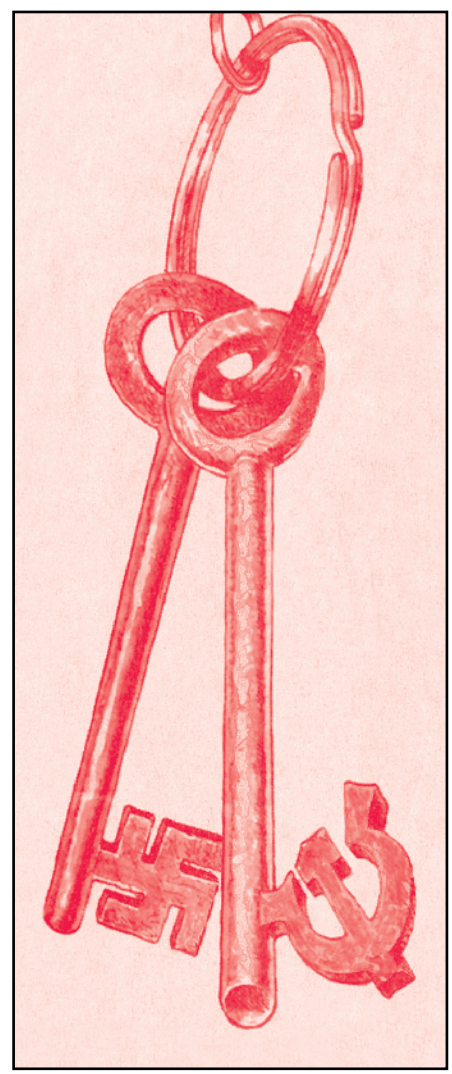

eprasa.pl c850b8daf1

się osobiście — można rzec, iż ściskali się wówczas i pili sobie z dzióbków, nic więc dziwnego, że prasa anglosaska tamtej doby drukowała regularnie karykatury ukazujące ślub pomiędzy Hitlerem (zazwyczaj był prezentowany jako pan młody) a Stalinem (noszącym welon jako panna młoda). Póki nie nastąpił rozwód, mowy nie było, aby media hitlerowskie opublikowały jakąkolwiek karykaturę *„Soso"*, a media sowieckie jakąkolwiek karykaturę *„Führera"*, natomiast emigracyjni polscy karykaturzyści nie wstrzymywali ręki, zestawiając (czasami wręcz scalając w jedno ciało) dwóch tyranów, exemplum rysunki Władysława Krawca publikowane przez polonijny **„Dziennik Chicagoski"**. Podobnie zespalali parszywą dwójkę rysownicy krajowego *„państwa podziemnego"* — niżej pokazuję wyprodukowaną

przez grafików pracujących dla Komendy Głównej AK (1943/1944) ulotkę w formie karty do gry, której awers ukazuje Hitlera i Stalina, a rewers zawiera inserat: *„Na fałszywą kartę postawili ci, którzy dali się zwabić Niemcom na listę volksdeutscherów! Na fałszywą kartę postawili ci, którzy dali się zwabić komunie na listę PPR!"*.

Rysunki Władysława Krawca

eprasa.pl c850b8daf1

Rozwody bywają bolesne. Małżeństwo Hitler–Stalin nie przetrwało nawet pełnych dwóch lat: 22 czerwca 1941 roku panzerkohorty germańskie runęły ku

Wschodowi, sprawiając krwawą łaźnię Armii Czerwonej. Odtąd w prasie Sowietów roiły się karykatury demonstrujące Hitlera jako diabła, zezwierzęconego szaleńca, bestię z piekła rodem, a prasa hitlerowska dobrze płaciła grafikom, którzy umieli celnie ośmieszać Stalina jako dupka, pajaca, niezgułę, lecz także jako kanibala ssącego krew poddanych mu narodów i jako mocodawcę światowego żydostwa, które knuje niezmordowanie na zgubę ludzkości (o czym zapewniał superbestseller **„Mein Kampf”**). Nie brakowało też czynienia Stalina *„parchem”* vel *„gudłajem”*, a palmę pierwszeństwa zdobyła *„dowcipna odwrotka”* — grafika pokazująca karykaturalny profil Stalina, która po odwróceniu *„do góry nogami”* ukazywała karykaturalny profil Żyda (odwrócenie wymuszał drukowany *„do góry nogami”* podpis–cytat, fragment tekstu żydowskiego publicysty Cohena w **„The Communist”** z 12 kwietnia 1919: *„Żydzi stworzyli Związek Sowiecki i to oni kierują losami Sowietów”*).

Wprowadzenie *„kwestii żydowskiej”* do propagandowej kampanii Hitlera wymierzonej w Stalina skutkowało zalaniem terenów okupowanych przez *„tysiącletnią Rzeszę”* (od Francji po Ukrainę, i od Holandii po Bałkany) setkami wydawnictw (głównie broszur i folderów) wiążących *„światowe żydostwo”* i *„unię bolszewicką”* jako wspólną ahumanitarną sitwę, którą heroicznie zwalczają pieczętujący się swastykami potomkowie Nibelungów/Zygfrydów. W Polsce takich broszur wyszło co najmniej 20. Drukowane były po polsku przez berlińskich edytorów cywilnych i wojskowych, a wkrótce przez gadzinowe firmy rodzime, z których jako pierwsze zaczęło działalność Wydawnictwo Nowoczesne (od 1940 roku). Prędko dołączyły inne tłocznie warszawskie: Wydawnictwo „Gazety Ilustrowanej” (od 1941), Wydawnictwo Glob (1943), Wydawnictwo Polskie, Wydawnictwo „Jutrzenka”, a także krakowska Księgarnia Powszechna i krakowskie Wydawnictwo Pik. Autorami byli kolaboranci (głównie endecy) — znani, jak Stanisław Brochwicz czy Jan Skiwski, oraz nieznani, jak Władysław Bocquet, Henryk Borkowski, Ludwik Bronowski, Wojciech Grzegorzak, Kajetan Klug, Jan Powierza, ksiądz Józef Radliński, Edward Stefański, Feliks Zdrojewski (część tych nazwisk — vide Bocquet — była pseudonimowa). Tekstami uwypuklali wrogość Żydów wobec katolików i *„żydowski barbarzyński bolszewizm”*. Ilustracje pokazywały zdegenerowane semickie fizjonomie oprawców i bankierów. *„Czerwoni”* (Moskwa, polscy komuniści) nie podjęli na tej płaszczyźnie szerokofrontowego kontrataku. Czas zemsty przyszedł dopiero po zdobyciu Berlina. Zaroiło się wtedy u nas od graficznych wizerunków Hitlera ośmieszających go — inauguracją był wydany przez firmę Czytelnik w ramach satyrycznej „Biblioteki **«Szpilek»**” tom

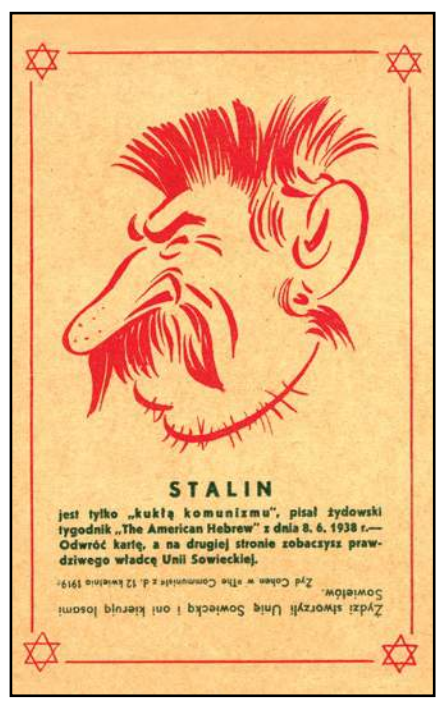

„Pożegnanie z Hitlerem” (1945), pełen rysunków Eryka Lipińskiego i kolegów.

TAK SIĘ PLECIE W KABARECIE

Wbrew lewactwu, które po II Wojnie Światowej zdominowało mainstreamowy przekaz medialny, narzucając światu trendy ideologiczne oraz kulturowe począwszy od stalinisty Sartre'a i wszelakich marksizujących dyrygentów (Michel Houellebecq: *„Przez cały XX wiek intelektualną debatę monopolizowała występna lewacka hołota”*, 2016) — w duecie Hitler–Stalin nie tylko ten pierwszy był rasistą i praktycznym realizatorem zbrodni na skutek fobii antysemickiej. *„Koba”* także nienawidził Żydów. Rozprawić się z nimi definitywnie postanowił w roku 1952. Jego *„służby”* przygotowały gigantyczną paraholocaustową operację antyżydowską (deportację kilku milionów rosyjskich Żydów z miast do obozów birobidżańskich, na dalekie azjatyckie tereny imperium), którą miano realizować w drugiej połowie roku 1953, lecz w marcu tegoż roku *„Słońcu Ludów”* się zmarło. Arcykapłani *„religii Holocaustu”* jakoś zapomnieli o tym.

Powtarzam: chociaż Stalin, wzorem Lenina, tu i tam (głównie w Rosji) jest *„wiecznie żywy”* — bywa dzisiaj przywoływany dużo rzadziej niż Hitler. Także w Polsce, gdzie nikt nie czci (ani głośno, ani cicho) związanych z nim rocznic, podczas gdy osobę Adolfa *„naziole”* czczą urządzając płomienne fety, jak ta z wafelkowymi swastykami, którą kontrsalonowcy biorą za TVN–owską *„ustawkę”*. Bertold Kittel, Anna Sobolewska i Piotr Wacowski, autorzy TVN–owskiego *„reportażu”* o tytule ***„Polscy neonaziści”***, tłumaczyli się chęcią pokazania, że w Polsce istnieją ludzie apoteozujący Hitlera stricte kultowo. Lecz istnieją również tacy, którzy przywołują go kabaretowo. To ma długą brodę, bo już w *„międzywojniu”* przebrany za Hitlera Ludwik Sempoliński na scenie kabaretu Ali Baba (program ***„Orzeł czy Rzeszka”***, maj 1939) zabawnie parodiował *„Führera”* (co spowodowało interwencję cen-

eprasa.pl c850b8daf1

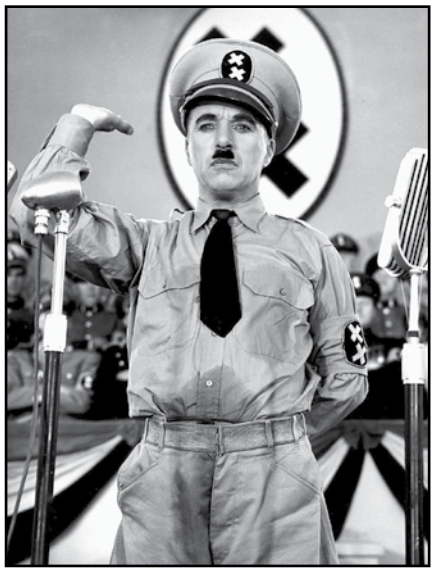

zuralną wskutek gwałtownego protestu ambasady niemieckiej), śpiewając do melodii popularnej **„Titiny"** Chaplina (który parodiował Hitlera filmem **„Dyktator"**):

„Ten wąsik, ach, ten wąsik!
Ten wzrok, ten lok, ten dąsik!
I wdzięk, i lęk, i mina,
I śmiech — tak jest, to ja!

Ten krzyk nad ludu mrowie,
Że krew, że gniew to zdrowie,
Titina, ach, Titina,
To smutna piosnka ma".

Dokładnie 80 lat później (luty 2019) Robert Górski z Kabaretu Moralnego Niepokoju, autor kabaretowego serialu ***„Ucho Prezesa"***, zamieszcza w **„Plusie Minusie"** (weekendowym magazynie **„Rzepy"**) taki inseracik: *„Przerywając milczenie Prezes powiedział o spółce Srebrna i dwóch wieżach, że wszystko było w porządku. Jedni się z tym zgodzili, inni nie, a jeszcze inni uważają, że Prezes jest gorszy niż Hitler. My widzimy jednak zasadniczą różnicę. Prezes nigdy nie nosił wąsów"*. Tego rodzaju wykorzystywanie Adolfa H. do okładania wrogów politycznych nie jest zbyt częste w praktyce *„wojny polsko–polskiej"* (bo Polacy uważają je za zbyt rażące, kretyńskie), natomiast w wojującej publicystyce pseudohistoriozoficznej nieraz się zdarza. Klinicznym casusem bywa tu Janusz Mikke, guru neoendeków, którego przeciwnicy zwą *„największym pojebem III RP, detronizującym w bredzeniu Wałęsę i Petru"*. Wielokrotnie zapewniał, że Hitler nie miał pojęcia o Holocauście (argumentując, że nie istnieje żaden dokument z epoki potwierdzający taką wiedzę Hitlera), a cesarza Napoleona zwie — wzorem niedouczonych rodzimych publicystek typu *„dumb–blond" — „Hitlerem XVIII wieku"*.

Ale można znaleźć takich, którzy przywołując dziś nazwisko *„Führera"* jeszcze bardziej się wygłupiają — Wielki Rabin Izraela Meir Laud: *„ — Dopóki chrześcijanie będą uważać Jezusa za Boga, dopóty pozostaną antysemitami. Otrzymanie chrztu jest gorsze niż wszystko co zrobił Hitler!"*. To również rodzaj kabaretu, tego z Szeolu. Ów złowrogi spektakl jest odgrywany przez diabelskich błaznów żydowskich konsekwentnie od dekad, także publicystyką parascjentyczną (pseudonaukową) i edukacyjną (szkolną) szermującą Hitlerem, vide elaborat **„Teaching About the Holocaust"** (2014) skierowany do rozpowszechniania przez New Jersey Commission of Holocaust Education i mówiący m.in.: *„Żydzi byli zawsze prześladowani przez polskie społeczeństwo, a rząd polski ułatwiał Hitlerowi więzienie Żydów na polskim terytorium"*. Właśnie o tym polskim rządzie (*„polskim reżimie"*) współpracującym z Hitlerem mówiła w tym roku na stołecznym terenie po warszawskim getcie założonym przez hitlerowców towarzysząca delegacji amerykańskiej (wiceprezydent USA Mike Pence i sekretarz stanu Mike Pompeo) żydowska dziennikarka CNN oraz NBC Andrea Mitchell, sławiąc *„bojowników z getta"*, którzy *„wzniecili powstanie przeciwko polskim władzom"*.

Z ADOLFEM POD RĘKĘ

Od przedwiośnia warszawski Teatr Powszechny idzie za ciosem (czyli za **„Klątwą"**) i wystawia **„Mein Kampf"**. Jak na urągowisko doczekaliśmy się też *„polskich patriotów"* antykomunistów plagiatujących paracopyrightowe sformułowania Adolfa (exemplum ksiądz Jacek Międlar, który daje swej książce tytuł: **„Moja Walka..."**, i potem się dziwi, że jej sprzedaż jest blokowana powszechnie) lub żałujących, iż polski rząd (władze II RP) nie współpracował z Hitlerem w roku 1939. Należało sprzymierzyć się militarnie i wspólnie uderzyć na Sowietów, by skopać tyłek Stalina. Pierwszy sugerował to już za PRL–u (cichcem) historyk z UW Paweł Wieczorkiewicz, a w III RP pałeczkę tej sztafety przejęli jego (formalni i nieformalni) uczniowie, spośród których szczególnie się wysforował Piotr Zychowicz książką **„Pakt Ribbentrop–Beck"** (2012). Dostała ona akceptację nielicznej kompanii (Ziemkiewicz, Chodakiewicz, Cenckiewicz), lecz większość historyków i komentatorów wyśmiała te dyrdymały o Adolfie sojuszniku (Andrzej Nowak: *„Zychowicz abstrahuje od faktów i od rzeczywistej sytuacji geopolitycznej"*; Wiktor Suworow: *„Te rewelacje o wspólnej z Hitlerem agresji na Rosję to takie głupoty, że tego nie daje się skomentować. To są zupełne banialuki"*; Romuald Szeremietiew: *„Te wynurzenia na temat rzekomej możliwości porozumienia z Hitlerem i wspólnego ataku na ZSRR to są baśnie z tysiąca i jednej nocy"*; Mikołaj Mirowski: *„To klasyczny przejaw historycznego postmodernizmu. Autor tak ahistorycznie podchodzący do historii chyba kompletnie stracił kontakt z rzeczywistością"*).

Biedny Adolf! Mógłby wygrać II Wojnę Światową gdyby wsparła go polska husaria. Szkoda, bo ten niedoszły austriacki malarz–pejzażysta bardzo cenił Polaków, darzył ich wręcz sympatią. Wkrótce po wojnie **„Głos Wielkopolski"** (nr 330/1947) informował, że według agencji United Press w jednym z frankfurckich bunkrów znaleziono tajny memoriał Hitlera przeznaczony dla jego zastępcy, Heinricha Himmlera, datowany 4–III–1944, i zawierający m.in. kilka zdań na temat Polaków: *„Polacy to najbardziej inteligentny naród ze wszystkich, które mogliśmy rozpoznać, a do tego, jak mówią meldunki z Generalnego Gubernatorstwa, obdarzony niepoślednim sprytem. Żaden inny europejski naród, prócz Niemców, nie dorównuje im przedsiębiorczością. Ostatnie badania i wnioski uczonych Reichsrassenamtu wykazują, że Polacy mogą być asymilowani, jako element wartościowy*

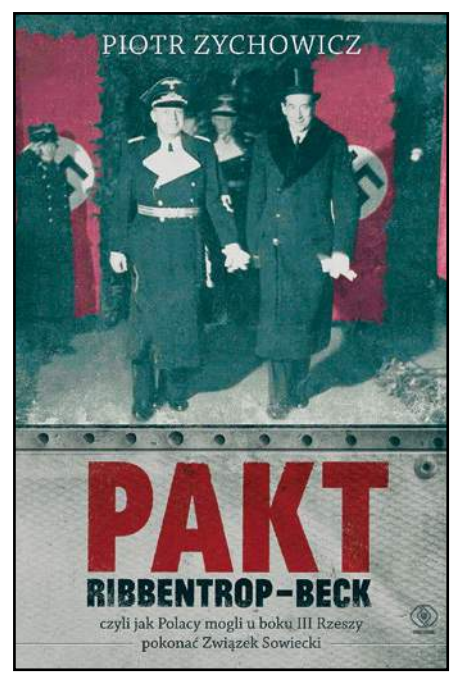

eprasa.pl c850b8daf1

rasowo, do społeczności germańskiej. Ci naukowcy twierdzą, że połączenie systematyczności niemieckiej z polotem Polaków dałoby świetny rezultat".

Był Adolf H. nie tylko wielbicielem Polaków, lecz i miłośnikiem śpiewaków. Operowych, jak zapewniała na początku tego roku wystawa „Hitler, władza, opera", zorganizowana przez norymberski Ośrodek Dokumentacji Okresu Narodowego Socjalizmu (zrelacjonował ją w **„Do Rzeczy"** Piotr Semka). Hitler sam też *„śpiewał"*, ale nie jako tenor czy baryton, tylko jako kapuś policyjny (analogicznie młody Stalin był konfidentem Ochrany carskiej), nim bowiem został *„Przewodnikiem Rzeszy"*, szpiclował płatnie dla Informacji wojskowej (jego *„oficer prowadzący"*, kpt. Karl Mayr, zapłacił za to śmiercią w Buchenwaldzie 1945 roku). To kolejny, mało dotychczas znany, element *„czarnej legendy"* Hitlera. I tu nasuwa się pytanie: czy w ogóle trzeba było tworzyć kiedykolwiek jakąś jego *„czarną legendę"* z takich bądź innych elementów? Przecież same zbrodnie wojenne i ludobójstwo wystarczały do globalnego utrwalania wizerunku swastykowego zwyrodnialca. Tymczasem okazuje się, że kontrhitlerowscy alianci wytworzyli na dodatek mitologię zohydzającą Hitlera jako człowieka funkcjonującego w życiu codziennym (domowym, biurowym, politycznym, itp.). Stąd cenzuralnie *„zakluczono"* wszelkie zdjęcia pokazujące go uśmiechniętym, a ważny element tego *„podkręcania «czarnej legendy» Hitlera"* stanowiło przez prawie sześć dekad serwowanie kolejnym pokoleniom wyłącznie tych filmów dokumentalnych, na których *„Führer"* mówi tak jakby szczekał — jakby umiał tylko skandować pokrzykująco tembrem przypominającym szczek. Gdy więc w roku 2018 Amerykanie odtajnili kamuflowane przez CIA filmy z Hitlerem mówiącym normalnie (łagodnie, spokojnie, bez unoszenia głosu) — dla wielu był to szok, bo wizerunek ten kompletnie nie pasował do mitu zakorzenionego od dawna. Wzmiankując to nie chcę wybielać czy ocieplać postaci monstrum, wskazuję jedynie ciekawostkę mitotwórczą.

Co do wybielania/ocieplania warto wiedzieć, że rehabilitujących Hitlera nie brakuje po dziś dzień, zwłaszcza wśród antysemitów. Przez *„czarną społeczność"* USA wciąż darzony jest kultem Louis Farrakhan, przywódca organizacji NOI (Nation of Islam), głoszący: *„Żydzi, autorzy zholokaustowania Murzynów, czyli największej kryminalnej zbrodni przeciwko całej rasie, nazywają mnie spadkobiercą Hitlera, co mnie cieszy, bo Hitler był Wielkim Człowiekiem, który zrobił dla Niemiec bardzo dużo, m.in. rozprawiając się z Żydami"*. Francuski współczesny pisarz Mehdi Meklat peroruje publicznie o *„potrzebie nowego Hitlera, który zrobiłby porządek z Żydami"* (2017). Maltański europarlamentarzysta Louis Grech, funkcjonariusz Komisji Europejskiej, zwymyślał swą włoską koleżankę od *„parszywych Żydówek"*, rycząc: *„ — Hitler winien dokończyć swą robotę i wytępić was wszystkich, całe żydostwo!"* (2015). Znany duński reżyser Lars von Trier został uznany w Cannes za *„persona non grata"*, bo roku 2011 na tamtejszym festiwalu oznajmił, że ma *„sporo sympatii dla Adolfa Hitlera"*. Fanem Hitlera jest też król Tajlandii Rama IX — jeżdżąc po świecie zabiera ze sobą portret *„Führera"*, który towarzysząca monarsze służba wiesza w każdym jego apartamencie hotelowym jako główny element wystroju. Etc., etc., etc.

* * * * *

Kończy się miejsce przeznaczone dla tego artykułu, więc już tylko puenta tycząca obu jego bohaterów. Dwa lata temu (2017) Rosyjskie Centrum Badań Lewada zapytało Rosjan kto był najwybitniejszą postacią w dziejach świata. Wygrał Stalin (38%), drugie miejsce zajęli ex–aequo Putin i Puszkin (34%), dalej byli Lenin i Gagarin, którzy pokonali Napoleona, Newtona i Einsteina. A jak wykazała ankieta, którą opublikował **„Le Monde"** — według dużej liczby Francuzek SS–man z pejczem stojący na tle portretu Hitlera to *„coś bardzo podniecającego seksualnie"*. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

PIOTR ZYCHOWICZ

REALHISTORIK

Setna „Karta”

Trudno w to uwierzyć, ale właśnie ukazał się setny numer „Karty”! Mojego ulubionego periodyku historycznego. Znakiem rozpoznawczym pisma są niesamowite fotografie i nowatorski sposób opowiadania historii. Czytając „Kartę”, na wydarzenia z przeszłości możemy bowiem spojrzeć oczami ich uczestników. Zapoznać się z ciekawymi dziennikami, wspomnieniami, artykułami z przedwojennej prasy i nieznanymi dokumentami.

To, co najbardziej podoba mi się w „Karcie”, to jednak – bardzo mi bliskie – podejście do przeszłości. Dla redaktora Zbigniewa Gluzy i jego ekipy w historii najważniejszy jest bowiem człowiek. Nie ideologie, narody, masy, klasy czy wielkie procesy dziejowe, ale właśnie człowiek. Według redaktora naczelnego „Karty” podejście takie wypływa z antykomunizmu jego zespołu. Odrzucenia komunistycznej historiozofii, dla której jednostka ludzka nie miała znaczenia.

„Gdy w 1990 r. »Karta« przechodziła z formuły konspiracyjnej na legalną – pisze Zbigniew Gluza we wstępniaku do jubileuszowego numeru – postawiliśmy sobie za cel wydobywanie losu pojedynczego człowieka z XX w. – skoro dotychczasowa propaganda spędziła go na margines procesów masowych, jakoby jedynych obiektywnych. […] Z poziomu uogólnień współczesności czy historii schodzimy w realność konkretnego człowieka. Tak ciągle widać najwięcej”.

Tematem numeru setnej „Karty” jest podbój kosmosu. Mnie jednak najbardziej zainteresował inny, bardziej przyziemny, materiał. Chodzi o przedstawienie jednego dnia z życia II RP – 15 czerwca 1934 r.

„Karcie” z okazji jej jubileuszu życzę wszystkiego dobrego. Co najmniej stu kolejnych, równie dobrych numerów

A więc tego dnia na Polesiu i na Wileńszczyźnie było pochmurnie. W Krakowie z oficjalną wizytą państwową gościł Joseph Goebbels. W Tczewie toczył się proces młodocianych złodziei wędlin. W Spale odbyło się garden party z udziałem prezydenta. W Sokalu krowa wzięła na rogi babę. W Tarnowie trzech uczniów popełniło samobójstwo z powodu złych wyników w nauce. A w Warszawie ukraiński zamachowiec zastrzelił ministra Bronisława Pierackiego. ©℗

„KARTA” 100/2019

SŁAWOMIR KOPER

HISTORIA WIECZNIE ŻYWA

Pańszczyzna w II RP

Rozmawiając o odzyskaniu niepodległości przez Polskę w stulecie tego wydarzenia, warto pamiętać, że część terenów zamieszkiwanych przez Polaków, a znajdujących się pod panowaniem pruskim i austriackim, nigdy nie była częścią Rzeczypospolitej Obojga Narodów.

Górny Śląsk i Śląsk Cieszyński jeszcze w średniowieczu przeszły pod panowanie Czech, zasiedlane przez polskich osadników Mazury pozostawały częścią państwa krzyżackiego, a następnie Prus Książęcych. Nie było też tematu Pomorza Zachodniego i Dolnego Śląska, które zostały dokładnie zgermanizowane i w XIX stuleciu nikt nie podnosił ich polskości.

Zapomina się również o specyficznym statucie Krakowa. Zgodnie z ustaleniami kongresu wiedeńskiego ogłoszono powstanie Rzeczypospolitej Krakowskiej Wolnej, Niepodległej i Ściśle Neutralnej, którą w 1846 r. anektowali Austriacy. Jednak nawet wówczas Kraków zachował pewną odrębność, formalnie nie był nawet częścią Galicji. To samo dotyczyło dwóch dawnych księstw – oświęcimskiego i zatorskiego – które kiedyś wchodziły nawet w skład Związku Niemieckiego.

Zupełnie abstrakcyjny charakter miał natomiast polsko-węgierski spór o granicę w Tatrach. W górach linia graniczna nie była dokładnie wytyczona, tymczasem pod koniec XIX w. węgierscy właściciele ziemscy zaczęli wypasać owce i prowadzić wycinkę drzew na ziemiach, do których zgłaszali pretensje również polscy górale.

Spór, mimo że prywatny, miał jednak charakter międzynarodowy, bo choć i Polacy, i Węgrzy byli poddanymi tego samego Habsburga, to nad tymi pierwszymi panował on jako cesarz Austrii, a nad tymi drugimi – jako król Węgier. Ostatecznie 13 września 1902 r. Międzynarodowy Sąd Rozjemczy do spraw ustalenia granicy w Tatrach wydał wreszcie wyrok korzystny dla Austrii, czyli dla Polaków. Pas ziemi od Morskiego Oka aż do Rysów pozostał polski, dlatego obecna granica ze Słowacją (wówczas częścią Węgier) ma taki właśnie przebieg.

Nie był to jedyny problem na pograniczu Galicji z Węgrami. Już po odrodzeniu państwa polskiego okazało się, że w tamtejszych majątkach należących do dwóch węgierskich rodów, a także w niektórych dobrach kościelnych, zachowały się pozostałości pańszczyzny!

Wydawać się to może nieprawdopodobne, ale wniosek o zniesienie tego obciążenia na Spiszu i Orawie został złożony w polskim parlamencie w 1920 r. (!), a właściwa ustawa weszła w życie dopiero 11 lat później. Miejscowi chłopi zwolnieni z obowiązku pańszczyzny nie byli zresztą z tego faktu specjalnie zadowoleni… ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

ORLEN

PARTNER
STRATEGICZNY
VII EDYCJI NAGRODY

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

STRAŻNIK PAMIĘCI

DO RZECZY

HISTORIA DO RZECZY

eprasa.pl c850b8daf1

W pierwszym tygodniu września przeciwnicy brexitu mieli wyłożyć na stół swoje ostatnie karty przed zawieszeniem prac parlamentu na pięć tygodni (od 9 września do 14 października – najdłużej od 1945 r.). Obecna sesja parlamentu trwała od trzech lat i była najdłuższa od kilku wieków.

Ogłoszona w ostatnim tygodniu sierpnia przez królową Elżbietę, na wniosek premiera, pięciotygodniowa przerwa w pracach parlamentu znacznie utrudnia możliwości zablokowania brexitu. Między 14 października, kiedy królowa ma otworzyć nową sesję parlamentu, podając do publicznej wiadomości program rządu Jej Królewskiej Mości, a datą wyjścia z Unii zaplanowaną na 31 października zostanie bowiem tylko dwa i pół tygodnia.

Moment i długość ogłoszonej przerwy oburzyły wielu Brytyjczyków, zwłaszcza po stronie przeciwników brexitu, którzy podobnie jak polska totalna opozycja mówią o końcu demokracji czy o zamachu stanu, porównując w niektórych przypadkach rządy Borisa Johnsona do rządów Hitlera lub nazywając go dyktatorem, jak to zrobił kanclerz skarbu w gabinecie cieni John McDonnell. W wielu miastach organizowano nawet protesty uliczne podobne do tych, które inicjował w Polsce KOD po wygranej PiS, w tym przypadku pod hasłem „Stop the coup", czyli „Zatrzymać zamach stanu".

Boris Johnson pokazał tym samym, że poważnie traktuje swoją lipcową obietnicę, iż brexit nastąpi 31 października, „bez żadnych »jeśli« i bez żadnych »ale«". Obecny rząd uważa, że dużo lepszy byłby brexit z umową, ale o renegocjacjach z Unią można pomyśleć tylko wtedy, gdy 27 państw będzie miało pewność, iż brexit nastąpi w wyznaczonej dacie nawet bez umowy. Johnson uważa więc, że albo Unia zrezygnuje z tzw. irlandzkiego bezpiecznika, albo dojdzie do twardego brexitu ze szkodą dla wszystkich, ale do którego Brytyjczycy pod jego rządami gorączkowo się jednak przygotowują.

2 września, w przededniu głosowania w Izbie Gmin, w którym przeciwnicy brexitu mieli przejąć kontrolę nad kalendarzem wychodzenia z UE, aby móc domagać się odłożenia w czasie daty wyjścia z Unii, Johnson ostrzegał, że nie zwróci się do Unii o zmianę terminu i że będzie wówczas chciał zwołać przyspieszone wybory. Orędzie to skierowane było zwłaszcza do ok. 20 torysów, którzy zamierzali poprzeć w głosowaniu partię Jeremy'ego Corbyna. Szef brytyjskiego rządu oskarżył tych posłów o to, że swoim posunięciem zniweczą wszelkie szanse porozumienia z Unią przed 31 października, gdyż dadzą liderom Unii nadzieję na to, iż mogą jeszcze przeforsować skrajnie niekorzystne porozumienie wynegocjowane przez Theresę May i trzykrotnie odrzucone w Izbie Gmin.

FOT. DANIEL LEAL-OLIVAS

Na początku września torysi wraz ze wspierającymi ich rządy irlandzkimi unionistami z DUP mieli tylko o jednego posła więcej, niż tego wymaga bezwzględna większość. Każdy głos się zatem liczył, a głosującym z Partią Pracy torysom grożono wyrzuceniem z partii.

Jeśli wierzyć sondażom, to pod wodzą Johnsona torysi mają szanse wygrać przyspieszone wybory, zwłaszcza jeśli dojdzie do porozumienia z partią Brexit Party Nigela Farage'a. Farage zaproponował pakt o nieagresji, czyli o niewystawianiu kandydatów tam, gdzie może wygrać kandydat Partii Konserwatywnej, ale pod jednym warunkiem: Johnson musiał obiecać, iż nie przyjmie porozumienia z Unią wynegocjowanego przez Theresę May, nawet jeśli Unia zgodziłaby się zrezygnować z irlandzkiego „bezpiecznika". To drugi powód, który każe zakładać, że manewry przeciwni-

eprasa.pl c850b8daf1

Olivier Bault

Boris Johnson, który miał doprowadzić nawet do twardego brexitu, stracił ster. Znów nie wiadomo, kiedy Wielka Brytania wyjdzie z UE

Brexit: ostatnie starcie?

ków brexitu bez porozumienia z Unią mogą przyczynić się do takiego właśnie scenariusza.

Według uśrednionych wyników sondaży z 1 września torysi mogli liczyć na 33 proc. głosów, laburzyści na 25 proc., liberalni demokraci, będący większymi niż laburzyści przeciwnikami brexitu – 18 proc., a Brexit Party, opowiadająca się za twardym brexitem – na 13 proc. Sondaże z końca sierpnia pokazywały też, że względna większość Brytyjczyków sprzeciwia się ponownemu przesunięciu daty brexitu, a większość wyborców Partii Konserwatywnej i Brexit Party jest zwolennikiem sojuszu wyborczego między tymi partiami. Warto też podkreślić, że porozumienie z Unią było wciąż możliwe na początku września, gdyż zarówno większość brytyjskich posłów, jak i większość wyborców opowiada się za przyjęciem porozumienia wynegocjowanego przez Theresę May, o ile nie będzie w nim irlandzkiego backstopu.

IRLANDZKI BEZPIECZNIK

Czym jest w istocie ten „irlandzki bezpiecznik" i dlaczego jest on nie do zaakceptowania dla większości Brytyjczyków? Otóż przez dwa i pół roku, od momentu referendum, w którym Brytyjczycy opowiedzieli się za wyjściem z Unii, negocjacje między Londynem a Brukselą rozbijały się najpierw o żądanie UE, aby Wielka Brytania zgodziła się przed dalszymi negocjacjami na zapłatę ok. 44 mld euro celem rozliczeń i spełnienia już przyjętych zobowiązań (pierwotnie Komisja Europejska mówiła o jeszcze większej kwocie), a następnie o kwestię granicy między Irlandią Północną a Republiką Irlandii. Brak kontroli granicznych w Irlandii jest częścią porozumienia pokojowego podpisanego w 1998 r., które zakończyło trwający od końca lat 60. XX w. konflikt w Irlandii Północnej.

Porozumienia między Brukselą a Londynem nie osiągnięto, ale kilka miesięcy przed datą brexitu, który miał nastąpić pod koniec marca, Theresie May udało się podpisać tymczasowe porozumienie. Miało ono obowiązywać do momentu wypracowania ostatecznej umowy regulującej relacje między Unią Europejską a Zjednoczonym Królestwem Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej po brexicie. W okresie przejściowym, czyli do końca 2020 r., Londyn miał zostać objęty normami i regulacjami unijnymi i nadal podlegać jurysdykcji Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej. Gdyby miało nie dojść do podpisania porozumienia handlowego między Unią Europejską a Wielką Brytanią do końca roku 2020, grupa przedstawicieli obu stron miałaby zadecydować, czy ów okres przejściowy należy przedłużyć, czy też zastosować postanowienia tzw. bezpiecznika irlandzkiego. W tym ostatnim przypadku reguły jednolitego rynku miałyby nadal obowiązywać na Wyspach, chyba że obie strony postanowią inaczej. A to oznacza, że na mocy porozumienia przejściowego podpisanego przez Theresę May Londyn nie mógłby wycofać się jednostronnie z tych ustaleń. Poza tym – na mocy „bezpiecznika", w celu uniknięcia potrzeby przywrócenia kontroli ruchu między dwiema Irlandiami – Irlandia Północna miałaby pozostać w całości częścią unijnego jednolitego rynku, a Wielka Brytania też, tyle że w bardziej ograniczonym zakresie. I tak na przykład, w przypadku produktów rybnych, nieobjętych porozumieniem (co oznacza, że Wielka Brytania nie byłaby już częścią jednolitego rynku w tej dziedzinie), należałoby wprowadzać cła, a więc i kontrole graniczne między Irlandią Północną a Wielką Brytanią.

W oczach krytyków tego rozwiązania narusza ono integralność Zjednoczonego

eprasa.pl c850b8daf1

Przeciwnicy brexitu demonstrowali w Londynie

FOT. FORUM

Królestwa. Na dodatek szkoccy nacjonaliści, na czele z ich liderką Nicolą Sturgeon, zapowiedzieli, że chcą, aby Szkocja również korzystała z takiego samego statutu jak Irlandia Północna – czyli aby była częścią jednolitego rynku. Poza tym już w momencie podpisania przejściowego porozumienia w listopadzie ubiegłego roku Niemka Sabine Weyand, która razem z głównym negocjatorem Komisji Europejskiej, Francuzem Michelem Barnier, prowadziła negocjacje z Londynem z ramienia Komisji, miała według brytyjskich mediów oznajmić, że pozostanie Zjednoczonego Królestwa w unii celnej będzie podstawą przyszłych negocjacji. Francuski prezydent Emmanuel Macron obiecał francuskim rybakom na konferencji prasowej zorganizowanej tuż po podpisaniu porozumienia 25 listopada ubiegłego roku, że irlandzki backstop zostanie użyty w negocjacjach, aby wymusić na Wielkiej Brytanii utrzymanie otwartego dostępu do brytyjskich wód dla rybaków z Unii. Wspólna polityka rybołówstwa była jednym z argumentów podnoszonych przez zwolenników opuszczenia Unii w kampanii przed referendum z 2016 r. Dla zwolenników brexitu było więc od początku jasne, że przejściowe porozumienie obarczone tzw. irlandzkim bezpiecznikiem przekreśli szanse na prawdziwy brexit i zwiąże Wielką Brytanię na wiele lat z Unią Europejską, przekształcając kraj, jak to ujął lider probrexitowych torysów w Izbie Gmin Jacob Rees-Mogg, w „państwo niewolnicze" Unii. Czyli w państwo podlegające prawu unijnemu, ale niewspółdecydujące.

PRZESIADKI POSŁÓW

To ta kwestia doprowadziła do trzykrotnego odrzucenia porozumienia w brytyjskiej Izbie Gmin oraz w końcu do rezygnacji premier Theresy May i wewnętrznych wyborów na nowego lidera Partii Konserwatywnej, które to wybory w lipcu wygrał Boris Johnson. On, w przeciwieństwie do Theresy May, w kampanii referendalnej z 2016 r. opowiadał się za wyjściem z Unii. W lipcu 2018 r. Johnson złożył rezygnację ze stanowiska ministra spraw zagranicznych z powodu zbyt uległego wobec Brukseli stanowiska premier. Wybierając go na nowego lidera partii, co czyniło go automatycznie premierem, torysi mogli więc mieć nadzieję, że nie będzie starał się o pozostawienie Zjednoczonego Królestwa Wielkiej Brytanii i Irlandii Północnej w jak najściślejszym związku z Unią Europejską, a że przede wszystkim będzie realizował swoją obietnicę doprowadzenia do brexitu do 31 października i że nie zostanie zorganizowane drugie referendum w tej sprawie.

Przeciwnicy brexitu, przejmując kontrolę nad pracami Izby Gmin, w głosowaniu, które odbyło się we wtorek 3 września, chcieli właśnie termin wyjścia z UE odroczyć po raz kolejny. Rząd Jej Królewskiej Mości stracił swoją większość parlamentarną, gdyż jeden poseł Partii Konserwatywnej przesiadł się do ławek Partii Liberalno-Demokratycznej. Johnson przegrał głosowanie z wynikiem 328 głosów do 301, ponieważ 21 posłów z Partii Konserwatywnej głosowało za propozycją Partii Pracy, choć grożono im wyrzuceniem z ugrupowania. Wykluczenie z szeregów torysów stało się więc faktem i dotyczy także tak ważnych osobistości jak były kanclerz skarbu (minister finansów) w rządzie May – Philip Hammond. Nazajutrz po tym głosowaniu Izba Gmin przegłosowała projekt ustawy nakładającej na premiera obowiązek zwrócenia się do Unii o odłożenie w czasie daty wyjścia z UE. Oczywiście jeszcze nie znaczy to, że Wielka Brytania nie wyjdzie z Unii pod koniec października, gdyż Unia nie musi się na to zgodzić. Poza tym projekt ustawy musiał być jeszcze procedowany w Izbie Lordów, gdzie przeciwni brexitowi posłowie mają większość, ale gdzie ich oponenci przygotowywali się do długich obrad nad rozmaitymi propozycjami poprawek. Labourzyści i ich sprzymierzeńcy mieli bowiem czas tylko do poniedziałku, czyli do momentu zakończenia sesji parlamentarnej, aby przyjąć tę ustawę, gdyż po tym terminie wszystkie projekty ustaw będące w toku tracą ważność. A 4 września, głosami Partii Pracy Jeremy'ego Corbyna, Izba Gmin nie zgodziła się na przyspieszone wybory, których w tej sytuacji premier zażądał na 15 października.

NAJGORSZA NIEPEWNOŚĆ

W połowie pierwszego tygodnia września wciąż nie było zatem wiadomo, kiedy i na jakich warunkach dojdzie do brexitu i czy w ogóle do niego dojdzie. Dla firm z obu stron kanału La Manche ta trwająca niepewność jest najgorszym możliwym scenariuszem. W dużej części jest to wina Komisji Europejskiej, negocjatora Michela Barnier oraz – zdaniem mediów brytyjskich i francuskich – francuskiego prezydenta Emmanuela Macrona, który miał wywierać najsilniejsze naciski na Barniera, aby ten był wobec Brytyjczyków nieugięty w żądaniach. Jeśli dojdzie do twardego brexitu, to będzie to porażka Unii, która w ten sposób udowodni, że nie potrafi wynegocjować w dobrej wierze, z uwzględnieniem interesów wszystkich państw członkowskich i obywateli, dobrowolnego wyjścia ze swoich szeregów jednego z krajów.

Smaczku całej sytuacji dodaje to, że „dyktator zamachowiec" Boris Johnson chce rozstrzygnąć sytuację, zwracając się w trybie przyspieszonym do wyborców, a „demokratyczna opozycja" z nowymi wyborami woli poczekać, aż najpierw zablokuje brexit, choć w dużej większości członkowie tej opozycji obiecywali ten brexit przeprowadzić do końca, kiedy stawali do wyborów w 2017 r. To przecież m.in. na podstawie tej wciąż niespełnionej obietnicy dostali się do Izby Gmin.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. FORUM

KLIMAT Z DIESLEM

Podczas kilkudniowej demonstracji w sprawie klimatu zatrzymano ruch na jednej z najbardziej ruchliwych ulic w Manchesterze. Były szczytne hasła („Akcja dla klimatu teraz! Dopóki nie jest za późno!"), była też scena. I był też, jak się okazało, generator prądu. Zasilany dieslem. Do wykrzykiwania haseł przez nagłośnienie niezbędne okazało się spalanie ropy. Organizatorzy przyznali lokalnym mediom, że to „trochę hipokryzja". Trochę?!

ROSJA O HISTORII

Rzeczniczka MSZ Rosji Maria Zacharowa uznała, że polskie obchody 80. rocznicy wybuchu II wojny światowej były „jaskrawym przykładem pisania historii na nowo". Najbardziej nie spodobało jej się to, że ktoś może uznawać, iż to dwa reżimy totalitarne brały w tym udział i że Sowiety potem dalej okupowały Europę Wschodnią. Zdaniem pani Zacharowej nie ma to „żadnych podstaw prawnych i historycznych". Cóż, dla Rosjan mówienie o prawdziwej historii faktycznie może brzmieć jak pisanie historii na nowo.

RESTAURACJA HITLERA

Awantura na Bliskim Wschodzie – a dokładniej rzecz biorąc: w bliskowschodnich mediach. Okazało się, że od kilku miesięcy w irackim Kurdystanie otwarty był lokal pod nazwą „Restauracja Hitlera". Właściciel przybytku nie krył, że właśnie taki miał zamiar. Jak prostolinijnie tłumaczył – zależało mu na rozgłosie. Nawet logo lokalu wystylizował na swastykę. Restauracja stała się sławna. Ale, jak doniosła izraelska prasa, krótko po tej wielkiej sławie lokalne władze nakazały zamknięcie restauracji do czasu zmiany nazwy.

BLAMAŻ SZTUKI PRZETRWANIA

Rosyjski bloger, zamieszczający w sieci poradniki wideo, postanowił nagrać odcinek o tym, jak przetrwać w lesie. Jak doniósł Biełsat TV, 16-latek podczas nagrywania tego materiału sam zgubił się w tajdze na północy kraju (na terenie Republiki Komi). Udało mu się skontaktować z rodzicami, którzy zawiadomili służby. Mistrza przetrwania znaleziono dzięki gwizdkowi. Młody człowiek szedł w kierunku dźwięków emitowanych przez ratowników.

NIE ĆWICZ JOGI NA BALKONIE

23-latka z Meksyku ćwiczyła „ekstremalną jogę" na balkonie na szóstym piętrze budynku w San Pedro Garza García w Meksyku. Ćwiczenia polegały na uprawianiu wygibasów na poręczy balkonu, które dziewczyna filmowała. Podczas wykonywania jednego z „ćwiczeń" poszła o krok za daleko. Upadek na szczęście przeżyła. Ale przez najbliższe trzy lata nie będzie nawet chodzić. ©℗

Łukasz Zboralski

NOTATNIK MALKONTENTA

Bieda opozycji, bieda Schetyny

ŁUKASZ WARZECHA

Manewr z wysunięciem przez Koalicję Obywatelską na pierwszy plan jako kandydatki na premiera Małgorzaty Kidawy-Błońskiej nie musiałby być zły. Kidawa-Błońska nie ma wizerunku zajadłego awanturnika, na ogół wypowiada się spokojnie, nawet jeśli niekoniecznie z głębokim sensem (ale przecież nie o to chodzi), a przede wszystkim nie budzi tak negatywnych odczuć jak Grzegorz Schetyna, którego pod tym względem pogrążają wszystkie możliwe sondaże. Również w oczach zwolenników PO.

Nie musiałby być to zatem krok zły, ale… Na tym właśnie polega trwała, wręcz już przyrodzona cecha opozycji spod znaku Platformy, że nawet, jeżeli coś jest w sumie OK, to nie jest OK i zawsze coś jest nie tak. Ten mechanizm partia Schetyny doprowadziła do maestrii.

Program na przykład. Przecież PO w końcu go ogłosiła i były tam, jak najbardziej, punkty do dyskusji. Co z tego, skoro zrobiła to po kilkudziesięciu miesiącach naśmiewania się przez PiS, że programu nie ma, i w dodatku tydzień po wielkiej merytorycznej konwencji programowej partii rządzącej?

Z Kidawą-Błońską jest to samo. Niby dobrze, ale za późno, właściwie tuż przed wyborami, i w dodatku po tym, jak dziennikarze napisali, że najlepiej by było, gdyby się Schetyna schował. No i Schetyna się schował, za Kidawą-Błońską, ale teraz już wszyscy wiedzą, że się schował, bo tak mu doradziła firma od PR, choć mówił, że niczego takiego mu nie doradzano. Strasznie to wszystko… biedne. Tak właśnie: biedne. A może nawet ubożuchne. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

Informacje o pożarach w Ameryce Południowej stały się pretekstem do protestów przeciwko prezydentowi Brazylii Jairowi Bolsonaro FOT. LUIS ROBAYO/AFP/EAST NEWS

Amazonia nie płonie

Łukasz Warzecha

Awantura wokół rzekomych pożarów puszczy amazońskiej nie ma wiele wspólnego z realnym zagrożeniem. To walka lewicowych organizacji i rządów Zachodu z nielubianym, niepoprawnym politycznie prezydentem Brazylii

W sprawach ochrony środowiska aktywiści oraz sprzyjający im politycy i celebryci doszli w pewnym sensie do ściany: w wielu przypadkach rozpętali taką histerię i przyjęli ton tak kasandryczny, że efekt jest dokładnie odwrotny – ich namolne lamenty zaczynają ludzi irytować.

Pisał o tym – o dziwo w „New York Timesie" – na początku sierpnia publicysta Christopher Caldwell (były redaktor kultowego „The Weekly Standard", który zakończył działalność niespełna rok temu, po 24 latach na rynku), analizując przypadek Grety Thunberg. Caldwell wskazywał na to, że apokaliptyczna maniera Thunberg i jej zwolenników bardziej ludzi odrzuca, niż przekonuje, że powinni coś robić.

Tymczasem niemal wszystkie tematy związane z szeroko pojętym środowiskiem są dziś omawiane w takiej manierze. Zresztą trudno nawet mówić o omawianiu, skoro to właściwie płynące w jedną stronę dramatyczne komunikaty, tak jakby za dwa dni miał się skończyć świat. Dziki, węgiel, globalne ocieplenie, plastik, konsumpcja mięsa, Puszcza Białowieska – we wszystkich tych kwestiach, czy to lokalnych czy globalnych, mechanizm był podobny: sprytnie generowana w mediach społecznościowych i tradycyjnych absurdalna psychoza i idące za tym żądania, żeby „natychmiast coś zrobić". Ostatnio taki mechanizm zadziałał w przypadku rzekomych pożarów puszczy amazońskiej. Użycie słowa „rzekomy" wyjaśni się dalej.

JAKA JEST PRAWDA

Faktycznie, większość obszaru podzwrotnikowej puszczy (ok. 60 proc.) jest położona na terenie Brazylii. Jednak to przecież tylko trochę ponad połowa. A jednak to głównie Brazylia znalazła się na celowniku światowego celebrytwa – od Madonny przez Christiana Ronaldo i Leonarda DiCaprio do Macieja Zakościelnego. Celebryci działali w typowy dla siebie sposób – nadymając się w mediach społecznościowych i zamieszczając zdjęcia płonących lasów. Tyle że – jak wytknął w swoim filmie na YouTube z cyklu „Nauka. To lubię" dr Tomasz Rożek, jeden z najbardziej znanych polskich dziennikarzy naukowych – większość tych zdjęć pochodzi albo sprzed lat, albo w ogóle nie pokazuje Amazonii. Na przykład Ronaldo wstawił zdjęcie z 2013 r., zrobione wprawdzie w Brazylii, ale na południu, daleko od Amazonii. DiCaprio i prezydent Francji Emmanuel Macron podali dalej fotografię zrobioną ponad 20 lat temu, ale pobiła ich Madonna, dzieląc się ponad 30-letnim zdjęciem.

Przypomina to dowcipy o Radiu Erywań albo polską aferę z wiewiórką siedzącą na ściętym pniu drzewa, które rzekomo zostało „zabite" w ramach liberalnej fazy obowiązywania „lex Szyszko". Potem, jak wiadomo, okazało się, że drzewo zostało naruszone przez wichurę i ścięte w związku z tym przez pracowników warszawskiego zarządu zieleni.

Podobnie jak w przypadku histerii klimatycznej, tak i przy sprawie pożarów w Ameryce Południowej mamy cały stek przekłamań, nadużyć i kłamstw. Fraza o tym, że „palą się zielone płuca ziemi, produkujące 20 proc. tlenu", jest zwyczajnie nieprawdziwa. Jak w swoim

eprasa.pl c850b8daf1

materiale wskazuje dr Rożek, pożary dotyczą w zdecydowanej większości nie puszczy, ale terenów, które już dawno zostały odlesione i przeznaczone na uprawy, a rolnicy wypalają na nich trawę lub krzaki, na podobnej zasadzie, jak robi się to w Polsce.

Nieprawdą jest również powielane bezmyślnie setki tysięcy razy (w tym przez prezydenta Macrona) stwierdzenie, że lasy Amazonii dostarczają 20 proc. światowego tlenu. Tutaj zaskoczenie może być największe: okazuje się bowiem, że faktyczna produkcja tlenu przez las zwrotnikowy jest dalece niższa, właściwie zerowa. Jak to możliwe? Profesor Philip Fearnside z Brazylijskiego Narodowego Instytutu Badań Amazonii wyjaśniał amerykańskiemu „Newsweekowi" pod koniec sierpnia, że las także oddycha, a więc konsumuje produkowany przez siebie tlen. Rozmówca tygodnika stwierdził, że drzewo produkuje tlen dopóty, dopóki rośnie i magazynuje w swoim pniu dwutlenek węgla – czyli wówczas rachunek netto produkcji tlenu jest dodatni – ale gdy umiera i zaczyna gnić, podobna ilość tlenu jest zużywana w związku z procesami rozkładu, a produktem jest… dwutlenek węgla. Kolejny rozmówca „Newsweeka", Andrei Lapenas z Uniwersytetu Albany, oszacował produkowaną i zarazem konsumowaną przez las tropikalny ilość tlenu na 32 gigatony rocznie.

Inny cytowany w tym samym tekście naukowiec, Scott Saleska z Uniwersytetu w Arizonie, stwierdza, że ilość netto tlenu produkowanego przez amazońską puszczę jest zatem w praktyce zerowa, zaś ilość tego gazu w atmosferze jest mniej więcej stała. Według naukowca, począwszy od początku lat 90., spadła raptem o 0,005 proc., czyli tyle co nic.

Wynika z tego, że gdyby faktycznie spaliła się znacząca część lasów Amazonii, a następnie te tereny zostały ponownie zalesione – wtedy faktycznie mogłoby się okazać, że produkcja tlenu netto jest na plusie. Ale tylko wtedy.

Bzdura z tragicznymi rzekomo skutkami pożarów amazońskich lasów (pomijając fakt, że – jako się rzekło – pożary w ogóle dotyczą ich w niewielkim stopniu) jest tak potężna, że prostuje ją również naukowiec działający w Międzyrządowym Panelu ds. Zmian Klimatu, czyli głównym ciele napędzającym narrację klimatystyczną. Cytowany w „Forbesie" przez Michaela Shellenbergera Dan Nepstad, od 30 lat pracujący w Amazonii, twierdzenia o „ginących zielonych płucach Ziemi" nazywa wprost bzdurami. Ten sam naukowiec wskazuje, że nie ma mowy o jakimś wyjątkowym natężeniu pożarów w Amazonii – ich liczba przewyższa jedynie o 7 proc. średnią z ostatniej dekady.

SKĄD TEN LAMENT?

Takich przykładów „oszczędnego obchodzenia się z faktami" jest o wiele więcej, kluczowe więc staje się pytanie, skąd się bierze ta histeria i komu ona służy. Otóż uderzenie akurat w Brazylię – choć 40 proc. lasów równikowych leży na terytoriach innych krajów, gdzie też trwają pożary i też tereny leśne są przeznaczane pod uprawy – nie jest przypadkowe. Od początku tego roku jej prezydentem jest Jair Bolsonaro. Jeśli światowa lewica nie nienawidzi go bardziej niż Donalda Trumpa, to chyba tylko dlatego, że Brazylia jest po prostu mniej ważnym państwem niż USA. Przy Bolsonaro tymczasem nawet prezydent USA wypada jak umiarkowany polityk.

Bolsonaro szedł do wyborów pod hasłem: „Brazylia przede wszystkim, Bóg ponad wszystkim". Polityczna poprawność jest mu całkowicie obca. Wywołał poruszenie, mówiąc między innymi, że gdyby miał syna homoseksualistę, nie potrafiłby go kochać i wolałby, żeby potomek zginął w wypadku. Jego wrogość wobec stronnictwa LGBT jest nieskrywana. Jego zgryźliwe uwagi na temat brazylijskich Indian wywołały skandal. Trudno się dziwić, że światowa lewica uznała, że oto nadarza się okazja do ataku na „południowoamerykańskiego Trumpa". Za opiniotwórczymi kręgami lewicy idzie zaś, jak wiadomo, owczym pędem większość celebrytów. Tak jest również w Polsce.

Co ciekawe, w przypadku prezentowania południowoamerykańskich pożarów jako „ginących płuc Ziemi" bujda jest tak kompletna i ewidentna, że odcinają się od niej nawet te lewicowe media, które chcą zachować opinię poważnych, jak „New York Times" – choć nie dotyczy to już CNN, które wpisało się w paniczny i histeryczny nastrój.

Bardzo charakterystyczne, że lamentujący celebryci, ale także politycy, mieszający z błotem Bolsonaro, nie uwzględniają w ogóle rzeczywistego problemu: ekonomiczno-społecznego uzasadnienia dla zmniejszania obszaru lasów deszczowych. Bo jeśli coś powinno zaprzątać uwagę, to nie fejkowe pożary, ale właśnie skala samego odlesiania. Tutaj na jednej szali leży zachowanie lasu, na drugiej – dostarczenie ludziom ziemi uprawnej lub przeznaczonej na pastwiska (które zresztą również produkują tlen), a więc zapewnienie im utrzymania. Łatwo jest Leonardowi DiCaprio czy innej Madonnie napisać na Twitterze, że lasów równikowych w ogóle nie powinno się tknąć, bo, leżąc na stertach dolarów, nie muszą walczyć o byt. Nie są brazylijskimi farmerami.

To dokładnie ten sam symptom, który pojawia się, gdy mowa o zmianach klimatu i środkach, jakimi mielibyśmy im zapobiegać. Fanatyczni klimatyści nie liczą się z kosztami, nie obchodzą ich rosnące ceny energii czy upadające firmy. Wobec nadchodzącego końca świata – powiadają – żadne wyrzeczenie nie jest wystarczająco daleko idące.

Jak dotąd jedynie Trump i Bolsonaro byli w stanie odpowiedzieć stanowczo na tę narrację. Od momentu objęcia rządów przez tego drugiego agencja ochrony przyrody rzadziej karała za naruszanie prawa, a sam prezydent jasno dawał do zrozumienia, że komfort Indian, zamieszkujących lasy Brazylii, nie jest dla niego najważniejszy. Mało tego – ostatecznie oskarżył ekologiczne organizacje o to, że stoją za podpaleniami. Ściągnął sobie w ten sposób na głowę gniew zamożnych nacji Zachodu. Norwegia i Niemcy wstrzymały dotacje dla funduszu, z którego zasilane są między innymi rządowe brazylijskie agencje, zajmujące się środowiskiem naturalnym. Ba, pojawiły się nawet żądania, żeby na Brazylię nałożyć embargo handlowe.

Cała ta awantura, jak widać, nie ma jednak wiele wspólnego ani z zagrożeniem niekontrolowanymi pożarami (które po prostu nie istnieje), ani z zagadnieniem przeznaczania terenów leśnych pod uprawy. To po prostu walka lewicowych organizacji i rządów Zachodu z nielubianym, niepoprawnym politycznie prezydentem Brazylii, wykorzystująca pretekst ekologiczny. Bo to ekologia stała się dzisiaj na świecie quasi-religią budzącą największe, najskrajniejsze emocje w zlaicyzowanych społeczeństwach.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Korzystałem m.in. z materiałów opublikowanych przez Tomasza Rożka na kanale „Nauka. To lubię" na YouTube.

eprasa.pl c850b8daf1

Piotr Włoczyk

Bardzo zła śmierć

Staruszkowie z demencją stawiający opór w trakcie podawania śmiertelnych zastrzyków; zdrowi fizycznie młodzi ludzie z zaburzeniami psychicznymi poddawani eutanazji – tak wyglądają realia holenderskiego prawa do „dobrej śmierci"

Ustalenia holenderskiej prokuratury brzmią jak horror. Lekarka najpierw wsypuje do kawy chorej na alzheimera 74-letniej Holenderki środek usypiający. Tym sposobem gwarantuje sobie bezproblemowe dokonanie eutanazji. Jednak akurat tego dnia coś idzie nie tak i pacjentka wybudza się w momencie, gdy stojąca nad nią lekarka zamierza wstrzyknąć do jej krwiobiegu zabójczy środek. Staruszka zaczyna stawiać opór. Lekarka, widząc to, błyskawicznie przerywa procedurę i stara się uspokoić chorą? Nic z tych rzeczy. Zamiast tego specjalistka od eutanazji prosi córkę chorej kobiety i jej męża o przytrzymanie pacjentki. Oboje pomagają lekarce w doprowadzeniu sprawy do końca. W takich oto okolicznościach w 2016 r. 74-latka odchodzi z tego świata.

Mimo to prokuratura nie zarzuca nikomu ani zabójstwa, ani współudziału w zabójstwie. Holenderscy śledczy stawiają lekarce (i tylko jej) zarzut zupełnie innego kalibru: ich zdaniem nie zrobiła wystarczająco dużo, żeby upewnić się, że pacjentka wciąż chce umrzeć, skoro ta dawała sprzeczne sygnały.

„Lekarka powinna była upewnić się w czasie rozmowy, czy kobieta wciąż chciała umrzeć" – czytamy w akcie oskarżenia. Prokuratura nie oczekuje jednak dla oskarżonej kary pozbawienia wolności, ponieważ zakłada, że kobieta (jej personalia, tak samo jak dane pacjentki poddanej eutanazji, nie zostały podane do wiadomości publicznej) działała w dobrej wierze. Dlaczego więc holenderska prokuratura w ogóle chce, by lekarką zajął się sąd? Celem ma tu być wyznaczenie jasnych granic, jeżeli chodzi o poddawanie eutanazji osób z zaawansowaną demencją. Decyzja sądu w tej sprawie spodziewana jest w tym tygodniu.

„UCZCIWE INTENCJE"

Holenderscy śledczy zainteresowali się tą sprawą jesienią zeszłego roku, gdy okazało się, że regionalna instytucja nadzorująca eutanazję dopatrzyła się w tym konkretnym przypadku przekroczenia granic. Sama rodzina uśmierconej kobiety stanęła jednak murem za oskarżoną. „Ta lekarka uwolniła moją matkę z mentalnego więzienia, w którym się znalazła" – napisała w oświadczeniu jej córka.

W tej jednej kwestii nie ma żadnego sporu – uśmiercona 74-latka faktycznie wyraziła na piśmie cztery lata przed śmiercią wolę poddania się eutanazji, gdy – dopiero co zdiagnozowana – choroba Alzheimera osiągnie u niej taki poziom zaawansowania, że trzeba ją będzie oddać do domu opieki. „Chcę być w stanie zdecydować o momencie śmierci, gdy wciąż będę przy zmysłach i gdy uznam, że nadszedł już czas" – napisała w 2012 r. w piśmie z prośbą o eutanazję.

Sęk w tym, że w międzyczasie, jak ustaliła prokuratura, kobieta wielokrotnie

Lekarka oczywiście stanowczo odrzuca oskarżenia, twierdząc, że wszystko przebiegło zgodnie z procedurą – pacjentka wyraźnie poprosiła na piśmie o eutanazję, gdy przyjdzie na to czas, więc ona tylko uszanowała wolę pacjentki z czasu, gdy ta była jeszcze w stanie racjonalnie myśleć.

dawała w rozmowach mieszane sygnały: raz twierdziła, że nie chce żyć z zaawansowanym alzheimerem, a kiedy indziej podkreślała z kolei, że nie chce umierać.

„Kluczowym pytaniem w tej sprawie jest to, jak długo lekarz powinien konsultować się z pacjentem cierpiącym

eprasa.pl c850b8daf1

na demencję, jeżeli pacjent na wcześniejszym etapie wyraził chęć poddania się eutanazji" – powiedziała rzeczniczka holenderskiej prokuratury Sanna van der Harg. „Jednak nie wątpimy w uczciwe intencje lekarki" – dodała.

Odkąd w 2002 r. Holandia stała się pierwszym krajem na świecie, w którym zalegalizowano eutanazję, jest to pierwsza sprawa dotycząca lekarza przeprowadzającego tę procedurę, którą prokuratura postanowiła skierować do sądu. Niewykluczone jednak, że takich spraw będzie niedługo więcej. Holenderska prokuratura zajmuje się bowiem

FOT. HANSSENS/ISOPRESS/EAST NEWS

obecnie trzema przypadkami eutanazji kobiet z zaburzeniami psychicznymi oraz z zaawansowaną demencją (z lat 2017 i 2018), gdzie również mogło dojść do „nieprawidłowości".

Te historie potwierdzają najgorsze obawy przeciwników „dobrej śmierci" na życzenie, którzy od początku przekonywali, że prędzej czy później dojdzie do kompletnego wynaturzenia tego systemu i życie ludzkie po prostu straci jakąkolwiek wartość.

Oliwy do ognia dolała w 2018 r. rezygnacja etyczki Berny van Baarsen z regionalnej holenderskiej instytucji zajmującej się nadzorem nad eutanazją. Jak powiedziała Baarsen w wywiadzie dla holenderskiej gazety „Trouw", nie jest w stanie dłużej popierać takiej polityki względem osób cierpiących na zaawansowaną demencję. „Nie ma takiej możliwości, by sprawdzić, że pacjent cierpi w sposób nieznośny, ponieważ nie jest już wówczas w stanie tego zakomunikować".

CZTERY NA STO

W ostatnich latach eutanazja odpowiada w Holandii za ok. 4 proc. ogólnej liczby zgonów. W 2018 r. zabitych zostało w ten sposób ponad 6 tys. ludzi. Zdecydowana większość z nich to chorzy na raka, ale rośnie liczba ludzi, którzy poddawani są eutanazji ze względu na demencję oraz choroby psychiczne.

O pomoc państwa w zakończeniu swojego życia mogą się bowiem w Holandii ubiegać ludzie, którzy „cierpią w sposób nieznośny i nie mają szans na polepszenie stanu zdrowia". To z kolei oznacza, że wcale nie trzeba być ani śmiertelnie chorym, ani nie trzeba być w ogóle chorym fizycznie. Wystarczy, że dwóch lekarzy potwierdzi, iż osoba chora, np. na depresję, cierpi tak bardzo, że powinno jej się pomóc umrzeć. W 2017 r. państwo holenderskie „pomogło" w ten sposób 67 ludziom, którzy chorowali na różne zaburzenia psychiczne. Podkreślmy – te osoby były fizycznie zdrowe, ale uważały, że ich stan psychiczny sprawia, iż nie są już w stanie dłużej żyć.

Pytania, które powracają w Holandii w dyskusjach wokół tych najbardziej kontrowersyjnych przypadków eutanazji, brzmią: „Czy osoba z zaburzeniami psychicznymi może rzeczywiście świadomie prosić o śmierć? Czy obowiązkiem państwa nie powinno być leczenie takiej osoby, a nie uśmiercanie jej?".

– Eutanazja zabija w społeczeństwie wartość życia. Oswajamy się z myślą, że nie zawsze trzeba ratować ludzi. Pamiętajmy też, że w zabijaniu chorych biorą udział inni ludzie. Jakie spustoszenie dokonuje to w ich wrażliwości na życie… – mówi „Do Rzeczy" Wesley J. Smith, znany amerykański działacz pro-life, autor książki „Kultura śmierci". – Ludzi pcha do samobójstwa głównie strach przed bezradnością, bólem, utratą godności. Zgadzając się na eutanazję, potwierdzamy tylko te najgorsze obawy. Naszą odpowiedzią powinny być miłość, maksymalna troska i towarzyszenie ciężko chorym, a nie zabijanie ich – dodaje Smith.

Sprawą, która wzbudziła niedawno olbrzymie kontrowersje – nie tylko w Holandii – była śmierć 29-letniej Aurelii Brouwers. Doszło do tego w styczniu zeszłego roku. Brouwers wypiła truciznę przygotowaną dla niej przez lekarza. Nie była to więc eutanazja, tylko tzw. wspomagane samobójstwo. Kobieta ani nie była śmiertelnie chora, ani nie cierpiała na demencję, ale miała wiele zaburzeń psychicznych, m.in. ciężką depresję.

„Mam 29 lat i postanowiłam dobrowolnie poddać się eutanazji. Wybrałam to, ponieważ mam mnóstwo problemów ze zdrowiem psychicznym. Cierpię nieznośnie i beznadziejnie. Każdy mój oddech to tortura" – tymi słowami Brouwers tłumaczyła powody swojej decyzji. W ostatnich dniach życia towarzyszyli jej dziennikarze, którzy nagrali m.in. jej rozmowę z menedżerem domu pogrzebowego, który sama wybrała. Oboje żartowali, gdy omawiali plan imprezy pogrzebowej, a Aurelia zajrzała też do pomieszczenia, gdzie w trakcie stypy miała stać urna z jej prochami. Dziennikarze mówili w kontekście dnia jej uśmiercenia o „randce ze śmiercią"…

„Skąd mam wiedzieć, że jej życzenie śmierci nie jest objawem jej zaburzenia psychicznego? To, że ktoś to racjonalizuje, wcale nie oznacza, iż nie jest to objaw choroby" – komentował sprawę Aurelii Brouwers dr Frank Koersalman, holenderski psychiatra, który nie zgadza się na kwalifikowanie do eutanazji osób z zaburzeniami psychicznymi. Wszystko wskazuje jednak na to, że ten – wydawałoby się – oczywisty głos rozsądku niczego nie zmieni, jeżeli chodzi o realia holenderskiej polityki eutanazyjnej. Kurs jest bowiem nastawiony na coraz większe poszerzanie katalogu osób, którym państwo holenderskie „pomoże" w opuszczeniu tego świata.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Z Pawłem Borysem, prezesem Polskiego Funduszu Rozwoju
rozmawiają Piotr Gabryel i Jacek Przybylski

Wierzę w inteligentny interwencjonizm

FOT. WOJCIECH STRÓŻYK/REPORTER

„DO RZECZY": Premier Morawiecki założył konto na Facebooku, a pan konto na Twitterze. Nie da się już działać bez konta w mediach społecznościowych?

PAWEŁ BORYS: Osiem lat broniłem się przed „sprofilowaniem". Mocno zaangażowałem się jednak w program Pracowniczych Planów Kapitałowych i zdecydowałem, że argumenty za tą reformą będę przekazywał również za pośrednictwem mediów społecznościowych. Jest tam też sporo o innowacjach czy ogólnie gospodarce. Muszę powiedzieć, że polubiłem te media. Na razie nie doświadczyłem hejtu – być może pomogły zdjęcia moich kotów!

Na Twitterze pojawił się pan z filmikiem promującym PPK. Jaki poziom udziału pracowników w PPK uzna pan za sukces?

Gdy podobny program startował w Wielkiej Brytanii, partycypacja pracowników wynosiła ok. 50 proc. Ale po sześciu latach wzrosła do 90 proc. W Polsce, zwłaszcza po OFE, musimy zmierzyć się z poważnym kryzysem zaufania do systemu i niską skłonnością do oszczędzania. W tych warunkach początkowy udział 40–50 proc. byłby dobry, ponieważ to 5–6 mln pracowników dodatkowo zabezpieczonych finansowo na okres emerytalny. Zakładam, że z czasem ta liczba będzie rosła, bo PPK są po prostu korzystne dla pracownika. Najlepszy depozyt w banku daje obecnie ok. 3 proc. w skali roku. Tymczasem zysk z PPK już na wejściu wynosi blisko 100 proc. Program działa bowiem tak, że jeśli ja na mój prywatny rachunek w PPK przeznaczę 2 proc. swojej pensji, to drugie tyle dokłada pracodawca w postaci dopłaty 1,5 proc. pensji, która de facto jest podwyżką i benefitem pracowniczym, oraz 240 zł co roku dopłaca Fundusz Pracy plus jednorazowo otrzymujemy 250 zł dopłaty powitalnej. Przykładowo przy pensji brutto 5 tys. zł, odkładając co miesiąc na prywatnym rachunku PPK po 100 zł, po roku mamy aż 2590 zł. Dlatego promujemy PPK pod hasłem: „W sumie się opłaca!". Dla firm udział w programie PPK jest obowiązkowy. Zgłosiło się do niego również aż 20 instytucji finansowych. Konkurencyjny rynek sprawił, że koszty są wyjątkowo niskie i wynoszą średnio zaledwie 0,35 proc. – należą więc do najniższych opłat w całej Europie.

Aby PPK odniosły długofalowy sukces, państwo musi jednak pokazać, że ten program to ponadpolityczny pakt emerytalny. Warto podkreślać, że żaden rząd nigdy nie będzie mógł po te pieniądze sięgnąć, bo to prywatne pieniądze, które mogą być nie tylko dziedziczone, lecz także które w każdej chwili można wypłacić. Taki pakt polityczny oraz pracodawców z rządem powstał w Wielkiej Brytanii. To będzie odbudowywało zaufanie i powinno zapewnić po kilku latach powszechność PPK na poziomie 60–70 proc.

Jestem też przekonany, że propozycja uporządkowania sprawy OFE również jest uczciwa. Uczestnicy OFE mają wreszcie jakiś realny wybór: mogą wybrać ZUS lub zdecydować się na to, by te pieniądze trafiły na ich prywatne rachunki w IKE.

Kto wybierze IKE, ten zapłaci jednak 15 proc. opłaty przekształceniowej.

Tak, ale dziś środki OFE są przy wypłacie opodatkowane według PIT, czyli według stawek 18 i 32 proc. Żeby to było dla wszystkich uczciwe, przy wyborze IKE jest 15 proc. opłaty, w ZUS pozostaje PIT, więc w sumie pieniędzy mamy mniej więcej tyle samo. Najważniejsze będzie jednak to, że wreszcie będzie jasne, co jest publiczne, a co jest prywatne.

Będziemy więc mieli publiczny ZUS, czyli emeryturę dożywotnią, oraz dodatkowy, dobrowolny i prywatny system pracowniczy PPK i system indywidualny IKE. W ten sposób jest zbudowany nowoczesny system emerytalny w większości krajów rozwiniętych OECD. Badania z USA pokazują, że dzięki wprowadzeniu podobnego programu 401(k) w ostatnich 50 latach poziom ubóstwa wśród amerykańskich emerytów drastycznie się zmniejszył z poziomu aż 35 proc. w latach 60. do 9 proc. obecnie. Warto pomyśleć o swoich finansach na emeryturze wcześniej i zaplanować bezpieczną jesień życia. Temu służą PPK i reforma OFE zaproponowana przez premiera Mateusza Morawieckiego.

Jak duża wśród polityków PiS była pokusa, by – wzorem rządu Tuska – przyszłym emerytom zabrać resztę ich oszczędności z OFE?

Rząd PiS mógł to zrobić, bo przecież Trybunał Konstytucyjny orzekł, że to środki publiczne. Ale praktycznie oznaczałoby to całkowite załamanie wśród Polaków zaufania do systemu emerytalnego oraz armagedon na giełdzie, nacjonalizację setek firm i spadek wartości środków w OFE. Zamiast tego rząd zaproponował więc Polakom wybór. Albo przeniesienie środków do ZUS, albo domyślna opcja IKE, która oznacza, że te środki staną się wreszcie prywatne, tak jak obiecywano 20 lat temu. Mówiono bowiem Polakom, że ich środki w OFE to ich prywatne oszczędności. Niestety, było to wówczas niezgodne z prawdą i takie deklaracje były co najmniej nadużyciem w komunikacji. Do tego OFE nie miały sensu z perspektywy emeryta – nie miały bowiem szansy sprawić, aby na emeryturze rzeczywiście ktoś miał więcej pieniędzy. PPK są zupełnie inne, ponieważ to dodatkowy kapitał emerytalny, a nie podział składki do ZUS jak w przypadku OFE.

eprasa.pl c850b8daf1

Przyszłe rządy nie będą mogły zagrabić PPK?

Nie potrafię sobie tego wyobrazić. Status tych środków jest bowiem identyczny jak prywatnych pieniędzy zgromadzonych w bankach. Podobny jest też mechanizm ich zbierania: w banku, gdy zakładamy długoterminowy depozyt, przy wcześniejszym zerwaniu lokaty tracimy odsetki. W przypadku PPK też możemy w każdej chwili wypłacić pieniądze, ale tracimy zwolnienie z podatku od zysków kapitałowych i dopłaty, a wpłata pracodawcy podlega ozusowaniu.

Wiceprezes PFR Bartosz Marczuk twierdzi, że nie ma osoby, której PPK nie będzie się opłacać. Czy to nie jest zbyt odważna deklaracja, biorąc pod uwagę to, że fundusze będą inwestować pieniądze na giełdzie, na której ostatnio królują spadki?

Nie można obiecywać gruszek na wierzbie i wczasów pod palmami, ale aby stracić na PPK, w długim terminie stopa zwrotu z inwestycji musiałaby wynosić minus 50 proc. Trudno to sobie wyobrazić. Zwłaszcza że w PPK jest stosowana nowoczesna polityka inwestycyjna. Jest ona bardzo zróżnicowana – zakłada inwestycje m.in. w akcje, obligacje skarbowe, obligacje korporacyjne czy inwestycje zagraniczne. Co więcej – czego nie było w OFE – jest to polityka dostosowana do wieku oszczędzającego: im bliżej do emerytury, tym mniej pieniędzy inwestowanych jest w bardziej ryzykowne akcje.

Również KNF od samego początku wysyła na rynek jednoznaczny sygnał, że będzie prowadziła bardzo wnikliwy nadzór nad PPK. Instytucje, które zgłosiły się do programu, są zaś silnymi podmiotami. Zostało więc zrobione bardzo dużo, aby zapewnić zarówno prywatność środków, jak i to, że będą one dobrze inwestowane.

A co w przypadku pieniędzy z OFE? Lepiej zarobią w ZUS czy w IKE?

W tym przypadku wybór nie dotyczy tego, gdzie się więcej zarobi. Ekonomicznie w długim terminie wskaźnik waloryzacji emerytur w ZUS powinien być mniej więcej taki sam jak stopa zwrotu z aktywów zgromadzonych w IKE. Oba te parametry zależą bowiem od PKB.

Notowania mocno się jednak wahają. PPK mają uratować polską Giełdę Papierów Wartościowych?

Celem jest wzrost oszczędności emerytalnych i większe bezpieczeństwo pracowników na emeryturze. Oczywiście długoterminowy kapitał w PPK będzie miał bardzo pozytywny wpływ na gospodarkę. Wyższy krajowy kapitał to silniejszy system finansowy i mocna baza finansowania sektora przedsiębiorstw, to niższy dług zagraniczny czy wyższe inwestycje i tempo wzrostu. Kraje biedne nie mają tego kapitału, kraje bogate mają. Jeżeli chcemy wejść do grona najwyżej rozwiniętych krajów świata, to potrzebujemy długoterminowego kapitału i silnego rynku kapitałowego, który finansuje m.in. trwającą rewolucję technologiczną. To ważne, bo giełda w Warszawie przez ostatnich kilka lat nie ma dobrej passy. Wynika to choćby z tego, że za dużo jest na niej sektorów tradycyjnych, a za mało tych nowoczesnych. Jest to jednak odbicie całej gospodarki. Ale to się powoli zmienia i pojawiają się bardzo innowacyjne polskie firmy, które odnoszą sukcesy międzynarodowe.

Jest pan zadowolony z zapowiedzi premiera Morawieckiego wprowadzenia w 2020 r. budżetu zrównoważonego, czyli bez deficytu?

Zrównoważony budżet to ambitny cel i dobry sygnał z punktu widzenia gospodarki. W okresie dobrej koniunktury warto bowiem spłacać długi, aby w gorszym okresie móc je zaciągać. Wyraźnie widać, że mimo przeznaczania kilkudziesięciu miliardów złotych na programy społeczne finanse publiczne w Polsce od kilku lat są w tzw. konsolidacji. Poziom zadłużenia w stosunku do PKB jeszcze nie tak dawno był powyżej 50 proc., a według prognoz w 2020 r. ma spaść do 46 proc. W trendzie spadkowym jest również deficyt strukturalny. Dzięki temu na początku września jedna z japońskich agencji ratingowych podwyższyła rating Polski do poziomu A.

Jeszcze w marcu, po ogłoszeniu „piątki Kaczyńskiego", premier Morawiecki obawiał się jednak, że deficyt państwa w 2020 r. wzrośnie, a rząd będzie się starał, by nie przekroczył 3 proc. Co się stało między marcem a sierpniem, że rząd ogłosił ambitny plan zrównoważonego budżetu?

Premier pewnie miał na myśli cały sektor finansów publicznych i w tym wypadku niewielki deficyt, na poziomie ok. 0,5 proc., w przyszłym roku będzie. Widać, że premier zalecił dużą dyscyplinę, jeśli chodzi o wydatki. Budżet zawiera bowiem ambitny plan obniżenia np. kosztów administracji.

Premier nie brał też pod uwagę dodatkowych przychodów jednorazowych. Realizację budżetu bez deficytu ułatwią zaś przychody m.in. z aukcji częstotliwości 5G, ze sprzedaży praw do emisji CO_2, a także wpływy z opłaty przekształceniowej OFE.

Co będzie jednak z budżetami na kolejne lata, gdy takich jednorazowych wpływów zabraknie?

Nawet gdyby tych jednorazowych wpływów w przyszłym roku nie było, to deficyt i tak byłby na dobrym poziomie. Tak zwany deficyt strukturalny, czyli oczyszczony z wpływów cyklicznych i ze zdarzeń jednorazowych, od kilku lat konsekwentnie się zmniejsza i obecnie jest na poziomie niewiele przekraczającym 1 proc. Nawet jeśli się okaże, że w roku 2021 będziemy mieli deficyt na poziomie 1–2 proc., to i tak będzie to niezły wynik.

Jeżeli wzrost gospodarczy się utrzyma i w roku 2022 będzie powyżej 3,5 proc., wówczas przy trochę wyższej inflacji będzie to oznaczało, że nominalny wzrost PKB będzie na wysokim poziomie ok. 6,5 proc. Nie boję się więc o budżet na najbliższe lata.

Dodatkowo udało się praktycznie wyeliminować lukę VAT. Zostało jednak jeszcze trochę do zrobienia w takich obszarach jak cła czy podatek CIT, co może dodatkowo polepszyć sytuację finansów publicznych i na czym koncentruje się obecnie Ministerstwo Finansów.

A nie obawia się pan, że PiS przesadza z wielkością transferów socjalnych? Nawet premier Morawiecki przyznał, że „z punktu widzenia sytuacji gospodarczej wzięliśmy wszystko, co jest możliwe na tym etapie dobrej zmiany".

Jestem zwolennikiem zrównoważonego rozwoju. Jeżeli w społeczeństwie byłoby 20–25 proc. osób zagrożonych ubóstwem, żyjących trochę na marginesie, plus wiele rodzin z trudem pokrywających miesięczne wydatki, to nie można by o takim rozwoju mówić. Trwały rozwój oznacza spójność społeczną pod względem ekonomicznym czy w dostępie do edukacji i służby zdrowia. W Polsce w okresie transformacji bardzo brakowało takiej polityki prorodzinnej. Stąd tak fatalne dane o dzietności i starzenie się społeczeństwa. To był historyczny błąd, który trzeba szybko naprawić.

Warto też zauważyć, że większość tych transferów socjalnych, choćby program „500+", jest ekwiwalentem obniżki podatków. Osobom, które pracują, zostaje bowiem w portfelach więcej pieniędzy. A gdy poprawia się sytuacja materialna polskich rodzin, coraz więcej osób jest włączonych w życie społeczne i gospodarcze, co ma bardzo istotne pozytywne skutki w długim terminie.

Oczywiście, konieczna jest też równowaga między konsumpcją i wydatkami

eprasa.pl c850b8daf1

socjalnymi a inwestycjami, edukacją, czy budową infrastruktury. W Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju obie te strony są zbilansowane, czego najlepszym przykładem jest choćby PFR. Naszym głównym zadaniem jest bowiem dbanie o fundamenty rozwoju: inwestycje, innowacje i powszechny program oszczędnościowy, czyli PPK, który ma pozwolić na zbudowanie długoterminowego lokalnego kapitału.

Te „500+" niedługo może być warte tylko 400+? Czy szybko rosnąca inflacja w Polsce po uwolnieniu cen energii nie zagrozi ambitnym planom rządu?

Przy luźnej polityce pieniężnej – rosnącej inflacji i utrzymywaniu stóp procentowych na tym samym poziomie – mamy de facto ujemne realne stopy procentowe. To zaś jest argument za zrównoważonym budżetem w roku 2020. Inflacja bazowa jest na poziomie 2,2 proc. Pół świata, w tym strefa euro czy USA, modli się o taką inflację, ponieważ boryka się z czynnikami deflacyjnymi. Inflacja oscylująca wokół 2–3 proc. jest bowiem bezpieczna. Oczywiście, gdyby była wyższa – presja na wzrost cen z uwagi na sytuację na rynku pracy jest silna zwłaszcza w sektorze usług – byłby to argument za zaciskaniem polityki pieniężnej. Spodziewane spowolnienie polskiej gospodarki w latach 2020–2021 powinno jednak zahamować tempo wzrostu cen.

Niemiecka gospodarka już się kurczy, a ekonomiści ostrzegają, że nad światową gromadzą się chmury. Widzi pan ryzyko recesji w Polsce?

Wykluczyłbym taki scenariusz w perspektywie co najmniej dwóch lat. Oczywiście jeśli nie nastąpi jakiś szok. Jednym z potencjalnych źródeł ryzyka mógłby być kryzys w sektorze bankowym, spowodowany np. wyrokiem TSUE. Jeżeli TSUE wymyśliłby sobie, że kredyt frankowy był kredytem złotowym, ale oprocentowanym według stawki LIBOR, to moglibyśmy mieć duże problemy. Oznaczałoby to bowiem, że banki, gromadząc kapitał na potencjalne straty, mocno przycięłyby akcję kredytową. Nie potrafię sobie też wyobrazić, jak sektor finansowy miałby zarządzać takim ryzykiem.

Jeśli na to wszystko nałożyłyby się recesja w Niemczech i wojny handlowe, to byłoby to niebezpieczne. Nie potrafiłbym sobie jednak logicznie wytłumaczyć takiego wyroku i uważam, że byłby on fundamentalnie niesprawiedliwy pod względem kredytobiorców w złotym. Banki nie powinny były takiego produktu sprzedawać, ale rozwiązanie tego problemu musi być bezpieczne i nie na koszt całego społeczeństwa.

Zakładam jednak, że obecne spowolnienie przejdziemy suchą nogą. Pierwszy raz w historii tak mocno oderwaliśmy się od koniunktury niemieckiej. Chociaż zamówienia z Niemiec spadają, to jednocześnie w Polsce pojawia się wiele nowych inwestycji, które zwiększają eksport. Biorąc zaś pod uwagę wzrost inflacji, to lekkie spowolnienie mogłoby nam nawet wyjść na dobre.

Czy uważa pan, że zbyt wielu Polaków dało sobie wmówić w latach 90., iż kapitał nie ma narodowości, a w sferze gospodarczej państwo powinno być jedynie pilnującym reguł wolnego rynku „nocnym stróżem"?

W mojej ocenie problem polegał na tym, że za mało wierzyliśmy w swój potencjał. Przez pierwsze 20 lat transformacji dominował pogląd, że zagraniczne jest lepsze. Z tym powiązany był brak zaufania, że my też potrafimy. Lepiej było więc sięgnąć po opinię zagranicznej kancelarii prawnej czy zagranicznego eksperta. Oczywiście sporo skorzystaliśmy na transferze technologii i metod zarządzania. Musimy jednak odbudować zaufanie do własnych umiejętności i doprowadzić do sprzężenia edukacji i stawiania na polski biznes oraz polskie produkty z silnym polskim sektorem finansowym i państwem, które prowadzi odpowiedzialną politykę w zakresie zamówień publicznych.

Nie jestem zwolennikiem etatyzmu. Wierzę jednak w inteligentny interwencjonizm. I taką zasadę stosujemy w PFR. Nie konkurujemy więc z sektorem prywatnym, ale działamy tak, by sektor prywatny był silniejszy. Wspieramy też rozwój rynku kapitałowego i ułatwiamy dostęp do kredytów. Wszystkie rozwinięte gospodarki mają silny system wspierania lokalnych firm na rynkach zagranicznych i wspierania lokalnych badań i innowacji. Inteligentny interwencjonizm dobrze działa m.in. w USA, Wielkiej Brytanii czy Niemczech. Japonia w mojej ocenie interweniuje już jednak zbyt mocno.

Niemcy i inne kraje dużo inwestują w OZE. Jak rozwój tej branży w Polsce chce wspierać PFR?

Nie fetyszyzowałbym OZE, ale te technologie rozwijają się tak szybko, że energia ze słońca pewnie za dwa, trzy lata stanie się jednym z najtańszych źródeł energii. Wierzę w sens fotowoltaiki, wiatraków offshore, biogazowni, niskoemisyjnego transportu czy budownictwa niskoenergetycznego.

W Polsce transformacja energetyczna zajmie jednak długie lata. W PFR policzyliśmy, że aby ją sfinansować, na najbliższą dekadę potrzebne jest blisko 300 mld zł. Tymczasem grupy, które działają na rynku, mają zdolność finansową ok. 200 mld. Jako PFR mówimy więc rynkowi: możemy wspierać realizację projektów w tym sektorze. Jesteśmy otwarci na współpracę np. przy tworzeniu biogazowni czy farm fotowoltaicznych. Chcemy w ramach programu PFR zielonych inwestycji przeznaczyć na ten cel 4,5 mld zł w najbliższych trzech latach.

A czy repolonizacja musi oznaczać renacjonalizację?

Absolutnie nie. Z naszych badań wynika, że w niektórych sektorach polskiej gospodarki 80–90 proc. tzw. łańcucha wartości – od produkcji do dystrybucji – jest przejęte przez zagraniczne firmy. Historycznie wiele zagranicznych inwestycji było opartych na niskich kosztach pracy w Polsce. Skoro chcemy zarabiać więcej, to te firmy przeniosą się gdzieś dalej. Warto więc mówić o polonizacji tego łańcucha wartości z jednej strony, a z drugiej wspierać inwestycje zagraniczne o wyższej wartości, np. w obszarach działalności badawczo-rozwojowej. PFR wspiera więc polski sektor przedsiębiorstw, który chce rozwijać się w nowoczesnych sektorach gospodarki. Państwo powinno być jednak obecne w takich strategicznych obszarach jak energetyka, sektor zbrojeniowy czy infrastruktura. Ważna jest też struktura własności w sektorze bankowym, bo to prywatne banki tworzą pieniądz. W przypadku Pekao SA w 2017 r. mieliśmy bardzo groźną sytuację, bo główny udziałowiec tego banku – UniCredit – był na granicy wypłacalności. Wspólnie z PZU zrealizowaliśmy więc transakcję odkupienia udziałów w Pekao, zapewniając stabilność banku i bezpieczeństwo sektora.

Repolonizacja jest trudna, bo brakuje nam lokalnego kapitału. W USA, Holandii, Kanadzie, Australii czy Wielkiej Brytanii działają potężne fundusze emerytalne czy firmy ubezpieczeniowe, które są właścicielami bardzo wielu przedsięwzięć. Ten kapitał budują takie inicjatywy jak PPK. Dzięki takim programom i funduszom, które my stworzyliśmy, finansowanie będzie mogło znaleźć więcej start-upów, których powinno być w Polsce trzy, cztery razy więcej. Takie działania wymagają jednak czasu.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Warszawa: **101 FM, DAB+**
Ostrołęka: **100,8 FM**
Płock: **101,9 FM**
Ostrów Maz.: **87,6 FM**
Radom: **89,1 FM**
Siedlce: **103,4 FM**

POLSKIE RADIO
RDC
Radio dla Ciebie
25 lat

www.rdc.pl

facebook.com/radiordc

instagram.com/radiodlaciebie

twitter.com/rdcpolskieradio

Posłuchaj nas: **101 FM**

www.rdc.pl/rdcplayer

Aplikacja **Radio RDC**

Pobierz w App Store
POBIERZ Z Google Play

eprasa.pl c850b8daf1

Cud nad frankiem?

Jacek Przybylski

Wyrok w sprawie kredytów frankowych może zachwiać sektorem finansowym i kosztować banki kilkadziesiąt miliardów złotych. Skutkiem byłoby osłabienie złotego i ograniczenie akcji kredytowej, co mogłoby wywołać w Polsce kryzys gospodarczy

Frank znów kosztuje ok. 4 zł. Im wyższy kurs, tym wyższe raty i całkowita wartość zobowiązań wobec banku. Wraz ze wzrostem wartości franka rośnie też skłonność Polaków do składania pozwów przeciwko bankowcom.

Początkowo frankowiczom niełatwo było zwyciężyć w sądzie. Od kilku lat liczba klientów wygrywających z bankami jednak rośnie. Z roku na rok wyraźnie przybywa również spraw dotyczących hipotecznych kredytów walutowych. Z danych Ministerstwa Sprawiedliwości wynika, że w I kwartale obecnego roku do sądów rejonowych i okręgowych wpłynęło 2 tys. takich spraw, czyli mniej więcej o połowę więcej niż w analogicznym okresie 2018 r.

Z analizy 300 wyroków zamieszczonej na portalu PomocFrankowiczom.pl, prowadzonym przez adwokata Jacka Czabańskiego, wynika, że w tym roku 87,5 proc. wyroków sądów pierwszej instancji w sprawach o ważność mechanizmu powiązania kredytu z kursem waluty obcej było korzystnych w porównaniu z 54 proc. w 2018 r., 27 proc. w roku 2017 i 25,93 proc. w 2016 r.

PYTANIA ZA MILIARDY

Polscy frankowicze – a jest ich w sumie obecnie ok. 0,5 mln – ze zniecierpliwieniem czekają na decyzję, która może kompletnie odmienić ich sytuację materialną. Jeszcze we wrześniu może zapaść wyrok Trybunału Sprawiedliwości Unii Europejskiej (TSUE), który powinien ułatwić ustalenie linii orzeczniczej polskich sądów.

Wyrok TSUE ma związek ze sprawą małżeństwa Dziubaków, które w listopadzie 2008 r. zawarło z Raiffeisen Bank

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. JAKUB WOSIK/REPORTER

Polska SA umowę kredytu hipotecznego na 40 lat, zgodnie z którą bank udzielił kredytobiorcom kredytu wyrażonego w złotych polskich, ale indeksowanego do franka szwajcarskiego. Małżeństwo wniosło pozew do Sądu Okręgowego w Warszawie o stwierdzenie nieważności umowy kredytu z uwagi na postanowienia dotyczące mechanizmu indeksowania, które – jak wskazali w pozwie – „były niezgodne z prawem, ponieważ umożliwiały bankowi jednostronne i dowolne określanie kursu walut". Ponieważ orzecznictwo w tego typu sprawach w Polsce nie jest jednoznaczne, warszawski sąd skierował do TSUE cztery pytania prejudycjalne dotyczące wykładni dyrektywy w sprawie nieuczciwych warunków w umowach konsumenckich.

Kluczowe z punktu widzenia tysięcy polskich frankowiczów pytanie brzmi: „Czy uznanie za nieuczciwe postanowień umownych określających wysokość i sposób spełnienia świadczenia przez strony może prowadzić do sytuacji, w której ustalony na podstawie treści umowy z pominięciem skutków nieuczciwych warunków kształt stosunku prawnego odbiegać będzie od objętego zamiarem stron w zakresie obejmujących główne świadczenie stron, w szczególności – czy uznanie za nieuczciwe postanowienia umownego oznacza, że możliwe jest dalsze stosowanie innych, nieobjętych zarzutem abuzywności postanowień umownych, określających główne świadczenie konsumenta, których kształt (wprowadzenie ich do umowy) uzgodniony przez strony był nierozerwalnie związany z zakwestionowanym przez konsumenta postanowieniem?".

W przypadku korzystnego dla frankowiczów wyroku TSUE może się okazać, że polskie sądy zaczną jedynie usuwać klauzule abuzywne, czyli będą orzekać, iż frankowicze tak naprawdę wzięli kredyt złotówkowy, ale kredyt ten nadal powinien być oprocentowany według stawki LIBOR (London Interbank Offered Rate), która od kilku lat ma ujemną wartość, dzięki czemu oprocentowanie wielu kredytów walutowych jest bliskie zeru. W takiej sytuacji posiadacze kredytów walutowych nie tylko nie odczuwaliby już dłużej negatywnych skutków nieudanej spekulacji na franku, lecz także nagle znaleźliby się w mocno uprzywilejowanej sytuacji względem klientów, którzy zdecydowali się na bezpieczniejsze rozwiązanie i wzięli kredyt w walucie, w której zarabiają. W praktyce dla wielu klientów oznaczałoby to, że polskie sądy mogłyby zacząć orzekać, że zaciągnięty kredyt został już niemal w całości spłacony, lub chociaż że raty kredytu spadłyby o kilkadziesiąt procent.

CZERWONO NA PARKIECIE

Jaki będzie wyrok europejskiego trybunału? Tego nie wiadomo, ale w zdecydowanej większości przypadków wyroki sędziów są zgodne z opiniami rzecznika generalnego TSUE, a ten w maju obecnego roku stwierdził, że sądy krajowe powinny albo uznać umowę kredytową za nieważną, albo – w sytuacji, gdy klauzula różnicy kursowej stanowi nieuczciwy warunek umowny – przekształcić umowę indeksowaną do franka na umowę indeksowaną do złotego, lecz podlegającą stopie procentowej odpowiedniej dla franka szwajcarskiego.

Związek Banków Polskich w liście skierowanym kilka tygodni temu do premiera Mateusza Morawieckiego ostrzegł, że taka opinia rzecznika TSUE jest niebezpieczna dla stabilności polskiego systemu finansowego. Niestety, w dużej mierze odpowiedzialni za obecny kryzys na rynku są sami bankowcy. Wielu frankowiczów padło bowiem ofiarą nie tylko własnej niewiedzy lub chciwości, lecz także umów kredytowych skonstruowanych nieuczciwie lub wręcz niezgodnie z prawem. Chodzi zwłaszcza o kredyty „indeksowane" lub „denominowane" we frankach. Banki często w umowach zapewniały sobie możliwość jednostronnego wyznaczania kursu, na podstawie którego obliczano, ile klient jest jeszcze winien i jakie powinien zapłacić odsetki.

Do bardzo trudnych czasów po ewentualnie niekorzystnym wyroku TSUE przygotowują się już nie tylko przerażeni bankowcy, lecz także inwestorzy giełdowi. Wartość indeksu WIG-banki, skupiającego różne polskie banki, w ciągu ostatnich trzech miesięcy spadła o ponad 7 proc.

Jeszcze mocniej spadła wartość akcji banków, które należą do grona tych z największym udziałem kredytów indeksowanych kursem waluty. Od 4 czerwca do 4 września wartość jednej akcji Millennium stopniała o ponad 30 proc. z 9,53 zł do 6,64 zł, Getin Noble Bank o 29,9 proc. z 0,5050 do 0,3540, mBanku o ponad 21 proc. (z 401 do 315 zł), a Santander Bank Polska o ponad 18 proc. z 362 zł do 296,2 zł.

Bank Millennium w swym raporcie ostrzegł, że ryzyko ewentualnej zmiany linii orzecznictwa „może wywrzeć znaczny, negatywny wpływ na banki, posiadające portfele walutowych kredytów hipotecznych". W podobnym tonie utrzymane są raporty mBanku: „W razie materializacji takie ryzyko może mieć znaczący negatywny wpływ na mBank i inne banki posiadające portfele kredytów hipotecznych w walutach obcych" oraz PKO BP: „Orzeczenie TSUE nie zostało dotychczas wydane. Jego treść może mieć wpływ na orzecznictwo sądów polskich dotyczące kredytów udzielanych w walucie obcej, w szczególności w odniesieniu do kredytów indeksowanych do waluty obcej, natomiast w każdej sprawie sądy będą badać indywidualnie stan faktyczny i prawny sprawy, w tym treść umowy kredytowej".

Trzeba jednak przyznać, że wielu bankowców, udzielając kredytów indeksowanych do franka, reklamowało je jako korzystniejsze ze względu na

eprasa.pl c850b8daf1

niższe oprocentowanie, a jednocześnie dostępne również dla tych, których nie stać było na kredyty w złotówkach. Co prawda podsuwano do podpisu ogólne oświadczenie o tym, że klient jest świadom ryzyka kursowego, ale zadaniem sądów jest sprawdzenie, na ile wyraźnie akcentowano przy tym, jak wysokie jest to ryzyko, i czy rzetelnie wyjaśniano klientom, że „atrakcyjność" tego produktu jest oparta na zakładzie, którego stawką może być dorobek całego życia. Z punktu widzenia orzecznictwa TSUE należyte i wyczerpujące poinformowanie klienta o potencjalnym ryzyku jest w takich wypadkach kluczowe.

Banki mogą wkrótce sporo stracić, ponieważ wcześniej praktycznie całe ryzyko zmian stopy procentowej oraz ryzyko kursowe związane z kredytami „frankowymi" przerzuciły na kredytobiorców. Jak poważne jest to ryzyko, widać było, gdy frank przekroczył poziom 4 zł. Wówczas wielu klientów nawet po kilku-, kilkunastu latach regularnego spłacania rat kredytu zobaczyło, że ma wyższy dług niż w momencie jego zaciągania. Niestety w Polsce wciąż nie można wzorem bohaterów amerykańskich filmów po prostu oddać bankowi kluczy do domu czy mieszkania i zacząć życia od nowa (co przeczy idei produktu, jakim powinien być kredyt zabezpieczony hipoteką). W Polsce nawet po sprzedaży zabezpieczonej hipoteką nieruchomości wiele osób nadal zostałoby z długiem, stając się de facto niewolnikami sektora finansowego, przywiązanymi do wybranego przed laty lokum.

Trudno taką sytuację uznać za uczciwą i bezpieczną dla klientów i dla sektora bankowego. Nikt nie może bowiem zagwarantować, że frank jeszcze znacząco nie podrożeje. Szwajcarska waluta – zwłaszcza w czasach niepewnej przyszłości światowej gospodarki, recesji w Niemczech oraz chińsko-amerykańskiej wojny handlowej – ma spory potencjał, aby znów stać się atrakcyjnym aktywem, a co za tym idzie, aby jej kurs poszybował w górę. Tymczasem główna stopa procentowa Szwajcarskiego Banku Narodowego jest już najniższa na świecie (przez co LIBOR 6M wynosi minus 0,84 proc.), co istotnie ogranicza pole do manewru szwajcarskim bankierom, chcącym powstrzymać dalsze umacnianie franka.

STAWKA: CZTEROLETNIE ZYSKI

Według szacunków Bloomberga wartość kredytów walutowych w Polsce wynosi ok. 120 mld zł. Związek Banków Polskich szacuje zaś, że przekształcenie kredytów frankowych w złotowe kosztowałoby sektor finansowy ok. 60 mld zł, czyli mniej więcej czterokrotność rocznych zysków netto sektora bankowego. Koszty te byłyby jeszcze wyższe, gdyby pozwy w sądach zaczęły też składać osoby, które spłaciły już swoje kredyty we frankach. Maksymalnie szacuje się, że mogłyby sięgnąć 90 mld zł.

Trzeba bowiem zaznaczyć, że nawet najbardziej korzystny dla frankowiczów wyrok TSUE nie będzie oznaczał automatycznego przewalutowania kredytów frankowych. Każdy klient musi sam złożyć pozew i czekać na wyrok. Jeśli przyjąć, że sprawy w sądach założy i wygra co czwarty frankowicz, to koszt zamknąłby się zapewne w 15 mld zł, co stanowi równowartość rocznego zysku netto.

Tak czy owak bankowcy mają się czego obawiać. Zwłaszcza że korzystna dla osób, które zaciągnęły kredyty indeksowane kursem walut obcych, była również sierpniowa publikacja „Kredyty Walutowe. Węzłowe zagadnienia" Biura Studiów i Analiz Sądu Najwyższego. Analiza ta nie ma co prawda wartości prawotwórczej, ale pokazuje linię orzeczniczą, która dla banków nie jest zbyt korzystna. Opracowanie wyraźnie wskazuje także, że ewentualne unieważnienie umów kredytowych byłoby niekorzystne zarówno dla banków, jak i dla ich klientów, którzy musieliby nagle spłacić całość zaciągniętego kredytu.

Ekonomiści ostrzegają, że wyrok TSUE w sprawie kredytów frankowych może wywołać w Polsce kryzys gospodarczy. Na szczęście nawet niekorzystne dla banków orzeczenie, chociaż może wywołać duże perturbacje na rynku walutowym i doprowadzić do istotnej przeceny złotego, to nie powinno spowodować nagłego załamania. Banki mogą być jednak zmuszone do tworzenia wyższych rezerw. Osłabienie złotego oznacza też dla kredytobiorców wyższe raty, a to z kolei może ich zachęcić do złożenia pozwów.

Jeżeli do sądu pójdzie więcej niż 25 proc. kredytobiorców, może dojść do kryzysu w sektorze bankowym – ci z frankowiczów, którzy uzyskają kredyt złotowy oprocentowany stawką LIBOR, będą bowiem cieszyć się dostępem do tańszego pieniądza niż same banki, które za ten sam pieniądz z rynku będą musiały płacić więcej.

Tak nietypowy scenariusz może doprowadzić do obniżenia zdolności do kredytowania gospodarki, zmniejszenia szans na rozwój wielu polskich przedsiębiorców, co z kolei zagrozi wysokiemu wzrostowi gospodarczemu i realizacji ambitnego budżetu państwa na rok 2020.

KARA DLA „BANKSTERÓW"

Szkoda, że bankowcy, którzy zmarnowali wiele lat, aby znaleźć kompromisowe rozwiązanie problemu kredytów frankowych, dopiero w strachu przed TSUE zaczęli poważnie szukać możliwych wyjść z sytuacji. Zamiast nie czekając na wyroki sądów, zaproponować swym klientom choćby przejście z niekorzystnego bankowego kursu sprzedaży na średni kurs Narodowego Banku Polskiego, liczyli na to, że pozwy złoży zaledwie kilka procent pokrzywdzonych, a na pozostałych i tak zarobią krocie. Niepotrzebnie próbowano również bronić w sądach klauzul abuzywnych, narażając opinię sektora bankowego i doprowadzając do demonstracji przeciwko „banksterom".

Bezradni wobec problemu kredytów walutowych okazali się też politycy. I to zarówno na początku XXI w., gdy wbrew ostrzeżeniom części ekonomistów zaczęto wprowadzać taki produkt na polski rynek, jak i już po wybuchu „frankowej bomby". Wszystkie rządy zostawiły ten problem sędziom. Również PiS po protestach branży finansowej odstąpił od obietnic wyborczych, zakładających możliwość konwersji kredytów frankowych na złotowe. Wyrok w przededniu wyborów może zmusić rządzących do szybkiej reakcji. Źle by się jednak stało, gdyby teraz za nieuczciwość bankierów oraz chciwość lub ignorancję klientów musieli zapłacić wszyscy podatnicy.

Ewentualny niekorzystny wyrok TSUE będzie surową karą dla nieuczciwych bankierów i istotną przestrogą dla wszystkich przedsiębiorców, którzy próbują zarabiać na stosowaniu klauzul niedozwolonych. Niestety, może on też doprowadzić do poważnych perturbacji na rynkach finansowych, a także wysłać zły sygnał dla tej grupy klientów, która w pełni świadoma ryzyka, postanowiła „pospekulować", przegrała z rynkiem, a teraz znów będzie w lepszej sytuacji niż ci, którzy postanowili wziąć droższy, ale bezpieczniejszy kredyt w złotym. Z takiej mało wychowawczej lekcji łatwo wysnuć np. wniosek, że nie opłaca się karnie płacić składek ZUS, bo i tak inni złożą się na emeryturę minimalną.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

DO RZECZY
HISTORIA DO RZECZY

Kto nie szanuje i nie ceni swojej przeszłości, ten nie jest godzien szacunku, teraźniejszości ani prawa do przyszłości.

Józef Piłsudski

STRAŻNIK PAMIĘCI

STRAŻNIK PAMIĘCI 2019

WIĘCEJ INFORMACJI: DORZECZY.PL/STRAZNIK-PAMIECI

PARTNER STRATEGICZNY: ORLEN

PARTNER GŁÓWNY: PGNiG

PARTNERZY: KGHM POLSKA MIEDŹ, GRUPA CEDROB, PZU, TOTALIZATOR SPORTOWY, Poczta Polska, Grupa Inwest HM Inwest S.A.

eprasa.pl c850b8daf1

PIOTR GABRYEL

PROSTO ZYGZAKIEM

Salvini stracił rozum

Matteo Salvini, do niedawna wicepremier Włoch, postradał zmysły. Zresztą najwyraźniej nie tylko on – premier Węgier Viktor Orbán także. Orbán dał dowód, że stracił rozum, bo jedną z pierwszych decyzji swego rządu wprowadził na Węgrzech powszechny podatek liniowy – na poziomie 16 proc., a jedną z kolejnych – obniżył jego poziom do 15 proc. Natomiast Salvini zdradza objawy utraty rozumu, bo zapowiada, że jeśli jego partia wygra wybory (na razie ich perspektywa się odsunęła), to wprowadzi powszechny podatek liniowy we Włoszech. A przecież nikt przy zdrowych zmysłach by tego nie zaplanował i tym bardziej nie wprowadził w życie.

Po co im powszechny podatek liniowy i w ogóle – po co im proste, jasne i nieskomplikowane podatki, w dodatku niskie, skoro – zamiast upraszczać – mogliby swoje systemy podatkowe jeszcze bardziej skomplikować? Dorzucić stawki, wprowadzić bez liku nowych ulg i wyjątków – tak dużo, żeby już nikt nie mógł się w tym gąszczu połapać bez narażenia na niepomyślną dla siebie najpierw interpretację, a potem decyzję skarbówki.

Na początek Salvini i Orbán mogliby na przykład zwolnić z płacenia podatku dochodowego wszystkich rolników i – rzecz jasna – podnieść podatki wszystkim nierolnikom – po to, by uzupełnić powstałą z tego powodu dziurę w budżecie. A potem do stawek podatku progresywnego powinni dołożyć jeszcze jedną stawkę – zerową, ale żeby było mniej przejrzyście – zaoferować ją tylko młodym Węgrom i Włochom – takim, którzy jeszcze nie ukończyli 26. roku życia, i w dodatku tylko tym z nich, którzy pracują „na etacie". No i na okrasę tak zagmatwać sposób obliczania kwoty wolnej od podatku, żeby już nikt nigdy nie umiał bez pomocy księgowego obliczyć, czy, a jeśli tak, to w jakim stopniu, mu ona przysługuje.

Skąd więc ów niedorzeczny pomysł wprowadzenia prostacko prostego powszechnego podatku liniowego zagościł najpierw w głowie Viktora Orbána, a teraz Matteo Salviniego? Po jakie licho zapatrzyli się w dzieło setek, a może i tysięcy polityków, którzy dali się omamić tej idei i wprowadzili powszechny podatek liniowy w Czechach, na Litwie, Łotwie, Ukrainie, w Rumunii i Bułgarii, a nawet – o zgrozo! – na Białorusi i w Rosji?!

No bo jeśli już podatek liniowy – to nie powszechny, lecz na przykład taki, z którego mogłaby korzystać tylko jakaś jedna grupa – a choćby wyłącznie przedsiębiorcy, czyli ludzie prowadzący działalność gospodarczą. Ale i to byłoby za proste – najlepiej więc, żeby o tym, czy ten i ów ma prawo uznawać się za prowadzącego działalność gospodarczą, a więc także uiszczać ów podatek liniowy, powinien decydować urzędnik skarbowy. No, wtedy to miałoby ręce i nogi – i byłoby wreszcie dostatecznie zagmatwane i niepewne – jak na porządny system podatkowy przystało. ©℗

KRZYSZTOF RYBIŃSKI

RYBIM OKIEM

Ujemne stopy

W Danii kilka banków wprowadziło ujemne oprocentowanie depozytów, wszystkie niemieckie obligacje rządowe są ujemnie oprocentowane, czyli inwestorzy płacą rządowi niemieckiemu za przywilej lokowania pieniędzy. W Niemczech trwa nawet debata, żeby ustawowo zakazać ujemnego oprocentowania depozytów dla klientów indywidualnych. No dobrze, ale dlaczego to jest takie ważne? Przecież tak naprawdę liczy się nie nominalna stopa procentowa, ale różnica między stopą nominalną a inflacją. Tak długo, jak oprocentowanie depozytów jest wyższe od inflacji, depozytariusze realnie zyskują, bo ceny średnio spadają szybciej, niż topnieją oszczędności w bankach lub obligacjach. Dla oszczędzającego sytuacja, w której depozyt jest oprocentowany na 4 proc., a inflacja wynosi 2 proc., jest analogiczna do tej, gdy bank zabiera co roku 2 proc. oszczędności, a deflacja (spadek cen) wynosi 4 proc.

Arytmetycznie może jest analogia, ale w rzeczywistości pojawiają się pewne komplikacje. Po pierwsze, jest gotówka oprocentowana na zero procent, czyli lepiej trzymać gotówkę niż depozyt w banku, na którym tracimy co roku 2 proc. Zatem ujemne stopy procentowe w długim okresie są możliwe tylko wtedy, gdy zakazana zostanie gotówka. Po drugie, deflacja pojawia się częściej podczas recesji, a rzadziej podczas przełomu technologicznego, który powoduje silny wzrost wydajności pracy i kapitału. W pierwszym przypadku spadają ceny i PKB, w drugim spadają ceny i rośnie PKB. Trudno przewidzieć, który wariant zapowiadają obecne stopy procentowe, ale jeżeli historia daje jakieś wskazówki, to raczej ten pierwszy, niedobry.

W minionych 100 latach okresy ujemnego wzrostu były znacznie krótsze niż okresy ekspansji gospodarczej. Po II wojnie światowej były tylko cztery globalne recesje i trwały około roku. Ale co można wnioskować, gdy 30-letnia obligacja rządu Niemiec, najsilniejszej gospodarki Europy, jest ujemnie oprocentowana? Możliwe są dwie interpretacje. Inwestorzy oczekują, że ujemne stopy będą nam towarzyszyły przez dekady, albo kupują obligacje spekulacyjnie, licząc, że ich ceny wzrosną, czyli stopy procentowe staną się jeszcze bardziej ujemne.

Ujemne stopy procentowe są podatkiem, który globalni banksterzy nakładają na ciężko pracujących i oszczędzających ludzi. Ujemne stopy są transferem majątku od seniorów, którzy tracą na ujemnych odsetkach, do młodego pokolenia, które może brać tanie kredyty. Natomiast silnie ujemne stopy zapowiadają spadki cen wszystkich innych aktywów – od akcji do nieruchomości.

Tyle na ten temat tradycyjna ekonomia, no chyba że jest jakaś nowa ekonomia, którą dopiero poznamy, i będziemy pisać podręczniki na nowo. ©℗

Autor pełni funkcje chief ideatora w Synerise i profesora data science w Akademii Vistula.

eprasa.pl c850b8daf1

TEST „DO RZECZY": ROUTER TP-LINK ARCHER MR600

Banalnie prosta obsługa, elegancki wygląd i niezła prędkość transferu danych – to największe zalety najnowszego routera chińskiego producenta sprzętu sieciowego, reklamowanego jako pierwszy router 4G+.

Niewielkie, nowocześnie wyglądające urządzenie jest wyposażone w dwie zewnętrzne anteny LTE i trzy wewnętrzne anteny Wi-Fi. Aby router zaczął działać, wystarczy włożyć kartę SIM i podłączyć go do prądu. Nie ma konieczności jakiejkolwiek konfiguracji: router sam rozpoznaje sieć i samodzielnie konfiguruje niezbędne ustawienia.

Sercem urządzenia jest średniej jakości procesor MediaTek MT7621A. Częstotliwość pracy routera to 2,4 GHz oraz 5 GHz. Według producenta obsługa LTE kategorii 6 sprawia, że prędkość transferu sięga do 300 Mb/s w 2,4 i 867 Mb/S w 5 GHz. Podczas naszego testu router TP-Link sprawdził się o wiele lepiej niż niemal dwukrotnie od niego droższy Asus 4G-AC68U. Na przedmieściach jednego z podwarszawskich miast osiągnęliśmy wartości rzędu 70 Mb/s, co w czasach przeciążonej infrastruktury LTE na Mazowszu jest całkiem niezłym wynikiem.

Takie prędkości pozwalają już bowiem jako tako funkcjonować bez tradycyjnego światłowodowego łącza. Zaletą testowanego routera jest też to, że jednocześnie można podłączyć do niego nawet 64 urządzenia (smartfony, laptopy, kamerki IP etc.).

Archer MR600 może również działać jako router Wi-Fi obsługujący połączenie xDSL. Został więc wyposażony w cztery gigabitowe porty Ethernet, co docenią właściciele telewizorów typu smart, a także zapaleni gracze – w przypadku dużych prędkości o wiele lepiej sprawdzają się bowiem połączenia przewodowe. Można też używać routera w trybie xDSL, a połączenie mobilne skonfigurować na wypadek, gdyby doszło do awarii połączenia kablowego.

Szkoda jednak, że urządzenie nie ma wbudowanego akumulatora, który pozwoliłby mu działać w razie awarii zasilania. Brakuje też choćby jednego portu USB. Szkoda również, że w swym najnowszym routerze tego typu Chińczycy nie zdecydowali się na obsługę chociażby LTE kategorii 9.

Router TP-link Archer MR600 to bardzo dobra propozycja dla osób, które nie mają dostępu do sieci światłowodowych, ale i tak chcą cieszyć się dostępem do szybkiego Internetu.

Cena: 659 zł. ©℗ ***Jacek Przybylski***

NIEZŁY PRZENOŚNY PROJEKTOR

Ponoć w dobie kamperów, kempingów i letnich wypadów w teren są coraz bardziej popularne, a dobry film można obejrzeć nawet w parku, pod warunkiem że znajdzie się wystarczająco dużą płaską powierzchnię pozwalającą na wyświetlenie na niej obrazu. Wszystko jednak zależy od jakości przenośnego projektora, a Philips PicoPix Max w swojej kategorii wypada całkiem nieźle. To projektor Full HD P1080p Full, inteligentny i w pełni bezprzewodowy, wyświetlający obraz o dobrze nasyconych barwach, a to dzięki zastosowaniu technologii DLP.

Obraz Full HD, czas pracy na baterii – do trzech godzin, 16 GB pamięci, wbudowane głośniki, USB-C (wideo + power), MicroSD, HDMI, Wi-Fi/Bluetooth. I co ważne – obsługuje aplikacje Netflix, YouTube, Kodi i 4000+ dla systemu Android.

Cena: ok. 2 tys. zł. Zamawiać można na portalu Indiegogo, a dostawa w październiku.

FOT. MATERIAŁY PRASOWE (3)

AHOJ, PRZYGODO!

Tak przynajmniej wołał Pan Samochodzik. Auta-amfibii, którym poruszał się słynny muzealnik, na razie nikt na portalach crowdfundingowych nie proponuje, za to można w poszukiwaniu tejże przygody popłynąć, czy wręcz spłynąć, z wielkiego miasta. Pod warunkiem oczywiście, że na spływ wybierzemy czysty akwen, a nie zbiornik na szambo, w jaki obecnie władze Warszawy próbują zamienić Wisłę. A czym spłynąć? Na przykład Uncharted Rapid Raft – jak twierdzi producent, najszybszą i najlżejszą obecnie na rynku pontonową tratwą. Rozkłada się w kilka sekund, waży mniej niż 1,3 kg i wytrzyma udźwig blisko 180 kg. Pierwotnie Uncharted Rapid Raft przygotowywany był na zlecenie amerykańskiego wojska, które chciało posiadać szybko rozkładalne, lekkie pontony umożliwiające zorganizowanie szybkiej przeprawy przez wodę – stąd też zapewne jego mocno militarny design. Warto też dodać, że ponton jest nie tylko lekki, lecz także złożony zmieści się w nieco większym plecaku szkolnym, a rozkładanie go do stanu używalności zajmuje 30 sekund.

Cena: ok. 1 tys. zł. Zamawiać można na portalu Indiegogo, dostawa w październiku. ©℗ ***Wojciech Wybranowski***

eprasa.pl c850b8daf1

Stefan Sękowski

Bałtyk bez dorsza?

Przez co najmniej pół roku we wschodnim Bałtyku nie będzie można łowić dorsza. To konieczne, by ten gatunek miał szansę na odrodzenie. Jednak administracyjne zasady nie są jedynymi metodami, które mogą chronić stada przed przełowieniem

Czy na naszych stołach może zabraknąć dorsza łowionego w Bałtyku? Komisja Europejska zakazała połowów tej ryby we wschodniej części Morza Bałtyckiego do końca roku. Chodzi o okolice rozłożone wzdłuż całego polskiego Wybrzeża i części niemieckiego. Dozwolone są małe wyjątki, np. w sytuacji, gdyby niewielkie ilości dorsza znalazły się w sieciach łowiących inne ryby.

Część rybaków z zakazu nie jest zadowolona, bowiem oznacza to dla nich stratę zarobku. Jednak ostatnie lata także nie dostarczały im radości. W 2018 r. rybacy ze wszystkich państw nadbałtyckich złowili we wschodniej części Bałtyku 21,6 tys. ton dorsza. To bardzo niewiele w porównaniu z pierwszą połową lat 80., kiedy to regularnie potrafiono wyławiać powyżej 300 tys. ton (w 1984 r. padł rekord – 409 tys. ton). Jednak od tamtego czasu liczba ryb drastycznie spadła, co zresztą objawia się tym, że nawet możliwe do wykorzystania przez rybaków kwoty okazują się wysokie. Jak podaje Komisja Europejska, w ostatnich latach rybacy wykorzystywali jedynie 40–60 proc. całkowitych dopuszczalnych połowów. Był to prawdopodobnie efekt braku ryb o wielkości handlowej (dopuszczalne jest sprzedawanie tych powyżej 35 cm długości). Jak wskazywała KE, ilość dorsza o tej wielkości „jest obecnie na najniższym poziomie obserwowanym od lat 50. XX w.". Także w tym roku połowy nie były oszałamiające – rybacy do tej pory wykorzystali ok. 21 proc. dostępnych kwot.

Winę za to ponoszą po części sami rybacy. – Wschodnie stado dorsza w Bałtyku jest przełowione. Jego liczebność jest poniżej bezpiecznego poziomu odnawialności – tłumaczy „Do Rzeczy" ichtiolog Bartłomiej Arciszewski ze Stacji Morskiej im. prof. Krzysztofa Skóry Instytutu Oceanografii Uniwersytetu Gdańskiego. – To efekt zbyt dużych, niezgodnych z doradztwem naukowym, połowów, kłusownictwa oraz tzw. odrzutów (wyrzucania niechcianych i niewymiarowych dorszy za burtę), a także zmniejszenia wymiaru ochronnego dorsza do 35 cm. W efekcie do tarła przystępują coraz młodsze i mniejsze osobniki składające kilkakrotnie mniej ikry niż w latach 80. XX w. W Bałtyku pływają więc głównie młode dorsze, które mają mało potomstwa – tłumaczy Arciszewski.

WINNE ZMIANY KLIMATU

A i tych jest coraz mniej, ponieważ dorsz potrzebuje specyficznych warunków. I tu już „winy" nie ponoszą rybacy, lecz warunki środowiskowe. Żeby pojawiło się kolejne pokolenie dorsza, ikra musi unosić się w wodzie. Jednak żeby to było możliwe, potrzebne jest odpowiednie zasolenie w miejscu rozrodu – co najmniej 11 promili. Bałtyk jest niezbyt słonym morzem: średnie zasolenie wynosi 7 promili (dla porównania: zasolenie oceaniczne to 35 promili). Ikra więc opada w strefę przydenną, w której na znacznych obszarach naszego morza występują niedobory tlenu. W takich warunkach spora część ikry obumiera i potomstwa jest niewiele.

Nie zawsze tak było. Morze Bałtyckie określamy mianem naszego okna na świat, ale gdy spojrzymy na mapę, jest to raczej lufcik. Z innymi akwenami łączą go niewielkie Cieśniny Duńskie. Do Bałtyku wpływa ok. 250 rzek, poza tym woda tu dość wolno paruje, w związku z czym morze mogłoby się zamienić w słodkie jezioro – gdyby nie woda, która przy okazji gwałtownych sztormów od czasu do czasu wpływa z Morza Północnego, znacznie bardziej zasolonego. Owe życiodajne wpływy dostarczają do Bałtyku także tlenu, bez którego nie mogą żyć dorsze, nie mówiąc już o rozmnażaniu.

Problem w tym, że w ostatnich latach wpływów tych jest coraz mniej.

eprasa.pl c850b8daf1

Jak można przeczytać w artykule pt. „Zjawisko słonych wlewów z Morza Północnego do Bałtyku" Waldemara Walczowskiego i innych pracowników Instytutu Oceanologii Polskiej Akademii Nauk, takich wpływów było niegdyś pięć–siedem na dekadę. „W latach 1960–1980 wlewy zdarzały się co trzy–cztery lata, od roku 1984 zjawisko to ustało. Kolejne wlewy miały miejsce dopiero w latach 1993 i 2003. Zimą 2014 r. nastąpił kolejny, rekordowo silny wlew". W sytuacji, w której słona woda dostarczana jest raz na dekadę, Bałtyk staje się dla dorsza nieprzyjaznym miejscem. Zanikają ważne w przeszłości

FOT. ADAM WARŻAWA/FORUM

tarliska, jak to w Głębi Gdańskiej. – Brak wlewów z Morza Północnego to wynik zmian klimatycznych, które wpływają na cyrkulację powietrza, która inicjuje uzupełnianie wody w akwenie. Warunki bytowe zimnolubnych dorszy pogarsza także rosnąca temperatura wody. Żyjące w Bałtyku dorsze pochodzą obecnie głównie z tarła w Głębi Bornholmskiej, w okolicy duńskiej wyspy Bornholm. Niestety, ryby te nie podążają za wędrującymi na północ ławicami szprotów, stanowiących ich główne pożywienie – tłumaczy Arciszewski.

NIESKUTECZNA POLITYKA

Zakaz połowów nie spowoduje, że nagle dorsza zacznie przybywać. Jednak może przynajmniej spowolnić jego zanik. Bez jakiegokolwiek działania dotyczącego ograniczenia połowów dorsz w Bałtyku może podzielić los dorsza nowofundlandzkiego. Jeszcze w latach 60. XX w. potrafiono w okolicy Nowej Fundlandii złowić ok. 800 tys. ton tej ryby. Jednak z czasem jej zasób zaczął się drastycznie kurczyć. Na początku lat 90. było to już niewiele ponad 100 tys. Był to efekt stosowania nowoczesnych technik rybackich (m.in. wykorzystywania radarów do namierzania tych zwierząt). Wielkie trawlery bez opamiętania zarzucające sieci przełowiły stada i doprowadziły do tego, że nie mogły już one odnawiać swojej liczebności. W 1992 r. rząd Kanady wprowadził moratorium na połowy dorsza. Pierwotnie miało ono obowiązywać dwa lata, jednak funkcjonuje ono do dziś, choć pozwala się okazjonalnie na niewielkie komercyjne połowy. A dorszy nadal jest jak na lekarstwo.

Trudno wyrokować, czy tak stanie się i u nas, jednak wiele wskazuje na to, że na półrocznym zakazie się nie skończy. Wnioskowało o to zresztą także polskie Ministerstwo Gospodarki Morskiej i Żeglugi Śródlądowej. Co więcej, minister Marek Gróbarczyk chce zakazu jakichkolwiek połowów w okolicy Głębi Bornholmskiej, o co wnioskuje do unijnego komisarza ds. środowiska, gospodarki morskiej i rybołówstwa Karmenu Velli. Obecnie problemy te rozwiązywane są w ramach Wspólnej Polityki Rybołówstwa Unii Europejskiej. Polega ona przede wszystkim na przyznawaniu poszczególnym państwom kwot połowowych, które te rozdzielają później między „swoich" rybaków. Ponadto ustala się wielkość ochronną ryb. Jak wskazują eksperci, kwoty te są często za duże, a wielkość ochronna za mała, by można było liczyć na skuteczną ochronę stad. Jak widać na przykładzie dorsza w Bałtyku, morszczuka czy tuńczyka, którego populacja wędrująca w okolicy Gibraltaru drastycznie się zmniejszyła, WPR niespecjalnie się do tej pory sprawdzała.

JAK ZARZĄDZAĆ BEZ PAŃSTWA

Czy da się jednak regulować ją inaczej? Wykorzystaniem dóbr wspólnych – a takimi, obok pastwisk czy zasobów wody pitnej, mogą być także łowiska – zajmowała się nieżyjąca już politolog Elinor Ostrom, która za swoje badania dostała w 2009 r. Nagrodę Nobla z dziedziny ekonomii. Z wieloletnich obserwacji działań m.in. rybaków w Turcji czy na Sri Lance wywnioskowała, że często najlepiej stada przed przełowieniem chronią oddolne ustalenia między lokalnymi rybakami, w które państwo nie ingeruje, co najwyżej będąc ostatnią instancją, jeśli chodzi o egzekwowanie ustalonych zasad. Te oddolne reżimy instytucjonalne różnią się między sobą, jednak mają kilka cech wspólnych. Między innymi ważne jest, by to sami zainteresowani brali udział w ustalaniu i zmienianiu na bieżąco tych zasad, które nie mogą być narzucone odgórnie. To lokalne społeczności powinny mieć możliwość decydowania, kto ma dostęp do wspólnych zasobów. Gdy zdarzą się sytuacje konfliktowe, strony muszą mieć łatwy dostęp do arbitrów, a kary muszą być proporcjonalne do przewinienia – od stosunkowo niskich (np. drobna grzywna) do groźby wyłączenia z możliwości połowów.

Przykładowo jedno z łowisk w Turcji rybacy sami podzielili na „działki", z których korzystają naprzemiennie zgodnie z kolejnością ustaloną w drodze losowania. Na innym łowisku w Sri Lance z przełowieniem stad walczono poprzez dobrowolne umowy dotyczące tego, jakich sieci wolno używać. Niestety, Ostrom opisuje także przypadki, w których państwo niweczyło starania samych zainteresowanych, ignorując ich ustalenia bądź próbując je „polepszać".

Sama Ostrom nie twierdziła, że tego typu oddolne rozwiązania mogą mieć zastosowanie zawsze i wszędzie. Tym bardziej że tego typu instytucje powstawały w wyniku trwającej wiele lat ewolucji. Czy są one możliwe do wprowadzenia na Bałtyku, gdzie krzyżują się interesy tysięcy rybaków z kilku państw Unii Europejskiej i obwodu kaliningradzkiego? Trudno powiedzieć, ale być może jest to trop, którym warto pójść. Na pewno dorsz potrzebuje czasu, by odnowić swoją populację. I by ludzie mogli go, jak dawniej, łowić.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

Autor jest zastępcą dyrektora thinkzine'u Nowa Konfederacja.

eprasa.pl c850b8daf1

Joanna Bojańczyk

Raje utracone

Tanie loty i dostępne wycieczki do krajów egzotycznych sprawiły, że turystyka przestała być dobrem luksusowym. Miliony turystów zadeptują miejsca, które pragnęli zwiedzić. Lokalsi mają ich dość

W związku z lawinowo rosnącą falą turystów władze Wenecji postanowiły, że w najbliższych latach zaczną zamykać dla wycieczkowców akweny w rejonie historycznego centrum FOT. ADOBE STOCK

Czytając kryminały Donny Leon, których akcja toczy się w Wenecji (kto nie zna, polecam), zawsze zastanawiałam się, jak ich główny bohater, komisarz Brunetti, radzi sobie w tym mieście. Jak goniąc przestępcę, przeciska się między tłumem turystów?

Na weneckiej lagunie mieszka stale zaledwie 60 tys. ludzi, i to głównie starszych, ale co rok odwiedza ją 30 mln turystów. W zimie na stronie miasta ukazuje się wskaźnik wysokości wód (aqua alta); latem zamieszcza się informację o poziomie nasycenia turystami. W sierpniu słupek dochodzi do maksimum w skali od 1 do 20. Jednak nie wiadomo, co jest gorsze – tłum pieszy czy monstrualne wycieczkowce, z którymi Wenecjanie walczą od dawna. Z każdego z nich wyciekają na ląd prawie dwa tysiące pasażerów. Ostatnio wielki włosko-szwajcarski wycieczkowiec MSC „Opera" podczas cumowania stracił sterowność i uderzył w statek turystyczny, wywołując panikę na brzegu. W związku z lawinowo rosnącą falą turystów w Wenecji władze miasta postanowiły, że w najbliższych latach zaczną zamykać dla wycieczkowców akweny w rejonie historycznego centrum. Serenissima nie życzy sobie także kebabów, w ogóle fast foodów, zabrania jeść na placu św. Marka (keczup brudzi zabytkowe bruki), mężczyznom chodzić bez koszulki. Od roku 2020 opłata wjazdowa do miasta, w zależności od terminu wizyty, wynosić będzie od 6 do 10 euro. Będą musieli ją wnosić ci, którzy przyjadą do Wenecji na jeden dzień i nie zatrzymają się w tamtejszych hotelach i pensjonatach.

Jednak to wszystko turystów nie zniechęca. Według różnych szacunków do miasta na lagunie rocznie przybywa ich od 25 do 30 mln. Mamy w tym swój udział – ja na pewno, być może Państwo czytający te słowa również. Czy mamy wyrazić skruchę jako współwinni turystycznej plagi? I co z nią zrobić? Nie można oskarżyć i zlikwidować turystyki en bloc – wszyscy chcemy podróżować i zwiedzać, chcemy pokazywać zabytki dzieciom. Dlaczego mielibyśmy innym odmówić przyjemności, której sami chcemy zaznać? Jednak chodzi o to, że jadąc do takich skrajnie przeludnionych miejsc, sami nie zaznajemy żadnej przyjemności, wręcz przeciwnie – czujemy tylko stres.

Nie tylko Wenecja dusi się pod naporem tłumów. W podobnej sytuacji są Barcelona, Amsterdam, od niedawna Dubrownik, do którego przyciągnęła „Gra o tron". Na maleńką skalistą wysepkę Santorini przypływa dziennie ok. 10 tys. osób.

Tanie loty i dostępne wycieczki do krajów egzotycznych sprawiły, że wakacyjna podróż przestała być dobrem luksusowym i zaczęła mieć niewiele wspólnego z „wymarzonymi wakacjami". To dzisiaj przemysł masowy. Tłumy na lotniskach, spóźnione loty, hotele, które okazują się nie mieć widoku na morze, tak jak w prospekcie biura, tylko budowę po sąsiedzku. Co się buduje? Następny hotel.

STRZELIĆ FOTĘ I LECIEĆ DALEJ

Metody walki miast z inwazją są różne. Wysoka taksa turystyczna, zawrotne czynsze mieszkań do wynajęcia, mandaty za niewłaściwe zachowanie. W Japonii, w popularnych turystycznie ciepłych źródłach, wprowadzono ograniczenia dla ludzi z tatuażem, który w tym kraju nadal jest rodzajem tabu. W Bhutanie ograniczono liczbę odwiedzających i wprowadzono wysokie opłaty wizowe. Rzym wprowadził zakaz wieszania „mi-

eprasa.pl c850b8daf1

łosnych kłódek", chodzenia bez koszulek czy kąpieli w fontannach, ciągania walizek na kółkach po słynnych Schodach Hiszpańskich, wrzucania przedmiotów do fontanny di Trevi. To tylko część obostrzeń, które wprowadziły władze miasta. Łamiących zakazy mogą spotkać nie tylko dotkliwe kary pieniężne, lecz także zakazy wstępu do historycznego centrum Wiecznego Miasta.

W dobie TripAdvisora turyści oceniają restauracje, hotele, a nawet widoki. W końcu miasta zaczęły oceniać turystów – jak długo zostają i ile pieniędzy zostawiają na miejscu. Najmniej pożądani są oczywiście ci, którzy wydają najmniej. Fundusz z Cambridge zbadał, że podróżujący autokarem zostawia zaledwie 5 euro w docelowym mieście. Miasta zaczęły być też wyczulone na punkcie wizerunku, który kształtują goście. Oczywiście każde chciałoby mieć u siebie „elitę", a nie pasażera tanich linii, który zje na ławce kanapkę i kupi plastikowy wisiorek z gondolą/wieżą Eiffla/Tower Bridge itp.

W zeszłym roku w maju zabrałam moją 14-letnią wnuczkę na kilka dni do Paryża. Jak jej nie pokazać Luwru? Stanęłyśmy najpierw w 200-metrowej kolejce do wejścia. To zajęło godzinę. Potem kontrola bagażu, tak jak na lotnisku. Gdy dotarłyśmy do sali z „Mona Lizą", przed obrazem stało ok. 300 osób z uniesionymi rękami uzbrojonymi w komórki. Szans na dotarcie do Leonarda nie było. Uciekłyśmy stamtąd. W salach z malarstwem holenderskim było lepiej, chociaż też tłoczno. W salach starożytności prawie pusto. Widać, że największym powodzeniem cieszą się „the greatest hits". Kliknąć fotę i lecimy dalej.

Maleńką Brugię w zeszłym roku odwiedziło 8 mln ludzi. To wzrost o 900 tys. w porównaniu z 2017 r. Sześć milionów z nich stanowili turyści jednodniowi, którzy spędzili w Brugii zaledwie dwie–trzy godziny. Przypomina się film z 1969 r. „Jeśli dziś wtorek, to jesteśmy w Belgii". Jednak wtedy to była kaszka z mleczkiem w porównaniu z tym, co dzieje się dzisiaj. Władze Brugii postanowiły nie reklamować wycieczek do tego miasta. Zostaną również podjęte środki mające na celu zmniejszenie liczby wycieczkowców cumujących w porcie Zeebrugge. Obecnie port może przyjąć pięć statków, ta liczba ma zostać ograniczona do dwóch.

TYLKO WORKI Z POŚCIELĄ

We włoskich i w hiszpańskich miasteczkach, w Barcelonie, w Paryżu, Florencji, w Dubrowniku to nie lokalsi, lecz turyści siedzą w restauracjach, kawiarniach, na placach. Znika koloryt lokalny, miejscowa ludność chroni się przed plagą. W centrum Krakowa w całych ciągach kamienic nie ma już stałych mieszkańców, lecz jedynie aparthotele dla przyjezdnych. Wynajem krótkoterminowy jest bardziej opłacalny, nawet jeśli trzeba zapłacić haracz firmie.

– Jest okropnie. W naszej kamienicy wynajęta jest większość mieszkań – mówi Anna z Krakowa, mieszkanka ulicy Sereno Fenna. – Dawniej mieliśmy sąsiadów, których znaliśmy; teraz przed drzwiami mieszkań stoją tylko worki z pościelą, którą odbiera i przywozi firma. W środku nocy dzwonią do drzwi pijani imprezowicze, którzy pomylili domofon.

Najpopularniejsze europejskie miasta walczą o zmianę unijnego prawa, a dokładniej – o korekty w dyrektywie o handlu elektronicznym. Grupa 14 miast, które stworzyły grupę roboczą ds. najmu krótkoterminowego (m.in. Paryż, Amsterdam, Barcelona i Kraków), chce, by portale wyraźnie zaznaczały, czy dana oferta jest legalna. Na portalach, takich właśnie jak Airbnb czy Booking, znajduje się ok. 5 tys. ofert z Krakowa, gdy tymczasem w Urzędzie Miasta Krakowa zgłoszonych jest tylko 700 obiektów niekategoryzowanych, czyli prywatnych pokojów na wynajem, hosteli i aparthoteli.

Tak jest nie tylko w miastach. Jean-Paul Angelvin to rolnik z Prowansji, właściciel pól lawendowych. Nie zarabiał na nich kokosów, toteż ucieszył się, gdy zwróciła się do niego ekipa chińskich filmowców z zapytaniem, czy nie zgodziłby się udostępnić swoich pól do zdjęć. Angelvin się zgodził. Zdjęcia potrwały kilka godzin i rolnik szybko o nich zapomniał. To było w 2008 r. Zdziwił się, gdy nagle cztery lata później przy jego maleńkim sklepiku z lawendą przy polach zaczęły zatrzymywać się dziesiątki autobusów z chińskimi turystami. Chcieli obejrzeć miejsce, w którym kręcono sceny do chińskiego serialu „Marzenia za Kryształową Kurtyną". To było właśnie na jego polach lawendowych. Teraz co sezon przyjeżdża do Prowansji 60 tys. Chińczyków.

Pan Angelvin cieszy się, ale w wielu miejscach stosunek miejscowej ludności do turystów zaczyna przypominać niechęć, którą większość Europejczyków żywi wobec nielegalnych imigrantów. Tylko że o ile imigranci uciekli od biedy i wojny, o tyle turyści od monotonii codziennego życia. I skutecznie zakłócili innym monotonię ich życia.

Nic nie wskazuje na zmianę tej sytuacji. Do lat 90. większość masy turystycznej stanowili mieszkańcy zamożnej Europy Zachodniej i Ameryki Północnej. Do tego strumienia w latach 90. i po roku 2000 dołączyły Europa Wschodnia, Rosja, Chiny i Ameryka Południowa. W Azji miliony ludzi aspirują do klasy średniej, a to znaczy, że i oni będą wkrótce mogli pozwolić sobie na podróże. Ocenia się, że liczba globalnych turystów do roku 2030 wzrośnie o 500 mln. Połowę tej liczby stanowić będą Chińczycy.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

eprasa.pl c850b8daf1

Patryk do niedawna studiował psychologię. Gdy jego oddech już przez 24 godziny musiał być wspomagany przez respirator, zrezygnował ze studiów

FOT. ARCHIWUM RODZINY SZTAJNKE

Dłużej marzyć

Katarzyna Pinkosz

– Dopóki Patryk żyje, dopóty my też żyjemy. Był już moment, gdy w nocy zepsuł się respirator i nie od razu obudził nas alarm. W krajach zachodnich przy chorym czuwa asystent, bo żaden rodzic nie wytrzyma kilka razy każdej nocy przekładać dziecka – mówi Jacek Sztajnke, ojciec, wiceprezes fundacji, z zawodu architekt oprogramowania

Patryk to pogodny 25-latek. Od rówieśników różni się tym, że jedynym ruchem, który może jeszcze wykonać, jest półcentymetrowe poruszenie palcem. Nie przekręci się na bok, nie usiądzie, nie wstanie, nie utrzyma w ręku kartki, nie obsłuży joysticka elektrycznego wózka. Studiował psychologię na SWPS, ale po trzech latach, gdy jego oddech już przez 24 godziny musiał być wspomagany przez respirator, zrezygnował ze studiów.

Jako małe dziecko rozwijał się dobrze: szybko zaczął chodzić i mówić. Jednak gdy miał trzy lata, nie skakał, nie biegał jak rówieśnicy, trochę „kaczkowato" stawiał nogi. Ortopeda uspokajał, że ma jeszcze czas, ale chód chłopca się nie poprawiał. Gdy miał pięć–sześć lat, neurolog postawił diagnozę: dystrofia mięśniowa Duchenne'a. – To uwarunkowana genetycznie choroba mięśni, dotyka chłopców. Niektórzy zaczynają chodzić znacznie później niż rówieśnicy, u innych pojawiają się kłopoty np. z wstawaniem z podłogi, chodzeniem po schodach. Początkowo widać osłabienie mięśni nóg, później także rąk oraz przykręgosłupowych. W jeszcze późniejszym okresie następuje osłabienie pracy serca i mięśni oddechowych, co jest niebezpieczne dla życia – tłumaczy prof. Anna Kostera-Pruszczyk, kierująca Kliniką Neurologii Warszawskiego Uniwersytetu Medycznego.

Jacek Sztajnke, ojciec Patryka, a dziś też wiceprezes Fundacji Parent Project

eprasa.pl c850b8daf1

Muscular Dystrophy, długo nie mógł pogodzić się z diagnozą. – Mówiłem sobie, że lekarze na pewno się pomylili. Jednak lata mijały, a Patryk był coraz słabszy, gorzej chodził. W połowie pierwszej klasy kupiliśmy balkonik, żeby syn się na nim opierał, a potem spacerówkę. Teraz wiem, że to nie miało sensu, jednak wtedy za wszelką cenę chcieliśmy opóźnić moment, kiedy usiądzie na wózku inwalidzkim – opowiada.

Choroba nie zna litości: ok. 8.–10. roku życia dziecko przestaje chodzić, musi korzystać z wózka inwalidzkiego – początkowo ręcznego, potem elektrycznego. Po kilku latach trzeba wstawić implant podtrzymujący w pionowej pozycji kręgosłup, gdyż inaczej zwija się on w literę S. Około 20. roku życia pojawiają się problemy z połykaniem (konieczne jest odżywianie bezpośrednio do żołądka) i z oddychaniem. Walczy się jednak o to, by maksymalnie spowolnić postęp choroby. Różnymi sposobami.

PASJE

13-letni Mikołaj (jeździ na wózku inwalidzkim) lubi pływać, nurkować. Jego pasje to też motoryzacja i filmy akcji. Marzy o zobaczeniu Australii i spotkaniu oko w oko z kangurem. 14-letni Michał (porusza się na wózku elektrycznym) wie wszystko o kolejach i transporcie publicznym, jest zapalonym szachistą. 20-letni Arek (też na elektrycznym wózku) skończył technikum graficzne, fotografuje przyrodę, a po wakacjach chce się uczyć projektowania stron internetowych. Też marzy o podróżach, ale z tym jest trudno, bo pieniądze trzeba oszczędzać na sprzęt wspomagający, na podnośniki, rehabilitację. Stan fizyczny Patryka jest najcięższy, to m.in. dlatego jego ojciec, z zawodu programista komputerowy, zajmuje się także projektowaniem urządzeń dla osób niepełnosprawnych sterowanych myślą. Patryk: – Wciągnąłem się w gry fabularne, gdy tworzę nową postać, mogę się w nią wcielić i puścić wodze wyobraźni: biegać po lesie, strzelać z łuku, walczyć mieczem.

– Dla mnie ci chłopcy to bohaterowie – mówi Jacek Sztajnke. Pasje są czymś, co ich życiu nadaje sens. – To jest jak lek przywracający im podmiotowość. Wszyscy moglibyśmy uczyć się od nich, co jest najważniejsze w życiu: czas, którego nie można trwonić na bylejakość. Tagore napisał kiedyś, że nie jest ważne, ile razy ptak uderzy skrzydłami o powietrze, ważne jest to, jak wysoko się wzniesie. Chłopcy będą szczęśliwi, mogąc rozwijać swoje pasje, mimo że geny powodują postęp choroby. Musimy im dać szansę, żeby mogli iść dalej, choć nie poruszają nogami – mówi Arkadiusz Mański, psycholog z Poradni Psychologicznej Genetycznych Chorób Rzadkich Uniwersytetu Gdańskiego.

DZIAŁANIE

Dla ojca Patryka najtrudniejszy był moment, gdy syn musiał usiąść na wózku. – Mam taki charakter, że walczę. Skoro wózka nie dało się już odsunąć w czasie, to trzeba było coś zrobić. Powołaliśmy fundację: gdy jest nas więcej, łatwiej coś zmienić – opowiada. Wszyscy pracują tu jako wolontariusze, nie biorąc żadnych pieniędzy.

A zmienić w Polsce trzeba dużo. Nie ma leku, który wyleczy dystrofię Duchenne'a, ale jest już dostępny pierwszy, który u kilku procent chłopców z określonym typem mutacji genetycznej może spowolnić przebieg choroby. W dystrofii to dużo: chłopiec może dłużej chodzić, odsuwa się w czasie konieczność korzystania z wózka, respiratora. Przedłuża się życie. Ważny jest też dostęp do rehabilitacji: jest specyficzna, gdyż nie można przeciążyć mięśni. Kolejna sprawa, o którą trzeba zawalczyć, to integracja: chłopcy powinni chodzić do szkoły (a nie być odsyłani na nauczanie domowe), gdyż kontakt z rówieśnikami stymuluje. Potrzebni są też asystenci osób niepełnosprawnych. W Polsce, gdy w rodzinie pojawia się niepełnosprawne dziecko, zwykle jedno z rodziców rezygnuje z pracy. To nie zawsze dobre rozwiązanie. Jacek Sztajnke wspomina, jak kilka lat temu na konferencję przyjechali chorzy z innych krajów: każdy miał po trzech asystentów, którzy pracowali na zmianę po osiem godzin. Rodzina mogła być po prostu rodziną.

Fundacja o to wszystko walczy. Na razie największy sukces to otwarcie Centrum Chorób Rzadkich Gdańskiego Uniwersytetu Medycznego, gdzie chłopcy z dystrofią Duchenne'a znajdują się pod opieką lekarzy wielu specjalności. – Udało się stworzyć taki ośrodek dlatego, że są tam lekarze aniołowie. Uznali, że dla tych chorych pozbawionych pomocy trzeba coś zrobić – opowiada Jacek Sztajnke. Teraz potrzebny byłby podobnie działający ośrodek dla dorosłych. Wszystko, co jest potrzebne, zostało zapisane w Narodowym Planie dla Chorób Rzadkich, dlatego rodzice tak czekają na jego wejście w życie. Marzą też o mieszkaniach wspomaganych, w których zamieszkać mogliby dorośli pacjenci, którym pomagaliby asystenci. Chłopcy z duchenne'em mają takie same marzenia jak zdrowi: chcą być samodzielni.

POGODZENIE

Dla rodziców trudny jest też moment, gdy dorastające dziecko zdaje sobie sprawę z postępu choroby. Pojawiają się pytania: „Dlaczego ja?", „Czy Pan Bóg mnie nie kocha?". Jak wytłumaczyć niesprawiedliwość świata, gdy serce jest pokrojone na tysiące kawałków?, – Podziwiam tych rodziców. Ja też czasem mam dni, kiedy myślę, że nie dam rady. Myślę wtedy o nich. Skoro oni mogą, to ja nie? Imponują mi, nie znoszą gadaniny, marnotrawienia czasu, obietnic, których nie można spełnić – mówi Arkadiusz Mański.

W krajach zachodnich organizacje zrzeszające rodziców dzieci z chorobami rzadkimi zbierają pieniądze, by pomóc sfinansować badania prowadzone na uniwersytetach i w firmach farmaceutycznych nad nowymi lekami. Polskich organizacji pacjenckich na to nie stać, mogą co najwyżej z 1 proc. podatku zbierać na rehabilitację i na sprzęt, bo nie wszystko jest refundowane. Starają się, by leki, które się pojawiają, były dostępne też w Polsce. Jedyny lek stosowany w dystrofii, który został zarejestrowany przez Europejską Agencję Leków (EMA), nie byłby jednak odpowiedni dla Patryka: ma on inną mutację genową. Poza tym producent rekomenduje go tylko dla chłopców, którzy jeszcze chodzą. – Jednak rząd norweski dał go też dziecku leżącemu. Rządy cywilizowanych krajów podchodzą tak: jest nieuleczalna choroba, dziecko nie ma szans. Gdy się pojawia lek, to trzeba go spróbować dać, bo życie jest najwyższym dobrem. Dopiero później myśli się o cenie – mówi Jacek Sztajnke.

Patryk po ojcu odziedziczył optymizm i wolę walki. Nie poddaje się. – Najważniejsze, że jestem sprawny umysłowo. A choroba? Jest, jaka jest – mówi. Marzy, żeby mieć dziewczynę. Potrzymać ją za rękę. Iść na spacer na własnych nogach, bez wózka. Mieć kogoś blisko.

© ℗ Wszelkie prawa zastrzeżone

O życiu chłopców z dystrofią mięśniową Duchenne'a opowiada film „Chcemy marzyć dłużej", który można obejrzeć na YouTube.

eprasa.pl c850b8daf1

JACEK KOMUDA

RYCERZE I WARCHOŁY

Dramat w rodzinie Klofasów

W 1631 r. ziemią sanocką w dawnej Rzeczypospolitej wstrząsnął dramat rodzinny, który – jak podaje Władysław Łoziński w „Prawem i lewem" – „przez trzy lata do głębi poruszał umysły, a skończył się tragiczną śmiercią trzech ofiar". Historia kryminalna, a przy tym miłosna. Trzy wieki później została przedstawiona w serialu „Rycerze i rabusie" z 1984 r., w odcinku „Miłość do Heleny", gdzie bohaterów wspomnianych wydarzeń grali Wiesław Michnikowski, Tomasz Stockinger, Janusz Zerbst i Anna Chitro. Mało kto wówczas się domyślał, że była to historia prawdziwa aż do bólu i ścięcia katowskim mieczem.

Zbrodnia miała początek, jak to zwykle bywało, w nieszczęśliwej miłości, a także nienawiści matki i teściowej – Reginy Brześciańskiej – do zięcia. Wspomniana szlachcianka miała bowiem dwie córki – Helenę i Olesię. Helena była żoną Aleksandra Klofasa, z którym pożycie układało się źle; był dogłębnie znienawidzony przez Reginę, zamierzającą definitywnie uwolnić córkę od męża. Sprzyjał jej fakt, że Helena była raczej swobodnego obyczaju i zalotna – chociaż małżonek był w pełni sił, miłowało się w niej aż dwóch szlachciców – Abraham Polański i Stefan Dydyński, być może krewny albo brat sławnego Jacka Dydyńskiego z Niewistki nad Sanem. Wywiązała się z tego skomplikowana intryga, gdyż obaj bywali we dworze u Klofasa, zabiegając o względy „pięknej Heleny", pod bokiem jej starzejącego się i nieumiejącego pilnować żony męża.

W sekrecie organizowali schadzki i spotkania, a oficjalnie bez przerwy przyjeżdżali jako goście. Szybko jednak konkurenci stali się ofiarami manipulacji mściwej teściowej. Brześciańska zaczęła namawiać Polańskiego do

FOT. FILMOTEKA.PL

zbrodni, obiecując, że w zamian odda mu rękę córki – rzecz jasna, kiedy już zostanie wdową. Dodatkowo wykorzystała w swoich manipulacjach kolejnego miłośnika – Stefana Czernieckiego, wywodzącego się z drobnej, awanturniczej szlachty, zaludniającej województwo ruskie. Ten z kolei pałał gwałtowną namiętnością do Olesi, jej drugiej, młodszej córki. Regina zatem obiecała Polańskiemu oddanie ręki Heleny, a Czernieckiemu – Olesi. Była to cena za zbrodnię zabójstwa męża tej pierwszej. Zatem w 1631 r. szlachcice zasadzili się w Pełkiniach pod Jarosławiem na Aleksandra Klofasa, zabili go, rozsiekali okrutnie, po czym uciekli z miejsca zbrodni i udali się do teściowej po nagrodę.

I wtedy zaczął się kolejny akt dramatu. Okazało się bowiem, że Helena odmówiła ręki zbrukanemu krwią Abrahamowi Polańskiemu, woląc od niego Stefana Dydyńskiego, który z niejasnych powodów nie brał udziału w zbrodni. W dodatku morderstwo w końcu wyszło na jaw – być może starosta sanocki odkrył, kto stał za zabójstwem, a krewni i przyjaciele zabitego postanowili dopaść sprawców. Rychło wybuchł skandal i wyruszono w pościg.

Polański nie stanął przed obliczem sprawiedliwości – popełnił bowiem samobójstwo – rzecz nie taka znowu rzadka w owych czasach. Z kolei Stefan Czerniecki, któremu Regina Brześciańska obiecała rękę Olesi, „doczekał się innych, krwawych godów", jak pisze Łoziński. Chociaż uciekł i nie schwytano go „in recenti", czyli na miejscu zbrodni, został po pewnym czasie pojmany i osadzony na zamku w Sanoku, a potem oskarżony o zabójstwo. Ponieważ był biednym, mało znaczącym szlachcicem, nie znalazł się nikt, kto stanąłby w jego obronie. W 1633 r. kat wykonał wyrok, ścinając głowę człowiekowi, który stał się ofiarą intryg Brześciańskiej. Co się stało z obiecaną mu Olesią – nie wiadomo. Z trzech konkurentów najlepiej wyszedł jednak Stefan Dydyński, który pojął Helenę Brześciańską, primo voto Klofasową, za żonę. Nie wiemy dziś, czy zdołał wyplątać się ze współudziału w zbrodni, odmówił w niej uczestnictwa, a może też po prostu nic o niej nie wiedział.

Szeroko rozgałęziony i rozrodzony w ziemi przemyskiej ród Klofasów zamieszany był w liczne awantury miłosne. W 1644 r. sąd grodzki w Sanoku wydał zaocznie wyrok infamii na Magdalenę ze Świeżyńskich Hermanowską, którą oskarżano o zamordowanie męża Stanisława wspólnie z kochankiem, Władysławem Klofasem, być może dalekim krewnym nieszczęsnego Aleksandra. Nie wiadomo jednak, jaki był finał tej kolejnej sprawy i czy mordercza para poniosła jakąkolwiek karę za swoje czyny. Infamia dla pani Magdaleny nie oznaczała bowiem automatycznego wykonania kary, a tylko wyjęcie niewiasty spod prawa. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

SUFLET SCHELLERA

Brzmi dobrze, a smakuje jeszcze lepiej. Tylko dlaczego jego przygotowanie powoduje strach, w efekcie którego rezygnujemy z przygotowania tego specjału? Ja się nie boję, nie wierzę w te wszystkie historie i triki z otwieraniem drzwi piekarnika w trakcie pieczenia! Czytam receptury, testuję do upadłego, aż efekt spełni oczekiwania. I tak: to, co powoduje, że suflet pięknie rośnie, to czas pieczenia (zawsze 20–25 min oczekiwania), doskonale ubite białko jaj i kolejność mieszania składników, a nie wyżej wspomniana utrata ciepła przy otwieraniu i podglądaniu zawartości piekarnika. Wzdychanie też nie pomaga…

Należy również pamiętać o dobrze wysmarowanej masłem formie i oprószonej cukrem lub mąką w zależności od wersji sufletu. Tylko w tak przygotowanym naczyniu suflet ma szansę dobrze wyrosnąć, ponieważ równomierna cyrkulacja powietrza dociera do całej zawartości wypełnionej masą miseczki.

Poniżej receptura w wersji słodkiej (czekoladowej) lub słonej (z parmezanem) na cztery suflety.

Składniki:

- 50 g miękkiego masła + masło do wysmarowania foremek
- 50 g mąki pszennej
- 250 ml mleka
- 4 jajka
- wersja słodka: 50 g cukru, 50 g czekolady gorzkiej; wersja słona: 100 g parmezanu

Przygotowanie:

Formy do sufletów wysmaruj masłem, oprósz cukrem lub mąką i usuń nadmiar. W garnku stop masło i dodaj mąkę. Całość dobrze wymieszaj na wolnym ogniu. Wlej mleko i cały czas mieszaj do momentu, aż powstanie gładki sos (beszamel). Dodawaj pojedynczo żółtka jaj, cały czas mieszając. Następnie dodaj cukier i czekoladę lub drobno starty ser i ponownie wymieszaj, a następnie zdejmij z ognia. W oddzielnym naczyniu ubij białka jaj na sztywno z odrobiną soli. Białko wmieszaj w przygotowaną wcześniej masę, zagarniając całość szpatułą, i wypełnij foremki do wysokości trzech czwartych. Masę postaraj się wlać w taki sposób, aby brzegi formy pozostały czyste i wciąż wysmarowane masłem.

Piecz suflety w piekarniku rozgrzanym do temperatury 190 st. C przez 10 min, następnie zwiększ temperaturę do 210 st. C i piecz kolejne 10–15 min. Końcowy czas pieczenia kontroluj, bo zależy od rodzaju formy, wersji sufletu i… radości, którą włożysz w jego przygotowanie.

Podawaj tuż po wyjęciu z piekarnika, bo nie ma ważniejszej rzeczy – dosłownie w tym danym momencie – jak zachwyt bliskich nad smacznym i doskonale wyrośniętym sufletem. ©℗ ***oprac. raw***

Kurt Scheller jest szefem kuchni, krytykiem kulinarnym, założycielem Akademii Kulinarnej.

FOT. MARIUSZ GRZELAK/REPORTER

NIEPRAKTYCZNA PANI DOMU

JOANNA BOJAŃCZYK

Duchologia stosowana

OLGA DRENDA „DUCHOLOGIA POLSKA. RZECZY I LUDZIE W CZASACH TRANSFORMACJI" KARAKTER 2016

Czym jest duchologia, dowiedziałam się z książki Olgi Drendy „Duchologia polska. Rzeczy i ludzie w czasach transformacji". Otóż chodzi o „pamięć niewyraźną, widmową, zmutowaną i zdeformowaną przez nacisk nakładających się na nią warstw informacji". Inaczej mówiąc – wspomnienia, zapiski z przeszłości, niekoniecznie pretendujące do ścisłości. W uczonym tle przewijają się „hauntology", filozoficzna koncepcja, oraz nieodłączny Jacques Derrida, którego nazwisko musi pojawić się wszędzie tam, gdzie chodzi o nowoczesność i przede wszystkim o ponowoczesność.

Autorka – Olga Drenda, rocznik 1984, antropolog, etnolog, dziennikarka – napisała książkę o latach transformacji. Nie o polityce, o życiu. O polskiej ulicy, o domu, o sztuce, o szkole, o plakacie, reklamie, o komercji wypierającej PRL-owską „szarość" (szarości, która dzisiaj jest symbolem eleganckiego designu, a nie rytualnym określeniem PRL-owskiej brzydoty, należy się osobna książka). Napisała tak, jak tę rzeczywistość pamięta, ale byłby to może tylko felieton, gdyby nie to, że książka jest porządnie zresearchowana. „Zdałam sobie sprawę, że wspomnienia z lat 80. i 90. są pełne zakłóceń. Taka jest oczywiście ich sama natura, skłonna do fałszerstw i zmyłek".

Nie ma zmyłek, chociaż autorka ówczesną rzeczywistość widziała z perspektywy uczennicy podstawówki. Więcej – tym, którzy jako dorośli przeżyli lata 90., przywołuje ona masę zapomnianych, a precyzyjnie przez autorkę uchwyconych obrazów. Wielką zmianę, nagłe otwarcie się kraju na Zachód, pęd do zarabiania pieniędzy, do biznesu, do zachodniości. „Biznesmeni" w tych za długich płaszczach, handlarze w dresach z kreszu (nazywano je „szelestami"), sprzedaż mebli z ciężarówek, społeczne szkoły, zagraniczne towary, lunch zamiast obiadu, nowe technologie...

Kanapa ma ulubione wówczas kolory czeskiej plasteliny albo ortalionowego dresu: fuksjowy róż, morska zieleń. Syntetyczna paleta nasyconych pasteli z powodzeniem opanowuje świat tapicerki meblowej. Na sofie w podobny wzór siedzi na zdjęciu w »Twoim Stylu« przyszła pierwsza dama, Jolanta Kwaśniewska".

Wczesne reklamy, na które reagowaliśmy jeszcze nie niechęcią, tak jak dziś, ale życzliwym zaciekawieniem i rozbawieniem z powodu ich nieporadności. „Saloon shampoo", który jakiś niewydarzony tłumacz przełożył jako „salon szampon", słynne „ojciec prać", reklama „ekskluzywnej", bo z Konstancina, firmy Queen of Saba, którą reżyserował Laco Adamik...

Ach, fajnie to wszystko powspominać, ale łza się w oku nie kręci. ©℗

asa.pl c850b8daf1

NAJSZYBSZY SAMOCHÓD ŚWIATA

490,484 km/godz. Z taką prędkością pędził w sierpniu bugatti chiron na prostym odcinku niemieckiego toru Ehra Lessien, bijąc tym samym rekord świata i po raz pierwszy w historii masowej motoryzacji przekraczając magiczną barierę 300 mil na godzinę.

Do tej pory za najszybszy seryjnie produkowany samochód świata uznawany był szwedzki Koenigsegg Agera RS, który w roku 2017 rozpędził się do 457 km/godz. Tym razem w biciu rekordu brał udział nieco ulepszony Chiron, w którym jeszcze bardziej ulepszono aerodynamikę, zmieniono ogumienie na wyczynowe i o 25 cm wydłużono tył, aby jak najbardziej zwiększyć docisk auta.

Trzeba przyznać, że wersja seryjna też daje radę. Uzbrojone w 8-litrowy silnik W16 o mocy 1,5 tys. KM superauto jest w stanie rozpędzić się do 420 km/godz. Seryjny Chiron od zera do pierwszej setki rozpędza się w 2,5 s. Cena: ponad 12,5 mln zł.

SUV-Y COUPÉ NA PRĄD

Cupra Tavascan – pięciodrzwiowy, czteroosobowy elektryczny SUV przyszłości – ma zadebiutować na salonie samochodowym we Frankfurcie już w połowie września. Auto wyposażone w 22-calowe koła zasilane jest przez dwa silniki elektryczne o łącznej mocy 306 KM. Od zera do 100 km/godz. przyspiesza w 6,5 s, może pędzić nawet 280 km/godz. i – co najważniejsze – na jednym ładowaniu potrafi przejechać 450 km. Wnętrze zostało wykończone w minimalistycznym klimacie, a główną rolę w kabinie odgrywa olbrzymi kolorowy i dotykowy wyświetlacz. Kiedy auto trafi do produkcji? Tego jeszcze nie wiadomo.

SAMOCHÓD DLA CZARNOKSIĘŻNIKA

Vantablack VBx2. Pod tą tajemniczą nazwą kryje się powłoka o specjalnej nanostrukturze. Padające na nią światło nie ulega odbiciu i jest niemal w całości pochłanianie przez powłokę. Vantablack sprawia ponoć, że auto wydaje się nie tylko niezwykle czarne. Bryła samochodu pokryta tą powłoką jest przez ludzkie oko postrzegana jako przedmiot dwu-, a nie trójwymiarowy. Mózg ma zaś wrażenie, że „widzi pustkę". Podczas salonu we Frankfurcie zadebiutuje pokryte tą powłoką BMW X6 trzeciej generacji. W wersji seryjnej kosmiczny lakier jednak szybko się nie pojawi. ©℗

Jacek Przybylski

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c850b8daf1

TYGODNIK LISICKIEGO
DO RZECZY

100 % polski produkt

IV EDYCJA KONKURSU

NAGRADZAMY PRZEDSIĘBIORSTWA, KTÓRE WYTWARZAJĄ POLSKIE PRODUKTY

WIĘCEJ INFORMACJI: POLSKI-PRODUKT.DORZECZY.PL

PARTNER STRATEGICZNY

ORLEN

PARTNER GŁÓWNY

KGHM POLSKA MIEDŹ

PARTNER

Poczta Polska

PARTNER GALI

arp Agencja Rozwoju Przemysłu S.A.

eprasa.pl c850b8daf1

ANDRZEJ NOWAK

Z INNEJ PERSPEKTYWY

„Trojanki" i „Chmury"

Jakiż nonkonformizm. Pojawia się właśnie na polskich deskach teatralnych 998. bodaj w ostatnich 15 latach spektakl, który odsłania „skłamane korzenie narodowych mitów", ukazuje polską „wspólnotę ludzi zabrudzonych, wspólnotę wypieranej winy". Obok dziesiątków, a może nawet już setek także hojnie finansowanych w ciągu tych lat przez państwowy grosz filmów fabularnych, które równie śmiało ujawniają, jaką ohydą jest Polska, polskość, polactwo, obok tysięcy poświęconych tej samej reedukacyjnej misji programów telewizyjnych i dziesiątków tysięcy artykułów w największych dziennikach, tygodnikach oraz portalach „informacyjnych" – cały ten ogromny wysiłek nie jest wciąż dostatecznie nagradzany. Ani przez państwo, które nie chce dawać jeszcze więcej pieniędzy czy orderów na tę misję, ani przez „ciemny lud", który jednak tego „nie kupuje".

„Na spektaklach Krystiana Lupy, Krzysztofa Warlikowskiego, Krzysztofa Garbaczewskiego czy Anny Smolar przyszłych wyborców PiS nie zgromadzi, a na Zenku Martyniuku czy sławetnym Sławomirze – tak!" – tymi słowami daje upust swojemu oburzeniu jeszcze jeden znakomity reżyser, którego spektakli nie oglądam (przyznam, że zatrzymałem się w Starym Teatrze w Krakowie na epoce Swinarskiego, Wajdy, Jarockiego i Grzegorzewskiego). Pozwalam sobie nawiązać do słów tegoż reżysera, wypowiedzianych przy okazji lansowania przez „nonkonformistyczny" portal Onet jego nowego widowiska teatralnego według „Trojanek" Eurypidesa. Do czego służą „Trojanki"? To proste: do wypowiedzenia paru odważnych słów na temat prezesa PiS: „Jarosław Kaczyński na przykład świetnie czuje się u siebie, może dlatego, że od urodzenia nie wyjeżdża za granicę i nie jest w stanie spojrzeć na Polskę z odległości, co bywa bardzo otrzeźwiające. Jedzie natomiast do Pułtuska, gdzie również czuje się znakomicie, zdradza nawet, że lubi disco polo, i się tego nie wstydzi. Disco polo patriotyzm".

W tych słowach kryje się poważny program: J.K. świetnie się czuje u siebie i się tego nie wstydzi – misją odważnej sztuki jest, aby Polacy przestali się czuć świetnie u siebie i wreszcie zaczęli się wstydzić. Przynajmniej tego, że nie chodzą na widowiska Anny Smolar. No i żeby nigdy, przenigdy nie jeździli do Pułtuska! (Tylko co z tym pocznie 20 tys. mieszkańców Pułtuska? Jak ich wyprowadzić na manhattański Broadway, a właściwie off-Broadway?).

Dość jednak żartów. Spójrzmy na sprawę serio – na pewno dobrze jest spojrzeć na siebie z dystansu. Nie na polactwo, do którego siebie oczywiście nie zaliczamy, nie na „wspólnotę ludzi zabrudzonych, wypierających swą winę" – przecież wypowiadający ten sąd reżyser chyba taki brudny się nie czuje ani win polactwa, tych z PiS, tych drugich, sobie obcych, innych, się nie wypiera. Przeciwnie: żyje z piętnowania tych win – ale nie swoich. Tymczasem dobrze jest spojrzeć na SIEBIE samego w taki zdystansowany, autokrytyczny sposób. Tylko że to trudne. Tak prawie trudne jak spojrzenie krytyczne nie na wielką scenę polityki, pełną obrzydliwych „obcych" (np. tych z Pułtuska czy miłośników Zenka albo Sławomira), ale na swoje najbliższe środowisko: uniwersyteckie, jeśli pracuję na uniwersytecie, szkolne – gdy w szkole, teatralne czy filmowe, gdy to akurat jest moje środowisko, moi koledzy, moi środowiskowi sędziowie.

Jeśli tego nie jesteśmy w stanie zrobić, to nasza krytyka społeczna łatwo może zamienić się w hipokryzję. Mało jest bardziej zagrożonych taką pokusą instytucji niż teatr. Fryderyk Schiller w programowym wystąpieniu o teatrze jako „instytucji moralnej" już w 1784 r. sformułował wprost myśl o zastąpieniu sceną instytucji sądu: „Teatr karze tysiąc występków, które sprawiedliwość świata puszcza płazem; sławi tysiąc cnót, o których ona milczy". Jak wielka pycha i jak żałosny upadek łączy się często z takim uroszczeniem – warto się nad tym zastanowić. Teatr, prawdziwa sztuka, ma na tę pokusę receptę: śmiech, śmiech z siebie samych.

Dlatego reżyserom dzisiejszym jako test ich odwagi i nonkonformizmu proponuję nie wystawianie 999. spektaklu, który „Trojanki" Eurypidesa czy „Trylogię" Sienkiewicza przerobi na młot na polski ciemnogród, ale próbę wystawienia np. komedii Arystofanesa „Chmury". Spróbujcie pokazać swoje środowisko w perspektywie dialogu Sprawiedliwego z Niesprawiedliwym wypowiadanego w Agonie tej komedii… Spróbujcie. Więcej nie napiszę, bo mnie zamknąć mogą. A wszystkich zachęcam do czytania Arystofanesa (oczywiście nieocenzurowanego przez polityczną poprawność). ©℗

RYSUJE: ANDRZEJ KRAUZE

eprasa.pl c850b8daf1

SŁAWOMIR JASTRZĘBOWSKI

OKIEM JASTRZĘBIA

Grzegorz co najmniej dobry, a może i wielki

Się te słowa oburzające przypisuje Pablowi Picassowi. Zanim napiszę, jakie słowa, spytam tylko, czy w młodości także czytali państwo „Się" Edwarda Stachury? Także? Zachwycające, nieprawdaż? W młodości zachwycające. Ta konstrukcja zdań, ta wrażliwość w stopniu nadwrażliwym. Lecz jak ta młodość z czasem w sobie w nas dojrzewa, to już mniej zachwycające, a potem i „Się", i inne „Siekierezady" stają się świeżością włosków pod nosem młodzika. W przetrawioną klasykę przeistacza się „Się".

Zostawmy dyskusję o poecie Edwardzie, gdyż niejeden się by przy tym sweter wyciągnął. Wracamy do Picassa. Się te słowa oburzające przypisuje właśnie Pablowi: „Dobrzy artyści kopiują, wielcy kradną". Tak to już w życiu jest, że jak chce człowiek prawdę powiedzieć, to zaraz wszyscy oburzeni. Na prawdę mogą sobie pozwolić tylko wielcy lub desperaci. No jeszcze jest możliwość, że ktoś się z głupoty wygada, ale nie o to chodzi.

Grzegorz Schetyna ogłosił, że Małgorzata Kidawa-Błońska będzie kandydatem Koalicji Obywatelskiej na premiera i że w związku z tym ona jest jedynką na liście w Warszawie, a on we Wrocławiu. Szeptać zaczęto, że Grzegorz pobrał nauki od pewnych specjalistów zagranicznych i wyszło im z badań, że on nie jest za bardzo tak przekonujący sam z siebie dla ludności, że bardziej byłaby kobieta miła, bo on raczej bardziej niemiły. I tu muszę państwu powiedzieć, że Grzegorz Schetyna jest historykiem. Ukończył Uniwersytet Wrocławski. Grzegorz Schetyna zna tę historię, w której do Wrocławia przyjechał Picasso w 1948 r. na Światowy Kongres Intelektualistów w Obronie Pokoju. Grzegorz Schetyna musi znać słowa historyczne Picassa: „Dobrzy artyści kopiują, wielce kradną".

Te słowa właśnie go olśniły. Nie jestem pewien, czy w swoim przekonaniu skopiował wariant, że jest dobry i kopiuje, czy że wielki i kradnie. Przeprowadzając jednak pewne paralele między pomysłem Kaczyńskiego „premierem będzie Beata Szydło" a pomysłem Schetyny „premierem będzie Kidawa-Błońska", nie sposób odmówić szefowi Platformy głębokiej znajomości twórczości Pabla. Zresztą i Edwarda Stachurę zna dobrze, na przykład ten fragment: „Się patrzy w ogień zwyczajnie naturalnie, się nie tęskni, się nie dyszy w kosmos nieprzenikalnie, się nie lęka się poczytalnie i niepoczytalnie, się nie cierpi w proch ścieralnie, w ruinę, w obłęd obracalnie. Się zrozumiało. Się rozumie".

Się rozumie, że sama Kidawa-Błońska to za mało odrobinę... ©℗

MARCIN MAKOWSKI

JAK MAKIEM ZASIAŁ

Pochwała normalności

Kiedy popularny amerykański sitcom „Friends" trafił w styczniu 2018 r. na Netflixa, przez Internet przetoczyła się ponadnarodowa debata pod tytułem: „Milenialsi i pokolenie Z w szoku nad jego zaściankowością i wstecznictwem". Teksty i analizy socjologiczne przekonujące, że nowe pokolenia, które nie dorastały wraz z Chandlerem, Rossem, Phoebe, Rachel, Joeyem i Moniką nie potrafią zrozumieć ich seksistowskich dowcipów, powstawały w tempie Żabek na nowych osiedlach. Serial miał dyskryminować rasowo (biała obsada), uprawiać „body shaming" (wyszydzanie otyłości jednej z bohaterek z czasów liceum), epatować homofobią (dwuznaczne żarty Chandlera) i wreszcie – przedstawiać nierealistyczną wersję uprzywilejowanego życia klasy średniej, która całe dnie spędza na pogaduszkach w pobliskiej kawiarni.

I kiedy już część publicystów wszystko poukładała sobie w głowach, odetchnęła z ulgą, że „dzisiaj to nie przejdzie", okazało się to, co zazwyczaj się okazuje, gdy zamiast opisywać rzeczywistość, ma się apetyt na jej kreowanie. Produkcja – w 2019 r. świętująca 25-lecie – przeżywa drugą młodość i cieszy się oszałamiającą wręcz popularnością. Mamy festiwale, podczas których można obejrzeć plan firmowy i zrobić sobie zdjęcie na kultowej kanapie w Central Perku. YouTube zalewa nowa fala filmików z najlepszymi cytatami bohaterów, w dyskontach z ciuchami pojawiają się kolekcje nawiązujące do serialu, Lego specjalnie na tę okazję wypuściło zaś zestaw klocków. Ba, pomimo milionów dolarów pompowanych w nowe produkcje, to właśnie „Przyjaciele" są obecnie najczęściej oglądanym show na Netflixie, który zadrżał w posadach na wieść, że dystrybutor posiadający do niego prawa wycofuje serial z platformy w 2020 r., ponieważ zakłada własną.

W tym momencie musi paść kluczowe pytanie. Jak to możliwe, że sitcom, który nie mógłby dzisiaj powstać, bo już w fazie pisania scenariusza zjadłaby go poprawność polityczna, z czasem zafascynował nawet tych, których miał oburzać? Przecież jego widownia już dawno wyszła poza ramy targanych nostalgią 30-, 40-latków, marzących o Nowym Jorku sprzed kryzysu ekonomicznego, który przypominał im o prostszej Ameryce i prostszym świecie, w którym relacje międzyludzkie nie weszły w fazę dekompozycji przyspieszonej przez media społecznościowe i Tindera. Myślę, że odpowiedź jest zaskakująco prosta. „Friends" to pochwała normalności, choć serial jak na swoje czasy był i tak mocno progresywny. Mimo że boimy się do tego przyznać, lubimy proste historie, „chemię" między bohaterami, chcemy wejść w ich strefę komfortu. Nie zastanawiać się, czy dany żart kogoś urazi. Być częścią grupy, która ma czas ze sobą rozmawiać twarzą w twarz. Przestać epatować nihilizmem i cynizmem. Oto cała tajemnica. ©℗

eprasa.pl c850b8daf1

OKIEM BLOGERKI

Król jeszcze żyje

KATARYNA

***KRZYSZTOF LUFT:** Oj, coś duży popłoch na zapleczu PiS-u. Wy to antysemickim jadem potraficie opluć każdego. Nawet prawnuczkę przywódców II RP – premiera Grabskiego i prezydenta Wojciechowskiego. Ale wasz czas się kończy, nienawistnicy.*

Tak kandydat Platformy Obywatelskiej skomentował zamieszczony na jednym z prawicowych portali artykuł „Internauci nie mają złudzeń ws. kandydatury Kidawy Błońskiej: »Schetyna nie słuchał społeczeństwa, tylko doradców z Izraela«". Przeczytałam dwa razy artykuł – a właściwie luźny zestaw cytatów dziennikarzy i internautów komentujących zmianę na stanowisku platformianego kandydata na premiera – w poszukiwaniu antysemityzmu i nie znalazłszy go, poprosiłam o pomoc. „A pani sama go nie znajduje? Poważnie, uważa pani, że »kandydatura podpowiedziana przez doradców z Izraela« to wśród czytelników braci Karnowskich komplement?". Okazało się, że „antysemickim jadem, którym opluto" Małgorzatę Kidawę-Błońską, było samo wymienienie kraju, z którego pochodziła firma zatrudniona przez Platformę do pomocy przy kampanii, choć i wcześniej, i później Izrael wymieniali także inni dziennikarze i nikt im antysemityzmu nie zarzucał. Niewykluczone zresztą, że wzmożenie Lufta było odreagowaniem językowej wpadki prezydent Dulkiewicz, która swoich gości o ciemniejszej karnacji nazwała publicznie „egzotycznymi". Wyszło śmieszno-strasznie, bo kolejny raz okazało się, jak bardzo instrumentalnie traktowane są wszystkie -izmy. Zwłaszcza zaś antysemityzm, robiący za poręczną pałkę na prawicę, której nie wolno nawet – jak widać – wymienić nazwy państwa, żeby nie trafić pod medialny pręgierz.

W przypadku Małgorzaty Kidawy-Błońskiej argument antysemityzmu został zastosowany jednorazowo i raczej nie będzie okazji do uciszania nim oponentów, ale spodziewam się, że już na przykład zarzut seksizmu wobec przyszłych krytyków pani marszałek będzie często w użyciu, bo jest on prawie tak samo użyteczny jak antysemityzm, za to dużo bardziej uniwersalny. Niektórzy szykują też inny argument – prosty lud może się na idealnej kandydatce nie poznać. „Prawnuczka prezydenta Wojciechowskiego i premiera Grabskiego, osoba nieskompromitowana, umiarkowana, inteligentna, wykształcona, kulturalna, ze środowiska inteligencji warszawskiej. »Wie, czym kaczka wodę pije«. To kandydatka dla wyborcy wielkomiejskiego, lepiej sytuowanego. Jej zalety nie muszą przemawiać do ludu, z którym łatwy kontakt nawiązywała »nasza Beatka«, sąsiadka każdego wyborcy w Oświęcimiu czy Brzeszczach" – pisze z wyraźną troską Daniel Passent, recenzując ostatnią nadzieję opozycji z mieszaniną optymizmu i niepokoju, że naród być może jeszcze do niej nie dorósł.

Sama uważam formalną – bo nie mam pewności, czy faktyczną – kandydatkę PO na premiera za polityk z klasą i nie mam nic przeciwko, żeby odegrała w polityce rolę ważniejszą niż tylko bycie przedwyborczą obietnicą Grzegorza Schetyny. Na miejscu polityków PO nie okazywałabym jednak zbyt wielkiej radości ze zmiany przywództwa, bo nie sądzę, żeby Schetyna na dobre rozstał się z własnymi planami. Raczej siedzi i odnotowuje, kto się zbyt ostentacyjnie cieszy z perspektywy zmiany partyjnego układu sił. Nierealne premierostwo dużo łatwiej mu teraz oddać niż realną władzę w partii. ©℗

PODSŁUCHANE

Miara sukcesu

Robert, w ogóle się nie angażujesz. To nie może tak być, inaczej się umawialiśmy. Każdy miał coś robić w kampanii.
Adrian, co ty gadasz?! Ja się nie angażuję?! A czytałeś mój wczorajszy post na fejsiku?

Ten o dyskryminacji osób nieheteronormatywnych we wojsku? Że za mało jest transpłciowych ze stopniem generała? Czytałem.
No widzisz. Więc mi nie zarzucaj, że nic nie robię.

Ten sam wpis dałeś rok temu. Mam zrzut ekranu zrobiony.
No bo przez rok nic się nie poprawiło.

Poza tym to nie ma żadnego związku z kampanią. Nasi towarzysze dzielnie podpisy zbierali, z ludźmi się spotykali, nawet musieli faszystom na ulicach stawiać czoło, a ty sobie mule w Brukseli jesz!
Aha! Zazdrościsz, co? Zazdrościsz mi mojego wielkiego sukcesu.

Czego ja ci mam zazdrościć? Tej emerytury za brukselskie pieniądze? Ty tutaj to już jesteś skończony!
O nie! Ja tego tak nie zostawię!

A co zrobisz? Łapką mnie po główce pacniesz?
To jest homofobia! Ja to zawsze u ciebie podejrzewałem! Ożeż ty wstrętny! ©℗

Łukasz Warzecha

OD RZECZY

„Obiecuję, że zatrzymamy wycinanie lasów, zatrzymamy smog, zatrzymamy plastik".

MAŁGORZATA KIDAWA-BŁOŃSKA
o programie wyborczym Koalicji Obywatelskiej

eprasa.pl c850b8daf1

Ukradziona Madonna

Tego tygodnia — w niedzielę 15 września — Podlasianie obchodzą święto Matki Bożej Kodeńskiej, zwanej też Królową Podlasia i Matką Podlasia. Żadna inna z polskich Madonn nie ma równie bulwersującej historii. Legenda mówi, że w VI stuleciu papież Grzegorz I Wielki poprosił arcybiskupa Canterbury, Augustyna, by ten mu odmalował rzeźbę Madonny, która zdobiła kaplicę papieską. I w tejże kaplicy obraz zawisł, natomiast rzeźbę papież podarował arcybiskupowi Sewilli, Leandrowi, który umieścił ją w hiszpańskim sanktuarium Guadalupe (Estremadura). Te właśnie związki sprawiły, iż zwano rzeczoną Madonnę Matką Boską Guadalupeńską, a gdy po wiekach stolicę papieską przeniesiono do Watykanu (1377) — również Matką Boską Gregoriańską, bo wylądowała tam na ołtarzu Kaplicy Gregoriańskiej. Trzysta kilkadziesiąt lat później nazwa owej słynącej cudami Madonny uległa spolszczeniu, być może wskutek niesłychanie śmiałej kradzieży, której dokonał prominentny przedstawiciel rodu Sapiehów.

Mikołaj Sapieha (~1581–1644) został u schyłku życia wojewodą mińskim i kasztelanem wileńskim, wcześniej zaś działał politycznie w kraju (m.in. jako poseł sejmowy) oraz w Europie (jako dyplomata Wazów — Zygmunta III i Władysława IV). Centrum jego majętności stanowiło miasteczko Kodeń (obecnie wieś gminna w województwie lubelskim, powiat bialski; kościelnie: diecezja siedlecka), otoczone licznymi wsiami i folwarkami, mające kościół (drewniany) i kaplicę (cmentarną), o które Mikołaj nader solidnie dbał, tak bardzo bowiem słynął z zaangażowań religijnych, że dano mu przydomek *„Pobożny”* (*„Pius”*). U schyłku lat 20–ych XVI wieku rozpoczęto dzięki jego funduszom budowę w Kodniu murowanej świątyni. Wkrótce fundator zapadł na wielce tajemniczą chorobę (mówiono, że tropikalnego pochodzenia), ruszył więc (1630) z pielgrzymką do Rzymu, by błagać *„Ikonę Gwadalupieńską”* o wyzdrowienie, a papieża Urbana VIII o relikwie dla nowego kościoła. Dostał i relikwie, i papieskie błogosławieństwo, i *„cud uzdrowienia”* w Gregoriańskim Oratorium, gdzie zapłonął ku Wybawicielce uczuciem tak gorącym, że postanowił nie rozstawać się z Nią, vulgo: zabrać Ją ze sobą do domu. Bandyckim sposobem.

Kaplica Gregoriańska Watykanu miała stałego zakrystianina, Battistę Corbino, który jej dniem i nocą strzegł. Bez współdziałania tego cerbera wykraść Madonnę było nie sposób. Sapieha więc próbował się z nim zaprzyjaźnić, co bardzo dziwiło prostego Włocha, klepał go bowiem po ramieniu (a czasami nawet obejmował i tulił do piersi) herbowy magnat, dygnitarz, *„przyjaciel papieża”*. Te umizgi trwały tydzień i wreszcie Sapieha wyłożył karty na stół, błagając nowego *„kamrata”* o złodziejską przysługę. Corbino doznał szoku, gwałtownie się sprzeciwił, ale kiedy na stole zabrzęczało ponad 500 złotych dukatów (suma ogromna wtedy) — zmiękł. Malunek został zdjęty z ołtarza, okutany płótnami i gazami tak, jak wówczas zabezpieczano dzieła sztuki gwoli transportu, a następnie wpakowany na wóz i obłożony skrzynkami mieszczącymi relikwie, które wcześniej papież Sapiesze sprezentował, po czym ruszono w drogę ku granicom Państwa Watykańskiego. Zakrystianin wiedząc, że za straszny grzech czeka winowajcę straszna kara, błagał Sapiehę, by ten wziął go jako sługę ze sobą, lecz magnat stanowczo odmówił.

Gwałtowny, nocny, bez ceremonialnych pożegnań wyjazd Sapiehy z Rzymu wzbudził od razu podejrzenia, iż dostojnik sarmacki bezprawnie uwiózł coś cennego. Służby rzymskie i watykańskie zaczęły przetrząsać kościoły oraz pałace, spenetrowano też pobieżnie Kaplicę Gregoriańską, lecz braku Madonny Guadalupeńskiej nie zauważono, była Ona bowiem stale osłonięta kotarą, którą zdejmowano tylko dla rzadkich tutaj mszy papieskich — i kotara wisiała dalej, a pod nią nikt nie zerknął. Dopiero przedłużająca się nieobecność zakrystianina ukierunkowała śledczych: kaplicę zlustrowano dużo solidniej i odkryto brak cudownego malunku. Lecz to opóźnienie zezwoliło Polakowi przekroczyć granicę Państwa Kościelnego i mknąć na północny wschód, ku państwu króla Wazy (dla bezpieczeństwa sunął bezdrożami, omijając główne szlaki i miasta, czym przechytrzył grupy pościgowe). Tymczasem Corbino krył się blisko Rzymu, w górskich pieczarach, jednak targany wyrzutami sumienia wrócił, oddał władzom dukaty i błagał o litość. Skazano go na spalenie za świętokradztwo. Sapiehę, ledwo krętą drogą (via Zagrzeb i Lwów) dotarł do Kodnia, wezwano przed sąd papieskiego nuncjusza w Warszawie, gdzie został skazany (pod groźbą klątwy) na zwrócenie obrazu, rok więzienia i pieszą pokutną pielgrzymkę do Watykanu. Miast tego wysłał tam swego synowca (1633), który mu wyprosił przebaczenie (zdjęcie ekskomuniki, etc.), a kiedy sam zjawił się w Watykanie (1635), uzyskał również zgodę papieską na zatrzymanie obrazu i ozdobienie nim ołtarza nowej świątyni kodeńskiej (tym sposobem papież nagrodził kontrkalwińskie usługi oddane przez Sapiehę nuncjuszowi Viscontiemu podczas obrad Sejmu). Jako że ta świątynia była dopiero wznoszona — malowidło zawisło zrazu w drewnianym kościele.

Podlasianie czczą 15 września, bo tego dnia (roku 1631) obraz zjawił się w Kodniu. Bezzwłocznie zasłynął cudami, ściągając pielgrzymów z całego kraju (głównie z Podlasia, Żmudzi, Wołynia, ziemi bełskiej i chełmskiej), a także zyskując nową nazwę: Matka Boska Kodeńska. A.D. 1723, decyzją papieża Klemensa XI, został uwieńczony koronami z Kapituły Św. Piotra przy Watykanie. Carat kazał go wywieźć (1875) do kościółka we wsi Kadzidło (ziemia łomżyńska), skąd trafił na Jasną Górę, a do Kodnia wrócił w roku 1927 i zdobi główny ołtarz kościoła Św. Anny zbudowanego przez Mikołaja Sapiehę.

Kto pierwszy opisał aferę z kradzieżą obrazu? Potomek *„błogosławionego złodzieja”*, Jan Fryderyk Sapieha, roku 1720. W XX wieku ta malownicza historia trafiła do literatury pięknej, vide powieść Zofii Kossak–Szczuckiej **„Beatum scelus”** (1924), ujęta później przez autorkę tytułem spolszczonym: **„Błogosławiona wina”** (1953). Ale jednocześnie zaczęto kwestionować zarówno legendę o powstaniu malowidła w pierwszym tysiącleciu naszej ery (obraz wykazuje cechy sztuki hiszpańskiej z przełomu stuleci XVI i XVII), jak i historyjkę o brawurowym pozyskaniu dzieła (sceptycy sądzą, że Sapieha *„Pobożny”* kupił ów obraz pielgrzymując do któregoś hiszpańskiego sanktuarium). I co z tego? Gawęda o zuchwalcu brzmi fajniej. ©℗

Waldemar Łysiak

eprasa.pl c850b8daf1

NAJ NIE BIERZE SIĘ ZNIKĄD

NAJ musi być doskonałe z każdej strony. Paliwa LOTOS powstają w najnowocześniejszej rafinerii w Europie. Tworzą je zaangażowani w swoją pracę eksperci oraz ludzie z pasją.

LOTOS

Droga do NAJ jest długa. Dlatego jako pierwsi połączyliśmy Gdańsk z Warszawą **NIEBIESKIM SZLAKIEM** elektromobilności, tworząc sieć stacji ładowania samochodów elektrycznych.

NAJ Z KAŻDEJ STRONY

CZY FIRMY FARMACEUTYCZNE inwestują w polską gospodarkę

Onkologia, cukrzyca, choroby ludzi młodych: KTO NASTĘPNY W KOLEJCE DO REFUNDACJI

RADOSŁAW SIERPIŃSKI:
Biotechnologia szansą dla Polski

TYGODNIK LISICKIEGO
WRZESIEŃ 2019
PIĄTE WYDANIE SPECJALNE

DO RZECZY O ZDROWIU

SZEF GIS OSTRO O NOWYCH NARKOTYKACH, E-PAPIEROSACH I SZCZEPIENIACH

Minister Szumowski w debacie oksfordzkiej „Do Rzeczy" pt.

„DŁUGOŚĆ ŻYCIA ZALEŻY TYLKO OD NOWOCZESNEJ MEDYCYNY"

Krynica, 3 września 2019 r., godz. 20

PARTNER HONOROWY WYDANIA

Ministerstwo Zdrowia
Patronat Honorowy Ministra Zdrowia

eprasa.pl c850b8daf1

Pfizer

Przełomy, które zmieniają życie pacjentów™

DĄŻYMY DO ZAPEWNIENIA PACJENTOM KOMPLEKSOWEJ OPIEKI

Jesteśmy obecni w najważniejszych i najbardziej znaczących dla zdrowia publicznego obszarach terapeutycznych

- szczepionki
- onkologia
- choroby rzadkie
- choroby zapalne i immunologia
- układ nerwowy, leczenie bólu, antybiotykoterapia
- choroby układu krążenia i metaboliczne

PP-PFE-POL-0036

Pfizer Polska Sp. z o.o. z siedzibą w Warszawie, ul. Żwirki i Wigury 16B 02-092 Warszawa, tel. +48 (22) 335 61 00, fax +48 (22) 335 61 11

Wyzwania przyszłości i codzienne problemy

PAWEŁ LISICKI

Autor światowych bestsellerów, Yuval Noah Harari, snuje wizję przyszłości, w której ostatecznie zostanie przezwyciężona śmierć. To obecnie chyba najbardziej popularny pisarz książek naukowo-filozoficznych, sprzedaż jego publikacji sięga dziesiątków milionów egzemplarzy. Według niego zwycięstwo nad śmiercią ma się dokonać w najbliższych dziesięcioleciach za sprawą rozwoju medycyny. Na ile wizje te są prawdziwe, na ile faktycznie żyjemy w epoce bliskiej spełnienia tego prastarego marzenia ludzkości – trudno powiedzieć. Pewne jest jedno – jeśli chodzi o statystyczną długość życia, o nowe terapie, o skuteczne zwalczanie wcześniej śmiertelnych chorób, w ostatnich latach dokonał się niezwykły wręcz postęp. Tej sprawie właśnie osobną uwagę postanowił poświęcić tygodnik „Do Rzeczy" w swoim specjalnym dodatku.

Tak, to, co kiedyś wydawało się nieosiągalne, co było raczej rzeczą futurologów, dzieje się na naszych oczach. Proces ten, a przynajmniej niektóre jego najważniejsze elementy, trafnie opisuje Artur Wolski w tekście o „Pięciu nadziejach medycyny". Odwołując się do wiedzy i doświadczenia najwybitniejszych polskich naukowców, pokazuje kilka przełomowych odkryć.

I tak na przykład od kilku lat zespół prof. Agnieszki Dobrzyń z Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN im. Marcelego Nenckiego dopracowuje model transformacji ludzkich komórek macierzystych w kierunku komórek produkujących insulinę i glukagon. Udało się też w sierpniu 2018 r. zakupić wyspecjalizowaną drukarkę 3D, która pozwoliła na sterylny druk płatów trzustkowych. Daje to nadzieję kilkuset tysiącom ludzi na wyleczenie cukrzycy typu 1 – dzięki bionicznej trzustce stworzonej z przekształconych komórek macierzystych chorego. Inną wielką zdobyczą polskich badaczy jest dokonanie naukowców z Uniwersytetu Warszawskiego – odkryli oni nowy związek chemiczny, którego właściwości przeciwbólowe są 5 tys. razy silniejsze od stosowanych dzisiaj leków z rodziny opioidów. Za opracowanie nowego związku odpowiada zespół prof. Aleksandry Misickiej-Kęsik z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, współpracujący z prof. Barbarą Przewłocką z Instytutu Farmakologii PAN. Po bardzo obiecujących testach na zwierzętach polscy naukowcy planują opatentować nową substancję w wybranych krajach.

Jednak z punktu widzenia zwykłego pacjenta ważne są nie tylko przełomy i wielkie odkrycia, lecz także pytania o to, jak dostać się do najlepszego specjalisty, jak uniknąć kolejek, wreszcie jak kupić właściwy lek. O tym wszystkim mówi w rozmowie z „Do Rzeczy" minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski. Chociaż przyznaje on, że trudno o całkowite i uniwersalne rozwiązanie problemu szybkiego dostępu do lekarzy, to „praktyka pokazała, że można skrócić kolejki w wybranych obszarach, na których się skupimy. Nie da się tego zrobić od razu w całym systemie, żeby pacjenci czekali na wizytę u specjalisty maksymalnie 21 dni. To fikcja choćby z tego powodu, że brakuje specjalistów. Widać jednak, że jeśli skupimy się na pewnych obszarach, takich jak operacje zaćmy, rezonans, tomografia, to mamy realne efekty. Tutaj już widać skrócenie kolejek. Priorytetem na następną kadencję są zmiany w AOS (ambulatoryjnej opiece specjalistycznej) po to, by kolejki skróciły się do poziomu akceptowalnego przez pacjentów".

Czy to się uda? Z pewnością wszystkim powinno zależeć na tym, by się tak stało.

TYGODNIK LISICKIEGO DO RZECZY O ZDROWIU

REDAKCJA:
Redaktor naczelny: **Paweł Lisicki**
Z ZESPOŁEM:
Redakcja: **Jacek Przybylski, Radosław Wojtas**
Redaktor prowadząca: **Katarzyna Pinkosz**

Dyrektor projektu: **Mariola Wiercińska,** m.wiercinska@pmpg.pl, tel. 500 112 406
Key Account Manager: **Danuta Szyrszeń-Lasocka,** d.lasocka@pmpg.pl, tel. 515 259 368

Opracowanie graficzne: **Wojciech Niedzielko**
Anna Sobieska-Wójtowicz

Fotoedycja: **Edyta Bortnowska, Przemysław Traczyk**
Korekta: **Jadwiga Marculewicz-Olaś, Anna Zalewska**
Okładka: **Ministerstwo Zdrowia**

PARTNERZY WYDANIA

Takeda, PHILIPS, Bristol-Myers Squibb, novo nordisk, Pfizer, Boehringer Ingelheim, GRUPA LUXMED, NOVARTIS, POLMED

PARTNERZY MERYTORYCZNI WYDANIA

PTD, Federacja Pacjentów Polskich, PUOP Obywatele dla Zdrowia, FUNDACJA WYGRAJMY ZDROWIE, PTD Polskie Towarzystwo Diabetologiczne

eprasa.pl c850b8daf1

SYSTEM OCHRONY ZDROWIA

4 TERAPIA PO TRANSFUZJI Minister zdrowia Łukasz Szumowski o „stawianiu na nogi" pacjenta i systemu ochrony zdrowia

8 DEBATA OKSFORDZKA „DO RZECZY" Krynica 2019 i prowokacyjna teza: „Długość życia zależy tylko od nowoczesnej medycyny". Co na to eksperci?

10 DLA PACJENTÓW, NAUKI I GOSPODARKI Doktor Radosław Sierpiński o perspektywach rozwoju Agencji Badań Medycznych

12 POSTAWMY NA MEDYCYNĘ STYLU ŻYCIA – Na 80 proc. chorób zapracowujemy sami – przekonuje Jarosław Pinkas, szef GIS

14 ZMIANY MUSZĄ BYĆ EWOLUCYJNE Wiceminister Józefa Szczurek-Żelazko o zawodach medycznych i dialogu społecznym

16 RATOWNICTWO MEDYCZNE CZEKA WIELE ZMIAN – zapowiada nowy pełnomocnik rządu ds. ratownictwa wiceminister Waldemar Kraska

18 POTRZEBNY JEST SEKTOR PRYWATNY – przekonuje Anna Rulkiewicz, prezes LUX MED

56 SIEDEM WNIOSKÓW Z DEBAT „WSPÓLNIE DLA ZDROWIA" – prezentuje dr Małgorzata Gałązka-Sobotka i przekonuje, że teraz czas działać

58 „PIĄTKA" DLA PACJENTÓW Była „piątka" Morawieckiego, teraz czas na „piątkę" postulatów pacjentów

NOWOCZESNE TECHNOLOGIE

20 PIĘĆ NADZIEI MEDYCYNY Bioniczna trzustka, lek silniejszy niż morfina... Co jeszcze kryje się w polskich laboratoriach?

FARMACJA I GOSPODARKA

22 WYCHODZIMY NAPRZECIW RZECZYWISTYM POTRZEBOM PACJENTÓW – przekonuje Nikos Xydias, dyrektor generalny GSK

24 DOSTARCZAMY WIĘCEJ NIŻ TYLKO PRODUKT – zapewnia Nienke Feenstra, dyrektor Takeda Pharma w Polsce

26 HISTORIA PFIZERA TO HISTORIA INNOWACJI Dorota Hryniewiecka-Firlej o lekach i centrach kompetencji w Polsce

28 KAŻDY CHORY TO OSOBNA HISTORIA Katarzyna Kacperska, dyrektor generalna Novo Nordisk, o innowacjach w walce z cukrzycą

30 CYFRYZACJA TO KLUCZ DO SUKCESU – przekonuje Reinier Schlatmann, prezes Philipsa w krajach Europy Środkowo-Wschodniej

32 DEKADA IMMUNOTERAPII Antoni Żarski, dyrektor Bristol-Myers Squibb, o osiągnięciach w onkologii

34 PODJĘLIŚMY ZOBOWIĄZANIE WOBEC POLSKICH PACJENTÓW – zapewnia Paul van Arkel, prezes Grupy Novartis w Polsce

36 KRYZYSOM LEKOWYM TRZEBA ZAPOBIEC – przekonuje Sebastian Szymanek, prezes zarządu Polpharmy

INNOWACJE W TECHNOLOGIACH

38 NADZIEJA DLA PACJENTÓW BEZ NADZIEI Avi Matan, dyrektor generalny Novartis Oncology, o rewolucji w onkologii dzięki terapii CAR-T

40 CYFROWY SKOK W POLSKIEJ MEDYCYNIE Innowacyjne technologie Philipsa

42 CZAS NA NIELEKOWE TECHNOLOGIE MEDYCZNE – przekonuje Robert Rusak, prezes Izby POLMED

POLITYKA LEKOWA

44 JESTEŚMY OTWARCI NA DIALOG Wiceminister Maciej Miłkowski zdradza tajemnice list refundacyjnych

CHOROBY CYWILIZACYJNE

46 POKONAJMY TĘ EPIDEMIĘ Walka z cukrzycą i chorobami sercowo-naczyniowymi

48 INSULINA. JEDNAK JAKA? O doborze optymalnej terapii mówi prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz, prezes PTD

49 CHRONIĄ SERCE I ODCHUDZAJĄ Profesor Maciej Małecki zachwala nowe leki przeciwcukrzycowe

50 BIEGUNKA, KTÓRA NISZCZY JELITA Groźna choroba Leśniowskiego-Crohna

CHOROBY RZADKIE

52 PROFILAKTYKA ZAPOBIEGA KRWAWIENIOM W HEMOFILII – zapewnia doc. Anna Klukowska, hematolog

54 KOMPLEKSOWA OPIEKA I NOWOCZESNE LECZENIE Doktor Joanna Zdziarska o leczeniu dzieci i dorosłych z hemofilią

eprasa.pl c850b8daf1

Terapia po transfuzji

FOT. DO RZECZY

Z ministrem zdrowia, prof. Łukaszem Szumowskim

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Gdy rozmawialiśmy przed rokiem podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy, ocenił pan stan systemu ochrony zdrowia w Polsce jako chorobę przewlekłą, gdzie po „transfuzji" w postaci ustawy o 6 proc. PKB na zdrowie potrzebna jest dalsza terapia. Jak teraz oceniłby pan stan polskiej ochrony zdrowia?

PROF. ŁUKASZ SZUMOWSKI: Rok dla systemu ochrony zdrowia to niezwykle krótki okres. To tak, jakbyśmy oceniali przewlekle chorego pacjenta dzień po dniu. Choroby przewlekłe leczy się długo, ponieważ powodują bardzo głębokie zmiany. Da się zauważyć pozytywne zmiany w systemie, szczególnie w kwestii finansowania. Przekroczenie bariery 100 mld zł na ochronę zdrowia to ewidentny sygnał, że idziemy w dobrym kierunku. Potrzebujemy jednak zmian długoterminowych. „Pacjentowi" jest potrzebna nie tylko transfuzja. Po postawieniu go na nogi trzeba wprowadzić zmiany w jego stylu życia, zmienić nawyki, które niszczyły jego zdrowie, zapewnić mu rehabilitację.

Przekroczenie bariery 100 mld zł na ochronę zdrowia to ewidentny sygnał, że idziemy w dobrym kierunku

„Postawienie na nogi pacjenta" – czyli systemu ochrony zdrowia – jest wyzwaniem na następną kadencję. Część rzeczy udało się już zrobić, rozpoczęliśmy wiele procesów, które powinny być kontynuowane.

Co uznałby pan za największe sukcesy w ciągu półtora roku kierowania ministerstwem?

Zapoczątkowaliśmy wiele zmian niezbędnych do funkcjonowania ochrony zdrowia. Jednym z ważniejszych obszarów jest informatyzacja, dzięki której mamy nie tylko e-receptę i e-zwolnienia, lecz także dane o obrocie lekami, wypisywanych receptach i leczeniu. To informacje niezbędne, by pacjent był bezpieczny

eprasa.pl c850b8daf1

w systemie. To wiąże się z prawami pacjenta, takimi jak prawo do informacji o dostępności leczenia, jego jakości i terminach.

Inną bardzo ważną kwestią jest ustandaryzowanie jakości w systemie ochrony zdrowia. Pilotaż sieci onkologicznej funkcjonuje w dwóch województwach, niedługo zostanie rozszerzony o kolejne dwa. To też początek działań, które będą prowadzone w kolejnej kadencji.

Jak ocenia pan pilotaż sieci onkologicznej?

Wreszcie zaczynamy mówić o standardach leczenia. Do jej pory procesy leczenia bardzo się różniły w poszczególnych ośrodkach. Tak jak wspomniałem wcześniej, zależy nam na tym, aby ustandaryzować opiekę nad pacjentem onkologicznym, żeby czuł się „zaopiekowany" i miał poczucie, że jest prawidłowo leczony, nie jest narażony np. na powikłania związane z chorobą. Myślę, że do połowy przyszłej kadencji cała Polska będzie w sieci onkologicznej, a jednolite standardy leczenia wejdą w krwiobieg ochrony zdrowia.

To znaczy, że pacjent będzie tak samo diagnozowany i leczony bez względu na to, w jakim szpitalu się znajdzie? Do tej pory tak nie było, sposób leczenia często był uzależniony od tego, czy pacjent trafił do ośrodka akademickiego czy małego szpitala...

To ma się zmienić właśnie dzięki sieci onkologicznej. Tworzymy również ośrodki leczenia narządowego. Już powstają Breast Cancer Unity, niedługo będą powstawać podobne centra leczenia raka jelita grubego czy raka płuca. To zmiana systemu opieki onkologicznej w Polsce.

Kolejnym krokiem jest zmiana funkcjonowania Narodowego Funduszu Zdrowia, który powinien przestać być płatnikiem. Powinien być „ubezpieczycielem", strażnikiem jakości dla pacjentów. Chodzi o to, żeby NFZ nie tylko płacił szpitalowi np. za wykonanie operacji, lecz także sprawdzał, na ile faktycznie przyczyniła się ona do poprawy zdrowia lub jakości życia pacjenta. Ten proces oceny jakości i płacenia za jakość jest już w toku. Już wkrótce większe pieniądze z NFZ będą trafiały do placówek, które dobrze leczą.

Kluczowym problemem są kadry. Od tego właściwie zacząłem urzędowanie: mieliśmy dramatyczną sytuację, przede wszystkim z pielęgniarkami, ale także z lekarzami. Jeśli chodzi o pielęgniarki, to wprowadziliśmy mechanizmy zachęcające do wejścia do zawodu i one zadziałały. Pielęgniarki powracają do zawodu – to sukces, jakiego nie było od lat. Widać też poprawę, jeśli chodzi o lekarzy. Wielu z nich chętnie przyjęło stabilne warunki zatrudnienia, które zaoferowaliśmy: 6750 zł za pracę w jednym miejscu.

W pewnych obszarach, takich jak operacje zaćmy, rezonans, tomografia, już widać skrócenie kolejek. Priorytetem na następną kadencję są zmiany w ambulatoryjnej opiece specjalistycznej, by kolejki skróciły się do poziomu akceptowalnego przez pacjentów

W Polsce nadal jednak brakuje ok. 30 tys. lekarzy. Jak tę sytuację poprawić?

Wyliczenia są różne. Pozytywne jest to, że liczba lekarzy praktykujących w Polsce powoli rośnie. Oczywiście chcielibyśmy, by to się działo szybciej. Są jednak kraje, w których liczba lekarzy na mieszkańca jest podobna do tej w Polsce, natomiast globalna ocena ochrony zdrowia przez pacjenta jest lepsza. Problemem jest więc nie tylko brak lekarzy, lecz także całość funkcjonowania systemu. Oczywiście mamy starzejące się społeczeństwo, zawód lekarza będzie coraz bardziej pożądany, gdyż coraz więcej osób będzie musiało być objętych opieką medyczną. Kształcimy coraz więcej studentów medycyny (obecnie o 2 tys. więcej niż w 2015 r.). To ogromny sukces, ale też koszt dla systemu, jednak taki koszt, który jest inwestycją. Pieniądze wydane na kształcenie lekarzy musimy traktować jak inwestycję, a nie jak koszt. To także duży sukces, że zaczęliśmy otwierać kolejne wydziały medyczne na nowych uczelniach.

Pojawiło się jednak pytanie, czy lekarze na tych nowych uczelniach będą równie dobrze kształceni?

Każdy nowy wydział lekarski musi przejść pozytywną ocenę Polskiej Komisji Akredytacyjnej, a ta jest niezwykle surowa. Każdy nowo otwierany wydział ją przechodził, również nowo otwarty wydział lekarski na UKSW. Niedawno zakończyła się rekrutacja na studia, sprawdziłem to – na nowo powstały wydział medyczny na UKSW na jedno miejsce kandydowało 16,41 osoby.

To pokazuje, że młodzież, która chce studiować na nowo otwartych uczelniach, to ta sama młodzież, która aplikuje na starsze uniwersytety. A jeśli chodzi o jakość nauczania, to w medycynie mamy LEK – lekarski egzamin państwowy, taki sam dla wszystkich, niezależnie od miejsca ukończenia studiów. Jego wyniki będą świetnym wyznacznikiem, na ile system kształcenia jest taki sam na nowo otwartych uczelniach. Oczywiście będziemy się przyglądać nowym uczelniom, na ile spełniają kryteria jakości.

Lekarze skarżą się też na biurokrację, na to, że nie mają czasu, by leczyć.

Wprowadziliśmy zmianę polegającą na możliwości wypełniania części obowiązków lekarza przez asystenta medycznego czy sekretarkę medyczną; chodzi np. o możliwość wypełniania e-zwolnień. Jednak wiemy, że pacjenci oczekują efektów, których nie da się osiągnąć bez raportowania. Do tej pory nie kontrolowaliśmy czasu oczekiwania na SOR-ach (szpitalnych oddziałach ratunkowych), teraz wprowadziliśmy regulację, że to musi być raportowane. Można patrzeć na to jak na kolejny obowiązek administracyjny, ale jest on niezbędny, żebyśmy wiedzieli, czy pacjent jest bezpieczny. Jednak zwiększyliśmy o 10 proc. wycenę na SOR-ach. I mamy nadzieję, że to pozwoli zatrudnić nowych pracowników, którzy zdejmą z personelu medycznego obowiązek administracyjny.

Przez ponad rok toczyły się debaty „Wspólnie dla zdrowia". Jakie są ich efekty?

Debaty były niezwykle ważne. Przygotowując na przyszłą kadencję plan działań w ochronie zdrowia, opieram się głównie na wynikach tych debat oraz na badaniach, które pokazują, co Polacy sądzą o poruszanych tematach. Jednym z głównych wniosków jest to, że trzeba położyć nacisk na opie-

eprasa.pl c850b8daf1

kę długoterminową i zabezpieczenie opieki nad osobami niesamodzielnymi. Polacy oczekują działań, które rozszerzą wsparcie w tym obszarze i przyczynią się do koordynacji działań w ramach polityki społecznej. Uważam, że stworzenie ujednoliconego systemu finansowania i realizacji opieki nad osobami niesamodzielnymi to jedno z największych wyzwań. Znaczącą rolę mają tu obecnie do odegrania szpitale powiatowe, jako centra zdrowia dla populacji powiatu.

Drugi wniosek: trzeba wprowadzić mierniki jakości leczenia, o czym już wspominałem. Kolejny: należy dążyć do finansowania ochrony zdrowia na poziomie europejskim. To już się dzieje, w tym roku przekraczamy założenie „ustawy 6 proc.". Jestem przekonany, że w przyszłym roku będzie podobnie i szybciej osiągniemy poziom średniej europejskiej.

Trzeba rozszerzyć kompetencje pracowników medycznych. Chcielibyśmy, by NFZ finansował np. poradę pielęgniarską. Tworzymy nowe zawody medyczne, takie jak asystent medyczny, sekretarka medyczna, i uwzględniamy te osoby w systemie płac minimalnych w ochronie zdrowia. Toczy się debata na temat zawodu asystenta lekarza i jego roli w systemie.

Z debaty wynika też, że ochrona zdrowia powinna być koordynowana na poziomie województw, by nie tworzyć chaotycznej struktury.

Wnioski z debat będą wdrożone w kolejnej kadencji?

Debata służyła postawieniu pytań, próbie udzielenia na nie odpowiedzi i opracowaniu rekomendacji. Pytania, na które odpowiadali eksperci, zadaliśmy też Polakom w trakcie badań opinii publicznej. Wiemy, na co chcą się zgodzić Polacy, a czego nie zaakceptują.

Czego nie zaakceptują?

Przykładowo współpłacenia za wizytę u lekarza. To rozwiązanie nigdy zresztą nie było projektem prac w ministerstwie.

Dodatkowych ubezpieczeń też Polacy nie akceptują?

Akceptują dobrowolne ubezpieczenia, biorąc pod uwagę, że wiąże się to z ulgami podatkowymi.

Mówił pan o sukcesach, jednak w „leczeniu pacjenta" nie wszystko się udaje. Co można by zrobić lepiej?

Żałuję, że nie udało się uchwalić części ustaw, które mieliśmy w planie, np. ważnej dla środowiska ustawy o zawodzie lekarza i lekarza dentysty czy ustawy o jakości w ochronie zdrowia. Wynikało to przede wszystkim z konieczności przeprowadzenia szerokich konsultacji społecznych. Prace nad tymi ustawami będą kontynuowane.

Mówiąc o sukcesach, nie można nie wspomnieć o programie pilotażowym trombektomii mechanicznej (interwencyjnego leczenia udarów). Sukcesem jest też pilotaż opieki psychiatrycznej, który jest świetnie oceniany przez ekspertów. To radykalna zmiana w psychiatrii. Te zmiany cieszą. Na pewno jednak chciałoby się, żeby było ich więcej, żeby dokonywały się szybciej. Szkoda, że plan naprawy psychiatrii dziecięcej nie jest jeszcze gotowy, aczkolwiek założenia i dokumenty są de facto gotowe. Żałuję też, że nie udało się jeszcze wdrożyć Narodowego Planu dla Chorób Rzadkich. Mam jednak nadzieję, że to się wkrótce stanie.

Pacjentom najbardziej dokuczają kolejki do specjalistów. Jak ocenia pan zmiany w tej kwestii?

Miałem w tej kwestii trochę większy optymizm, praktyka pokazała, że można skrócić kolejki w wybranych obszarach, na których się skupimy. Nie da się tego zrobić od razu w całym systemie, żeby pacjenci czekali na wizytę u specjalisty maksymalnie 21 dni. To fikcja choćby z tego powodu, że brakuje specjalistów. Widać jednak, że jeśli skupimy się na pewnych obszarach, takich jak operacja zaćmy, rezonans, tomografia, to mamy realne efekty. Tutaj już widać skrócenie kolejek. Priorytetem na następną kadencję są zmiany w AOS (ambulatoryjnej opiece specjalistycznej) po to, by kolejki skróciły się do poziomu akceptowalnego przez pacjentów.

Pacjentom doskwiera też brak dostępu do nowoczesnych leków, często ratujących życie.

Ten problem występuje we wszystkich krajach, nowe terapie są drogie. Mamy jednak sukcesy w tym obszarze i pracujemy nad tym, żeby kolejne grupy pacjentów miały dostęp do nowych terapii. W tej kwestii zderzają się dwie tendencje. Z jednej strony mamy choroby powszechnie występujące, stąd odpowiedzialność ministra zdrowia, żeby maksymalną liczbę Polaków utrzymywać w dobrym zdrowiu. Z drugiej są grupy pacjentów, które chciałyby uzyskać dostęp do innowacyjnych terapii, niezwykle drogich. To dylemat etyczno-moralny, staramy się to wypośrodkować. Zaczęliśmy finansować leczenie SMA (rdzeniowego zaniku mięśni), wprowadzamy rozwiązania, żeby opatrunki dla chorych na EB były bezpłatne czy by osoby z chorobą Fabry'ego miały dostęp do leczenia enzymatycznego. Wprowadziliśmy wiele nowych terapii onkologicznych. Wzrasta liczba nowych programów lekowych, a także nowych cząsteczek wprowadzonych do refundacji. Przymierzamy się do refundacji kolejnych leków, np. kardiologicznych, dla których wyniki badań są bardzo obiecujące, można zredukować liczbę hospitalizacji. Cały czas jednak oglądamy każdą złotówkę.

NFZ powinien przestać być płatnikiem, a stać się „ubezpieczycielem", strażnikiem jakości dla pacjentów

Wyzwania na kolejną kadencję to?

Opieka nad osobami niesamodzielnymi, opieka senioralna, lepsza dostępność do specjalisty i racjonalizacja kolejek, kadry medyczne, koordynacja diagnostyki, dalsza informatyzacja i przebudowa systemu, by był on bardziej przyjazny dla pacjentów. Już to robimy m.in. przez wdrożenie elektronicznych rozwiązań. Pacjenci chcieliby móc się zapisywać do lekarza przez Internet. Są jednak tysiące przychodni, które muszą się dostosować do rozwiązań elektronicznych, dlatego ten proces jeszcze trwa.

prof. Łukasz Szumowski – kardiolog, elektrofizjolog, w Instytucie Kardiologii im. Kardynała Stefana Wyszyńskiego kierował m.in. Kliniką Zaburzeń Rytmu Serca; w latach 2016–2018 wiceminister nauki i szkolnictwa wyższego, od 2018 r. minister zdrowia.

eprasa.pl c850b8daf1

Debata oksfordzka „Do Rzeczy”

Długość życia zależy tylko od nowoczesnej medycyny

Narzekamy na smog, nieekologiczną żywność z konserwantami, ruszamy się znacznie mniej niż nasi przodkowie, jemy za dużo i tyjemy, dlatego częściej niż 100 lat temu zapadamy na raka, choroby serca czy cukrzycę. A jednak mimo to… żyjemy coraz dłużej. To paradoks czy sukces nowoczesnej medycyny?

Tradycją „Do Rzeczy o Zdrowiu” stały się debaty oksfordzkie, w których prowokujemy pytaniami. W tym roku podczas Forum Ekonomicznego w Krynicy inspirujemy tezą: „Długość i jakość życia zależy tylko od nowoczesnej medycyny”. Kto ma odwagę powiedzieć, że tak? Zasadą debat oksfordzkich jest to, że ich uczestnicy bronią nie zawsze swoich poglądów. A oto podpowiedzi ekspertów.

POSEŁ KRZYSZTOF OSTROWSKI, przewodniczący Parlamentarnego Zespołu ds. Pacjentów, specjalista chorób wewnętrznych

Połowy zachorowań na nowotwory można uniknąć dzięki stosowaniu się do wskazówek zawartych w Europejskim Kodeksie Walki z Rakiem. Nieprawidłowe odżywianie, brak aktywności fizycznej, stres i presja towarzyszące nam w codziennym życiu są głównymi przyczynami wielu chorób cywilizacyjnych. Najczęściej spotykanym problemem zdrowotnym powstającym na skutek braku ruchu i nieprawidłowej diety jest nadwaga lub otyłość, które od dawna wskazywane są jako czynnik ryzyka wielu chorób, np. układu krążenia. Musimy dostarczać organizmowi odpowiednich składników odżywczych, dbać o jego dotlenienie dzięki aktywności fizycznej. Prewencja jest najprostszym i najlepszym sposobem zapobiegania wielu chorobom, a co za tym idzie – sposóbem na dłuższe życie w zdrowiu. Oczywiście w przypadku rozwinięcia się choroby niezbędne jest leczenie specjalistyczne. Część populacji jest obciążona genetycznie; w ich przypadku nowoczesna medycyna jest jedyną szansą na normalne życie. Jednak większość z nas powinna pamiętać, że o zdrowe życie trzeba dbać. Długość i jakość życia zależą głównie od nas samych.

PROF. DR HAB. MARCIN MONIUSZKO, specjalista chorób wewnętrznych i alergologii, prorektor ds. nauki, Uniwersytet Medyczny w Białymstoku

Medycyna opiera się na trzech głównych filarach: profilaktyce, diagnostyce i leczeniu. To od właściwej profilaktyki, a przede wszystkim od wprowadzenia zasad szeroko pojętego zdrowego stylu życia w dużej mierze zależy długie i zdrowe życie.

Nowoczesne technologie nie zastąpią co prawda silnej woli i motywacji niezbędnej w przypadku podjęcia postanowienia o modyfikacji stylu życia, ale mogą się stać bardzo przydatne w utrzymaniu zdrowego stylu życia. Aplikacje w naszych smartfonach mogą już dziś policzyć spożyte kalorie, wyliczyć liczbę kroków, określić program aktywności fizycznej. Rozwiązania informatyczne i telemedyczne będą jeszcze bardziej udoskonalane i przystosowywane do indywidualnych potrzeb konkretnego pacjenta. Nie tylko dotychczasowego stanu zdrowia, lecz także jego poziomu motywacji – tak by w odpowiedni sposób je wzmacniać, a tym samym zwiększać skuteczność działań profilaktycznych.

Jednakże włączenie nowoczesnych technologii, takich jak badania genomiczne czy radiomiczne, w indywidualnych sytuacjach klinicznych znacząco przyczynią się do precyzyjnej diagnozy, a tym samym wyboru spersonalizowanego leczenia. W skali makro zaś cyfryzacja danych medycznych pochodzących od wszystkich mieszkańców i pacjentów z danego regionu lub kraju pozwoli na jeszcze bardziej szczegółowe określenie czynników odpowiadających za długość i jakość życia.

PROF. KRZYSZTOF J. FILIPIAK, kardiolog, internista, hipertensjolog, farmakolog kliniczny, Warszawski Uniwersytet Medyczny

Dane epidemiologiczne pokazują, że długość życia zależy w co najmniej takim samym stopniu od zmiennych socjoekonomicznych i środowiskowych, koreluje z zamożnością, poziomem wykształcenia,

eprasa.pl c850b8daf1

miejscem urodzenia (kraje o wyższym PKB na głowę), jakością organizacji i wydolnością systemu ochrony zdrowia w danym kraju. Bardzo istotne dla długości życia jest środowisko (zanieczyszczenie powietrza czy smog). Wreszcie – i to jest zjawisko zupełnie nowe – długości życia w zamożnych krajach będzie zagrażać szerzenie się poglądów „antynaukowych" – vide ruchy antyszczepionkowe, antystatynowe, całe kręgi pseudoopiniotwórcze próbujące zastąpić „medycynę na paskach koncernów farmaceutycznych" (jak mawia pewien znany poseł) homeopatią, biorezonansem magnetycznym, ziołolecznictwem, magią, promieniowaniem kosmicznym itp.

Nowoczesna medycyna ma bardzo dużo do zaoferowania w przedłużaniu życia, a jeszcze więcej – w poprawie jego jakości. Chociaż i tu wiele zależy od dostępności konkretnych leków i procedur medycznych (vide refundacja). W kardiologii i hipertensjologii wydłużenie życia i poprawa jego jakości to rozwój zabiegowych metod leczenia wad serca, elektroterapii, wszczepiania kardiowerterów-defibrylatorów, nowe leki o mniejszej liczbie działań niepożądanych.

PROF. WIESŁAW JĘDRZEJCZAK, hematolog, wieloletni konsultant w dziedzinie hematologii, Warszawski Uniwersytet Medyczny

Problem długości i jakości życia należy analizować z dwóch głównych punktów widzenia: społecznego i indywidualnego. Ze społecznego punktu widzenia największe efekty uzyskuje się, wdrażając zasady szeroko rozumianej higieny życia. Stosowanie tych zasad daje także efekty indywidualne, ale nie chroni przed wszelkimi zagrożeniami. Wtedy o długości i jakości życia decydują osiągnięcia nowoczesnej medycyny.

Im lepiej zostaną wdrożone zasady higieny życia, tym mniej ludzi będzie musiało korzystać z nowoczesnej medycyny. A wtedy będzie im można udostępnić nowe technologie na wyższym poziomie. A to jest niezwykle ważne w sytuacji ograniczonych środków.

SZYMON CHROSTOWSKI, fundacja Wygrajmy Zdrowie

Długość życia nie zależy tylko od nowoczesnej medycyny. Owszem, potrafimy okiełznać sporo chorób i epidemii, które jeszcze kilkadziesiąt lat temu dziesiątkowały społeczności, m.in. dzięki nowoczesnej medycynie, w tym szczepieniom. Jednak to dzięki naszym postawom zdrowotno-żywieniowym możemy zapobiec wielu schorzeniom.

Medycyna współczesna najczęściej interweniuje w momentach zagrożenia zdrowia lub życia, kiedy potrzebujemy obniżyć ciśnienie, cholesterol, zapobiec zawałowi, interweniować chirurgicznie w leczeniu guzów nowotworowych. Jednak to tylko interwencje. Długość życia zależy od doprowadzenia organizmu do takiego stanu – cukrzycę „hodujemy", otyłość gromadzimy, na nowotwory pracujemy paczkolatami lub niezbyt dobrym stylem życia. Oczywiście są choroby genozależne, jednak większości schorzeń możemy zapobiegać, zdrowo żyjąc i badając się profilaktycznie.

IRENA REJ, Izba Gospodarcza Farmacja Polska

Długość naszego życia zależy od… tego, czy nie zachorujemy. A więc trzeba tak zorganizować sobie życie, by zminimalizować możliwość choroby. Oczywiście nie mamy wpływu na choroby genetyczne. Na pewno jednak nasze życie będzie krótsze, jeśli będziemy żyć w kraju, gdzie jest smog i pięciokrotnie–sześciokrotnie przekraczane normy zanieczyszczeń powietrza, a w dodatku będziemy źle się odżywiać czy palić papierosy. Gdy zachorujemy, faktycznie nowoczesna medycyna pomoże nam bardziej niż dawne metody.

Nowoczesna medycyna jest o wiele skuteczniejsza niż przed laty, szybciej potrafimy zdiagnozować chorobę niż 10 lat temu. Ważne jest jednak, by trafić do lekarza, który zajmie się nami i zaproponuje odpowiednie leczenie na początku choroby, a nie wtedy, gdy jest ona już mocno rozwinięta. Niestety, u nas wiele terapii jest dostępnych dopiero wtedy, gdy choroba jest mocno rozwinięta.

Długość życia to nasz styl życia, nasze środowisko, nasze kontakty z lekarzami, nasze możliwości leczenia, wydolność naszej służby zdrowia. W to wszystko trzeba inwestować, jeśli chcemy dłużej żyć.

Zapraszamy na debatę oksfordzką tygodnika „Do Rzeczy" z udziałem ministra zdrowia prof. Łukasza Szumowskiego: „Długość życia zależy tylko od nowoczesnej medycyny"

3 września 2019 r., godz. 20, XXIX Forum Ekonomiczne w Krynicy, strefa PMPG Polskie Media SA Business Lounge. Marszałek debaty: Paweł Lisicki, redaktor naczelny tygodnika „Do Rzeczy"

eprasa.pl c850b8daf1

Z dr. n. med. Radosławem Sierpińskim, specjalistą kardiologii, p.o. prezesa Agencji Badań Medycznych
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Dla pacjentów, nauki, gospodarki

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

KATARZYNA PINKOSZ: Jednym z celów powstania Agencji Badań Medycznych ma być to, że w Polsce będzie prowadzonych więcej badań klinicznych: komercyjnych i niekomercyjnych. Co zyskają na tym pacjenci?

DR N. MED. RADOSŁAW SIERPIŃSKI: Na pewno więcej nowych technologii lekowych. Zanim zostaną wdrożone i staną się refundowane, zwykle mija kilka lat. Poza tym część terapii jest zarejestrowana w Stanach Zjednoczonych, natomiast nie jest zarejestrowana w Europie, a więc nie są one dostępne w naszym kraju. Oczywiście polski pacjent może pojechać do USA, zapłacić i mieć dostęp do najnowszych terapii leczenia nowotworów. Jeżeli jednak firma wykona badania kliniczne w Polsce, to może mieć ten sam lek, tylko że za darmo.

Zależy nam też na tym, by było więcej badań niekomercyjnych, niesponsorowanych przez firmy farmaceutyczne. Przykład – operacja glejaka. Standardowo wykonuje się ją przez oczodół; można ją jednak wykonać przez płat ciemieniowy. Z punktu widzenia pacjenta to bardzo istotne, bo operacja przez oko jest niebezpieczna. Żeby jednak wykonać badanie kliniczne sprawdzające, jakie są dalekosiężne skutki takich zabiegów, trzeba zaplanować pewną liczbę takich operacji i porównać je z wykonywanymi standardowo. Może się okazać, że dzięki temu nowemu podejściu jest

eprasa.pl c850b8daf1

30 proc. mniej powikłań. Z punktu widzenia systemu mamy gigantyczne oszczędności, a z punktu widzenia pacjenta znacznie lepszą jakość życia. Efektem jest publikacja w renomowanym piśmie, a być może także zmiana światowych zaleceń. Wszystko to jednak musi być sfinansowane. Będzie to mogła zrobić Agencja Badań Medycznych, oczywiście jeśli projekt zostanie pozytywnie oceniony.

Od przyszłego roku ABM będzie dysponowała ponad 250 mln zł przeznaczonymi na wsparcie niekomercyjnych badań klinicznych. Liczymy, że takich projektów ruszy bardzo dużo.

Są już jakieś pierwsze wnioski na granty?

Na razie nie. Wszystkie działania agencji będą rozstrzygane za pomocą konkursów. Będą podane konkretne wymagania, panel ekspercki oceni projekty i wyłoni najlepsze. Już dziś mamy jednak wiele sygnałów świadczących o ogromnym zainteresowaniu. Jestem przekonany, że już na początku 2020 r. takie projekty się pojawią, a jeszcze w tym roku zostaną ogłoszone konkursy.

Powstanie ABM ma być też szansą dla polskich firm biotechnologicznych, które do tej pory nie miały szans na wdrożenie swoich projektów?

W budżecie ABM będzie pewna pula pieniędzy z dotacji budżetowej, które nie będą przeznaczone na badania niekomercyjne, tylko na rozwój innowacji i nauk medycznych. Do tej pory mieliśmy trudną sytuację, jeżeli chodzi o firmy o charakterze start-upów. Przykład: lekarz operujący od wielu lat stawy biodrowe stworzył sam protezę, uznał, że będzie lepsza niż bardzo droga kupowana z zagranicy, podczas gdy jego produkt kosztowałby znacznie mniej. Nie wiemy, czy to faktycznie przełomowy produkt, trzeba go ocenić. Na pewno tego typu projektami chcielibyśmy się zająć: wspomóc tych wynalazców, te start-upy, którzy tworzą coś nowego, mają ambicję, by stać się globalnym producentem. Zaproponować im pewne ścieżki wdrożenia i finansowania.

Międzynarodowe przykłady pokazują, że z takich projektów tworzą się innowacje. Musimy je wesprzeć, żeby implementować te rozwiązania dla polskich pacjentów. Do tej pory omawiane propozycje były rozwijane do pewnego etapu, a potem pojawiała się amerykańska firma i mówiła: „My od pana tę protezę kupimy". Następnie w USA toczyły się badania i proteza wraca do Polski, ale już nie za 4 tys. zł, tylko za 40 tys. dol. Gdybyśmy mieli finansowanie, to być może byłaby ona produkowana w Polsce znacznie taniej. Mielibyśmy polską protezę, najlepszą na świecie, i sprzedawalibyśmy ją Amerykanom, co też przełożyłoby się na efekt gospodarczy.

Przewidujemy również tworzenie konsorcjów i startowanie w konkursach dotyczących badań klinicznych. Uważam, że będziemy mieli realny postęp nauk medycznych, jeżeli wciągniemy do tego firmy. Ponieważ naukowcy mają niezwykły potencjał naukowy, ale ktoś to musi wdrożyć i produkować, mieć biznesplan. Jeśli od początku stworzymy konsorcjum, w którym będą partnerzy uniwersytecki i biznesowy, to będziemy w stanie wytworzyć konkretny produkt, który firma kupi i będzie produkować.

Kto będzie oceniał wnioski i decydował, który projekt będzie finansowany? Rada agencji?

Nie. Rada agencji jest ciałem opiniodawczym, jeśli chodzi o kierunki rozwoju i priorytety programowe. Co roku na posiedzeniach rady będą podejmowane uchwały dotyczące kierunków rozwoju: czy będzie to kardiologia, okulistyka, geriatria, onkologia. Gdy kierunki zostaną określone, do każdego programu będą rozpisywane konkursy na jego realizację. Będziemy powoływali panel ekspertów – polskich i międzynarodowych – którzy ocenią wnioski zgodnie z zasadami konkursu i ogólnymi kryteriami.

Czy może pan podać przykłady firm, które musiały sprzedać swoje produkty za granicą, a nie byłoby to konieczne, gdyby ABM wcześniej istniała? Jakie firmy już teraz chcą się starać o dotacje?

Jedną z firm, które znam jako kardiolog, jest Medical Algorytmics, która próbowała już 10 lat temu zaistnieć na rynku polskim. Jej innowacją było monitorowanie rytmu serca za pomocą holtera działającego przez 14 dni i transmitującego sygnał na bieżąco. Lekarz w każdym momencie mógł widzieć, co się dzieje z pacjentem. Niektórzy pacjenci mają arytmię napadową, co trzy dni, a w przypadku wykonania badania 24-godzinnego może się wydawać, że są zdrowi. Firma próbowała przebić się z tymi produktami na polskim rynku. One są bardziej efektywne kosztowo niż holter – szybciej następuje diagnoza, chroni się pacjentów przed udarem. Natomiast bezpośredni koszt tego urządzenia był wyższy, a nikt nie brał wtedy pod uwagę kosztów pośrednich. Firma nie miała możliwości zaprezentowania badania, w którym porównano efektywność holtera z jej innowacyjnym produktem. Stwierdziła, że nie jest w stanie funkcjonować w Polsce, przeniosła się na rynek amerykański, gdzie ubezpieczyciele biorą pod uwagę koszty pośrednie. Obecnie ma ona 40 proc. rynku i miliardowe zyski. Ubezpieczyciele zauważyli, że lepiej jest założyć ten holter raz, uchronić przed udarem i nie płacić potem przez 20 lat renty. Ten produkt wymsknął się nam z rąk. To typowy polski produkt. Obecnie w USA są cztery produkty, które go naśladują, jednak to polski produkt był innowacyjny. Tylko że dziś jest on dostępny w refundacji w USA, Arabii Saudyjskiej, Singapurze, ale nie w Polsce.

Spójrzmy na to też od drugiej strony. Firma zatrudnia kilkaset osób – niestety nie w Polsce, tylko w Stanach Zjednoczonych. Gdyby ta firma dostała finansowanie wtedy w Polsce, to prawdopodobnie dziś inwestowałaby na uczelniach, tworzyła kolejne projekty. Takich firm jest więcej, tylko często od razu myślą one o rynku amerykańskim. Musimy mieć możliwość wsparcia tego typu innowacji w kraju.

Szkoda takich perełek.

Szkoda. Jest plan, aby Agencja Badań Medycznych to zmieniła. Dostrzegam ogromne zainteresowanie współpracą z nami ze strony firm farmaceutycznych.

Firmy farmaceutyczne są zainteresowane współpracą z ABM?

Niezwykle. Po tych spotkaniach widzę, że zmierzamy w tym samym kierunku. Zastanawiamy się, jak tę współpracę krystalizować, aby wynikło z niej coś wartościowego i dla systemu ochrony zdrowia, i dla biznesu.

Jak za 5–10 lat będzie wyglądać Agencja Badań Medycznych?

Za pięć lat chciałbym, aby co najmniej 10 proc. badań klinicznych to były badania niekomercyjne, ponieważ dzięki temu damy dostęp pacjentom do najnowszych technologii. Chciałbym, żebyśmy stworzyli markę ABM jako miejsca współpracy międzynarodowej ze Stanami Zjednoczonymi, z państwami Europy Zachodniej czy Izraelem. Mam nadzieję, ze rządzący za pięć lat będą wciąż dostrzegali ważność biotechnologii i innowacji, które z niej wynikają. Natomiast za 10 lat chciałbym, aby agencja była instytucją dochodową dla budżetu państwa i przynosiła znacznie większe zyski niż dotacje budżetowe, które teraz są na nią przeznaczane.

eprasa.pl c850b8daf1

Stawiamy na medycynę stylu życia

Z ministrem Jarosławem Pinkasem, głównym inspektorem sanitarnym

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Ostatni raport GIS dotyczył nowych narkotyków, popularnie zwanych „dopalaczami". W 2018 r. z powodu ich zażywania zmarły w Polsce 162 osoby. Radzimy sobie z tym problemem?

JAROSŁAW PINKAS: Nawet jeden przypadek zgonu to o jeden za dużo. Inspekcja sanitarna jest główną instytucją zdrowia publicznego, naszym zadaniem jest edukacja zdrowotna związana ze zdrowiem publicznym. Jesteśmy po to, by w Polsce nie było dostępu do nowych narkotyków i żeby nie było potrzeby sięgania po nie. Żeby rozwiązywać problemy, trzeba najpierw zdiagnozować, dlaczego się pojawiają. Pierwsze pytania są więc następujące: „Po co sięga się po nowe narkotyki?" i „Kto za tym stoi?".

Właśnie: Po co?

Ludzie sięgają po nowe narkotyki z trzech powodów: z ciekawości, braku pomysłu na życie, z powodu ucieczki od czegoś. Nie sięgnie po nowe narkotyki osoba, która ma szerokie zainteresowania, uprawia sport, dobrze się odżywia, znakomicie porusza się w grupie rówieśniczej, cieszy życiem.

Sukcesem jest to, że nie ma już ich w sprzedaży stacjonarnej. Niestety, można je kupić w Internecie, a stamtąd trudno je wyeliminować. Trzeba więc zrobić wszystko, aby nie było zainteresowania tymi produktami.

Z raportu wynika, że najczęściej po nowe narkotyki sięga nie tyle młodzież, ile 30-latkowie. Jakie są tego przyczyny?

To kwestia tzw. wyścigu szczurów, zwiększania wydajności zawodowej, ucieczki od problemów. Bardzo trudno dotrzeć do tej grupy, gdyż to osoby znakomicie poruszające się w Internecie, mające pieniądze i tzw. licencję na mądrość. Jednak im więcej prowadzimy różnych akcji, współpracujemy z Centralnym Biurem Śledczym, policją, tym większe przynosi to efekty. My mamy się starać ograniczać popyt, oni – podaż.

Nowe regulacje prawne spowodowały, że skuteczniej ścigamy tych, którzy wprowadzają na rynek nowe narkotyki. Oczywiście ci, którzy produkują, są od nas zawsze dwa kroki do przodu. Na rynku pojawiają się nowe substancje, musimy dopiero rozpoznać, jakie szkody one powodują.

Z nowymi narkotykami wiąże się kolejna rzecz: kampania edukacyjna dotycząca e-papierosów. W kartridżach może znajdować się wiele niebezpiecznych substancji, również nowe narkotyki, np. syntetyczne pochodne marihuany, katynony… Dziesiątki różnych substancji wprowadza się do organizmu za pomocą wapowania. Pomysłowość producentów jest nieograniczona.

W e-papierosach mogą znajdować się tzw. dopalacze?

Cały czas badamy substancje, które znajdują się w kartridżach. To duży problem, bo jeden kartridż jest bardzo tani, można zrobić jedno wapowanie za 30 gr. A co jest w środku? Trudno powiedzieć.

Druga sprawa to kwestia samych e-papierosów. Pięćdziesiąt lat temu nawet lekarze reklamowali papierosy, gdyż uważali, że nie są szkodliwe. Teraz też wiele osób sądzi, że e-papieros jest bezpieczny i to antidotum na nikotynizm. Nie zgadzam się z tym. E-papierosy niszczą układ oddechowy, powodują alergie, przewlekłe stany zapalne. Osoby mówiące, że e-papierosy są bezpieczne, zwykle są związane z producentami. Niedawno przeprowadzaliśmy wspólnie z Ministerstwem Edukacji Narodowej akcję, korzystając z elektronicznego dzienniczka. Opisywaliśmy zagrożenia płynące z korzystania z e-papierosów. Być może to jest mniejsze zło niż papierosy, jednak uważam, że powinniśmy walczyć z nałogiem, a nie stosować środki zastępcze.

Głównym problemem jest jednak to, że wciąż wielu Polaków pali papierosy. Jak to zmienić?

Obecnie pali 24 proc. Polaków, ponad 20 lat temu było to 52 proc., więc zrobiliśmy krok do przodu. Duży w tym udział inspekcji sanitarnej i fundacji, które z nami współpracowały. Mamy wyzwania, takie jak „Polska wolna od tytoniu 2030", a kraj wolny od tytoniu to taki, w którym pali poniżej 5–10 proc. społeczeństwa. Jako instytucja edukacyjna chcemy pokazywać, jak papierosy są szkodliwe, ale także umiejętnie wspierać osoby próbujące rzucić palenie. Obecnie brakuje poradni zajmujących się profilaktyką antytytoniową, trzeba też zaktywizować lekarzy rodzinnych do interwencji tytoniowej.

Polacy umierają wcześniej niż mieszkańcy Europy Zachodniej, głównym powodem są styl życia i późna diagnostyka. Czy działania edukacyjne GIS to zmienią?

eprasa.pl c850b8daf1

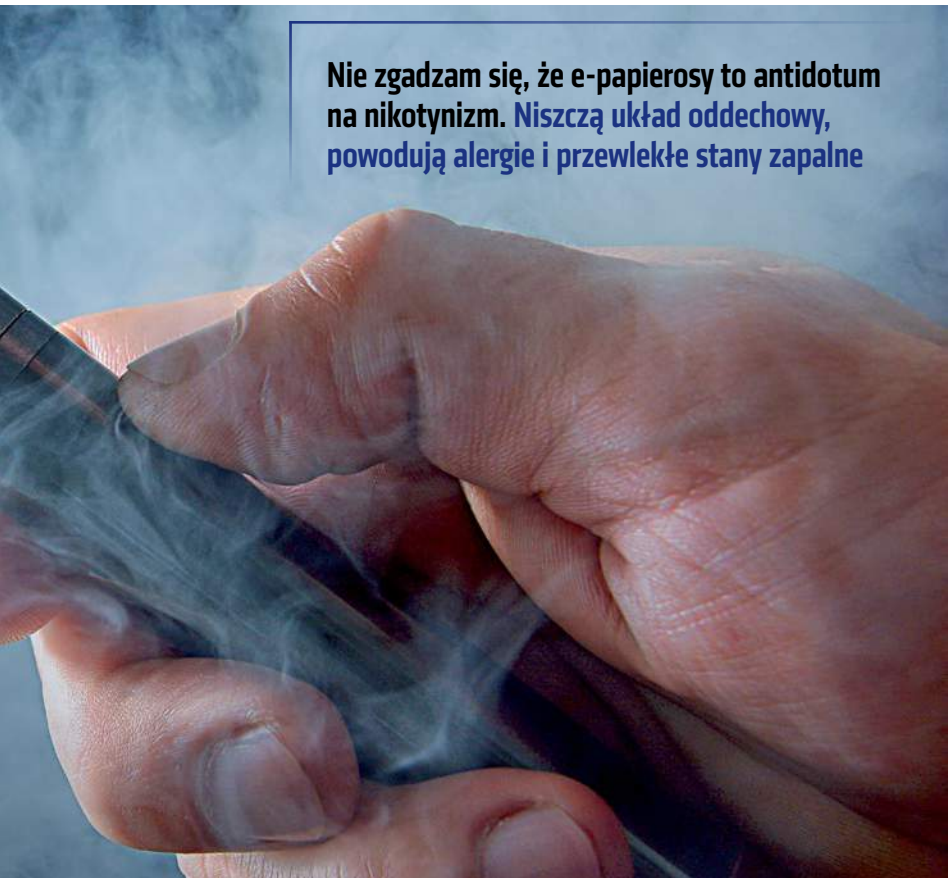

Nie zgadzam się, że e-papierosy to antidotum na nikotynizm. Niszczą układ oddechowy, powodują alergie i przewlekłe stany zapalne

FOT. ADOBE STOCK

Na 80 proc. chorób pracujemy sami. Staramy się propagować medycynę stylu życia – co jeść, jak się ruszać. Coraz więcej mówimy na temat wyborów zdrowotnych, kierując przekaz w szczególności do ludzi młodych. Działamy za pośrednictwem forów społecznościowych: Facebooka, Twittera, staramy się być aktywni i interaktywni. Budujemy w ten sposób wizerunek i wiarygodność.

Niedawno pojawiła się informacja, że Rumunia, jako kolejny kraj, wprowadza podatek cukrowy. Pan był w Polsce jednym z autorów tego pomysłu. Dlaczego jeszcze nie udało nam się tego wprowadzić?

Jestem przekonany, że w najbliższym czasie przekonamy parlament do wprowadzenia tego typu rozwiązań. Chciałbym, aby ten podatek nie był traktowany jako fiskalizacja państwa, nie był argumentem politycznym i został przyjęty jednogłośnie. Tutaj nie powinno być dyskusji politycznych, bo o zdrowiu nie powinni dyskutować politycy, tylko politycy zdrowotni. Będzie to dla mnie istotny test – czy ktoś powie, że „fiskalizujemy Polskę, a przecież mieliśmy ograniczać podatki". W tej chwili budujemy grunt, żeby było oczekiwanie społeczne na tego typu rozwiązania. Wspiera nas w tym NFZ.

Podatek od cukru oznacza, że woda będzie wreszcie dużo tańsza od słodkich napojów?

Mam nadzieję. Spożycie słodkich napojów jest dużym problemem. Podobnie dziś atrakcją dla młodzieży jest wyjście do sieciowej restauracji. Chciałbym wygenerować atrakcyjność zdrowego żywienia, jednak tu są najważniejsze działania przy rodzinnym stole. Albo może stworzenie polskiej sieci zdrowych restauracji.

Dużym problemem jest utrudniony dostęp do rzetelnej wiedzy. Wiele osób słucha tzw. celebrytów, uważa, że to, co mówią, jest słuszne. Tymczasem często są to rzeczy niesprawdzone. Wiedza, która pojawia się na FB, TT, stronie internetowej GIS, jest oparta na dowodach naukowych. Zaczynamy być postrzegani jako przekazujący rzetelną wiedzę.

Problemem jest wciąż duża grupa rodziców odmawiających zaszczepienia dzieci. Jak ocenia pan skuteczność działań zachęcających do szczepień?

Kilka miesięcy temu przeprowadziliśmy badania, które pokazały, że następuje wzrost zaufania do szczepień. To zasługa m.in. naszej działalności. Wiem, że budzę nawet kontrowersje z powodu pewnej ortodoksyjności. Staram się nie rozmawiać z liderami ruchu antyszczepionkowego, aby ich nie legitymizować. Wiele osób zarzuca mi, że ta polityka jest błędna. Jednak wydaje mi się, że należy robić swoje, pokazywać dobre strony szczepień i nie dyskutować z osobami, które nie mają wiedzy do prowadzenia racjonalnej dyskusji. Trzeba przekonywać tych, którzy błądzą albo nie potrafią dokonać dobrego wyboru.

Chcemy pokazać, że mamy argumenty, za którymi stoją autorytety ludzi, którzy się kształcili – lekarzy, pielęgniarek. Nadal są zachorowania na odrę, istnieje ryzyko powrotu polio. Trzeba używać argumentów merytorycznych: te choroby są, a szczepionki to największe dobrodziejstwo ludzkości. Naszym celem jest przede wszystkim dotarcie do niezdecydowanych rodziców. Ci najbardziej zatwardziali, szafujący też innymi absurdalnymi tematami, takimi jak depopulacja czy chemtrails, są już chyba nie do przekonania. Chcemy dawać poczucie bezpieczeństwa związane ze szczepieniami, pokazywać, że liczba niepożądanych odczynów poszczepiennych (NOP) jest minimalna. Staramy się kupować najlepsze, najbardziej bezpieczne szczepionki, a także wygenerować oczekiwanie, żeby program szczepień był szerszy. To społeczeństwo powinno domagać się szczepień przeciw HPV (bo m.in. dzięki nim udało się niemal zlikwidować w Australii zachorowania na raka szyjki macicy), przeciw rotawirusom.

Kalendarz szczepień obowiązkowych, bezpłatnych, będzie rozszerzany?

Takie mamy założenia, są też jednoznaczne rekomendacje Rady Sanitarno-Epidemiologicznej. Jesteśmy wyposażeni w ciała doradcze, eksperckie, analizujemy, co się dzieje na świecie.

A co z funduszem odszkodowawczym z tytułu NOP?

Uważam, że ten projekt powinien być przepracowany. Stworzenie dobrego, uczciwego projektu spowoduje wzrost zaufania do szczepień. Może się zdarzyć NOP, w takich przypadkach ludzie nie powinni być pozostawieni sami sobie. Natomiast liczba NOP w Polsce jest naprawdę niewielka.

Jarosław Pinkas *– główny inspektor sanitarny, specjalista chirurgii ogólnej, medycyny rodzinnej i zdrowia publicznego; w latach 2005–2007 i 2015–2017 wiceminister zdrowia.*

eprasa.pl c850b8daf1

Z wiceminister zdrowia Józefą Szczurek-Żelazko
rozmawia Katarzyna Pinkosz

***Józefa Szczurek-Żelazko** jest sekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia, posłanką; wcześniej pracowała jako pielęgniarka, była też dyrektorem wydziału zdrowia i polityki społecznej w starostwie powiatu nowosądeckiego, dyrektorem szpitala.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Zmiany muszą być ewolucyjne

KATARZYNA PINKOSZ: W jednym z wywiadów napisano, że jest pani „kobietą do zadań specjalnych". Jakie są zadania specjalne, nad którymi pani pracuje?

JÓZEFA SZCZUREK-ŻELAZKO: Nie wiem, dlaczego tak mnie określono, na każdym stanowisku pracuję z dużym zaangażowaniem, a wiceministrem zdrowia jestem już trzeci rok. W tym czasie toczyły się i nadal toczą intensywne prace nad wieloma ważnymi projektami. Od 2017 r. powierzono mi obszar pielęgniarstwa, w którym była bardzo trudna sytuacja: strajki, niskie wynagrodzenia, złe warunki pracy. Pielęgniarki odchodziły z zawodu, wiele z nich wyjeżdżało za granicę. Drugim obszarem, którym od początku się zajmuję, jest dialog społeczny. Wspólnie ze stroną społeczną wypracowaliśmy rozwiązania dotyczące np. ustawy, która w kompleksowy sposób reguluje wynagrodzenia pracowników ochrony zdrowia. W ubiegłym roku rozszerzyliśmy zapisy tej ustawy (objęła ona wszystkich pracowników biorących udział w udzielaniu świadczeń zdrowotnych), a w tym zwiększyliśmy kwotę bazową, od której naliczane są wynagrodzenia, z 3,9 tys. do 4,2 tys. zł. Przy przygotowywaniu tej ustawy musieliśmy uwzględnić wiele rozbieżnych oczekiwań oraz możliwości systemu. Myślę, że nam się to udało. Zaproponowaliśmy rozwiązania, które są z jednej strony akceptowalne społecznie, a z drugiej możliwe do zrealizowania.

Niezwykle istotną kwestią były również prace nad przygotowaniem nowelizacji ustawy o Państwowym Ratownictwie Medycznym, która wprowadziła upublicznienie systemu. To ważna ustawa, ponieważ jest gwarantem, że w stanach zagrożenia życia każdemu obywatelowi zostanie udzielona pomoc dobrej jakości i w odpowiednim czasie. Pracowałam także nad standardami opieki okołoporodowej, ustawą o opiece zdrowotnej nad uczniami, współpracowałam z MRPiPS przy tworzeniu ustawy „Za życiem". W moich kompetencjach były projekty związane z kształceniem w zawodach medycznych. Kluczową kwestią było również podpisane w lutym 2018 r. porozumienie ze strajkującymi rezydentami.

Obecny rząd docenia znaczenie dialogu społecznego przy podejmowaniu ważnych dla państwa i obywateli decyzji. Z ramienia ministerstwa uczestniczę

eprasa.pl c850b8daf1

w tych pracach. Jestem członkiem Komisji Wspólnej Rządu i Samorządu Terytorialnego, trójstronnego zespołu ds. ochrony zdrowia przy Radzie Dialogu Społecznego, biorę udział w spotkaniach z organizacjami pacjenckimi. Ta współpraca, w mojej ocenie, układa się dobrze.

Gdyby miała pani wymienić jeden sukces, z którego jest pani najbardziej zadowolona, byłoby to...

Trudno dokonać wyboru, bo takich projektów było wiele. Cieszę się, że udało się zrobić wiele na rzecz dzieci, młodzieży i rodziny. Mam na myśli realizację ustawy „Za życiem", standardy opieki okołoporodowej, które pokazują rodzącej kobiecie, jakie ma prawa, a jakie obowiązki względem niej ma placówka ochrony zdrowia. Bardzo ważna jest dla mnie ustawa o opiece zdrowotnej nad uczniami, która kompleksowo reguluje i wzmacnia m.in. opiekę stomatologiczną nad dziećmi. Z zawodu jestem pielęgniarką, to środowisko jest mi bardzo bliskie. Cieszę się, że udało nam się we współpracy z Naczelną Radą Pielęgniarek i Położnych oraz Ogólnopolskim Związkiem Zawodowym Pielęgniarek i Położnych podjąć konkretne działania, które mają na celu poprawę sytuacji w pielęgniarstwie. W moim odczuciu zmiany, które zaszły w ciągu ostatnich czterech lat w pielęgniarstwie, to zmiany historyczne, na które środowisko czekało od lat. Dzięki nim nie tylko zatrzymaliśmy emigrację zarobkową, lecz także więcej pielęgniarek trafia do systemu, niż w danym roku kończy szkołę. Oznacza to, że osoby, które dawniej uzyskały dyplomy, wracają teraz do zawodu – na tym nam zależało.

A przedstawiciele innych zawodów medycznych? Protestują ratownicy medyczni, fizjoterapeuci, brakuje w Polsce lekarzy. Jak ograniczyć ich emigrację?

Staramy się podchodzić do sprawy kompleksowo i uregulować zasady funkcjonowania tych zawodów. Obecnie trwa przygotowanie tzw. dużej nowelizacji ustawy o zawodach lekarza i lekarza dentysty, a nad jej założeniami pracował m.in. zespół rezydentów. Jest już złożony do kancelarii premiera wniosek o wpisanie do wykazu prac rządu ustawy o zawodzie ratownika medycznego i o samorządzie zawodowym ratowników medycznych. Powstaje też ustawa regulująca funkcjonowanie innych zawodów medycznych. Uatrakcyjniamy wynagrodzenie, staramy się wspierać przedstawicieli zawodów medycznych w zdobywaniu nowych kompetencji, specjalizacji, chcielibyśmy środki unijne wykorzystać na kształcenie podyplomowe i wspieranie pracowników ochrony zdrowia. Zwiększyliśmy o ponad 2 tys. liczbę miejsc na wydziałach lekarskich, sukcesywnie zwiększamy nabory, powstają też nowe uczelnie, na których uruchamia się wydziały kształcące lekarzy. Udało się nam zahamować emigrację zarobkową również w tej grupie zawodowej.

Czy planowane są ułatwienia dla lekarzy i pielęgniarek spoza UE, by zachęcić ich do pracy w Polsce?

W planowanej ustawie o zawodzie lekarza zaprojektowane są uregulowania ułatwiające pracę w Polsce lekarzy spoza UE. Wzorujemy się na uregulowaniach stosowanych m.in. w Niemczech, gdzie wydaje się np. ograniczone prawo wykonywania zawodu dopuszczające podejmowanie pracy w danym podmiocie leczniczym. Dajemy taką szansę, natomiast chcielibyśmy przede wszystkim stwarzać dobre warunki kształcenia i wynagrodzenia za pracę naszym pracownikom ochrony zdrowia i zachęcamy, by pozostawali w kraju. To oni powinni być podstawą systemu ochrony zdrowia w Polsce.

Z punktu widzenia pani doświadczeń zawodowych – pielęgniarki, a potem dyrektor szpitala – uważa pani, że reforma systemu ochrony zdrowia w Polsce idzie w dobrym kierunku? Nadal są ogromne problemy z dostępnością lekarzy, leczenia...

Dowodem na to, że idziemy w dobrym kierunku, jest ustawowe zagwarantowanie wzrostu nakładów na ochronę zdrowia. Do tej pory mówiliśmy, że wydajemy za mało, nie było jednak konkretnych działań naprawczych. Po raz pierwszy uchwalono ustawę, która pokazuje „mapę drogową" dojścia do 6 proc. PKB na zdrowie w 2024 r. A wiemy, że może to być nawet więcej niż 6 proc., podczas gdy niedawno wydawaliśmy tylko 4,3 proc. Ministerstwo Zdrowia podjęło działania i zainwestowało w zwiększenie poziomu wynagrodzeń pracowników systemu ochrony zdrowia. Gdybyśmy tego nie zrobili, mielibyśmy dzisiaj dwa razy większy problem z brakiem kadr, niż jest to obecnie. Nadal szkolilibyśmy pracowników dla państw UE. Bez podstawowego kapitału, jakim jest kapitał ludzki, nie da się funkcjonować.

Służba zdrowia jest bardzo wrażliwym obszarem, nie można wprowadzać rewolucji z dnia na dzień. Zmiany muszą przebiegać ewolucyjnie. Myślę, że jakość świadczeń już się poprawiła. Mamy dostęp do wielu nowoczesnych procedur, technologii medycznych, terapii lekowych. Poprawia się diagnostyka, jest bezlimitowy dostęp do tomografii komputerowej, rezonansu magnetycznego. Warto przypomnieć, że za czasów poprzedniego rządu kolejka do operacji zaćmy wynosiła blisko pół miliona osób, a my skróciliśmy ją już teraz o połowę. Skraca się czas oczekiwania na wszczepienie endoprotez, również w niektórych poradniach specjalistycznych jest lepiej. To świadczy o tym, że przyjęta strategia przynosi efekty.

Nawet za 80 proc. chorób odpowiadamy sami. Będą lekcje zdrowia w szkole, jak postuluje rzecznik praw pacjentów?

Ministerstwo Zdrowia prowadzi działania, które mają na celu edukację zdrowotną dzieci i młodzieży. Podjęta przez nas inicjatywa wprowadzenia w szkołach nowego przedmiotu – wiedza o zdrowiu – zyskała poparcie w ramach Ogólnopolskiej Debaty o Zdrowiu „Wspólnie dla zdrowia". Lekcje te znalazły się wśród końcowych rekomendacji debaty. Obecnie trwają prace w tym zakresie. Dlatego cieszymy się, że rzecznik praw pacjenta wyraził gotowość wsparcia naszej inicjatywy.

A jak pani udaje się wdrażać zdrowy styl życia w swoim życiu?

Staram się aktywnie spędzać czas. Godzina, którą przeznaczam na aktywność fizyczną, powoduje, że później łatwiej przychodzi mi zmierzenie się z różnymi zadaniami. Inwestycja w siebie to nie jest czas stracony.

Każdy z nas jest w stanie wygospodarować godzinę dziennie dla siebie, potrzebujemy takiego „zresetowania się". W samochodzie zawsze mam kijki, buty sportowe i gdy tylko mam czas, maszeruję. Pochodzę z okolic Nowego Sącza, w górach się wychowałam, można powiedzieć, że „urodziłam się z nartami", więc aktywność fizyczna jest wpisana w moje życie.

Jeśli zaś chodzi o dietę, to trzymam się zasady złotego środka. Oprócz tego dla zdrowia ważne są zdrowe relacje – rodzina daje nam oddech i dystans do wszystkiego.

eprasa.pl c850b8daf1

Z Waldemarem Kraską, wiceministrem zdrowia i pełnomocnikiem rządu ds. ratownictwa medycznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Ratownictwo czeka wiele zmian

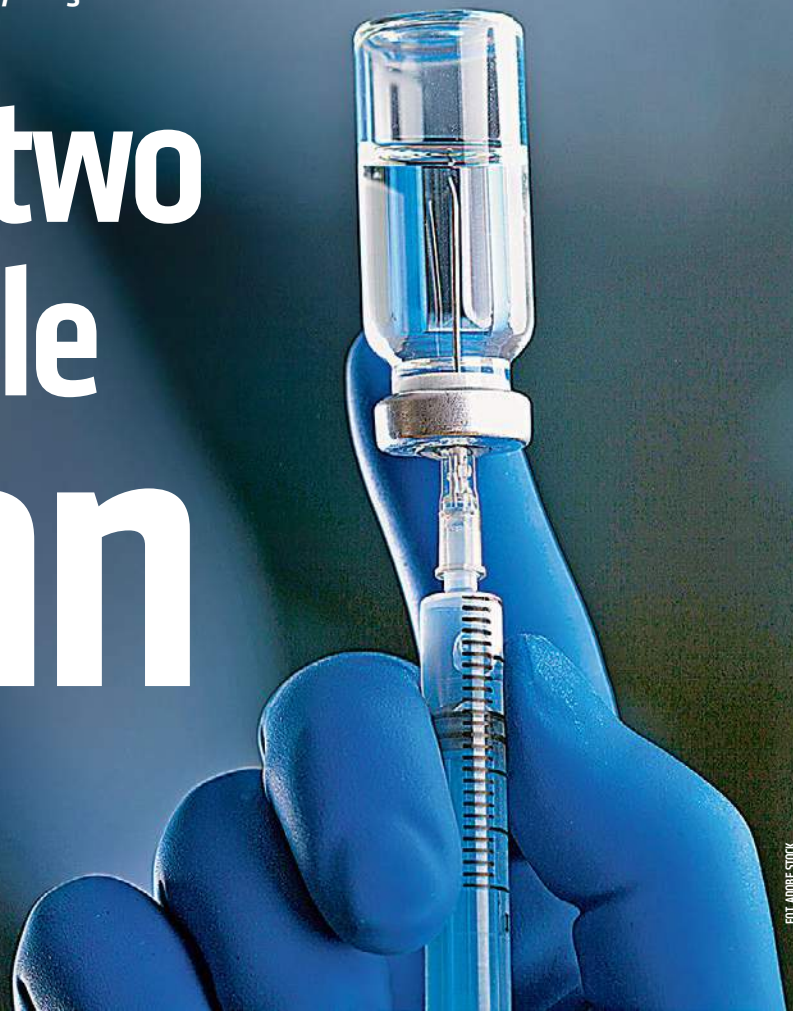

FOT. ADOBE STOCK

KATARZYNA PINKOSZ: Niedawno został pan powołany na stanowisko pełnomocnika rządu ds. Państwowego Ratownictwa Medycznego. Jak ocenia pan funkcjonowanie SOR-ów?

WALDEMAR KRASKA: SOR-y są elementem ratownictwa medycznego. Trafiają tam pacjenci dowożeni przez pogotowie, a także ci, którzy sami się zgłaszają. Tych drugich jest więcej, choć większość z nich nie jest w stanie zagrożenia życia ani nie uległa wypadkowi, więc nie powinna tam trafić.

Często pacjent idzie do szpitala, bo nie wie, gdzie może uzyskać pomoc.

Chcemy to zmienić i przeprowadzić działania informacyjno-edukacyjne, poprzez które będziemy chcieli uświadomić pacjentom, że nie muszą wykręcać numeru 999 czy 112 i wzywać karetki, nie będąc w stanie zagrożenia życia. W większości przypadków pacjent powinien trafić do lekarza Podstawowej Opieki Zdrowotnej lub Nocnej Pomocy Lekarskiej. Pacjenci kierują się jednak na SOR i pojawia się obopólne niezadowolenie: pacjenci są zdenerwowani tym, że muszą długo czekać na kontakt z lekarzem, a lekarze medycyny ratunkowej – którzy powinni zajmować się osobami, których życie i zdrowie jest poważnie zagrożone, bo temu dedykowana jest ich specjalizacja – tym, że zajmują się osobami, które nie wymagają niezwłocznych działań ratowniczych.

Pierwszym problemem jest niewiedza pacjentów, ale drugim – niedofinansowanie i brak kadr. Jak to zmienić?

W czasie trwania naszej kadencji finansowanie SOR-ów wzrosło o 53 proc. To krok w dobrą stronę, tym bardziej że od 1 lipca kwota bazowa dla SOR-ów wzrosła o kolejne 15 proc. Jednak wzrost finansowania jest ważny, podobnie jak docenienie (także finansowe) ratowników medycznych. Zawsze powtarzam, że możemy wybrać lekarza rodzinnego czy szpital, jeśli jednak zdarzy się wypadek, zawał, to nie wybierzemy karetki, która do nas przyjedzie. Od tego, kto przyjedzie, jak jest wyszkolony, jakim dysponuje sprzętem, zależy nasze zdrowie i życie.

Na czym ma polegać wprowadzony przez Ministerstwo Zdrowia program TOPSOR?

Wprowadzenie tego rozwiązania jest tylko jednym z elementów poprawy funkcjonowania systemu. Pacjent, który trafi na oddział ratunkowy, zostanie poddany wstępnej ocenie medycznej, zwanej segregacją medyczną. Wyszkolony personel medyczny (ratownik medyczny lub pielęgniarka systemu) zrobi wywiad i oceni, czy powinien on być przyjęty na SOR, a pomoc musi być udzielona natychmiast, czy może poczekać albo udać się do lekarza POZ lub Nocnej Pomocy Lekarskiej. Chcemy, żeby SOR-y

eprasa.pl c850b8daf1

uzyskiwały dodatkowe finansowanie za sprawne zajęcie się pacjentem.

Czasem nawet lekarzowi trudno ocenić, czy choroba nie będzie miała gwałtownego przebiegu, szczególnie u dzieci, w przypadku których jej postęp bywa błyskawiczny. Ratownik medyczny będzie w stanie ocenić, czy np. dziecko ma trafić do NPL czy na SOR?

Ratownik medyczny i pielęgniarka SOR to osoby wykwalifikowane w zakresie diagnostyki stanów nagłego zagrożenia zdrowotnego. Pracują przecież samodzielnie, bez wsparcia lekarzy, w podstawowych zespołach ratownictwa medycznego już od 2007 r.

Co ważne, od połowy przyszłego roku w lokalizacji wszystkich SOR-ów będą zorganizowane punkty Nocnej Pomocy Lekarskiej. Już teraz wiele SOR-ów działa w modelu zintegrowanym z NPL. Tak więc pacjent po wstępnej ocenie przekierowany z SOR do NPL wciąż będzie pozostawał pod opieką tego samego szpitala.

W czasie pobytu na SOR-ze triażysta (osoba dokonująca wstępnej oceny medycznej) będzie czuwał nad pacjentami oczekującymi na przyjęcie przez lekarza, monitorując ich stan zdrowia. Musimy zapobiegać takim przypadkom, gdy stan zdrowia pacjenta pogarsza się podczas pobytu na SOR-ze i nikt tego nie zauważa.

Zdarza się, że lekarz dyżuruje nie tylko na SOR-ze, lecz także na oddziale szpitalnym. Co wtedy?

Nie powinno tak być. Lekarz nie powinien być jednocześnie w kilku miejscach, bo to może mieć fatalne skutki dla pacjentów. SOR powinien posiadać stałą obsadę lekarską, a liczba lekarzy powinna być dostosowana do liczby zgłaszających się pacjentów. Zdarza się, że pacjent potrzebuje konsultacji specjalisty, który nie jest na stałe obecny w SOR-ze – np. okulisty, neurologa, chirurga. W takiej sytuacji lekarz specjalista jest wzywany do SOR-u z oddziału. Jest to normalna i dopuszczalna praktyka.

Są jednak bardzo dobrze funkcjonujące SOR-y, gdzie triaż funkcjonuje od lat. Dlaczego niektórym to się udaje, a innym nie?

Takich oddziałów jest wiele. Dużo tu zależy od sposobu zarządzania SOR-em i całym szpitalem. Ministerstwo Zdrowia dokłada starań, aby ratownictwo medyczne dysponowało najlepszym dostępnym na rynku wyposażeniem. Już od 2007 r. w ramach środków unijnych finansowane są inwestycje w oddziały zajmujące się przypadkami nagłymi, centra urazowe, lądowiska i ratownictwo pozaszpitalne. Stworzono zawód ratownika medycznego, szkolą się pielęgniarki i lekarze, też korzystając z funduszy UE. NFZ podnosi wycenę świadczeń. Warunki do leczenia pacjentów w najcięższym stanie są więc stworzone. Trzeba je tylko umiejętnie wykorzystać.

Pojawienie się funkcji pełnomocnika ds. ratownictwa medycznego to sygnał, że będzie realna pomoc dla tej grupy zawodowej?

Miałem niedawno spotkanie z konsultantami wojewódzkimi ds. medycyny ratunkowej. Oni też byli zbudowani tym, że rząd dostrzegł ten element ochrony zdrowia, przez wiele lat zapomniany. Cieszę się, że premier Mateusz Morawiecki zauważył ten problem, a urząd pełnomocnika został powołany. Osoby pracujące w ratownictwie medycznym powinny być dobrze wykształcone, ale też dobrze wynagradzane, bo ich praca jest niezwykle odpowiedzialna i stresująca. Ci, którzy trafiają do systemu, to często pasjonaci, którzy chcą się szkolić, pomagać, ale też godnie zarabiać. Jako pełnomocnik rządu będą się starał podejmować w tym zakresie stosowne działania.

Możemy wybrać lekarza rodzinnego czy szpital, jeśli jednak zdarzy się wypadek, zawał, to nie wybierzemy karetki, która do nas przyjedzie. Od tego, kto przyjedzie i jakim dysponuje sprzętem, zależy nasze zdrowie i życie

Pacjenci przychodzą na SOR-y często dlatego, że wiedzą, iż tam dostaną pomoc. Wzywają pogotowie, bo nie ma szans, by przyszedł do nich lekarz POZ, a nie są w stanie sami do niego dojechać.

Takie sytuacje rzeczywiście się zdarzają. Jednak powinniśmy mieć na uwadze to, że nie jest zasadne wezwanie pogotowia do przypadłości, w których może pomóc lekarz rodzinny czy NPL. W sytuacji, gdy zespół ratownictwa medycznego przyjedzie do pacjenta, który nie wymaga opieki specjalistycznej, gdzieś w innym miejscu ktoś może nie otrzymać pomocy na czas, bo ambulans nie zdąży.

A jakie są pana osobiste doświadczenia, jeśli chodzi o ratownictwo medyczne? Przez wiele lat pracował pan w pogotowiu, nawet już będąc senatorem...

Jestem chirurgiem, kończę specjalizację z medycyny ratunkowej. Prawie 30 lat jeździłem również w pogotowiu. Często miałem poczucie, że moje umiejętności nie są w pełni wykorzystywane, gdy przyjeżdżałem w karetce do pacjenta z dolegliwościami, które nie kwalifikują się do wezwania pogotowia. Po pierwsze, koszty przyjazdu karetki są duże, po drugie – w tym czasie mogłem udzielać pomocy komuś, kto bardziej jej potrzebował. Problemy ratownictwa widziałem jako lekarz praktyk. Teraz jako pełnomocnik ds. ratownictwa medycznego będę chciał wykorzystać swoje doświadczenie i przełożyć je na odpowiednie działania.

Jak by pan chciał, żeby ten system funkcjonował docelowo, np. za pięć lat?

Chciałbym, żeby system PRM się dalej rozwijał. Postęp w medycynie i technologiach informatycznych daje wiele możliwości szybkiej pomocy osobie w stanie nagłym, czasami już na miejscu zdarzenia, kontynuowania jej w drodze do szpitala i na SOR-ze. Dzięki telemedycynie możliwe jest przesłanie danych o stanie pacjenta do ośrodka specjalistycznego, uzyskanie zaleceń i ich wdrożenie przez zespół ratownictwa medycznego. Dlatego tak ważne jest podnoszenie umiejętności personelu medycznego i dostosowywanie programów kształcenia do nowych standardów. Jest jeszcze kluczowa kwestia, o której nigdy nie należy zapominać: procedury są ważne, ale przede wszystkim ważny jest człowiek, wobec którego należy kierować się empatią i którego trzeba otaczać troską.

dr Waldemar Kraska jest specjalistą chirurgii, senatorem, przewodniczącym senackiej Komisji Zdrowia, sekretarzem stanu w Ministerstwie Zdrowia, pełnomocnikiem rządu ds. Państwowego Ratownictwa Medycznego.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z Anną Rulkiewicz, prezes Związku Pracodawców Medycyny Prywatnej i prezes Grupy LUX MED
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Potrzebny jest sektor prywatny

KATARZYNA PINKOSZ: Przez ponad rok toczyły się debaty „Wspólnie dla zdrowia", które miały pokazać kierunki, w jakich powinna zmierzać ochrona zdrowia w Polsce. Jak podczas tych debat postrzegana była rola sektora prywatnego w systemie ochrony zdrowia?

ANNA RULKIEWICZ: Muszę niestety stwierdzić, że o roli prywatnego sektora dyskutowano zbyt mało i często bardzo powierzchownie. Nie było dedykowanej wyłącznie temu tematowi debaty, podczas której moglibyśmy porozmawiać bardziej szczegółowo o rozwiązaniach idących w kierunku komplementarnego uzupełnienia systemu publicznego przez świadczeniodawców prywatnych. Odbyła się co prawda dyskusja o finansowaniu, ale nie było w niej wiele o finansowaniu alternatywnym, w tym o dodatkowych ubezpieczeniach zdrowotnych, współpracy w ramach partnerstwa publiczno-prywatnego, outsourcingu usług medycznych czy podwykonawstwie. W panelach, w których uczestniczyłam, tę rolę mocno podkreślałam. Cieszę się, że w podsumowaniach i końcowych wnioskach niektóre kwestie zaczęły się już pojawiać.

Dzisiaj współpraca sektora publicznego i prywatnego jest dosyć słaba. To duża strata dla pacjentów i samego systemu. Jesteśmy dużym, 38-milionowym krajem i nie możemy dłużej udawać, że samym finansowaniem publicznym jesteśmy w stanie zagwarantować wszystkim opiekę medyczną na odpowiednio wysokim poziomie. Zdrowie to konkretne inwestycje w ludzi, sprzęt i technologie, co po prostu kosztuje i będzie kosztować coraz więcej. Warto określić, na co tak naprawdę nas stać w ramach koszyka gwarantowanego, a co pacjent może dokupić. Te środki przecież na rynku są, bo obecnie blisko 40 proc. wydatków na zdrowie to prywatne środki Polaków. Powinniśmy to usystematyzować i wykorzystać bardziej efektywnie. Sektor prywatny jest sektorem dynamicznym, efektywnym, stawia na jakość, a przy tym jest dobrze zarządzany. To świadczeniodawcy niepubliczni jako pierwsi się zinformatyzowali i zaczęli wdrażać skoordynowany model opieki i plany leczenia. Chcemy pomagać pacjentom i odgrywać adekwatną rolę do posiadanego potencjału. Mamy możliwości, by odciążyć system ochrony zdrowia nie tylko poprzez POZ czy AOS, lecz także świadcząc usługi wysokospecjalistyczne.

eprasa.pl c850b8daf1

Jaką rolę powinien odgrywać sektor prywatny?

Sektor prywatny rozwija się dynamicznie od czasu polskiej transformacji i jest dziś naturalną częścią całego systemu ochrony zdrowia. Trzeba jednak w końcu doprecyzować jego rolę, by wiedział, w którym kierunku powinien podążać ze swoimi inwestycjami i mógł stać się komplementarnym elementem systemu ochrony zdrowia. Zdaję sobie sprawę, że muszą za tym pójść decyzje, które politycy podejmują niezbyt chętnie, bo temat zdrowia zawsze wywoływał wiele emocji, a te nie sprzyjają konstruktywnej dyskusji ani szukaniu najlepszych rozwiązań. Liczę, że po 30 latach przeciągania liny stać nas na jakiś rodzaj ponadpartyjnego porozumienia co do długofalowej wizji rozwoju ochrony zdrowia w Polsce. Nie może być tak, że system reformujemy od wyborów do wyborów, po czym zwijamy żagle i całkowicie zmieniamy kurs. Wierzę, że jest to możliwe, bo wierzę też w dobre intencje i zdrowy rozsądek.

Wielu lekarzy w Polsce łączy dziś pracę w sektorze publicznym i prywatnym. Czy to dobry model?

Trudno mi wyobrazić sobie sytuację, w której taką możliwość lekarzowi się odbiera. Jestem przekonana, że jeśli stworzymy odpowiednie warunki do pracy i rozwoju, w ramach placówek zarówno publicznych, jak i prywatnych, to ta kwestia będzie się regulowała w naturalny sposób. Trzeba pamiętać, że wiedzę, umiejętności i doświadczenia wyniesione przez lekarza z pracy z pacjentami w ramach jednego sektora przenosi on później na drugi, osiągając coraz lepsze efekty leczenia. Korzysta na tym pacjent.

Elektroniczna dokumentacja medyczna, telemedycyna – to wszystko wprowadził do polskiej ochrony zdrowia sektor prywatny. W jaki sposób zmieniło to funkcjonowanie placówek prywatnych?

Rozwój narzędzi i rozwiązań z obszaru e-zdrowie zmienia to, jak definiujemy model opieki nad pacjentem. Dzisiaj jeszcze nie zastępuje tradycyjnych usług ani świadczeń, ale dobrze je uzupełnia, usprawnia i rozszerza, pozwala lepiej koordynować proces leczenia. Zwiększa też wygodę pacjenta, którego świadomość co do rozwiązań cyfrowych rośnie bardzo szybko. Prym wiodą tu ludzie młodzi, dla których technologia to część stylu życia. Ich nie musimy zachęcać np. do telemedycyny, a wyzwaniem jest dziś bardziej to, jak nadążać za ich oczekiwaniami. Pacjenci przekonują się, że wiele prostych konsultacji można przeprowadzić zdalnie, oszczędzając czas potrzebny na wizytę w tradycyjnym gabinecie lekarskim. Na początku lipca Portal Pacjenta i aplikacja mobilna stały się najpopularniejszym kanałem umawiania wizyt wśród naszych pacjentów. Pierwszy raz wyprzedziły pod tym względem liczbę rezerwacji w recepcji. Ponad milion pacjentów LUX MED ma dostęp do tych kanałów on-line. Mogą łatwo umówić się na wizytę, odebrać i skonsultować wyniki badań. W kolejnym kroku będziemy wprowadzać ankiety on-line pomagające wybrać odpowiedniego specjalistę, a docelowo triage medyczny, by problemy rozwiązywać dużo szybciej. Jako pierwsi w Polsce wprowadziliśmy e-receptę na kontynuację leczenia, którą można zamówić i odebrać za pomocą smartfona. Informatyzujemy też medycynę pracy, która obejmuje już m.in. e-skierowania. Cyfryzacja pomaga również w lepszym zarządzaniu dostępnością lekarzy.

Jakie są dalsze plany rozwoju w dziedzinie e-zdrowia?

Rozwijają się technologie medyczne, które pomagają zdalnie diagnozować i monitorować stan zdrowia. Ma to ogromne znaczenie, zwłaszcza gdy lekarzy jest mało. Przykład – teleradiologia, która pozwala specjaliście np. z Lublina odczytywać wyniki badań pacjenta przebywającego w Warszawie. Coraz częściej mówi się o roli sztucznej inteligencji. Podążamy w tym kierunku. Obecnie intensywnie pracujemy nad Portalem Pacjenta 2.0. Chcemy, by docelowo przyjął rolę inteligentnego, współpracującego z pacjentem asystenta zdrowotnego, który będzie go nawigował i w razie potrzeby zadawał adekwatne, kontekstowe pytania. Trend cyfrowy w zdrowiu będzie teraz już tylko nabierał na sile. W tym wszystkim należy jednak pamiętać, że samo udostępnienie narzędzi e-zdrowotnych nie wystarczy – trzeba je jeszcze skutecznie wbudować w ścieżkę pacjenta.

Prywatne przychodnie wprowadziły nowe standardy opieki. Jednak obecnie pacjenci często uskarżają się, że mają również duże problemy z zapisaniem się do specjalistów w prywatnych przychodniach. Jak ten problem rozwiązać?

Problem braku lekarzy i luki pokoleniowej w kadrach medycznych to problem systemowy. Trzeba lepiej wykorzystywać kompetencje specjalistów, których dzisiaj mamy, a możliwe to będzie, jeśli zmniejszymy im obciążenia biurokratyczne i zapewnimy bardziej sprawne środowisko pracy. Trzeba przedefiniować zawody medyczne i szybciej wprowadzać nowe, takie jak asystent medyczny. Część zadań lekarza może przejąć wykwalifikowana pielęgniarka, a część obowiązków pielęgniarki – asystent czy ratownik. Dużym wyzwaniem jest zjawisko nadużywania konsultacji specjalistycznych, gdy nie ma wyraźnych wskazań medycznych. Nowego spojrzenia wymaga sposób organizacji świadczeń medycznych, szczególnie z wykorzystaniem nowych technologii takich jak telemedycyna. Trzeba też konsekwentnie budować mechanizmy, które pozwolą lepiej zarządzać ruchem pacjenta w ramach systemu.

Dobrze, że powstają nowe uczelnie medyczne i jest więcej miejsc, w których mogą się kształcić przyszli lekarze, jednak na pozytywne efekty tych decyzji przyjdzie nam poczekać jeszcze wiele lat. Nadal edukujemy w Polsce lekarzy o wąskich specjalizacjach, podczas gdy w systemie brakuje przede wszystkim specjalistów z szerszymi kompetencjami. Powinniśmy wspierać i dawać jak najlepsze warunki rozwoju młodym lekarzom, którzy robią specjalizację, by czuli się tu dobrze i nie chcieli emigrować. Uważam też, że powinniśmy także bardziej odważnie zwrócić oczy na wschód i szukać pracowników także spoza Polski. Nie będzie to łatwe dopóty, dopóki proces nostryfikacji dyplomów nie skróci się i nie stanie się mniej uciążliwy. Liczę, że rządzący pomogą skrócić ten proces tam, gdzie jest to możliwe.

Opowiadała się pani za systemem, w którym pacjent może wybrać: czy korzystać z sektora prywatnego czy publicznego, a pieniądze podążają za nim. Jest szansa na takie rozwiązanie?

Bardzo bym chciała, żeby tak było, ale na razie to nierealne. Myślę, że dzisiaj bliżej nam do systemu opartego na komplementarności świadczeń niż do takiego, w którym podmioty ze sobą konkurują. Wierzę natomiast, że system będzie się rozwijał i świadczeniodawcy będą oceniani przede wszystkim na podstawie kryterium jakości opieki, jaką oferują pacjentom. Forma własności jest wtedy dla pacjenta bez znaczenia. Powinniśmy drogą ewolucji zmierzać w kierunku modelu opartego na konkurencji płatników.

eprasa.pl c850b8daf1

Badania z wykorzystaniem mikroskopii konfokalnej są szczególnie przydatne w diagnostyce nowotworów skóry FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Pięć nadziei

Przełom w cukrzycy typu 1, diagnostyka onkologiczna, leczenie widzenia, utrzymanie płodności mimo agresywnych terapii onkologicznych, bezpieczne i skuteczne leki przeciwbólowe – czekamy z nadzieją, że nowe odkrycia dokonywane w Polsce na trwałe wpiszą się do światowej medycyny.

BIONICZNA TRZUSTKA

W Polsce żyje ok. 3 mln osób chorych na cukrzycę, z tego 200 tys. to osoby cierpiące na cukrzycę typu 1. W tym typie cukrzycy podaje się insulinę, jednak nie jest to metoda wyleczenia tej choroby. Takim sposobem jest np. przeszczepienie wysp trzustkowych. W Polsce wykonywanych jest jednak średnio tylko ok. 40 operacji rocznie: powodami są niedobór narządów do przeszczepu i późniejsza konieczność przyjmowania leków immunosupresyjnych do końca życia.

Nadzieją na wyleczenie cukrzycy typu 1 jest bioniczna trzustka stworzona z własnych przekształconych komórek macierzystych chorego. Komórki macierzyste pobrane od chorego są „układane" w kompletny narząd za pomocą inżynierii i mechatroniki. Innowacyjność projektu polega na wykorzystaniu najnowszych technologii i pionierskich badań nad organizmem ludzkim, w wyniku czego powstał unikalny skład biotuszu. Bioniczna trzustka zawiera w sobie nie tylko elementy rusztowania, lecz także żywe komórki i wyspy trzustkowe wraz z układem naczyniowym.

Prace nad tym, by zmusić komórki macierzyste do produkcji insuliny i glukagonu, są coraz bardziej zaawansowane FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Od kilku lat zespół prof. Agnieszki Dobrzyń z Instytutu Biologii Doświadczalnej PAN im. Marcelego Nenckiego dopracowuje model transformacji ludzkich komórek macierzystych w kierunku komórek produkujących insulinę i glukagon. Udało się też w sierpniu 2018 r. zakupić wyspecjalizowaną drukarkę 3D, która pozwoliła na sterylny druk płatów trzustkowych. Chorzy na cukrzycę typu 1 czekają na efekty tych badań.

MIKROSKOPIA KONFOKALNA

Nowe technologie w diagnostyce nowotworów skóry stwarzają dużą szansę na ratowanie życia. Tak jest w przypadku czerniaka skóry, jednego z najgroźniejszych nowotworów. Wykrycie go we wczesnym stadium choroby daje szansę na wyleczenie 97 proc. pacjentów, podczas gdy w zaawansowanym stadium jest to możliwe tylko u 5 proc. chorych. – Szansą dla pacjentów są więc: profilaktyka, leczenie nowoczesnymi lekami oraz diagnostyka – mówi prof. dr n. med. Irena Walecka, kierownik Kliniki Dermatologii Centralnego Szpitala Klinicznego MSWiA w Warszawie.

Refleksyjna mikroskopia konfokalna in vivo (ang. in vivo reflectance confocal microscopy, RCM) to nowoczesna, nieinwazyjna metoda diagnostyki obrazowej, umożliwiająca wizualizację tkanek z dokładnością porównywalną z rutynowym badaniem histopatologicznym w czasie rzeczywistym. Badania z wykorzystaniem RCM są szczególnie przydatne ze względu na wysoką czułość i specyficzność metody w diagnostyce nowotworów skóry, zwłaszcza czerniaka i niemelanocytowych nowotworów skóry, głównie raka podstawnokomórkowego i kolczystokomórkowego. W niektórych przypadkach technika ta pozwala na postawienie natychmiastowej diagnozy bez potrzeby wykonywania innych badań. Technika ta wykorzystywana jest głównie w diagnostyce różnicowej zmian melanocytowych na twarzy, w okolicach trudnych i u dzieci, co zapobiega niepotrzebnym wycięciom i zwiększaniu kosztów systemu. Mikroskopia konfokalna znalazła również zastosowanie w monitorowaniu nieinwazyjnych metod leczenia stanów przednowotworowych oraz nowotworów skóry bez konieczności wykonywania badania histopatologicznego, co zasadniczo wpływa na

eprasa.pl c850b8daf1

medycyny

obniżenie kosztów, a także w kontrolowaniu marginesów chirurgicznego wycięcia raka podstawnokomórkowego metodą Mohsa.

E-EYE: PIERWSZY NA ŚWIECIE APARAT DO LECZENIA ZESPOŁU SUCHEGO OKA

Na zespół suchego oka narażone są szczególnie osoby noszące soczewki kontaktowe, pracujące w klimatyzowanych pomieszczeniach, przy komputerze albo regularnie korzystające z telefonów komórkowych. Czyli praktycznie każdy z nas. Zwykle oczy nas bolą, pieką, są zaczerwienione: konieczne jest zakraplanie tzw. sztucznych łez, ale nie jest to metoda wyleczenia.

E-eye jest pierwszym i jedynym na świecie urządzeniem medycznym zaprojektowanym specjalnie do leczenia zespołu suchego oka. E-Eye wykorzystuje technologię IRPL (Intense Regulated Pulsed Light: wielobarwne – polichromatyczne światło pulsacyjne). Poprzez stymulację nerwu przywspółczulnego tym rodzajem „zimnego" światła w gruczołach Meiboma przywrócony zostaje naturalny przepływ lipidów, poprawia się struktura filmu łzowego, powodując ustąpienie objawów zespołu suchego oka. Podczas zabiegu oczy pacjenta osłonięte są specjalnym zabezpieczeniem EYE MASK. Lekarz na policzkach i w okolicy skroni rozprowadza specjalny hydrożel, a następnie aplikuje serię kilku „błysków" za pomocą urządzenia E-eye. Zabieg trwa kilka minut. Jest całkowicie bezbolesny, nieinwazyjny i bezpieczny dla gałki ocznej.

W ciągu kilku minut dzięki zabiegowi wykonanemu za pomocą urządzenia E-Eye udaje się wyleczyć zespół suchego oka FOT. MATERIAŁY PRASOWE

NOWY ZWIĄZEK ZAMIAST MORFINY

Naukowcy z Uniwersytetu Warszawskiego odkryli nowy związek chemiczny, którego właściwości przeciwbólowe są 5 tys. razy silniejsze od stosowanych dzisiaj leków z rodziny opioidów. Za opracowanie nowego związku odpowiada zespół prof. Aleksandry Misickiej-Kęsik z Wydziału Chemii Uniwersytetu Warszawskiego, współpracujący z prof. Barbarą Przewłocką z Instytutu Farmakologii PAN. Po bardzo obiecujących testach na zwierzętach polscy naukowcy planują opatentować nową substancję w wybranych krajach. Równolegle planowane są już pierwsze testy kliniczne na ludziach. Nowa cząsteczka pochodzi z rodziny peptydomimetyków – to związki chemiczne imitujące peptydy. Jej podanie spowoduje, że organizm jednocześnie wysyła dwa sygnały: hamujący i uśmierzający istniejący już ból oraz drugi sygnał wygaszający źródło jego wywoływania.

Dotychczas znane środki przeciwbólowe działały albo w jeden, albo w drugi sposób. Dzięki nowemu lekowi jest nadzieja na zmniejszenie liczby osób uzależnionych od leków przeciwbólowych. Kolejna nadzieja: szansa na zrewolucjonizowanie światowego rynku środków przeciwbólowych przez polską naukę.

ONCOFERTILITY: PŁODNOŚĆ ONKOLOGICZNA

Im wcześniej wygasa u kobiet czynność jajników, tym większe powoduje to problemy zdrowotne. – Ten problem jest szczególnie dotkliwy dla osób młodych, a często się to zdarza m.in. u osób leczonych z powodu nowotworów – wskazuje kierownik Kliniki Endokrynologii Ginekologicznej Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu prof. Błażej Męczekalski. – Choroba rzutuje nie tylko na problemy fizykalne, lecz także na całą sferę psychiczną: samookreślenia, identyfikacji płciowej, dojrzałości i wielu problemów społecznych – dodaje prof. dr hab. n. med. Roman Smolarczyk, kierownik Kliniki Endokrynologii Ginekologicznej Szpitala Klinicznego im. ks. Anny Mazowieckiej w Warszawie.

Jedną z istotnych przyczyn „przedwczesnej menopauzy" może być leczenie onkologiczne. Agresywna chemioterapia (stosowana np. w przypadku niektórych typów białaczki) czy radioterapia mogą prowadzić do trwałego uszkodzenia wrażliwych komórek rozrodczych. Kobiety, które przeżyły raka (adult cancer survivors), borykają się z poważnymi zaburzeniami endokrynologicznymi oraz niepłodnością. Profesor Męczekalski twierdzi, że jest to poważny problem, czym zajmuje się dziedzina onkologii zwana oncofertility (płodność onkologiczna). Leczenie zwykle obejmuje uzupełnienie hormonów, których nieczynne gonady nie produkują. Zachowanie czy przywrócenie płodności u tych pacjentek to olbrzymie wyzwanie, a także nadzieja dla współczesnej medycyny rozrodu.

Naukowcy z Wydziału Chemii UW mogą dokonać prawdziwej rewolucji w farmacji FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Artur Wolski

Autor jest komentatorem radiowej Jedynki.

eprasa.pl c850b8daf1

Z Nikosem Xydiasem, dyrektorem generalnym GSK w Polsce
rozmawia Radosław Wojtas

Wychodzimy naprzeciw rzeczywistym potrzebom pacjentów

RADOSŁAW WOJTAS: Niedawno, z okazji 60. urodzin, wybitny koszykarz Magic Johnson opublikował listę 60 miejsc na świecie, które odwiedził i poleca. Kiedy rezygnował z kariery w NBA z powodu wirusa HIV, taka diagnoza była jak wyrok. Dzisiaj nosiciele wirusa HIV mogą prowadzić aktywne normalne życie.

NIKOS XYDIAS: Rzeczywiście w obszarze leczenia zakażeń wirusem HIV dokonał się na przestrzeni lat prawdziwy przełom. Dzięki nowoczesnym terapiom ludzie zakażeni wirusem mogą żyć dłużej i w lepszym zdrowiu. HIV stał się po prostu kolejną chorobą przewlekłą, a pacjenci dożywają starości. Nie potrafimy jeszcze wyleczyć zakażenia wirusem HIV, ale potrafimy doskonale kontrolować jego namnażanie się we krwi, tak by był praktycznie niewykrywalny. To skuteczna metoda, by zatrzymać progresję choroby. Dzięki takiemu leczeniu Magic Johnson przeżył już blisko 30 lat od czasu poinformowania o swojej chorobie. Możemy tylko żałować, że tego przełomu nie dożyło wielu pacjentów. Wystarczy pomyśleć, że dziś Freddie Mercury miałby 73 lata i być może nadal by tworzył. Nie zatrzymujemy się jednak na tym, że potrafimy kontrolować namnażanie wirusa. Chcemy, by możliwa była skuteczna kontrola choroby z wykorzystaniem jak najmniejszej liczby leków. Przez wiele lat standardem w leczeniu HIV/AIDS było leczenie z wykorzystaniem trzech leków. Od niedawna możemy tak samo efektywnie leczyć pacjentów tylko z wykorzystaniem dwóch.

Czy terapie dwulekowe to przełom w leczeniu HIV? Czym są i jakie mają znaczenie dla pacjentów?

Nasze terapie dwulekowe oparte na dolutegrawirze są równie skuteczne jak terapie trójlekowe. Zawierają dwa dobrze znane i szeroko stosowane leki, które mają potwierdzony profil bezpieczeństwa. Ten nowy paradygmat leczenia to dla pacjentów naprawdę pozytywna zmiana. Mniej substancji chemicznych to mniejsze ryzyko wystąpienia skutków ubocznych. Obciążenie lekami jest mniejsze, a pacjenci lepiej tolerują terapię. Możemy wymiernie poprawiać jakość życia tych osób, pamiętając jednocześnie, że te leki przyjmują przecież przez wiele lat. Z ostatniego badania analizującego postawy pacjentów żyjących z HIV wynika, że 60 proc. z nich obawia się długoterminowego wpływu leków antyretrowirusowych na swoje zdrowie, a aż 7 na 10 respondentów jest świadomych ryzyka związanego z potencjalnymi niekorzystnymi konsekwencjami ciągłej farmakoterapii. Dzięki skojarzonym terapiom dwulekowym wychodzimy naprzeciw rzeczywistym potrzebom pacjentów. Są one obecnie wprowadzane na rynkach całego świata, w tym również w Polsce. Kilka tygodni temu została zarejestrowana terapia zawierająca dwie substancje chemiczne – dolutegrawir i lamiwudynę w jednej tabletce.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Innowacyjne preparaty w leczeniu HIV produkowane są w Polsce?

Nasz zakład w Poznaniu rzeczywiście specjalizuje się w produkcji leków antyretrowirusowych. Doświadczenie w tym obszarze zdobywa już od 2006 r., kiedy do portfela Poznania weszły pierwsze leki stosowane w leczeniu HIV. Produkcja kolejnych rozpoczęła się w 2012 r. Szczególnie dumni jesteśmy z tego, że w 2017 r. rozpoczęliśmy produkcję leków opartych na dolutegrawirze. Dzisiaj leki z Polski trafiają na ponad 130 rynków, w tym na rynek japoński. To jeden z najbardziej wymagających rynków na świecie.

Jaka jest skala inwestycji GSK w Polsce?

GSK w Polsce ma rozbudowane struktury, przez co jesteśmy w stanie generować wartość na każdym etapie tworzenia nowej terapii – od pomysłu przez kolejne fazy procesu badawczo-rozwojowego, badania kliniczne, produkcję do nadzoru nad bezpieczeństwem farmakoterapii. Polskim pacjentom dostarczamy ponad 300 leków, szczepionek i produktów konsumenckich. Taka wielowymiarowość inwestycji jest naprawdę wyjątkowa na skalę globalną. Inwestycje poczynione w Polsce są olbrzymie. Zainwestowaliśmy do tej pory ok. 2 mld zł. Mamy tu fabrykę eksportującą leki praktycznie na cały świat, a także pięć centrów kompetencji. Ponad 200 osób zatrudnionych w Polsce pracuje w globalnych strukturach badawczo-rozwojowych. Około 700 osób pracuje w GSK IT, które jest jednym z trzech takich centrów na świecie.

W tym roku otworzony został GSK Finance Hub. Czym on jest? Jakie są inne najbliższe plany inwestycyjne GSK?

To kolejna ważna inwestycja, która będzie rozwijana w Polsce. Odpowiada za całościowe procesy finansowe związane z planowaniem i prognozowaniem biznesowym oraz raportowaniem i kontrolą finansową. Tworzony zespół będzie włączony także w rozwój funkcji finansów GSK oparty na nowoczesnych rozwiązaniach technologicznych, w tym na inteligentnej automatyzacji procesów finansowych, wykorzystującej technologię mobilną oraz robotyzację procesów. Okazuje się, że innowacyjne rozwiązania i nowe technologie mają zastosowanie także w obszarze finansów i możemy być dumni, że będą one tworzone w Polsce. Nie możemy także zapominać, że nasza każda kolejna inwestycja, właśnie dzięki zakorzenieniu w innowacyjności, pomaga rozwijać unikatowe kompetencje zawodowe ekspertów i w ten sposób wzmacnia kapitał społeczny.

Jeśli zaś chodzi o dalsze plany, to rozmiar i złożoność projektów realizowanych w Polsce pokazuje, że jest to kraj dla nas priorytetowy. Mogę zapewnić, że dokładamy starań, by kolejne inwestycje wzmacniały potencjał gospodarczy i kapitał społeczny.

Nad jakimi innowacjami pracuje obecnie GSK?

GSK zbudowało zupełnie nową strategię badawczo-rozwojową. Sprowadza się ona do prostego równania: Nauka x Technologia x Kultura. Jeśli chodzi o konkretne obszary terapeutyczne, to skupiamy się głównie na immunoterapii oraz onkologii, szczególnie w obszarze hematoonkologii, ale też raku jajnika. Szukamy nowych terapii, badając, jak modulują system immunologiczny. Wykorzystujemy do tego olbrzymie ilości danych genetycznych. Możemy je analizować z wykorzystaniem uczenia maszynowego. Angażujemy się w zdrowie cyfrowe i uczenie się maszynowe. Zawarliśmy także partnerstwo ze spółką 23andMe, by rozwijać interpretację danych genetycznych jako kluczowy element nowej strategii R&D. Proces poszukiwania nowego leku może być bardziej efektywny dzięki rozwiązaniom technologicznym. Możemy posłużyć się danymi genetycznymi do wyboru nowych leków. Budowanie genetycznych baz danych i analizowanie ich z wykorzystaniem algorytmów uczenia maszynowego może dać lepszy wgląd w to, czy lek, nad którym pracujemy, może być skuteczny. Wpływ wykorzystania nowych technologii na przyspieszenie rozwoju leków może być więc olbrzymi.

Jakie są dziś najważniejsze wyzwania w polskiej służbie zdrowia? Jaka jest w nich rola przemysłu farmaceutycznego?

Nie będę odkrywczy. Na całym świecie systemy ochrony zdrowia borykają się z ograniczonymi zasobami – przede wszystkim finansowymi. Dobrze, że ten problem został zauważony przez polski rząd i wydatki na ochronę zdrowia będą systematycznie rosnąć. To dowodzi, że zdrowie staje się priorytetem. Przemysł farmaceutyczny jest jednym z uczestników systemu opieki zdrowotnej. Ma dostarczać skuteczne i bezpieczne terapie. Przemysł innowacyjny ma dodatkowo jeszcze cel poszukiwania nowych, przełomowych sposobów leczenia. Wielką szansą jest zmiana opieki zdrowotnej, by była bardziej spersonalizowana i przez to bardziej efektywna. Może się to udać, gdy lepiej zrozumiemy rolę systemu immunologicznego w poszczególnych chorobach oraz wykorzystamy potencjał tych danych i wykorzystania nowych technologii w medycynie. Na tym się skupiamy. To przyczyni się do tworzenia bardziej zrównoważonego systemu ochrony zdrowia.

Czy poważnym problemem są dziś ruchy antyszczepionkowe? Jaka powinna być na nie odpowiedź państwa, przemysłu farmaceutycznego i świata nauki?

WHO uplasowała postawy i ruchy antyszczepionkowe wśród 10 najważniejszych zagrożeń dla zdrowia. Szacunki mówią, że szczepienia każdego roku zapobiegają nawet 3 mln zgonów z powodu chorób zakaźnych na świecie. Gdyby wyszczepialność była lepsza, to można by uniknąć kolejnych 1,5 mln zgonów. Myślę, że jedynym kluczem do zapobiegania rozpowszechnianiu się postaw antyszczepionkowych są rzetelna wiedza i edukacja. Musimy budować i wzmacniać zaufanie oparte na dowodach naukowych.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Dostarczamy więcej niż tylko produkt

Rozmowa z Nienke Feenstra, dyrektor generalną Takeda Pharma w Polsce

Takeda jest największą firmą farmaceutyczną w Japonii i wiodącą firmą na świecie. Na początku roku koncern sfinalizował przejęcie Irlandzkiej firmy Shire, dokonując tym samym największego w historii japońskiego zakupu zagranicznego. Jak ta transakcja zmieniła Takedę?

Transakcja ta przyspieszyła naszą transformację, która rozpoczęła się już w 2014 r. kiedy Takeda zmieniła się z firmy skupionej na produktach stosowanych w lecznictwie otwartym i bez recepty w wysoko wyspecjalizowaną firmę oferującą produkty z obszaru onkologii oraz gastroenterologii. Tutaj Shire, jako firma z portfelem wysoko wyspecjalizowanych produktów dla chorób rzadkich, wpasowała się idealnie w strategie rozwoju naszej spółki.

Piękno tej integracji dotyczy nie tylko samych produktów, lecz także przede wszystkim chodzi o poszerzenie naszych kompetencji i zasobów, tak aby nasze produkty docierały do pacjentów w najbardziej optymalny sposób. Pozwala nam to na dostarczenie pacjentom i naszym partnerom wartości naprawdę wykraczających poza sam produkt oraz wspieranie pacjentów w ich codziennym życiu. Dlatego transakcja z Shire nie zmieniła strategicznego kierunku rozwoju Takedy, ale przyśpieszyła jego tempo, poszerzając portfel i nasze możliwości.

Jakie są globalne cele powiększonej firmy?

W społeczności Takeda postępujemy zgodnie z wartościami i zasadami wyznawanymi od 238 lat. Nasza działalność opiera się na czterech priorytetach określanych jako filary PTRB (ang: Patient, Trust, Reputation, Business), czyli Pacjent, Zaufanie, Reputacja, Biznes. Takeda to koncern o wielkim dziedzictwie, to najstarsza firma farmaceutyczna na świecie. Głęboko wierzymy, że nasza obecna pozycja wynika z wieloletniego, jasno określonego i ugruntowanego etycznie podejścia, według którego nasze decyzje podejmujemy w oparciu o PTRB oraz Takeda-izm jako zasadę naczelną. I to na pewno się nie zmieni.

Takeda nadal będzie inwestować w badania i rozwój?

Tak, będziemy. Dla nas, tak jak dla każdej firmy farmaceutycznej, inwestycja w rozwój i badania ma kluczowe znaczenie. Natomiast istotne jest to, że nasze inwestycje będą bardzo mocno skoncentrowane na współpracy ze środowiskiem medycznym i naukowym w Polsce. Istnieje ogromna liczba uniwersytetów i instytutów badawczych w Polsce, z którymi chcemy współpracować przy wprowadzeniu tych innowacji na rynek, tak samo jak to robimy ze wszystkimi innymi naszymi zewnętrznymi partnerami.

Jak ważny jest dla firmy Takeda polski rynek?

Jest bardzo ważny z kilku powodów. Nasza obecność w Polsce to przede wszystkim zakład produkcyjny w Łyszkowicach, centrum usług wspólnych w Łodzi oraz siedziba spółki tutaj w Warszawie. Łącznie pracuje dla nas około tysiąca osób, a to duża odpowiedzialność.

W Polsce średni czas oczekiwania na wprowadzenie innowacji jest dłuższy niż w większości krajów europejskich. Zwykle krajami, do których innowacje trafiają jako pierwsze, są Niemcy, Holandia lub Austria, co oznacza, że jeśli spojrzymy na nasze obecne portfolio, to wciąż istnieje wiele niezaspokojonych potrzeb polskich pacjentów, którym możemy, a nawet musimy wyjść naprzeciw za pomocą naszych produktów.

Polska jest dla Takedy również bardzo ważnym partnerem w obszarze badań klinicznych. Poziom kształcenia w Polsce jest bardzo wysoki oraz istnieje tu wiele doskonałych uniwersytetów i ośrodków badawczych o znakomitej renomie. Czyni to Polskę bardzo dobrym partnerem w tym obszarze i przez to jest to bardzo ważny kraj dla firmy Takeda.

Czy zatem Takeda planuje nowe inwestycje w Polsce?

Będziemy kontynuować inwestycje w taki sposób, w jaki robimy to teraz. I tak jak wspomniałam wcześniej, oznacza to współpracę z wieloma zewnętrznymi partnerami w dostępnych obszarach terapeutycznych. Niezależnie od tego, czy chodzi o współpracę z koordynatorami opieki klinicznej, którzy przychodzą do domów pacjentów czy ich szkół, czy mówimy o projektach badawczych, gdzie kluczowi liderzy opinii proszą nas o wsparcie tych projektów na różnych etapach i w różnej formie, czy jeśli chodzi o wsparcie np. dla organizacji pacjenckich czy instytucji opieki zdrowotnej w postaci darowizny. Dla przykładu w obszarze hemofilii wspieramy program rehabilitacyjny dla pacjentów, pomagający im walczyć ze skutkami uszkodzenia stawów, następującego w efekcie licznych krwawień. W ramach tego programu pacjent poddawany jest fizjoterapii, która prowadzi do usprawnienia możliwości poruszania się. Program

eprasa.pl c850b8daf1

ten prowadzony jest przez niezależnych ekspertów w dziedzinie hemofilii.

Wspomniała pani o potrzebach pacjenta. W jaki sposób Takeda pomaga polskim pacjentom?

Staramy się dostrzec najważniejsze potrzeby naszych pacjentów w danym obszarze terapeutycznym. Chorym na hemofilię zapewniamy rozbudowaną strukturę usług i produktów pomagającą im prowadzić bardziej komfortowe życie.

Nasi koordynatorzy opieki klinicznej odwiedzają szkoły i przedszkola, w których wyjaśniają nauczycielom oraz opiekunom, w jaki sposób postępować w razie urazu i krwawienia młodego pacjenta. Koordynatorzy kliniczni podnoszą też świadomość o hemofilii wśród rodzin pacjentów oraz uczą, jak pacjent może samodzielnie podawać sobie lek. Leki są dostarczane do domów pacjentów, co ogranicza liczbę ich wizyt w szpitalu. Zapewniamy również bezpieczny odbiór odpadów medycznych powstałych w trakcie podawania leków. W razie pytań pacjenci mają do dyspozycji telefoniczne centrum obsługi. Dostarczamy więc jakość wykraczającą poza same produkty, współpracując ze stowarzyszeniami pacjentów, opiekunami i pracownikami służby zdrowia.

W każdym obszarze terapeutycznym potrzeby pacjentów są inne. W immunologii może być to coś innego niż w obszarze nieswoistej zapalnej choroby jelit, a jeszcze coś zupełnie innego w schorzeniach onkologicznych.

Dlatego patrzymy na to, co nazywamy „podróżą pacjenta" – od chwili wystąpienia pierwszego objawu, poprzez ścieżkę stawiania diagnozy, moment wdrożenia specjalistycznej terapii, aż do całego procesu przestrzegania zaleceń lekarskich. Rozwiązujemy przeszkody, które pacjent napotyka na tej drodze. Patrzymy na całe rodziny, a następnie wspólnie ze wszystkimi zainteresowanymi stronami analizujemy i wprowadzamy sensowne rozwiązania.

W obszarze immunologii mamy programy ułatwiające diagnozę. Pacjenci z niedoborem odporności często długo nie uzyskują prawidłowej diagnozy. Często chorują z powodu powtarzających się infekcji, przez co stają się coraz bardziej osłabieni, nie znając przyczyny tego stanu rzeczy. Istnieje więc duża potrzeba uświadomienia lekarzom pewnego schematu myślenia: „Dlaczego znów widzę tego pacjenta z kolejną infekcją? To już szósty raz w roku, jest tu jakaś nieprawidłowość. Muszę się nad tym zastanowić".

We wspomaganiu terapii farmakologicznej związanej z leczeniem onkologicznym i wrzodziejącym zapaleniem jelita grubego wykorzystujemy wirtualną rzeczywistość (VR). Infuzja w szpitalu może wiązać się dla pacjenta z ogromnym stresem, który chcielibyśmy maksymalnie ograniczyć. Podczas infuzji pacjent zakłada okulary VR, w których może zobaczyć, na czym polega dana metoda leczenia, jak może poprawić się jego stan zdrowia i dzięki temu możemy zmniejszyć poziom odczuwanego stresu. Nie ma jednej odpowiedzi, która pasuje do wszystkich. Staramy się identyfikować potrzeby, patrząc na drogę każdego pacjenta i każdy obszar terapeutyczny indywidualnie.

Czy takie holistyczne podejście powinna przyjąć cała branża farmaceutyczna?

Tak. Dużo mówimy o byciu partnerem i mamy na to mnóstwo przykładów. Jestem dumna z tego, że Takeda działa w ten sposób i wiem, że nie jesteśmy jedyną firmą, która tak działa. Mam nadzieję, że za 10 lat będzie to nowa norma dla całego sektora farmaceutycznego.

Od stycznia jest pani dyrektorem generalnym firmy Takeda w Polsce. Jaką ma pani tutaj misję? I jak odbiera nasz kraj?

Moim głównym celem w Takeda jest doprowadzenie do sytuacji, w której w ścisłej współpracy ze wszystkimi partnerami zewnętrznymi – niezależnie od tego, czy są to stowarzyszenia pacjentów, pielęgniarki, czy Narodowy Fundusz Zdrowia i rząd – dochodzimy do optymalnych rozwiązań zapewniających całościową opiekę nad pacjentem i robimy to dla wszystkich obszarów terapeutycznych.

Do tej pory wspomniałam o kilku przykładach, gdzie już tak się dzieje, jednak pozostają obszary terapeutyczne, w których ta współpraca może być dalej rozwijana. Jako firma dążymy do tego, aby zawsze w sytuacji, kiedy dysponujemy produktem przydatnym w leczeniu danego pacjenta, pacjenci w Polsce mieli dostęp zarówno do terapii, jak i całego holistycznego systemu wsparcia. Rozumiemy, że jest to jednak długi proces, który wymaga zaangażowania wszystkich stron. Dlatego chcielibyśmy opracować, jak już podkreślałam, we współpracy z pacjentami, pielęgniarkami i lekarzami całościowe standardy opieki nad pacjentem dla wielu obszarów terapeutycznych. Jak już wspomniałam, to wymaga czasu i współpracy z naszymi partnerami.

Kraj oceniam bardzo pozytywnie. To samo dotyczy zespołu, z którym pracuję. Jeśli spojrzę na pasję ludzi pracujących w tej firmie, to naprawdę czuję, że wiedzą, dlaczego to robią, że pracują w służbie zdrowia. To osoby głęboko zaangażowane, które nie myślą o tym, że pracują w firmie farmaceutycznej, ale pracują, aby chronić zdrowie ludzi. Wiem, pozornie to brzmi podobnie, ale w rzeczywistości ma olbrzymi wpływ na ich codzienną pracę. Ci ludzie wiedzą, że to, co robią – bezpośrednio lub pośrednio – będzie miało wpływ na życie pacjenta z daną chorobą.

Wspomniała pani o wirtualnej rzeczywistości. Czy Takeda stawia także na inne innowacyjne technologie, takie jak aplikacje mobilne czy sztuczną inteligencję?

Tak. W dziedzinie hemofilii mamy na przykład aplikację „Zero bleeds" (ang. Zero krwawień). Aplikacja umożliwia zapisywanie informacji o występujących krwawieniach, ich obfitości oraz miejscu wystąpienia. Dane te trafiają do lekarza, dzięki czemu podczas kolejnej wizyty ma on już więcej danych optymalizujących proces leczenia. Ponadto pacjent, któremu dostarczamy do domu dany produkt terapeutyczny, umieszcza w aplikacji dane dotyczące wykorzystania leku i dzięki temu może otrzymać automatycznie nową dostawę. Dzienniczki elektroniczne pozwalają również na lepsze zastosowanie się do zaleceń lekarskich, co podnosi jakość leczenia profilaktycznego i staje się w praktyce nowym, lepszym standardem leczenia.

Mówiła pani o innych rynkach, takich jak Niemcy. Sądzi pani, że Polska osiągnie kiedyś podobny poziom opieki zdrowotnej jak Niemcy czy Szwajcaria?

Z pewnością mam taką nadzieję, ale będzie to proces, który zajmie trochę czasu. To, co nieustannie wywiera na mnie ogromne wrażenie – i mam tu na myśli przykłady nie tylko z naszej firmy, lecz także i z całego kraju, szczególnie lekarzy, których tu poznałam – to wielka pasja ludzi związanych z opieką zdrowotną. Napotykają oni w swojej codziennej pracy trudne sytuacje i bariery, a mimo to zależy im na dokonaniu zmian i wierzą, że jest to możliwe. Dotyczy to wielu osób związanych zarówno z opieką medyczną, obszarami regulacyjnymi, jak i Ministerstwem Zdrowia. Wszyscy czują się zobowiązani do zapewnienia polskim pacjentom leczenia na najwyższym poziomie. Ich pasja jest bardzo obiecująca. Kiedy przyniesie zmiany? Nie wiem. Wiem jednak, że moja rola w Polsce jest inna, niż byłaby w Holandii czy Niemczech, co bardzo mnie cieszy. Każdego dnia daje mi to więcej zapału do pracy.

eprasa.pl c850b8daf1

Z Dorotą Hryniewiecką-Firlej, prezes Zarządu Pfizer Polska
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Historia Pfizera to historia innowacji

KATARZYNA PINKOSZ: Firmy farmaceutyczne w różny sposób inwestują w Polsce. Jak robi to największa firma farmaceutyczna na świecie?

DOROTA HRYNIEWIECKA-FIRLEJ: Stając na czele tak dużej firmy jak Pfizer i myśląc o wizji jej rozwoju, mogliśmy obrać kilka kierunków inwestycji – w rozwój infrastruktury, centrów badawczych, produkcyjnych. Stwierdziliśmy, że nie jest najważniejsze otwieranie kolejnej linii produkcyjnej, ponieważ jest ich w Polsce kilka czy kilkanaście, a za tym idą pewne kompetencje, które z perspektywy XXI w. nie są już wystarczające. Zależało nam, by młodzi ludzie nie wyjeżdżali z Polski, tylko w naszym kraju mieli możliwość rozwijania unikalnych kompetencji. Kierując się tym podejściem, postawiliśmy na inwestycję w młodych ludzi, kapitał ludzki, na zatrudnianie wykwalifikowanych specjalistów, którzy tworzą i budują siłę naszego zespołu, ponieważ Pfizer to ludzie. Ten kierunek to także nasza inwestycja w polską ekonomię i gospodarkę. Dowodem na to są powstające w Polsce regionalne i globalne centra kompetencji.

Pfizer jest firmą amerykańską, jednak nie inwestuje w kompetencje tylko w Ameryce. Specyficzne kompetencje mają służyć budowaniu zaplecza w celu powstawania innowacji na wielu rynkach, w tym coraz częściej w Polsce. We współczesnej gospodarce to wysokie kompetencje są siłą napędową każdej ekonomii. Do tego, żeby tworzyć innowacje, np. innowacyjne leki czy technologie medyczne, trzeba mieć unikalne kompetencje. Chcemy je rozwijać.

Gdy myśli się o inwestycjach w farmacji, pierwszy pomysł to fabryka leków. Z pełną świadomością podjęli państwo decyzję, że nie będzie to fabryka, tylko centra kompetencji?

Tak, ponieważ porównaliśmy, jaką wartością dla wysoko wykształconych młodych ludzi i dla polskiej ekonomii byłaby fabryka, a jaką unikalne kompetencje, które te osoby mogą zdobywać, rozwijać, a następnie wykorzystywać w innych miejscach. Stwierdziliśmy, że zaszczepienie nowych kompetencji bardziej popchnie do przodu polską gospodarkę niż linia produkcyjna. Dzisiaj mamy do czynienia z robotyzacją, np. na liniach produkcyjnych szczepionek, które są bardzo skomplikowane, 80 proc. pracy wykonują roboty. Ludzie zwykle odpowiadają jedynie za czuwanie nad oprogramowaniem tej automatyzacji. Chcemy świadomie inwestować w kapitał ludzki, budując zaplecze intelektualne, bo to właśnie ono buduje najwięk-

***Dorota Hryniewiecka-Firlej** jest prezesem zarządu, dyrektorem działu Internal Medicine Pfizer Polska, prezesem Zarządu Związku Pracodawców Innowacyjnych Firm Farmaceutycznych INFARMA.*

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c850b8daf1

sze gospodarki świata. To nowa formuła inwestycji globalnych firm, która doskonale sprawdziła się w innych branżach, m.in. technologicznej. Innowacyjne podejście do inwestycji ma ogromny potencjał i jako globalna firma farmaceutyczna chcemy podążać w tym kierunku.

W czym specjalizują się centra kompetencji Pfizer? Jakie centra już działają w Polsce?

Wiele krajów stara się, by właśnie u nich powstawały centra kompetencji Pfizer. Nam udało się aż pięć razy wygrać w tej rywalizacji dzięki temu, że w Polsce są doskonale wykształceni młodzi ludzie z biologiczno-analitycznym wykształceniem, znający języki obce. Polska jest także atrakcyjna pod względem zaplecza operacyjnego, warunków biznesowo -ekonomicznych czy geopolitycznych. Nasze pierwsze centrum powstało w 2017 r. – Drug Safety Unit Platform (DSUP). To regionalna platforma wspierająca przetwarzanie danych o działaniach niepożądanych leków firmy Pfizer ze wszystkich krajów Europy, Afryki i Bliskiego Wschodu. Pracuje tu 50-osobowy zespół wysoko wykwalifikowanych specjalistów z wykształceniem biologiczno-medycznym, ze zdolnościami analitycznymi, biegle władających aż 22 językami. Warto podkreślić, że tworząc ten zespół, spotykaliśmy się z osobami, które podjęły decyzję o powrocie z zagranicy, gdyż chciały pracować tu, w centrum kompetencji w Polsce. To ogromny powód do dumy.

DSUP zajmuje się zbieraniem wszelkich informacji o działaniach i bezpieczeństwie naszych leków. Dzięki temu powstaje ogromna baza danych. Płynie z niej praktyczna wiedza, dzięki której nie tylko możemy wypełniać nasz obowiązek sprawozdawczy, wprowadzać nowe informacje do charakterystyki produktów leczniczych, lecz także analizować oraz wyznaczać potencjalne kierunki badawczo-rozwojowe dla nowych leków, udoskonalać i rozwijać już te istniejące. Nie ma drugiego takiego ośrodka w Polsce jak DSUP. Zespół, który dziś tworzy platformę, za kilka lat będzie stanowić potencjał intelektualny naszego kraju.

Jakie są dalsze plany inwestycyjne Pfizer w Polsce?

Obecnie w Polsce jest już pięć centrów kompetencyjnych Pfizer. Oprócz DSUP otworzyliśmy także Centralized Data Management, odpowiedzialne za wsparcie w zarządzaniu danymi w obszarze rejestracji produktów leczniczych dla międzynarodowych jednostek Pfizer, a także dwa Globalne Centra Materiałów Medycznych, które są częścią globalnej informacji naszej firmy. Odpowiadają za tworzenie informacji o produktach Pfizer oraz za jej udzielanie pacjentom i lekarzom.

Najnowsze centrum właśnie powstaje – niedawno wygraliśmy rywalizację na jego utworzenie. To Competitive Intelligence, centrum badawczo-analityczne, odpowiedzialne za research, analizę rynku, gromadzenie oraz przetwarzanie wszelkich informacji o kierunkach badań klinicznych, potencjale rozwoju nowych produktów, ważnych obszarach terapeutycznych. To niezwykle ważna globalna inwestycja. Efekty pracy tego zespołu będą wsparciem strategicznych decyzji inwestycyjnych Pfizer, dotyczących kierunku rozwoju produktów firmy. Wierzę, że doświadczenie zdobywane dzięki otwieraniu poszczególnych centrów i wzmacnianie pozycji Polski pozwoli nam dalej je rozwijać i tworzyć nowe.

Jak to się przełoży na polską gospodarkę?

Być może za kilka lat osoby z tak wysokimi kompetencjami rozwiną swoją ścieżkę także poza naszą firmą, wspierając także instytucje rządowe, decydujące o kierunkach rozwoju systemu ochrony zdrowia; będą tworzyć nową jakość w medycynie. Wysokie kompetencje to także – w mojej ocenie – droga do rozwijania nowych innowacyjnych leków. Kraje, które postawiły na innowacje, to dziś ekonomiczni giganci. Rozwój gospodarczy bardzo często jest związany z innowacyjnością. Jest w Polsce wiele projektów badawczych, nad którymi toczą się prace, jest wielu naukowców dążących do wypracowania innowacji. Często w laboratoriach powstaje wiele pomysłów na innowacje w medycynie, lecz mimo wieloletnich prac finalny produkt nie wchodzi na rynek. Chcąc to zmienić i wspomóc naukę, wspólnie z Porozumieniem Akademickich Centrów Transferu Technologii działającym przy Uniwersytecie Warszawskim przygotowujemy projekt, w ramach którego chcemy wspierać naukowców i pomagać im przygotować się do komercjalizacji innowacji.

W Polsce jest obecnie dobry klimat do inwestowania w zdrowie?

Polska nie jest na top liście pod względem poziomu inwestycji w zdrowie. Staramy się to zmienić i mamy nadzieję na poprawę. Traktuję to jako prywatną misję: mieszkam w Polsce, tu mam rodzinę, marzy mi się, żeby młodzi ludzie mieli porównywalne szanse z tymi, które mają młodzi w krajach zachodnich. To także misja zawodowa, jestem lekarzem, jest mi bliskie zdrowie publiczne. Warto również podkreślać misję państwa, które odpowiada za zdrowie obywateli i które powinno przeznaczać więcej pieniędzy na ochronę zdrowia. Inwestycja państwa w profilaktykę i leczenie to inwestycja w polską gospodarkę. I o to nam wszystkim chodzi.

Ze stworzenia jakich leków jesteście najbardziej dumni?

Mamy wiele takich leków. Jednym z nich jest przełomowa terapia onkologiczna dla grupy kobiet z zaawansowanym rakiem piersi. Drugim niezwykle ważnym preparatem jest szczepionka 13-walenta przeciw pneumokokom, która według najnowszych dostępnych badań daje najpełniejszą ochronę przeciw tym niebezpiecznym dla dzieci bakteriom. Produkujmy ważne leki kardiologiczne, biologiczne (zarówno oryginalne, jak i biosymilary), wiele leków z zakresu chemioterapii, antybiotyków, leków przeciwgrzybiczych. Inwestujemy w terapie dla chorób rzadkich – to jeden z priorytetowych celów prowadzonych przez nas badań klinicznych. To np. hormon wzrostu, stosowany w kilku jednostkach chorobowych, lek stosowany w akromegalii czy amyloidozie transtyretynowej. Produkujemy też czynniki krzepnięcia dla chorych na hemofilię. Idziemy również w kierunku terapii genowych, które pozwolą w zupełnie inny sposób leczyć choroby rzadkie.

Rozwój Pfizera to historia, którą tworzyły innowacyjne leki: w nadciśnieniu i kardiologii, w nowotworach, szczepieniach. To też ludzie, którzy budują kulturę tej organizacji nacelowaną na pacjenta. Pfizer był firmą, która w czasie II wojny światowej udzieliła za darmo patentu wszystkim producentom leków – po to, by żołnierze na froncie nie umierali z powodu infekcji. Dzięki temu wiele osób zostało uratowanych. To jeden z powodów, dla których filozofia i kultura tej firmy są bliskie moim wartościom. Dlatego tu znalazłam swoje miejsce. Ważny jest dla nas system wartości: dobierając ludzi do pracy, szukamy osób, które są uczciwe, szczere, szanują innych, potrafią z nimi rozmawiać. Chcemy inwestować w młodych ludzi, to nasza odpowiedzialność.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Każdy chory to oddzielna historia

Z Katarzyną Kacperską, dyrektor generalną Novo Nordisk Pharma sp. z o.o.
rozmawia Radosław Wojtas

RADOSŁAW WOJTAS: Jaka jest rola Novo Nordisk w opanowaniu pandemii cukrzycy i poprawie jakości życia chorych?

KATARZYNA KACPERSKA: Novo Nordisk jest firmą, która zajmuje się cukrzycą od prawie stu lat. Poszukujemy coraz lepszych rozwiązań farmakologicznych dla chorych żyjących z cukrzycą, ale swoją rolę postrzegamy znacznie szerzej niż tylko dostarczanie najlepszych rozwiązań terapeutycznych. Niezwykle ważnym obszarem naszych działań jest edukacja. Bez niej, nawet z najlepszymi lekami, nie będziemy w stanie podołać rozwiązaniu problemu pandemii cukrzycy. A skala problemu jest bardzo duża. Na całym świecie żyje ponad 400 mln ludzi chorych na cukrzycę, a w Polsce ok. 3 mln. Zdecydowana większość z nich choruje na cukrzycę typu II – chorobę niezwykle podstępną, która przez bardzo długi czas może nie dawać o sobie znać, a jednocześnie czyni w organizmie spustoszenia w postaci przewlekłych powikłań.

Niedawne badania Biostatu pokazały, że duża część chorych na cukrzycę nie zdaje sobie sprawy z powikłań polegających na uszkodzeniu naczyń krwionośnych. Tymczasem należą one do najniebezpieczniejszych efektów tej choroby.

Rzadko bezpośrednią przyczyną zgonów osób z cukrzycą jest sama choroba, czyli albo bardzo niski poziom cukru we krwi, albo bardzo wysoki. Zdecydowaną większość stanowią zgony związane z powikłaniami. Światowa Organizacja Zdrowia szacuje skalę umieralności w Polsce na ok. 30 tys. zgonów rocznie, z czego 18 tys. zostało przypisane właśnie powikłaniom sercowo-naczyniowym. Niestety, jak wynika z opublikowanego w lipcu raportu Biostatu, świadomość tych powikłań wśród chorych jest niezwykle niska. Chorzy pytani o powikłania najczęściej wskazują te związane ze wzrokiem, jest też świadomość stopy cukrzycowej. Natomiast świadomość powikłań sercowo-naczyniowych, z którymi wiąże się aż 70 proc. zgonów, skracających życie chorych średnio o 12 lat, jest niezwykle niska. Dlatego tak

eprasa.pl c850b8daf1

intensywnie angażujemy się w działania edukacyjne.

Zanim przejdziemy do edukacji, chciałbym spytać o farmakologię. Jakie innowacyjne terapie oferuje Novo Nordisk i jakie znaczenie w cukrzycy ma indywidualizacja terapii?

Cukrzyca to choroba wielowymiarowa. W przypadku każdego pacjenta potrzeba innych rozwiązań terapeutycznych, bo każdy chory to oddzielna historia. Jeśli chodzi o insulinoterapię, to przede wszystkim dąży się do najbliższego odwzorowania tego, co powinno się dziać w zdrowym organizmie. U osoby, która jest w stanie podołać edukacji i zaangażować się w proces leczenia, bardzo dobrym rozwiązaniem może być insulinoterapia polegająca na dokonywaniu wielu wstrzyknięć w ciągu dnia. Natomiast osoba starsza potrzebuje prostszych rozwiązań i innego, mniej angażującego schematu. Oferujemy zatem różne rodzaje insulinoterapii, a także rozwiązania o udowodnionej skuteczności w zakresie protekcji sercowo-naczyniowej. Są grupy chorych, dla których rozwiązanie w postaci np. leku inkretynowego będzie idealne, ponieważ lek ten potrafi oddalić ryzyko powikłań sercowo-naczyniowych, skutecznie kontrolując poziom cukru we krwi, a przy tym mieć korzystny wpływ na obniżenie masy ciała, bo nadwaga jest częstym problemem w cukrzycy typu II.

Również to, by modyfikować ten schemat w zależności od rozwoju choroby?

Tak, cukrzyca typu II to choroba, która się nieustannie rozwija. Na początku wystarczający może być bardzo prosty schemat leczenia z zastosowaniem tabletek, połączony ze zmianami w diecie oraz ze zwiększonym wysiłkiem fizycznym. Natomiast w obliczu rozwoju choroby leczenie trzeba intensyfikować. I wtedy właśnie leki inkretynowe będące w naszym portfolio są zalecaną przez towarzystwa naukowe i skuteczną opcją terapeutyczną. Jeśli ten schemat leczenia przestaje być wystarczający, to wówczas włącza się insulinę na dalszym etapie leczenia. I powtórzę raz jeszcze: każdy chory to jest osobna historia i bardzo ważne jest to, żeby móc indywidualnie dostosowywać leczenie.

Podkreśliła pani rolę edukacji. W Polsce Novo Nordisk jest mecenasem kampanii „Razem ścigamy się z cukrzycą". Czym ona jest?

Jest to realizowana nieprzerwanie od czterech lat kampania, w ramach której organizowane są różne aktywności edukacyjne – bezpłatne akcje badań poziomu cukru we krwi oraz warsztaty edukacyjne dla pacjentów. Kampania zainicjowana została przez kluczowe organizacje pacjenckie, ponadto cieszy się wsparciem instytucji państwowych i organizacji pozarządowych.

W 2014 r. Novo Nordisk zainicjował program Cities Changing Diabetes, który od niedawna został uruchomiony również w Polsce. Na czym polega i jakie są jego dotychczasowe efekty?

W program włączonych jest ponad 20 miast na całym świecie. W Cities Changing Diabetes chodzi o to, aby zdiagnozować lokalne czynniki ryzyka dla cukrzycy i znaleźć najlepsze sposoby, by z czasem zatrzymać rozwój jej pandemii w tych miastach. Angażujemy lokalne środowiska do dialogu, który zdefiniuje, jak powinny wyglądać konkretne rozwiązania w danej aglomeracji, tak aby były jak najbardziej skuteczne. Doświadczeń mamy już bardzo dużo. We Włoszech jednym z rozwiązań było stworzenie ścieżek sprzyjających spacerom i biegom, w Stanach Zjednoczonych okazało się, że do osób zagrożonych cukrzycą można bardzo skutecznie dotrzeć poprzez organizacje religijne. W połowie czerwca pierwsze spotkanie miała rada naukowa, która dyskutowała o rozwiązaniach dla Warszawy. Są już pierwsze pomysły. Sądzę, że w ciągu kilku miesięcy opracujemy bardzo konkretny plan.

Jak przedstawia się zaangażowanie Novo Nordisk w prace badawczo-rozwojowe?

Nasza działalność rozwojowa ma długą i bogatą historię. Jesteśmy w 100 proc. firmą innowacyjną. Zdefiniowaliśmy swoją rolę jako nieustanne poszukiwanie przełomowych rozwiązań terapeutycznych zmieniających oblicze chorób przewlekłych. Prowadzimy bardzo dużo badań klinicznych, w latach 2018–2021 trzykrotnie zwiększymy liczbę pacjentów włączonych w badania kliniczne naszej firmy, w tym okresie będziemy brali odpowiedzialność za ok. 15 proc. globalnej puli pacjentów. To namacalny dowód na to, że robimy z sukcesem to, w co wierzymy. Zawsze byłam z tego dumna, że w Novo Nordisk wartości, którymi kieruje się firma, przekuwane są na konkretne działania. Na przykład odpowiedzialność za środowisko. Kilka miesięcy temu jako firma postawiliśmy sobie cel, abyśmy przed 2030 r. mieli całkowicie neutralny wpływ na środowisko. I nasz globalny zarząd bardzo nas dyscyplinuje, abyśmy w drodze do tego celu podejmowali natychmiastowe kroki, np. do końca 2019 r. w żadnym biurze Novo Nordisk na świecie nie będzie plastiku.

Od stycznia 2019 r. w Warszawie działa Centrum Rozwoju Badań Klinicznych. Jak na jego uruchomieniu mogą skorzystać pacjenci, a jak polscy specjaliści?

W Polsce poszukujemy najlepszych rozwiązań dla pacjentów z cukrzycą, ale również z otyłością. Prowadzimy w tym obszarze dużo działań, ponieważ jest bezpośrednia korelacja między otyłością a cukrzycą. Jeśli będziemy w stanie zwolnić rozwój epidemii otyłości, to wówczas będzie to miało bezpośredni wpływ również na zatrzymanie pandemii cukrzycy.

Jeśli chodzi o korzyści dla lekarzy wynikające z funkcjonowania w Polsce Centrum Rozwoju Badań Klinicznych, to przede wszystkim jest to bezpośredni dostęp do najnowszej wiedzy. Dzielimy się ekspercką wiedzą, którą zebraliśmy dzięki wieloletniemu zaangażowaniu. Z kolei pacjenci mają dostęp do najnowszych terapii poprzez udział w badaniach klinicznych. Jako firma jesteśmy zainteresowani również tym, żeby innowacje, które są dostępne dla pacjentów na razie tylko dzięki badaniom klinicznym, były wkrótce dostępne także w refundacji.

Jakich innowacyjnych rozwiązań ze strony Novo Nordisk możemy się spodziewać w niedalekiej przyszłości?

Jak wspomniałam, prowadzimy na dużą skalę badania w obszarze cukrzycy, otyłości, hemofilii. Pracujemy nad najnowszymi generacjami leków inkretynowych, w tym podawanego doustnie analogu GLP-1, który w tej chwili występuje w postaci iniekcyjnej. Są to leki, które oprócz kontroli glikemii i wpływu na redukcję masy ciała mają również udowodnioną redukcję ryzyka sercowo-naczyniowego. W obszarze otyłości pracujemy nad nowymi lekami inkretynowymi oraz o innych niż obecnie dostępne mechanizmach działania. Mamy ambicję osiągnięcia skuteczności porównywalnej ze skutecznością operacji bariatrycznych. Jeśli zaś chodzi o insulinę, to innowacją będzie opracowywana przez nas insulina podawana raz w tygodniu, co namacalnie wpłynie na jakość życia osób żyjących z cukrzycą.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Cyfryzacja to klucz do sukcesu

Rozmowa z Reinierem Schlatmannem, prezesem Philipsa w krajach Europy Środkowo-Wschodniej

Aż 82 proc. osób, które wzięły udział w polskiej edycji badania Future Health Index, chce mieć stały dostęp do swoich wyników i historii medycznej. Czy biorąc pod uwagę stan systemu opieki zdrowotnej w Polsce, sądzi pan, że te „cyfrowe marzenia" polskich pacjentów i lekarzy mają szanse się ziścić?

Zdecydowanie tak, choć zależy to od wielu czynników. To, że pacjenci chcą mieć taki dostęp, w czym zdecydowanie przewyższamy średnią z 15 krajów badanych w raporcie, bo plasuje się ona na poziomie 63 proc., pokazuje wagę, jaką przykładamy do dostępu do danych medycznych. Co więcej, ponad dwie trzecie osób w Polsce mających wgląd do tych danych, chce aby miał go także ich lekarz. Mówimy więc o dostępie, a także dzieleniu się danymi.

Od lat angażujemy się w proces zmian w polskiej służbie zdrowia i współpracując ze wszystkimi interesariuszami rynku zdrowia, staramy się przyspieszyć spełnienie tego „cyfrowego marzenia". Wierzymy bowiem, że powszechny dostęp pacjentów do wyników swoich badań i własnej historii medycznej pozytywnie wpłynie na wzajemne zrozumienie między chorymi a lekarzami. Sprawna, kompleksowa wymiana informacji poprawi też efektywność terapeutyczną oraz kosztową i pozwoli pacjentom bardziej świadomie zarządzać swoim zdrowiem.

Spore zmiany widać już teraz, jednak wciąż jest wiele do zrobienia, co pokazują nam rezultaty m.in. badania „Future Health Index 2019".

W tym roku po raz pierwszy Polska znalazła się w gronie krajów ujętych w raporcie „Future Health Index". Jak pan ocenia pozostałe wyniki dotyczące naszego kraju?

Pokazują one wiele pozytywnych trendów i wytyczają kilka obszarów do pracy. Zarówno polscy lekarze, jak i pacjenci są otwarci na nowe technologie w medycynie.

Co więcej, lekarze już teraz w dużym stopniu korzystają z nowoczesnych rozwiązań z obszaru cyfrowego – aż 77 proc. z nich używa co najmniej jednego takiego narzędzia. Jednakże niewątpliwie obszarem do poprawy jest wymiana danych między placówkami medycznymi. Jak wynika z raportu, obecnie 64 proc. lekarzy w dużych i bardzo dużych podmiotach leczniczych dzieli się informacjami medycznymi o stanie zdrowia pacjentów w obrębie własnej placówki, a tylko 11 proc. z nich udostępnia takie dane na zewnątrz. Największym wyzwaniem pozostają nadal: brak dostępu do systemów przesyłania danych oraz brak szeroko rozumianej interoperacyjności.

W czym cyfryzacja rzeczywiście może pomóc?

To klucz do sukcesu transformacji służby zdrowia i podstawa w opiece opartej na wartościach. Cyfryzacja umożliwi znaczne obniżenie kosztów funkcjonowania całego systemu. Patrząc na kontinuum zdrowia, w pierwszym kroku cyfryzacja przyczyni się do zwiększenia skuteczności procesu diagnostyki. W Philipsie jednym z naszych celów

eprasa.pl c850b8daf1

jest zapewnienie lekarzowi wsparcia, które umożliwi trafną diagnozę już za pierwszym razem (ang. first time right diagnosis), następnie pomoże w optymalizacji procesu leczenia oraz ocenie efektów terapii, a także usprawni opiekę domową w sytuacjach, w których będzie ona zalecana.

Innym obszarem, w którym widać pozytywny wpływ cyfryzacji, są relacje chorych ze specjalistami zapewniającymi im opiekę, a także poziom zaangażowania pacjenta w proces leczenia.

Czy widzi pan na rynku polskim szanse na wdrożenie zyskującej popularność w wielu krajach zachodnich idei Value Based Healthcare?

Wdrożenie w polskiej służbie zdrowia VBHC jest wskazywane jako jeden z priorytetów przez Ministerstwo Zdrowia, ale także przez środowiska pacjenckie i medyczne. Jest wiele korzyści wynikających z przejścia z modelu płacenia za usługę na model płacenia za rezultat, m.in. wzrost jakości leczenia, większą dostępność i lepszą koordynację oraz integrację procesów terapeutycznych, które są wynikiem cyfryzacji oraz dzielenia się danymi, a także lepszej ich analizy. To model stawiający w centrum pacjenta i jego wyniki zdrowotne. Równie istotne jest to, że umożliwia on uzyskanie lepszych efektów przy wykorzystaniu tych samych zasobów, którymi dysponuje system.

Był pan jednym z sygnatariuszy listu intencyjnego, podpisanego z warszawskim Centrum Onkologii, który ma pozwolić na rozwój projektów m.in. w obszarze sztucznej inteligencji w onkologii. Ta zapowiedź dla laika brzmi niemal jak z filmu science fiction. Jaki to będzie miało wpływ na pacjentów?

Rozwiązania z zakresu sztucznej inteligencji już teraz odgrywają istotną rolę w służbie zdrowia w wielu krajach na świecie i stają się nieocenionym wsparciem w codziennej pracy personelu medycznego. Także polscy lekarze dostrzegają coraz więcej korzyści płynących z wykorzystania sztucznej inteligencji. W badaniu FHI aż 70 proc. z nich wskazało, że czułoby się najbardziej komfortowo, używając AI do monitorowania zdrowia pacjenta. Tutaj przewyższamy średnią badanych krajów o 7 proc. Jest jednak wiele obszarów, w których wykorzystanie wsparcia sztucznej inteligencji mogłoby być wyższe, są to m.in. poprawa trafności diagnozy (tylko 14 proc. z badanych używa w tym obszarze rozwiązań AI, gdzie średnia to 21 proc.) czy wykrywanie nieprawidłowości w stanie zdrowia (16 proc. wśród polskich badanych vs. średnia 21 proc.).

Ostatnio podpisany list intencyjny z warszawskim Centrum Onkologii pozwoli nam na rozwój wspólnych projektów m.in. właśnie w zakresie sztucznej inteligencji, ale także *data warehouse* i nowoczesnych technologii medycznych.

Jak tego typu rozwiązania wpływają na pracę personelu medycznego i pacjentów? Onkologia to szczególny obszar, bo nowotwory plasują się na drugim miejscu pod względem przyczyn śmierci w Polsce. Tutaj liczą się: czas, możliwość analizy wielu czynników jednocześnie, trafność diagnozy, skuteczność leczenia i monitorowania jego wyników. Sztuczna inteligencja przynosi korzyści w każdym z nich.

Co z innymi nowoczesnymi rozwiązaniami? Czy widzi pan możliwość oraz sens wdrażania w Polsce np. telemedycyny?

Do 2022 r. z systemów telemedycznych ma korzystać już 16,5 mln Europejczyków. To nie przypadek – oszczędność czasu, pieniędzy i pozytywne efekty leczenia to tylko niektóre korzyści. Stale rozwija się także rynek usług i aplikacji mobilnych, które umożliwiają monitorowanie zdrowia pacjentów na odległość.

Telemedycyna to znaczące ułatwienie konsultacji lekarskich, gdy pacjent jest daleko od szpitala. Sprawdza się też, gdy pacjent nie chce sam odwiedzić placówki, np. ze względu na obawę przed infekcją. Ten argument często przeważa u rodziców dzieci. To także doceniane rozwiązanie wśród kobiet w ciąży, gdyż to okres, kiedy pojawia się wiele symptomów, które przyszli rodzice chcą skonsultować ze specjalistą. Kolejną grupą są osoby starsze, dla których wizyta u lekarza nie zawsze jest możliwa ze względów zdrowotnych.

Badania pokazują, że w populacji powyżej 60. roku życia 70 proc. osób uważa, że cyfryzacja i telezdrowie będą miały pozytywny wpływ na opiekę zdrowotną. Telemedycyna może naprawdę dużo zmienić w ich sytuacji, podobnie jak w sytuacji praktycznie każdego pacjenta, dlatego nie mam wątpliwości, że to właściwy kierunek.

Jakie rozwiązania medyczne Philipsa cieszą się w naszym kraju największą popularnością i które przynoszą najlepsze efekty?

Nasze innowacyjne rozwiązania zapewniają, zarówno pacjentom, jak i pracownikom służby medycznej, wysoką jakość oraz rzetelność prowadzonych badań. Wspierają diagnostykę, leczenie, monitorowanie wyników, a także opiekę domową.

W polskich szpitalach można spotkać m.in. takie urządzenia Philipsa jak USG, tomografy, rezonanse, angiografy czy urządzenia rentgenowskie, które służą do diagnostyki oraz leczenia opartego na technikach obrazowania. Nasze sprzęty dostępne są m.in. w pracowniach radiografii, kardiologii, onkologii, radiologii interwencyjnej oraz neuroradiologii. Mamy też urządzenia stosowane w terapii bezdechu sennego, schorzenia stanowiącego poważne zagrożenie dla zdrowia, gdzie diagnostyka i terapia mogą odbywać się w domu pacjenta.

Warto też jeszcze raz podkreślić rolę transformacji cyfrowej i nowych technologii. Jeszcze jakiś czas temu poszczególne urządzenia medyczne działały niezależnie. Dzisiaj na podstawie analizy systemów można zaprojektować wydajną placówkę służby zdrowia czy wprowadzić komunikację na linii lekarz–personel medyczny–pacjent. Nasze inteligentne systemy informatyki medycznej pomagają w integrowaniu systemów, gromadzeniu danych, usprawnianiu procesów oraz podejmowaniu decyzji klinicznych na podstawie jak najpełniejszego obrazu stanu pacjenta.

Przykładami takich rozwiązań są m.in. Philips IntelliSpace Portal – zaawansowana platforma wizualizacyjna oferująca zintegrowane rozwiązanie, przyspieszające i usprawniające pracę zespołów klinicystów w podejmowaniu decyzji, umożliwiające zarządzanie danymi medycznymi uzyskanymi w różnych badaniach. Warto wspomnieć również o wysoko wydajnej platformie do gromadzenia i prezentacji danych obrazowych Carestream Vue. Dzięki funkcjonalnościom diagnostycznym umożliwia szybką i precyzyjną diagnozę bez konieczności uruchamiania wielu specjalistycznych aplikacji. Umożliwia też konsultacje telemedyczne między klinicystami, a także zdalne dzielenie się wynikami i opisami badań z pacjentem.

Oczywiście tych rozwiązań jest znacznie więcej, ale to właśnie te wymienione wyżej cieszą się największą popularnością wśród podmiotów służby zdrowia w Polsce.

eprasa.pl c850b8daf1

Dekada immunoterapii

Rozmowa z Antonim Żarskim, dyrektorem generalnym firmy Bristol-Myers Squibb w Polsce

FOT. MATERIAŁY PRASOWE/IOPL1905269-01

Bristol-Myers Squibb, jako pierwsza firma farmaceutyczna na świecie, wprowadziła nowoczesną immunoterapię w leczeniu najpoważniejszych nowotworów. Co pana zdaniem jest największym osiągnięciem firmy, jeśli chodzi o terapie?

Będąc z wykształcenia lekarzem medycyny, czuję się dumny, że pracuję w firmie, która za cel postawiła sobie poszukiwanie nowych terapii onkologicznych i udostępnianie ich pacjentom.

Ostatnie 10 lat to okres, który możemy śmiało określić jako dekadę immunoterapii.

W latach 80. wprowadzono chemioterapię, następnie pojawiły się terapie celowane. Od roku 2011, w którym to firma Bristol-Myers Squibb zarejestrowała lek o nazwie ipilimumab stosowany w leczeniu zaawansowanego czerniaka, zaczęła się nowa era w terapii chorób onkologicznych. Kolejnym krokiem trzy lata później była rejestracja niwolumabu, który poszerzył możliwość stosowania immunoterapii w takich wskazaniach jak: rak płuca, nerki, pęcherza moczowego, nowotwory głowy i szyi oraz chłoniaki.

Immunoonkologia działa właśnie tam, gdzie dotychczasowe metody leczenia nowotworów okazały się zawodne lub krótkotrwałe.

Na czym polega immunoterapia? Dotychczasowe terapie działały na komórkę nowotworową i hamowały jej namnażanie. Immunoterapia koncentruje się zaś na układzie odpornościowym, odblokowuje go, dzięki czemu organizm zaczyna walczyć z chorobą. Takie leczenie przynosi spektakularne efekty.

Potwierdzeniem znaczenia tych terapii jest fakt, że w 2018 r. Komitet Noblowski wyróżnił pracę dwóch naukowców: prof. Jamesa Allisona z USA oraz Tasuku Honjo z Japonii. Otrzymali oni Nagrodę Nobla za badania, które przyczyniły się do opracowania nowej kategorii leków immunokompetentnych, które to firma Bristol-Myers Squibb udostępnia pacjentom.

Obydwa te leki wprowadzone przez naszą firmę były wielokrotnie nagradzane za swoją wartość kliniczną. W 2015 r. niwolumab został laureatem prestiżowej nagrody Prix Galien w kategorii innowacyjny produkt leczniczy stosowany w lecznictwie zamkniętym w Polsce

eprasa.pl c850b8daf1

i w wielu innych krajach na świecie. Dodatkowo w roku 2016 immunoonkologia została uznana przez Amerykańskie Towarzystwo Onkologii Klinicznej (ASCO) za największe osiągnięcie w onkologii w ostatnich latach.

Czy na tak spektakularne efekty mogą liczyć także polscy pacjenci? Kiedy najbardziej innowacyjne leki mają szanse pojawić się również w naszym kraju?

W Polsce terapie immunoonkologiczne dostępne są dla pacjentów chorujących na czerniaka, nowotwory płuca, nerki czy chłoniaka Hodgkina. Tak więc pacjenci ci leczeni są przy wykorzystaniu najnowszych osiągnięć medycyny. Przykładowo immunoterapia w leczeniu czerniaka już spowodowała prawdziwą rewolucję, ponieważ kilkakrotnie wydłużyła przeżycie chorych. Jeszcze osiem lat temu mediana przeżycia pacjentów z zaawansowanym czerniakiem wynosiła ok. sześciu miesięcy, a teraz prawie połowa chorych przeżywa cztery lata.

Badania kliniczne potwierdzają, że immunoterapia jest także skuteczna w leczeniu uzupełniającym leczenie chirurgiczne. Zastosowanie takiego leczenia w czerniaku może zmniejszyć ryzyko nawrotu choroby nawet o 20 proc. Pokazuje to, że aktywizacja układu odpornościowego na tym etapie może dawać szansę całkowitego wyleczenia. Z czymś takim nigdy wcześniej nie mieliśmy do czynienia. W Polsce z takiego leczenia korzysta obecnie kilkunastu pacjentów w ramach ratunkowego dostępu do technologii lekowych.

Kolejną grupą chorych, która może odnieść korzyść z immunoterapii, są dorośli pacjenci z płaskonabłonkowym rakiem głowy i szyi. Dla nich jest to szczególnie istotne, ponieważ immunoterapia jest nie tylko najbardziej skuteczną metodą leczenia, lecz także znacznie bezpieczniejszą niż chemioterapia czy radioterapia, co oznacza o wiele lepszą jakość życia.

Bardziej zaawansowaną opcją terapeutyczną, która może poprawić wyniki leczenia, jest terapia oparta na łącznym stosowaniu dwóch leków immunoonkologicznych. Obecnie dla pacjentów w Europie i innych krajach dostępna jest taka terapia w czerniaku i w raku nerki. Polscy pacjenci ciągle czekają na tę szansę. Cały czas prowadzimy rozmowy z Ministerstwem Zdrowia i szukamy optymalnego rozwiązania, które pozwoli jak najszybciej korzystać pacjentom z takich terapii.

Na terenie naszego kraju znajduje się centrala badań klinicznych Bristol-Myers Squibb dla regionu Europy Środkowo-Wschodniej. Czy polscy pacjenci z tego korzystają?

Tak. W Warszawie znajduje się centrala badań klinicznych prowadzonych na obszarze Europy Środkowo-Wschodniej, Turcji oraz Rosji.

Dla polskich pacjentów oznacza to m.in. możliwość uczestniczenia w badaniach klinicznych, których liczba w Polsce stale rośnie. Od początku istnienia firmy Bristol-Myers Squibb w Polsce, czyli od ponad 20 lat, przeprowadzono 313 badań klinicznych, w których wzięło udział prawie 9 tys. pacjentów.

Bristol-Myers Squibb prowadzi badania kliniczne w obszarze immunoonkologii i immunologii. Polscy badacze, którzy biorą udział w naszych badaniach, mają możliwość zdobywania doświadczenia w stosowaniu najnowocześniejszych leków i są współautorami międzynarodowych prac naukowych publikowanych w prestiżowych oraz renomowanych czasopismach medycznych, takich jak „New England Journal of Medicine" czy „Journal of Clinical Oncology".

Dodatkowo od listopada 2018 r. polscy pacjenci mogą korzystać z pierwszego w Polsce polskojęzycznego portalu Study Connect, zawierającego bazę aktualnie toczących się badań klinicznych. Stworzyliśmy skuteczne narzędzie, dzięki któremu pacjenci mogą znaleźć badania kliniczne i sprawdzić, czy kwalifikują się do wzięcia w nich udziału. Łatwa wyszukiwarka wskazuje nie tylko badania z bazy firmy Bristol-Myers Squibb, lecz także badania prowadzone przez inne firmy.

Oprócz badań klinicznych staramy się udostępniać nasze leki pacjentom w okresie między rejestracją leków a wprowadzeniem ich do systemu refundacji. Dzięki temu w ostatnich latach poprzez różne programy dostęp do najnowszych terapii poza systemem refundacyjnym zyskało ponad 400 pacjentów.

Firma BMS wielokrotnie trafiała do czołówki firm uznawanych za najlepszych pracodawców w Polsce. Dlaczego?

To, co nas wyróżnia, to kultura, którą tworzymy wewnątrz naszej organizacji. Potwierdzają to przyznane nam nagrody. Bristol-Myers Squibb w Polsce zdobyła trzy razy nagrodę Great Place to Work: w 2012 r. zdobyliśmy trzecie miejsce, a w latach 2010 i 2016 zajęliśmy pierwszą pozycję.

Nagrody te są dla mnie osobiście szczególnie istotne, ponieważ są związane z oceną kultury organizacji oraz oceną naszej firmy przez pracowników. Podczas ostatniego badania aż 95 proc. naszych pracowników potwierdziło w ankiecie, że „moja firma jest wspaniałym miejscem pracy". To, co nas wyróżnia, to konsekwencja w budowaniu kultury nastawionej na współpracę, transparentną komunikację, szacunek oraz włączanie pracowników w procesy decyzyjne. Ważne jest również oferowanie ciekawych możliwości rozwojowych, takich jak szkolenia w kraju oraz za granicą, programy coachingowe i mentoringowe oraz przede wszystkim możliwości awansów oraz rozwoju wewnątrz firmy.

Oprócz badań klinicznych staramy się udostępniać nasze leki pacjentom w okresie między rejestracją leków a wprowadzeniem ich do systemu refundacji

Dbamy również o zdrowie naszych pracowników, m.in. umożliwiając im regularne badanie znamion skóry. Jest to element profilaktyki czerniaka. Prowadzimy także wykłady edukacyjne zwiększające świadomość zdrowotną. Takie działania to część misji naszej firmy.

Na początku 2019 r. oficjalnie ogłoszono, że Bristol-Myers Squibb przejmie Celgene. Jak ta transakcja wpłynie na strategię rozwoju BMS?

Zarówno Bristol-Myers Squibb, jak i Celgene są firmami koncentrującymi się na poszukiwaniu nowych terapii onkologicznych i hematoonkologicznych. Nasze portfolia wzajemnie się uzupełniają. Wierzymy, że połączenie dwóch tak dużych firm, które za cel stawiają sobie wprowadzanie innowacyjnych leków, stworzy efekt synergii już na poziomie poszukiwania nowych cząsteczek i badań klinicznych.

Do czasu finalizacji transakcji obie spółki będą prowadzić działalność jako odrębne podmioty. Już teraz bardzo się cieszymy na to połączenie i wiemy, że będzie ono miało ogromne znaczenie dla pacjentów w Polsce i na całym świecie.

eprasa.pl c850b8daf1

Z Paulem van Arkelem, prezesem Grupy Novartis w Polsce
rozmawia Radosław Wojtas

Podjęliśmy zobowiązanie wobec polskich naukowców

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

RADOSŁAW WOJTAS: Na jakich obszarach terapeutycznych koncentruje swoje działania Novartis?

PAUL VAN ARKEL: Aktualnie koncentrujemy się na obszarach zbieżnych z priorytetami polityki zdrowotnej polskiego rządu, są to głównie innowacyjne leki i rozwiązania terapeutyczne znajdujące zastosowanie w onkologii, hematologii i chorobach sercowo-naczyniowych, a także układu oddechowego, neurologii, okulistyce, immunologii czy dermatologii. Stale udostępniamy przełomowe metody leczenia, a także wdrażamy całkowicie nowe podejście do leczenia wielu chorób. Znakomitym przykładem jest rozwój terapii komórkowych i genowych przez Novartis.

Wykraczamy tym samym poza dotychczas wyznaczone granice dostępnych możliwości i rozwijamy zupełnie nowe metody leczenia dla pacjentów zmagających się z wieloma wyniszczającymi chorobami, w tym zaburzeniami genetycznymi i niektórymi śmiertelnymi nowotworami. Dzięki inwestycjom w rozwój leków generycznych, a zwłaszcza leków biopodobnych w Sandoz Polska, spółce należącej do Grupy Novartis, umożliwiamy większej liczbie Polaków korzystanie z innowacyjnych leków po znacznie niższych cenach. Według szacunków wprowadzenie produktów biopodobnych przez Sandoz Polska przyczyniło się do obniżenia wydatków Narodowego Funduszu Zdrowia o potężną kwotę blisko 170 mln zł.

Inwestycje Novartis w Polsce sięgnęły w ostatnich dwóch latach 81,5 mln zł. Jak dużą część stanowią inwestycje w badania kliniczne?

Ta wartość odzwierciedla inwestycje Novartis w Polsce zrealizowane w ciągu ostatnich dwóch lat wyłącznie w obszarze badań klinicznych. W stosunku do wielkości kraju inwestujemy w Polsce w badania kliniczne więcej niż np. w Niemczech. Osobiście jestem szczególnie dumny z tego, że rośnie zaangażowanie Novartis w badania kliniczne realizowane na wczesnych etapach prac badawczych nad nowymi lekami w Polsce.

To stwarza nowe szanse dla polskich pacjentów, a także dla polskich naukowców. W ciągu ostatnich trzech lat udało nam się przeprowadzić 36 badań klinicznych wczesnych faz, w tym 24 we wskazaniach onkologicznych oraz 12 dla innych chorób nieonkologicznych. Nasza intensywność prac badawczo-rozwojowych w Polsce w 2017 r. wyniosła 6 proc. i jest to wynik znacznie powyżej średniej UE wynoszącej 3 proc. W porównaniu z 2016 r. podwo-

eprasa.pl c850b8daf1

iliśmy wysiłki badawcze. Zaangażowanie firmy we wspieranie rozwoju sektora biotechnologicznego pokazuje także, że Polska jest dla Novartis kluczowym rynkiem w Europie Środkowo-Wschodniej.

Czy badania kliniczne oznaczają dla pacjentów dostęp do najnowocześniejszych terapii, jeszcze niezarejestrowanych, również do produkowanych przez Novartis przełomowych leków onkologicznych i kardiologicznych? Konkretnie jakie terapie zostały w ostatnim czasie udostępnione pacjentom w badaniach klinicznych, również w badaniach wczesnych faz?

Tylko w 2018 r. w Polsce przeprowadziliśmy 128 badań klinicznych w ponad 350 ośrodkach badawczych z udziałem 2341 pacjentów. Oznacza to 35-procentowy wzrost liczby badań klinicznych rok do roku. W ubiegłym roku Novartis prowadził badania kliniczne m.in. w takich wskazaniach jak: niewydolność serca, rdzeniowy zanik mięśni (SMA), sarkoidoza płuc, cukrzyca, neuropatia cukrzycowa, przewlekła obturacyjna choroba płuc (POChP), toczeń rumieniowaty układowy (SLE).

W obszarze onkologii i hematologii realizowaliśmy badania kliniczne w takich obszarach jak przewlekła białaczka szpikowa, rak płuca, szpiczak mnogi, rak piersi czy ostra białaczka limfoblastyczna u dzieci.

Jaki udział mają polscy naukowcy i ośrodki badawcze w tworzeniu nowych rozwiązań w terapiach genowych i komórkowych?

Dzięki wysoko wykwalifikowanym naukowcom i dobrze przygotowanym ośrodkom badawczym badania kliniczne w Polsce są dziedziną badań i rozwoju z ogromną perspektywą wzrostu. Zwłaszcza wczesne etapy badań klinicznych stanowią nieocenioną szansę na zdobycie unikalnych umiejętności i wzmocnienie kompetencji polskich badaczy.

Jeśli chodzi o nasze zaangażowanie w rozwój terapii komórkowej i genowej, to podjęliśmy wielkie zobowiązanie wobec polskich naukowców poprzez współpracę z Kliniką Transplantacji Szpiku, Onkologii i Hematologii we Wrocławiu. Współpracujemy z klinicystami w zakresie udostępnienia wiedzy i przygotowania ośrodka do zastosowania terapii CAR-T. Jesteśmy przekonani, że to partnerstwo usprawni wdrażanie CAR-T w Polsce. Co więcej, jesteśmy dumni, że polscy naukowcy są zaangażowani w większość naszych globalnych, przełomowych odkryć. Chcielibyśmy podwoić liczbę badań klinicznych Novartis w Polsce, umożliwiając tym samym dalszy rozwój umiejętności polskich naukowców i wzrost znaczenia polskich ośrodków badawczych na arenie międzynarodowej.

W fabryki na terenie Polski Novartis zainwestował już ponad 750 mln zł. Jakie leki produkowane są w naszym kraju?

Intensywnie inwestujemy w zakłady produkcyjne w Polsce. W rezultacie skala działania naszych fabryk – zarówno w obszarze produkcji leków, jak i pakowania – jest ogromna.

Co więcej, zdolność produkcyjna naszych zakładów, obecnie ukierunkowanych głównie na eksport, pozwoliłaby nam zaspokoić połowę polskiego zapotrzebowania na leki na receptę. Produkty wytwarzane i pakowane w naszym kraju są często lekami pierwszej potrzeby stosowanymi w leczeniu wielu powszechnych chorób. Aby zobrazować skalę produkcji Novartis w Polsce, przytoczę liczby: ok. 1,5 tys. produktów wytwarzanych i pakowanych w naszych zakładach produkcyjnych w Strykowie oraz Warszawie trafia docelowo do chorych w 60 krajach na całym świecie. Co roku wytwarzamy i pakujemy 8 mld tabletek, obsługując ok. 600 zleceń produkcyjnych miesięcznie, dzienne zużycie materiałów w naszych fabrykach to zaś ok. 10 ton.

Fabryka w Strykowie pod Łodzią jest jednym z najnowocześniejszych tego typu obiektów na świecie. Jakie znaczenie ma ona dla Novartis jako firmy globalnej? Ile osób zatrudnia w Polsce? Czy ma to przełożenie na polską gospodarkę?

To rzeczywiście istotna szansa dla polskiej gospodarki. Grupa Novartis to dziś właściwie największy międzynarodowy gracz na polskim rynku, obecny w Polsce na każdym etapie rozwoju, produkcji i dostarczania pacjentom leków – zarówno innowacyjnych, jak i generycznych oraz biopodobnych. Uważamy się jednak za „glokalnych" – firmę, która łączy globalne doświadczenie i know-how przekazywane lokalnie w Polsce w zróżnicowanych obszarach działalności, a więc od badań i rozwoju przez procesy produkcyjne do wspierania budowy całego ekosystemu dla rozwoju sektora biotechnologicznego w Polsce.

Warto zauważyć, że fabryka w Strykowie już dziś jest jedną z największych i najbardziej wydajnych w całej Europie. A my wciąż jesteśmy w stanie zwiększać skalę jej działania. Tylko w zakładach produkcyjnych zatrudniamy ponad 900 osób, zaś działalność Grupy Novartis w Polsce tworzy łącznie ok. 9 tys. miejsc pracy. Nasz wpływ na gospodarkę odzwierciedla z jednej strony skala produkcji, z drugiej – realny wzrost dostawców i lokalnych partnerów. Niektórzy z nich, dzięki dostarczaniu usług i produktów do Strykowa, stali się ważnymi dostawcami dla Novartis na arenie międzynarodowej.

Z dostarczanych przez Novartis leków korzysta 1 mln polskich pacjentów rocznie. Są wśród nich leki na migrenę. Migrena to dziś poważny problem? Ilu osób dotyka?

Migrena to poważny problem, i to nie od dziś. Chociaż jest znana od tysięcy lat, to niestety nadal przez wiele osób jest bagatelizowana jako zwykły ból głowy. To powoli się zmienia, coraz częściej lekarze i pacjenci rozumieją, że migrena to poważne schorzenie neurologiczne, które należy diagnozować i leczyć. Naukowcy szacują, że co siódma osoba na świecie choruje na migrenę. W Polsce według raportu „Społeczne znaczenie migreny z perspektywy zdrowia publicznego i systemu ochrony zdrowia" na migrenę cierpi ponad 3,5 mln Polaków, a 400 tys. ma ciężką postać migreny przewlekłej. To jest bardzo duża liczba pacjentów w skali polskiego społeczeństwa.

Z pozoru niewinny ból głowy ma całkiem poważne konsekwencje, także ekonomiczne. Czy są znane koszty społeczne nieefektywnego leczenia migreny w Polsce?

Migrena to nie tylko silny ból głowy. Jej atakom towarzyszą też inne objawy, takie jak: nudności, światłowstręt, nadwrażliwość na dźwięki czy zapachy. Atak potrafi trwać nawet trzy doby, a po nim – nawet gdy ból mija – chory dochodzi do siebie kilka dni. Co ważne, migrena dotyka głównie ludzi w wieku produkcyjnym, którzy się uczą, pracują, opiekują się dziećmi. Atak choroby powoduje, że nie mogą tego robić. Z badań Narodowego Instytutu Zdrowia PZH wynika, że w 2018 r. zarejestrowano łącznie ponad 95 tys. dni absencji chorobowej właśnie z tytułu zwolnień lekarskich wystawionych osobom z rozpoznaniem migreny. To są konkretne koszty związane z nieobecnością w pracy lub obniżoną wydajnością, które ponoszą system ubezpieczeń społecznych i pracodawcy. Koszty pośrednie ataków migrenowych są o wiele wyższe niż same koszty leczenia i szacowane są na 8,5 mld zł! To jest ogromna kwota. Nie możemy przejść obok niej obojętnie. Pomagając osobom z migreną, poprawiamy ich komfort życia, ale uwalniamy też duży potencjał gospodarczy.

PL0902165

eprasa.pl c850b8daf1

Z Sebastianem Szymankiem, prezesem zarządu Polpharma BH sp. z o.o.
rozmawia Dorota Świrydowicz

Kryzysom lekowym trzeba zapobiec

DOROTA ŚWIRYDOWICZ: Coraz więcej Polaków obawia się braku leków w aptekach. Trzech na czterech doświadczyło tych niedoborów. Jaka jest ich przyczyna?

SEBASTIAN SZYMANEK: Są trzy podstawowe powody. Pierwszy to ceny. Przyjęta w 2011 r. ustawa refundacyjna przyniosła płatnikowi spore oszczędności na refundacji, ale w efekcie ceny w Polsce są znacznie niższe niż w innych krajach Unii Europejskiej. A to niestety powoduje, że wywóz leków z kraju stał się opłacalny. Ten proceder nadal kwitnie mimo licznych prób jego ograniczania.

Można skutecznie przeciwdziałać temu zjawisku?

Trzeba mieć narzędzia do „namierzania" eksportu, prawo, które penalizuje takie nielegalne działania, i doprowadzić do tego, żeby kara za nie była nieuchronna.

W ostatnich latach wiele zrobiono w zakresie legislacyjnym. Prawnie próbujemy w Polsce zamknąć wszystkie bramki, przez które „uciekają" leki. Większy problem mamy z monitorowaniem ich wywozu. Być może warto w tym przypadku wykorzystać serializację – nowe narzędzie, które pojawiło się w roku 2019. Skoro każda seria wprowadzona na dany rynek jest rejestrowana i w Polsce, i w hubie europejskim, a potem wyrejestrowywana w momencie transakcji w aptece, to można porównać te dane. Jeśli dana seria wprowadzona na rynek w Polsce znalazła się w sprzedaży np. w Hiszpanii, to tam trzeba spytać o pochodzenie leku i po nitce dojść do kłębka.

Z moich obserwacji wynika jednak, że największym wyzwaniem jest nieuchronność kary, i myślę, że tu jest najwięcej do poprawienia.

Jaka jest druga przyczyna braku leków? Prasa pisała o zmykaniu fabryk w Chinach.

Rzeczywiście, powstały problemy z dostępnością API, czyli substancji czynnej leku, i intermediatów – podstawowych składników do produkcji API. Kłopot jest globalny, ponieważ przez wiele lat następowała koncentracja produkcji API i intermediatów w krajach azjatyckich. Z uwagi na mniejsze restrykcje dotyczące m.in. ochrony środowiska i skalę produkcji ceny oferowane przez tamtejszych producentów były tak konkurencyjne, że stopniowo zdominowali oni światowy rynek. Teraz, gdy rządy np. Chin zaostrzają wymogi środowiskowe,

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl c850b8daf1

część fabryk jest lub będzie zamykana. W efekcie wielu producentów leków nie dostaje na czas potrzebnych składników.

Czy można produkcję substancji czynnych przenieść z Azji do Europy?

Szybko da się zrobić niewiele. Jeżeli chcielibyśmy przywrócić tę produkcję w Polsce i Europie, to powinniśmy mówić o poważnych zachętach, bo to są inwestycje, które mają szansę zwrócić się po wielu latach. Polpharma jest ostatnim producentem API na dużą skalę w Polsce. To jednak produkcja mało rentowna, a cykl inwestycyjny jest długi. Dzisiaj produkujemy 42 molekuły, a 13 rozwijamy. W części tych produktów posiadamy całkiem znaczący udział rynkowy, również na świecie.

Jeśli chodzi o działania doraźne, to producenci starają się budować zapasy API, żeby uniknąć braków towarowych w przypadku opóźnień dostaw surowców. Zwiększony popyt, chociażby przez ryzyko twardego brexitu, wcale nie pomaga w pozyskaniu tych zapasów.

A trzeci powód?

Jest bodaj najważniejszy. To priorytetyzacja rynków.

Brzmi skomplikowanie.

Jest jednak proste. Zadajmy sobie pytanie: Dla jakich firm Polska jest rynkiem priorytetowym? Z dużym prawdopodobieństwem można stwierdzić, że dla tych, które prowadzą w Polsce znaczącą działalność produkcyjną i rozwojową. One traktują nasz rynek priorytetowo. W momencie, gdy z różnych powodów – chociażby awarii maszyn czy opóźnienia w dostawie któregokolwiek elementu – nie uda się wyprodukować zakładanych ilości leku, firma musi podjąć decyzję, na które rynki towar trafi, a które muszą poczekać. Dla nas w Polpharmie Polska jest zawsze priorytetem. Z rozmów z innymi krajowymi producentami wiem, że dla nich również. Dlatego w naszym interesie jest zapewnienie bezpieczeństwa lekowego krajowi.

Czym właściwie jest bezpieczeństwo lekowe?

To silny krajowy przemysł farmaceutyczny i uniezależnienie się od importu leków. Dzisiaj przewyższa on eksport o mniej więcej 4 mld euro. Bezpieczeństwo lekowe jest równie ważne jak bezpieczeństwo energetyczne i żywnościowe.

Polpharma w liczbach

To największa polska firma farmaceutyczna. W Polsce ma pięć zakładów produkcyjnych, trzy ośrodki badań i rozwoju, zatrudnia ponad 4,7 tys. pracowników. Jest zaliczana do grona najważniejszych 10 Championów Narodowych (raporty „Polityka Insight 2018" i „Polityka Insight 2019"). W ostatnich dwóch latach zainwestowała w Polsce ponad 580 mln zł w badania i rozwój oraz prawie 600 mln zł w aktywa trwałe oraz wartości niematerialne i prawne. Skupia się też na ekspansji zagranicznej, co przekłada się na rosnący eksport (ponad 700 mln zł rocznie). Zarejestrowana jako Polska Podatkowa Grupa Kapitałowa; w Polsce płaci podatki.

Przemysł farmaceutyczny to branża strategiczna?

W Strategii na rzecz Odpowiedzialnego Rozwoju premier Mateusz Morawiecki jasno wykazał, że to jedna z gałęzi przemysłu, na którą powinniśmy stawiać, bo ma ona budować innowacyjną gospodarkę. Przemysł farmaceutyczny opiera się na produktach wysokich technologii. We wszystkich krajach jest jednym z motorów rozwoju innowacji. W Polsce jego udział w produkcji przemysłowej wynosi 1,1 proc., ale ten sektor ma aż 30-procentowy udział we wszystkich nakładach na innowacje w naszej gospodarce. Na przykład Polpharma w ciągu ostatnich dwóch lat zainwestowała łącznie 1,1 mld zł, w tym 580 mln w badania i rozwój.

Jakie zachęty mógłby stworzyć rząd dla rozwoju krajowego przemysłu farmaceutycznego?

Od kilku lat w ramach dialogu z resortami: zdrowia, przedsiębiorczości i technologii oraz inwestycji i rozwoju apelujemy o stworzenie systemu zachęt. Od trzech lat dyskutujemy o możliwości wdrożenia RTR, czyli refundacyjnego trybu rozwojowego.

Na czym RTR miałby polegać?

Na stworzeniu, opierając się na obiektywnych kryteriach, rankingu czy punktacji dla przedsiębiorców, którzy prowadzą w Polsce działalność produkcyjną i rozwojową. Firmy zrzeszone w Polskim Związku Pracodawców Przemysłu Farmaceutycznego wskazują, że te kryteria nie są trudne do wypracowania. Skoro mielibyśmy premiować działalność inwestycyjno-rozwojową w Polsce, to wydają się dość oczywiste. Przykładowe parametry, które można wziąć pod uwagę, to: wpływ firmy na PKB, czyli wartość produkcji przemysłowej w Polsce, wniesione podatki i bilans import-eksport.

Można również dyskutować na temat wpływu na bazę zatrudnienia, np. ocenić jego wielkość, odprowadzone składki itp. Kolejne kryterium to oddziaływanie firmy na innowacyjność gospodarki. Czyli nakłady na prace badawczo-rozwojowe, wliczając nakłady na prowadzone w Polsce badania kliniczne pierwszej i drugiej fazy, a także nakłady na wartości niematerialne i prawne, wreszcie inwestycje w infrastrukturę produkcyjną i rozwojową.

Pozostaje kwestia wyboru, które kryteria są najważniejsze i jaką wagę nadać poszczególnym elementom, ale naprawdę nie mówimy tu o wynalezieniu koła. Potrzebna jest po prostu wola polityczna, żeby dokończyć ten temat.

Do czego służyłby RTR?

Moglibyśmy go używać np. przy decyzjach refundacyjnych, w dyskusjach o paybacku [opłata wnoszona przez firmy farmaceutyczne w razie przekroczenia budżetu przeznaczonego na refundację – przyp. red.], ulgach podatkowych itp.

Naszym celem powinno być stworzenie długotrwałych zachęt dla inwestorów w celu lokalizacji bazy produkcyjnej i rozwojowej właśnie w Polsce, bo to nie tylko wpłynie na rozwój i innowacyjność naszej gospodarki, lecz także poprawi nasze bezpieczeństwo lekowe.

Udało się przyciągnąć jakieś duże inwestycje?

Trudno wskazać spektakularne przykłady. W interesie polskich podatników i pacjentów leży powstanie silnego krajowego przemysłu farmaceutycznego. Nieważne, czy inwestorzy będą pochodzić z Francji, USA czy Polski. Ważne, żeby tutaj produkowali leki, i najlepiej, żeby tu rozwijali własność intelektualną. Z każdej złotówki wydanej przez polskiego pacjenta na lek wyprodukowany w Polsce aż 78 gr powiększa nasz PKB. A większy PKB to więcej pieniędzy na terapie. Postarajmy się więc, żeby jak najwięcej tych złotówek było wydawanych na leki, które są u nas rozwijane i produkowane.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

Z Avim Matanem, dyrektorem generalnym Novartis Oncology

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Terapia CAR-T została określana mianem przełomu w onkologii, zwłaszcza w hematoonkologii. Wielu pacjentów wiąże z nią ogromne nadzieje. Novartis jako pierwsza firma zarejestrował tę terapię jako lek. Jak długo trwały prace nad opracowaniem tej technologii i na czym polega jej innowacyjność?

AVI MATAN: W hematoonkologii pojawiały się leki, które zmieniły bieg niektórych chorób, przekształcając je ze śmiertelnych w przewlekłe. Dobrym przykładem jest imatynib w leczeniu przewlekłej białaczki szpikowej. Rozwój terapii CAR-T to kolejny krok milowy dający pacjentom nadzieję.

Technologia CAR-T była rozwijana przez wiele lat. Firma Novartis nawiązała współpracę z Uniwersytetem w Pensylwanii w celu dalszego badania, opracowania i komercjalizacji terapii komórkami CAR-T. Dzisiaj za sukcesem CAR-T stoi nauka w połączeniu z siłą ludzkiego organizmu. To „żywy lek" wytwarzany indywidualnie dla danego pacjenta poprzez przeprogramowanie komórek układu odpornościowego.

Co to znaczy „żywy lek"?

Organizm każdego dnia wytwarza komórki nieprawidłowe, które układ odpornościowy rozpoznaje i zwalcza. To właśnie limfocyty T identyfikują cząsteczki typowe dla nowotworu. Bywa, że system zawodzi i nowotwór wymyka się spod kontroli układu odpornościowego. Mechanizm terapii CAR-T polega na tym, aby uzbroić limfocyty T w narzędzia zdolne do walki – przetransportowane z powrotem do krwi stają się indywidualnie przygotowanym dla danego pacjenta lekiem.

Terapia CAR-T jest stosowana u chorych, u których wszystkie dotychczasowe opcje leczenia zawiodły, którzy praktycznie nie mieli szans na życie. Efekty zastosowania tej terapii w przypadku ostrej białaczki limfoblastycznej: 62 proc. przeżyć bez nawrotu po 24 miesiącach, wydają się wręcz rewelacyjne...

Rzeczywiście, CAR-T to terapia „ostatniej szansy". Wyniki badań są bardzo obiecujące. To zmiana perspektywy dla pacjentów, którym obecnie medycyna nie może zaoferować nic więcej, a standardy terapeutyczne są nieskuteczne. Eksperci mówią o terapii CAR-T, że jest to nadzieja dla pacjentów bez nadziei. Działanie

eprasa.pl c850b8daf1

terapii pokazuje historia pierwszej pacjentki, u której w wieku pięciu lat zdiagnozowano ostrą białaczkę limfoblastyczną – najczęstszy u dzieci, agresywny, zagrażający życiu nowotwór krwi. Po wyczerpaniu wszystkich opcji leczenia włączono ją do badania klinicznego z zastosowaniem CAR-T. Dzisiaj Emily ma 14 lat i od siedmiu lat pozostaje w remisji. Jest zdrową i aktywną nastolatką.

Czy Novartis prowadzi kolejne badania nad zastosowaniem terapii CAR-T także w innych nowotworach? Czy może ona stać się w pewnym sensie terapią uniwersalną?

Nadzieja

dla pacjentów bez nadziei

CAR-T to przede wszystkim terapia indywidualna. Na świecie trwa wiele badań klinicznych z CAR-T i możemy jedynie mieć nadzieję, że jej działanie okaże się skuteczne w walce z innymi rodzajami nowotworów. W 2019 r. Novartis rozpoczyna siedem badań z zastosowaniem CAR-T, nowych lub rozszerzonych wskazań w leczeniu drugiej linii chłoniaka rozlanego z dużych komórek B, ostrej białaczki limfoblastycznej u dorosłych, ostrej białaczki limfoblastycznej wysokiego ryzyka u dzieci, chłoniaka grudkowego, chłoniaka nieziarniczego u dzieci. Będziemy podejmować próby zastosowania CAR-T w leczeniu chłoniaka rozlanego z dużych komórek B w połączeniu z ibrutynibem i z pembrolizumabem. Aktywnie badamy również kombinacje, takie jak łączenie różnych CAR-T.

Jakie są ograniczenia i niebezpieczeństwa zastosowania terapii CAR-T? Czy jest to terapia dla każdego? Jakich skutków ubocznych należałoby się obawiać?

Szczególny, zindywidualizowany charakter terapii komórkowej CAR-T i bezwzględna konieczność zapewniania najwyższego bezpieczeństwa pacjentom wymagają odpowiedniej infrastruktury i dobrze przygotowanego zespołu specjalistów. Podanie CAR-T wiąże się np. z opanowaniem działań niepożądanych. Chorzy, którzy kwalifikują się do podania CAR-T, są każdorazowo informowani o ryzyku i schemacie działania terapii. W wyniku intensywnej aktywacji immunologicznej i uwolnienia znacznej liczby cytokin może dojść do obrzęku płuc czy gorączki. Wówczas dobrze przygotowany zespół lekarzy i odpowiednie leki starają się te objawy odwrócić.

Proces certyfikacji i dostosowania do norm ośrodków, w których odbywa się leczenie terapią CAR-T, jest globalnie uniwersalny. Polskie ośrodki, które są na liście ośrodków europejskich CAR-T, również go przechodzą. Prowadzone są już szkolenia, aby umożliwić możliwie szybki i bezpieczny dostęp pacjentów do terapii. W Polsce chętnie wspieramy też wymianę wiedzy z bardziej doświadczonymi ośrodkami i współpracę między ośrodkami polskimi i zagranicznymi.

Terapia CAR-T nie jest typowym lekiem. Nazywa się ją „produktem leczniczym terapii zaawansowanej, przygotowanym na potrzeby każdego pacjenta". Co to właściwie oznacza?

Terapia CAR-T jest przygotowywana indywidualnie dla każdego pacjenta poprzez przeprogramowanie jego własnych komórek układu odpornościowego. W praktyce wygląda to tak, że w specjalistycznym procesie filtrowania krwi (leukaferaza) izolowane są leukocyty, w tym limfocyty T. Następnie są one zamrażane i przekazywane do laboratorium w celu modyfikacji. Za pomocą wektora wirusowego limfocyty T zostają genetycznie zaprogramowane tak, aby rozpoznawały komórki nowotworu. Następnie nowo utworzone komórki CAR-T ulegają namnażaniu i trafiają z powrotem do krwi pacjenta. Tak zaprogramowane komórki CAR-T są w stanie rozpoznać komórki nowotworowe, przyłączyć się do nich i aktywnie je zniszczyć.

Czy w badaniach klinicznych nad terapią CAR-T uczestniczyli polscy badacze i polskie ośrodki?

Globalne badania rejestracyjne były prowadzone w bardzo wąskim gronie wysoce wyspecjalizowanych, spełniających restrykcyjne kryteria ośrodkach. ELIANA, czyli badanie nad terapią CAR-T z udziałem pediatrycznych pacjentów cierpiących na ostrą białaczkę limfoblastyczną, zostało przeprowadzone w 25 ośrodkach z 11 krajów (w Europie: Austria, Belgia, Francja, Niemcy, Włochy, Norwegia i Hiszpania). JULIET, czyli badanie z udziałem dorosłych pacjentów z chłoniakiem z rozlanych komórek B, odbyło się w 27 ośrodkach w 10 krajach (w tym w Europie – Austria, Francja, Niemcy, Włochy, Norwegia i Holandia). Wierzymy, że wraz z zakończeniem procesu certyfikacji ośrodków w Polsce będziemy mogli przyciągnąć badania kliniczne z zastosowaniem CAR-T.

Są już polscy pacjenci, którzy otrzymali terapię CAR-T, jednak było to możliwe tylko w ośrodkach zagranicznych. Jakie warunki muszą być spełnione, by te terapie mogły być stosowane w Polsce?

W Polsce, podobnie jak w innych krajach, ośrodek musi spełniać surowe wytyczne w odniesieniu do przygotowania personelu, umiejętności dostosowania się do restrykcyjnych wymagań terapii, możliwości zapewnienia pełnego bezpieczeństwa. Jako Novartis jesteśmy w pełni zaangażowani w lokalny proces dostosowywania infrastruktury i odpowiednich wymagań na poziomie wybranych szpitali.

Czy firma już podjęła starania o to, żeby terapia CAR-T stała się w Polsce dostępna dla pacjentów i refundowana?

Tuż po rejestracji terapii w Europie podjęliśmy rozmowy inicjujące zarówno z Ministerstwem Zdrowia, jak i centralą firmy. Jednak po to, by w praktyce rozpocząć rozmowę o możliwości udostępnienia terapii CAR-T w Polsce, konieczna jest aktualizacja prawa. Zgodnie z dzisiejszymi regulacjami, rozpoczynając proces refundacji leku, trzeba go fizycznie posiadać w kraju, co w przypadku indywidualnie przygotowywanej terapii dla konkretnego pacjenta jest niemożliwe. Wierzę, że przy istniejącej już świadomości konieczności zmian podjęte zostanie konkretne działanie, które umożliwi dostęp polskim pacjentom do tej rewolucyjnej technologii.

PL190807 20735

eprasa.pl c850b8daf1

Cyfrowy skok w polskiej medycynie

Model leczenia na miarę XXI w. coraz śmielej wchodzi do Polski. Jak zauważają autorzy raportu „Value Based Healthcare – nowa definicja ochrony zdrowia i jej wpływ na poprawę jakości leczenia", polski pacjent jest nie tylko gotowy, lecz także chętny na przyjęcie większej roli w procesie leczenia. Podpisany list intencyjny przez firmę Philips i Centrum Onkologii – Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie to jeden z przykładów praktycznych prac nad jego wdrożeniem w Polsce

Sztuczna inteligencja, hurtownie danych (tzw. Data Warehouse) oraz nowoczesne technologie medyczne w onkologii – to tylko część obszarów, w których współpracować ma firma Philips oraz Centrum Onkologii – Instytut im. Marii Skłodowskiej-Curie (COI). Zgodnie z podpisanym w lipcu listem intencyjnym przyszłe wspólnie realizowane projekty będą obejmowały również inwestycje oraz badania w obszarze monitorowania i analityki parametrów życiowych (w kontekście podejmowania decyzji klinicznych), a także wspieranie rozwoju cyfrowej patomorfologii.

– Nasza współpraca otwiera nowy rozdział wdrażania Value Based Healthcare oraz innowacyjnych cyfrowych technologii w medycynie. Ochrona zdrowia oparta na wartościach w połączeniu z kompleksową digitalizacją jest kluczem do sukcesu transformacji służby zdrowia i odpowiedzią na wyzwania, które przed nią stoją – podkreśla Reinier Schlatmann, prezes Philips w krajach Europy Środkowo-Wschodniej. – Bardzo nas cieszy, że wspólnie z Centrum Onkologii – Instytutem im. Marii Skłodowskiej-Curie będziemy pracować nad rozwiązaniami tak istotnymi dla pacjentów i lekarzy, a także dla sukcesu modelu VBHC w Polsce – dodaje Schlatmann.

PŁACIĆ ZA EFEKTY

Pod terminem „Value Based Healthcare" – wypromowanym przez profesora Uniwersytetu Harvarda Michaela Portera – kryje się ochrona zdrowia oparta na wartościach. Innymi słowy, zgodnie z ideą VBHC należy skupić się nie na samym fakcie świadczenia usług medycznych, ale na efektach kompleksowej poprawy zdrowia i jakości życia pacjenta. Dzięki zastosowaniu tego modelu można uzyskać wysoką skuteczność leczenia, która jednocześnie jest efektywna kosztowo. I nie jest to wcale pieśń przyszłości. Idea VBHC od kilku, kilkunastu lat zyskuje na popularności w takich krajach jak Dania, Hiszpania, Holandia, Francja, Finlandia, Szwecja, Szwajcaria, Włochy, Wielka Brytania oraz Stany Zjednoczone. I chociaż to stosunkowo krótki okres, to w obszarach, w których udało się już wdrożyć tę koncepcję, widać istotną poprawę wyników terapeutycznych.

Zmianę paradygmatu w służbie zdrowia widać już również w Polsce, np. w leczeniu pacjentów onkologicznych. Minister zdrowia prof. Łukasz Szumowski rozpoczęcie transformacji modelu systemu ochrony zdrowia w Polsce w kierunku płacenia za efekty uznał za jeden ze swoich priorytetów na rok 2019. Zwolennikiem wdrożenia tego modelu jest również prof. Piotr Czauderna, koordynator Sekcji Ochrony Zdrowia w powołanej przez prezydenta Andrzeja Dudę Krajowej Radzie Rozwoju. Taki sposób myślenia jest konieczny. W przeciwnym

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. ADOBE STOCK

razie systemy opieki mogłyby nie udźwignąć rosnących kosztów leczenia, a te – według prognozy analityków firmy doradczej Deloitte zawartej w raporcie „2019 Global Health Care Outlook. Shaping the Future" – w perspektywie lat 2017–2022 będą rosły średnio o 5,4 proc. i osiągną w skali globalnej poziom 10 bln dol.

Ani urzędnicy, ani eksperci nie mają jednak wątpliwości: taka transformacja będzie trwała wiele lat. A żeby ideę VBHC móc z sukcesem wcielić w życie, trzeba połączyć ją nie tylko ze zmianą sposobu myślenia najważniejszych podmiotów w systemie ochrony zdrowia, lecz także z wdrażaniem nowych technologii, rozwojem sztucznej inteligencji, unowocześnianiem systemów informatycznych w placówkach zdrowotnych i tworzeniem ogromnych baz danych (tzw. hurtowni danych – są one konieczne, aby móc analizować dużą liczbę danych i na ich podstawie podejmować decyzje o najskuteczniejszym sposobie leczenia). Według firmy doradczej Deloitte do roku 2022 innowacyjne rozwiązania IT pomogą usprawnić zarządzanie danymi pacjentów, a także ułatwią konieczną rewolucję w sektorze opieki medycznej. Ciągłe monitorowanie stanu zdrowia pacjentów – m.in. przy użyciu aplikacji i urządzeń noszonych na ciele – umożliwi bowiem promowanie efektywnych kosztowo działań profilaktycznych.

POLACY GOTOWI NA ZMIANĘ

Jak zauważają autorzy raportu „Value Based Healthcare – nowa definicja ochrony zdrowia i jej wpływ na poprawę jakości leczenia", polski pacjent jest nie tylko gotowy, lecz także chętny na przyjęcie większej roli w procesie leczenia.

Autorzy raportu powstałego przy współpracy Polskiej Koalicji Medycyny Personalizowanej (PKMP), Instytutu Innowacji Odpowiedzialnego Rozwoju INNOWO i Centrum Onkologii – Instytutu im. Marii Skłodowskiej-Curie, pod redakcją naukową prof. dr hab. Eweliny Nojszewskiej z SGH i prof. dr. hab. Jana Walewskiego z COI (jego współautorami są prof. dr hab. Joanna Chorostowska-Wynimko, dr hab. Marcin Czech, dr Beata Jagielska, dr hab. Arkadiusz Karwacki, dr Iga Lipska, prof. dr hab. Andrzej Marszałek, prof. dr Iwona Skrzekowska-Baran, dr Agnieszka Sznyk oraz Adam Twarowski), podkreślają, że chęć pełnej współpracy z chorym – w zakresie medycznym, technicznym czy dokumentacji deklarują także polscy lekarze. „Uczestnicy polskiej służby zdrowia są gotowi na zmianę" – czytamy w opublikowanej w lipcu informacji prasowej.

Otwartość na duże technologiczne zmiany w systemie opieki zarówno po stronie pacjentów, jak i lekarzy widać też w wynikach opublikowanej niedawno czwartej edycji raportu „Future Health Index" 2019, a jednocześnie pierwszej edycji FHI, w której wśród 15 badanych krajów z pięciu kontynentów znalazła się Polska. Raport ten pokazuje, że cyfrowa rewolucja w polskiej medycynie już się rozpoczęła: aż 79 proc. wśród ankietowanych Polaków używa bowiem cyfrowych technologii oraz mobilnych aplikacji monitorujących stan zdrowia w celu mierzenia przynajmniej jednego parametru zdrowotnego (m.in. do mierzenia tętna, monitorowania aktywności fizycznej czy kontroli diety). 42 proc. badanych dzieli się tego typu danymi w przypadku zagrożenia zdrowia, 17 proc. przekazuje je zawsze lub prawie zawsze podczas wizyty u lekarza, a 6 proc. przesyła swoje wyniki na bieżąco (także między wizytami). Z raportu „Future Health Index" wynika także, że aż 82 proc. Polaków chciałoby mieć stały dostęp do swoich wyników i historii medycznej (średnia z 15 badanych krajów to 63 proc.). 69 proc. wśród tych Polaków, którzy mają dostęp do swoich danych medycznych, deklaruje zaś, że chciałoby, aby dostęp do tych danych miał także ich lekarz. Pozytywny wpływ nowoczesnych technologii dostrzegają także pracownicy polskiej służby ochrony zdrowia. Z raportu FHI wynika, że już ponad połowa z tych lekarzy, którzy mają dostęp do historii pacjenta dzięki cyfrowym danym medycznym, wskazuje na ich pozytywny wpływ na jakość swojej pracy (62 proc.), satysfakcję z niej (54 proc.) i na zadowolenie z rezultatów samych pacjentów (56 proc.). Prawie połowa polskich lekarzy radzi więc pacjentom, aby mierzyli podstawowe parametry zdrowotne, takie jak ciśnienie, aktywność ruchowa i dieta, za pomocą aplikacji mobilnych. Nie ograniczają się jednak tylko do porad i sami również aktywnie korzystają z cyfrowej rewolucji. Przynajmniej z jednego rozwiązania w obszarze cyfrowych technologii medycznych lub aplikacji mobilnych korzysta już 77 proc. polskich lekarzy (średnia dla 15 państw wynosi 78 proc.). Coraz więcej lekarzy dostrzega też korzyści płynące z wykorzystania w medycynie sztucznej inteligencji (np. do monitorowania zdrowia pacjenta).

– Cały region Europy Środkowo-Wschodniej niezwykle mocno zaangażował się w transformację cyfrową systemów ochrony zdrowia. To bardzo ważny krok w drodze usprawniania opieki zdrowotnej i wprowadzania nowych sposobów leczenia oraz zarządzania naszym zdrowiem. Oczywiście technologie to jedynie element środowiska cyfrowej transformacji, którego fundamentem są ludzie, kultura organizacyjna, procesy i strategie działania – zauważa Michał Kępowicz, dyrektor ds. relacji strategicznych w firmie Philips
– zauważa Michał Kępowicz, dyrektor ds. relacji strategicznych w firmie Philips.

Jednym z wyzwań stojących przed lekarzami jest możliwość bezpiecznego dzielenia się informacjami medycznymi o stanie zdrowia pacjentów poza własnymi placówkami. W tej dziedzinie Polska plasuje się sporo poniżej światowej średniej. Polscy lekarze wskazują, że przyczyną takiego stanu rzeczy jest brak dostępu do systemów przesyłania danych (62 proc.), brak interoperacyjności między systemami (55 proc.), a także obawy związane z prywatnością i bezpieczeństwem danych (53 proc. i 52 proc.). I chociaż wyzwań nie brakuje, to kierunek zmian jest już jasno określony: aby móc nowocześnie diagnozować oraz leczyć w medycynie, konieczne są innowacje.

eprasa.pl c850b8daf1

Z Robertem Rusak, prezesem Izby POLMED

rozmawia Danuta Lesicka

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

DANUTA LESICKA: Często słyszy się o nielekowych technologiach medycznych. Czym one tak właściwie są?

ROBERT RUSAK: Nielekowe technologie medyczne to nic innego, jak tylko wyroby medyczne. To proste produkty, takie jak strzykawka, stetoskop, pieluchomajtki, cewnik urologiczny, ale również bardzo skomplikowane urządzenia, którymi są tomograf, rezonans magnetyczny, neurostymulator czy sztuczne serce. Wyrobem medycznym mogą być także aplikacje, np. monitorujące pacjenta hemodializowanego, a także sprzęt wykorzystujący sztuczną inteligencję, by pokazać charakterystykę układu naczyniowego wątroby, podkreślając naczynia w pobliżu guzów. Ma to bezpośrednie przełożenie na wykrywanie naczyń zasilających nowotwory.

Definicja wyrobu medycznego jest naprawdę szeroka. Wyroby medyczne, w odróżnieniu od leków, nie opierają się na środkach farmakologicznych. Ich działania przeważnie mają charakter czysto fizyczny i obejmują głównie oddziaływanie mechaniczne, ewentualnie wspomagające narządy lub czynności fizjologiczne. Dzięki wyrobom medycznym można tak naprawdę wdrożyć skuteczne leczenie.

Na świecie jest ok. 500 tys. wyrobów medycznych, z tego ponad 200 tys. wprowadzonych w Polsce. Światowy rynek wyrobów medycznych szacowany jest na prawie 380 mld euro. USA mają największy udział w tym rynku, drugi co do wielkości jest rynek europejski. Sam rynek wyrobów medycznych jest bardzo różnorodny i cały czas się rozwija – tempo powstawania innowacji w przypadku branży wyrobów medycznych szacowane jest na ok. 18 miesięcy. Nie bez powodu branża ta uznawana jest za jedną z najbardziej przyszłościowych gałęzi przemysłu. To, jak ważną funkcję pełnią wyroby medyczne w medycynie, pacjenci uświadamiają sobie dopiero, kiedy muszą z nich skorzystać w celu np. leczenia, łagodzenia różnych dolegliwości czy niepełnosprawności.

Wspomniał pan, że rolę wyrobów medycznych w medycynie pacjenci uświadamiają sobie dopiero, kiedy muszą z nich skorzystać. A jak wygląda dostępność tych produktów w Polsce?

Polski pacjent ma możliwość zaopatrzenia w wyroby medyczne w ramach recepty, zlecenia oraz tzw. koszyka świadczeń gwarantowanych (szpital czy AOS). Wyroby medyczne na receptę są

eprasa.pl c850b8daf1

Czas na nielekowe technologie medyczne

finansowane w ramach publikowanej co dwa miesiące listy refundacyjnej, znajdują się na niej opatrunki specjalistyczne oraz paski do glukometrów. Wyroby medyczne na zlecenie określone są w wykazie ministra zdrowia – jest to ponad 130 grup wyrobów medycznych, np. wózki inwalidzkie, środki chłonne, a także sensory do ciągłego monitorowania glikemii. Trzecia grupa to wyroby medyczne dostępne w koszyku świadczeń gwarantowanych, które są finansowane w ramach Jednorodnych Grup Pacjentów. To najczęściej wyroby wszczepialne. Każdy z tych systemów jest inny i rządzi się innymi prawami.

Czyli każdy ten system jest inny?

W przeciwieństwie do wyrobów medycznych na receptę i na zlecenie, gdzie występuje system dopłat pacjenta i określony jest limit finansowania, wyroby medyczne w koszyku świadczeń gwarantowanych są w 100 proc. finansowane ze środków publicznych. Ograniczeniem tego ostatniego systemu jest to, że o zastosowanym wyrobie medycznym decyduje minister zdrowia i tylko za taki wyrób płaci NFZ. Pacjent chcący produkt o wyższym standardzie zmuszony jest do skorzystania z usług komercyjnych.

Jakie dostrzega pan wady systemu zaopatrzenia pacjentów w wyroby medyczne?

Konstrukcja procedury włączenia technologii do koszyka przede wszystkim nie uwzględnia krótkiego „cyklu życia" tych produktów, dlatego pacjenci tak naprawdę mają utrudniony dostęp do innowacyjnych wyrobów medycznych. Z kolei system wyrobów medycznych dostępnych na receptę i funkcjonujące w nim grupy limitowe nie uwzględniają specyfiki tych produktów. Obowiązujące limity finansowania nie odpowiadają rzeczywistości. Tracą na tym pacjenci, którzy faktycznie nie mają dostępu do innowacyjnych wyrobów, a coraz więcej dopłacają. Innym przypadkiem są wyroby medyczne na zlecenie. W ramach tego rozwiązania pacjenci mają większą szansę na dostęp do nowoczesnych wyrobów z dofinansowaniem NFZ. Pacjent spośród szerszej oferty może wybrać ten, który bardziej mu odpowiada, i ewentualnie do niego dopłacić. Ogólny opis wyrobu pozwala na zaopatrzenie pacjenta w dowolny produkt spełniający kryteria, bez konieczności uzyskiwania dodatkowego pozwolenia od NFZ, stąd w tym systemie pacjenci mają większe szanse na skorzystanie z nowoczesnych wyrobów medycznych.

Polscy pacjenci mogliby mieć lepszy dostęp do innowacyjnych technologii medycznych. Jakie propozycje w tym zakresie ma Izba POLMED?

Izba POLMED przedstawiała ministrowi zdrowia propozycje, które porządkują finansowanie wyrobów medycznych w Polsce. Opracowane rozwiązania unowocześniają obowiązujące przepisy i procedury.

Pierwszy z projektów dotyczy wprowadzania nowych nielekowych technologii medycznych do koszyka świadczeń gwarantowanych. Głównie chodzi nam o optymalizację procedur oraz dopuszczenie trybu wnioskowego dla firm, jak jest to obecnie stosowane w przypadku refundacji leków. System finansowania wyrobów medycznych w Polsce powinien być dostosowany do dynamiki rozwoju technologii. Pozytywnie na rozwój branży wyrobów medycznych wpłynęłoby również wprowadzenie mechanizmu warunkowego dopuszczenia nowych technologii, np. pilotaż i jego ocena na podstawie określonych mierników, a następnie decyzja, czy osiągnięty efekt jest wart jego dalszego finansowania.

W zakresie wyrobów medycznych na receptę przygotowaliśmy nową kategoryzację opatrunków specjalistycznych, które są dostosowane do właściwości poszczególnych produktów. W efekcie doprowadzi to do efektywnego wydatkowania środków publicznych i zapewni dostęp pacjentom do odpowiednich dla nich opatrunków. Jeżeli chodzi o wyroby medyczne na zlecenie (m.in. wózki inwalidzkie, protezy), to przedstawiliśmy propozycję unowocześnienia i zwiększenia efektywności obowiązującego wykazu. W szczególności chodzi o urealnienie limitów finansowych oraz określenie minimalnych parametrów technicznych. Dodatkowo proponujemy rozwiązania zwiększające bezpieczeństwo przy stosowaniu określonych produktów.

Przedstawione szanse i wyzwania pokazują, że przyszedł najwyższy czas, aby porozmawiać o polityce wyrobów medycznych państwa. Opracowanie komplementarnego dokumentu będzie miało bezpośredni wpływ na rozwój krajowej opieki zdrowotnej i komfort polskiego pacjenta. Należy przy tym zaznaczyć, że obecnie obowiązujący system finansowania wyrobów medycznych – co do zasady – jest dobry i przyjazny dla pacjenta. Teraz ważne jest, aby jego ewolucja była kierowana w stronę innowacji.

eprasa.pl c850b8daf1

Nowości na listach

Na listach refundacyjnych w tym roku pojawiło się kilka nowych terapii, na które długo czekali pacjenci. Ważne nowości są też na wrześniowej liście refundacyjnej

Styczeń 2019. Pierwsza w tym roku lista refundacyjna przyniosła niespodziankę w postaci terapii w rdzeniowym zaniku mięśni (SMA) dla wszystkich chorych, bez względu na wiek i stopień zaawansowania choroby. To duży sukces, gdyż lek, chociaż jest refundowany w ponad 20 krajach europejskich, to często tylko dla ograniczonych grup chorych, a w kilku krajach jedynie na podstawie indywidualnych decyzji refundacyjnych. Od stycznia 2019 r. do refundacji weszły też nowe leki dla osób z zaawansowanym rakiem płuca: atezolizumab (lek z zakresu immunoterapii) oraz kryzotynib – lek dla chorych z rearanżacją w genach ALK i ROS1. Pojawiła się też nowa terapia (wenetoklaks) w przewlekłej białaczce limfocytowej.

Marzec 2019. Marcowa lista refundacyjna nie przyniosła większych zmian, gdyż w niektórych regionach kraju brakowało pieniędzy na leki formalnie dostępne w ramach programów lekowych, a pacjenci faktycznie nie mieli możliwości leczenia nimi.

Maj 2019. Na liście refundacyjnej pojawił się nowy długo działający analog insuliny ludzkiej (insulina degludec). Z refundacji mogą korzystać dorośli chorzy na cukrzycę typu 1 oraz z trudną do wyrównania cukrzycą typu 2 i udokumentowanymi nawracającymi epizodami ciężkiej lub nocnej hipoglikemii. Ważnym lekiem na liście majowej był też preparat mlekozastępczy dla dzieci powyżej pierwszego roku życia, u których zdiagnozowano m.in. ciężką alergię na białka mleka krowiego.

Lipiec 2019. Nowa lista refundacyjna to dobre wiadomości dla chorych na opornego lub nawrotowego szpiczaka plazmocytowego. Pojawiły się dwa długo oczekiwane leki: daratumumab i karfilzomib. Ważny lek zyskali również chorzy z zaawansowanym rakiem płuca i rearanżacją w genie ALK lub w genie ROS1. Pojawił się dla nich nowy lek: alektynib – w ramach pierwszej linii leczenia i po niepowodzeniu leczenia kryzotynibem. – To sukces, wielka rzecz, trzeba podziękować Ministerstwu Zdrowia, organizacjom pacjenckim, lekarzom, grupom ekspertów. Na dziś w leczeniu raka płuca ALK-dodatniego mamy naprawdę idealną sytuację, chapeau bas, że tak się stało – mówił w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Dariusz M. Kowalski z Kliniki Nowotworów Płuca i Klatki Piersiowej Centrum Onkologii w Warszawie.

Dużym sukcesem było też wejście na listę bardzo nowoczesnej terapii dla chorych z oporną postacią ostrej białaczki limfoblastycznej: blinatumomabu.

– To przeciwciało bispecyficzne, którego jedno „ramię" rozpoznaje antygen na komórce białaczkowej, a drugie antygen na limfocytach T, czyli na komórkach układu odpornościowego. Ten lek angażuje nasz własny układ odpornościowy do walki z komórkami nowotworowymi – tłumaczył w rozmowie z „Do Rzeczy" prof. Sebastian Giebel, kierownik Kliniki Transplantacji Szpiku i Onkohematologii Instytutu Onkologii w Gliwicach. Na liście znalazł się też lek zawierający substancję czynną peginterferonum (dla chorych na czerwienicę prawdziwą, nadpłytkowość samoistną, pierwotne i wtórne zwłóknienie szpiku, dla kobiet w ciąży z przewlekłą białaczką szpikową, wymagających leczenia cytoredukującego).

Wrzesień 2019. Z chwilą zamykania „Do Rzeczy o Zdrowiu" nie została jeszcze opublikowana wrześniowa lista refundacyjna. Wiadomo jednak, że znajdzie się na niej wiele nowych terapii. Od września będą w Polsce leczeni pacjenci z chorobą Fabry'ego, która (nieleczona) prowadzi do poważnych powikłań: uszkodzenia serca, nerek, mózgu i zgonu. Sukcesem jest to, że leczeni będą wszyscy chorzy, bez względu na stopień zaawansowania choroby i wiek. W programie lekowym znajdą się dwa leki, dzięki czemu lekarze i pacjenci będą mieli możliwość wyboru optymalnej terapii. – Mieliśmy założenie, żeby w pełnym zakresie finansować obydwa leki, dla wszystkich chorych. Udało nam się uzgodnić i ujednolicić program lekowy z firmami, z którymi cały czas podczas trwania tego procesu była bardzo dobra współpraca. Mamy nadzieję, że od przyszłego roku do programu lekowego uda się dołączyć także trzeci lek. Obie firmy już wyraziły na to pełną zgodę, działając dla dobra pacjenta – mówi wiceminister zdrowia Maciej Miłkowski. Od września bezpłatny dostęp do niezbędnych opatrunków i wyborów medycznych zyskają też chorzy na inną chorobę rzadką: EB (pęcherzowe oddzielanie naskórka). Do tej pory za leczenie musieli płacić miesięcznie nawet kilka tysięcy złotych. To nie koniec wrześniowych dobrych wiadomości.

Z wiceministrem zdrowia Maciejem Miłkowskim

rozmawia Katarzyna Pinkosz

KATARZYNA PINKOSZ: Wrześniowa lista refundacyjna będzie pozytywna dla wielu grup pacjentów?

MACIEJ MIŁKOWSKI: Na wrześniowej liście refundacyjnej będzie wiele niespodzianek i więcej nowych leków niż w sumie na trzech wcześniejszych listach. Udało się to dzięki bardzo dobrym negocjacjom z firmami farmaceutycznymi i oszczędnościom, które firmy zaproponowały w swoich innych obszarach, a także dzięki oszczędnościom, które pojawiły się dzięki wejściu leków biopodobnych i generycznych. Dzięki temu udało się udostępnić wiele opcji, na które czekali pacjenci. Mam nadzieję, że kolejne negocjacje przyniosą sukcesy i uda się kolejne opcje udostępniać pacjentom.

Jak podsumowałby pan pół roku jako minister odpowiedzialny za politykę lekową i refundację leków?

Praca w tym obszarze na pewno jest jedną z najtrudniejszych i bardzo odpowiedzialnych. Musi być terminowa – największa liczba interpelacji, kolejne codwumiesięczne listy leków refundowanych, sprawy z zakresu zgód indywidualnych dla każdego pacjenta w Polsce. Współpraca obejmuje wiele urzędów z tego sektora – od Urzędu Rejestracji Produktów Leczniczych, Wyrobów Medycznych i Produktów Biobójczych przez Agencję Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji, Komisję Ekonomiczną do Narodowego Funduszu Zdrowia i Inspekcji Farmaceutycznej. Coraz większe znaczenie będzie miała współpraca z Agencją Badań Medycznych oraz Centrum Systemów Informacyjnych w Ochronie Zdrowia, które w zakresie obrotu produktami lekowymi mają praktycznie wszystkie informacje niezbędne do właściwego nadzorowania i rozwoju tego sektora. Najważniejszym zasobem w tym zakresie są kadry: dobry, wyszkolony zespół ludzi, który chce ciągle się rozwijać i jest ciągle twórczy. Zespół taki bardzo trudno wykształcić, dlatego tak ważne jest, by rotacja pracowników była jak najmniejsza.

Co uważa pan za swoje największe sukcesy jako minister odpowiedzialny za refundację?

Jedną z najważniejszych rzeczy jest dobra współpraca ze środowiskami

eprasa.pl c850b8daf1

Jesteśmy otwarci na dialog

FOT. MATERIAŁY PRASOWE

pacjentów, farmaceutów, konsultantów krajowych, konstruktywne rozmowy z firmami farmaceutycznymi, podczas których panuje dobra atmosfera, by znaleźć dobre rozwiązania. Staramy się być otwarci na dialog ze wszystkimi zainteresowanymi grupami i widzimy razem, że mamy wspólne cele. W tym okresie były wdrażane (a przygotowywane przez długi okres) dwie największe reformy – system weryfikacji autentyczności leków (w czym uczestniczył główny inspektor farmaceutyczny) oraz Zintegrowany System Monitorowania Obrotu Produktami Leczniczymi, przygotowany przez CSIOZ we współpracy z GIF i MZ przy olbrzymim udziale całego środowiska związanego z obrotem lekami.

Jest kontynuowana współpraca w zakresie dostępności leków w przystępnych cenach dla polskich pacjentów zarówno w aptekach otwartych, jak i w szpitalach. Ostatnio przybrała ona formę oficjalnej współpracy wszystkich instytucji rządowych oraz sektorowych NIA i NIL.

Zawsze pojawia się dylemat, czy udostępniać nowe technologie w chorobach często występujących czy rzadkich, gdzie leczenie jest bardzo drogie. W jakim kierunku idą decyzje refundacyjne?

Staramy się patrzeć na obie grupy pacjentów. Oczywiście populacyjnie najlepsze efekty dają terapie dla dużych grup pacjentów. Udostępniliśmy też jednak terapie z zakresu chorób rzadkich i kolejne leki w programach lekowych często będą właśnie dla kilkuset pacjentów. Są jednak również na listach dość kosztowne terapie dla dużo liczniejszych grup pacjentów, liczonych na tysiące.

Pojawiła się koncepcja, żeby oszczędności, które pojawiają się z tytułu wejścia na rynek leków biopodobnych, udostępniać w tych samych obszarach (np. leki biopodobne w raku piersi na leki innowacyjne dla chorych na ten typ nowotworu). Czy pana zdaniem to słuszne podejście?

Nie można jednoznacznie stwierdzić, że zawsze tak powinno być. Przykładem może być leczenie przewlekłego wirusowego zapalenia wątroby typu C terapią bezinterferonową. W pewnym momencie był to najbardziej kosztowny program w NFZ, jednak dzięki wejściu na rynek nowych innowacyjnych leków oraz staraniom Komisji Ekonomicznej oraz NFZ udało się bardzo znacząco obniżyć ceny i dzięki temu sfinansować terapie dla wszystkich pacjentów oczekujących na leczenie.

Patrzymy na obszary, gdzie dokonała się rewolucja, jeśli chodzi o dostępność leków biopodobnych. Staramy się w tych obszarach o nowe inwestycje, rozumiane zarówno jako powiększenie populacji leczonych (rozszerzenie wskazań, wydłużenie okresu terapii), jak i dopuszczenie innowacyjnych terapii, które zresztą muszą już częściowo konkurować ceną. Negocjujemy je, nie przyjmujemy już cen tak wysokich, jak były wcześniej, gdy nie było odpowiedników. Jest to widoczne na wrześniowej liście refundacyjnej.

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. ADOBE STOCK

Pokonajmy tę epidemię

Cukrzyca typu 2 już kilka lat temu została uznana przez WHO za pierwszą niezakaźną epidemię. Żeby ją opanować, trzeba zmniejszyć liczbę zachorowań i lepiej leczyć. Nowoczesne terapie są w tym bardzo pomocne

Na cukrzycę choruje już na świecie ponad 400 mln osób, jeśli nic z tym nie zrobimy, to w ciągu 25 lat przybędzie o 50 proc. więcej pacjentów, co oznacza, że będzie 600 mln chorych. W Polsce mamy ok. 2,2 mln leczonych, a kolejnych kilkaset tysięcy nie ma świadomości choroby – mówi prof. Maciej Małecki, kierownik Katedry i Kliniki Chorób Metabolicznych UJCM w Krakowie, past prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego. Niemal 40 proc. Polaków ma nadwagę, a ponad 20 proc. otyłość, dlatego można się spodziewać, że liczba chorych będzie rosła.

Niepokoi to, że chorują coraz młodsi. – Dotyczy to zarówno cukrzycy typu 1, jak i cukrzycy typu 2. Na cukrzycę typu 1 coraz częściej zapadają kilkuletnie dzieci, a na cukrzycę typu 2, która jest typową chorobą drugiej połowy życia, coraz częściej zaczynają chorować 30- i 40-latkowie – dodaje prof. Maciej Małecki.

POWIKŁANIA SKRACAJĄ ŻYCIE

Cukrzyca typu 1 ma gwałtowny początek, dlatego zwykle jest rozpoznawana bardzo szybko. Od samego początku konieczne jest podawanie insuliny. Ekspertów cieszy to, że w Polsce ten typ cukrzycy jest bardzo dobrze leczony, szczególnie u dzieci i młodzieży do 26. roku życia. Refundowane są niemal wszystkie nowoczesne preparaty insulin, pompy insulinowe, urządzenia

eprasa.pl c850b8daf1

do ciągłego monitorowania glikemii skoordynowane z pompami. Dobre leczenie przyniesie w przyszłości efekty w postaci mniejszej liczby powikłań.

Inaczej wygląda leczenie cukrzycy typu 2. Długi czas nie daje objawów, dlatego – jeśli nie sprawdzamy systematycznie poziomu cukru we krwi – możemy nawet przez wiele lat nie zdawać sobie sprawy z choroby. Tymczasem wysoki poziom cukru stale uszkadza naczynia krwionośne, prowadząc do powikłań. Uszkadzane są wszystkie naczynia krwionośne, zarówno duże, jak i małe, dlatego powikłania dotykają całego organizmu. Uszkodzone zostają: serce, nerki, wzrok, układ nerwowy. Wysoki poziom cukru „nie boli", dlatego wiele osób nawet już po diagnozie lekceważy problem i zaczyna się leczyć dopiero, gdy pojawiają się poważne powikłania. Nadal zdarza się też, że „dwójka" zostaje zdiagnozowana dopiero, gdy pacjent trafia do szpitala z zawałem serca czy udarem mózgu i okazuje się, że ich przyczyną jest cukrzyca.

Z powodu cukrzycy można stracić wzrok, mieć amputowaną nogę (w wyniku tzw. zespołu stopy cukrzycowej). Jednak za najpoważniejsze powikłania uważa się te, które dotyczą układu sercowo-naczyniowego i nerek, gdyż głównie one prowadzą do przedwczesnych zgonów. To właśnie z powodu powikłań już kilka lat temu amerykańskie i europejskie towarzystwa diabetologiczne, a w ślad za nimi Polskie Towarzystwo Diabetologiczne, zaczęły mówić o zmianie celu leczenia. – Jest nim nie samo obniżenie poziomu cukru we krwi, ale właśnie zmniejszenie ryzyka powikłań, w tym przede wszystkim tych, które skracają życie, czyli chorób sercowo-naczyniowych i chorób nerek. Warto też pamiętać, że problemem chorych na cukrzycę typu 2 jest nie tylko zbyt wysoki poziom cukru we krwi, lipidów, lecz także wysokie ciśnienie tętnicze, nadwaga. Dlatego leczenie musi być kompleksowe – podkreśla prof. Janusz Gumprecht z Katedry i Kliniki Chorób Wewnętrznych, Diabetologii i Nefrologii Śląskiego Uniwersytetu Medycznego.

LECZYĆ SKUTECZNIE

W leczeniu cukrzycy – podobnie jak w jej zapobieganiu – ważna jest zmiana stylu życia: większa aktywność fizyczna i obniżenie masy ciała. To podstawa, niezależnie od stopnia zaawansowania choroby. Jeśli jednak sama zmiana stylu życia nie wystarcza, wówczas konieczne jest stosowanie leków. Zwykle tym pierwszym jest metformina (jeżeli nie ma przeciwwskazań do jej stosowania). Cukrzyca jest jednak chorobą postępującą, dlatego po pewnym czasie konieczne jest dodanie do metforminy kolejnego leku.

W Polsce zwykle są to pochodne sulfonylomocznika, jednak na świecie od ich stosowania już się odchodzi. Są bowiem dostępne i powszechnie stosowane dwie klasy leków, które mają przewagę nad lekami starszego typu. One także obniżają poziom cukru, ale robią to „inteligentnie", nie doprowadzając do zbyt dużych spadków i epizodów hipoglikemii. Co więcej, badania wykazały, że zapobiegają one incydentom sercowo-naczyniowym, chronią nerki, obniżają masę ciała. Nowe leki są polecane wszystkim osobom z cukrzycą typu 2, gdy leczenie metforminą przestaje być wystarczające, a w szczególności tym, które mają już zdiagnozowaną chorobę sercowo-naczyniową. – Zarówno europejskie, amerykańskie, jak i Polskie Towarzystwo Diabetologiczne wskazują na potrzebę zastosowania nowoczesnych leków u pacjentów ze zdiagnozowaną chorobą sercowo-naczyniową, a także u tych, u których są cechy uszkodzenia nerek, ponieważ te leki działają korzystnie na ten narząd – potwierdza prof. Maciej Małecki.

Pierwsza klasa tych leków to flozyny (inhibitory SGLT-2). Ich stosowanie powoduje utratę glukozy z moczem. Przełomowe badanie w tej grupie leków dotyczyło empagliflozyny: okazało się, że jej stosowanie zmniejsza liczbę zgonów z powodu powikłań sercowo-naczyniowych o 38 proc., a o 35 proc. ryzyko hospitalizacji z powodu niewydolności serca. Dużą korzyścią jest również to, że pozytywne efekty są widoczne bardzo szybko po rozpoczęciu leczenia. – Kolejne badania dotyczące flozyn potwierdziły korzystne działanie całej klasy tych leków: zmniejszają one ryzyko hospitalizacji z powodu niewydolności serca, zapobiegają incydentom sercowo-naczyniowym, chronią nerki. To bardzo ważne, gdyż samo obniżanie poziomu cukru we krwi nie wpływa na zmniejszenie ryzyka powikłań w zakresie dużych naczyń krwionośnych – dodaje prof. Janusz Gumprecht.

Druga klasa leków to leki iniekcyjne, inkretynowe, tzw. agoniści receptora GLP-1: one również są polecane chorym na cukrzycę z ryzykiem sercowo-naczyniowym, zwłaszcza z towarzyszącą otyłością.

CZEKAJĄC NA REFUNDACJĘ

Od wielu lat Polskie Towarzystwo Diabetologiczne apeluje o refundację nowych leków przeciwcukrzycowych przynajmniej dla chorych, którzy najbardziej ich potrzebują, czyli w szczególności dla osób z cukrzycą, które przebyły incydenty sercowo-naczyniowe (zawał serca, udar mózgu). Według szacunków to ok. 70 tys. osób. – Żaden z tych preparatów nie jest w tej chwili w Polsce refundowany, co jest absolutnym wyjątkiem w Unii Europejskiej. Są pewne kraje, w których refundacja jest ograniczona do osób po przebytym incydencie sercowo-naczyniowym czy zależy od wyrównania metabolicznego, ale generalnie nigdzie nie jest tak jak w Polsce, żeby żaden z preparatów nie był refundowany – mówi prof. Maciej Małecki. Lekarze, zgodnie ze swoją wiedzą medyczną, starają się przekazywać pacjentom informacje, jakie leki powinni stosować. – Jeżeli chory jest po incydencie sercowo-naczyniowym, to w świetle wiedzy medycznej naszym etycznym obowiązkiem jest poinformowanie go o nowych opcjach. To trudne dylematy, ponieważ są to osoby o różnym statusie materialnym, część z nich zgadza się na nowoczesne terapie, część nie – dodaje prof. Małecki.

O tym, jaką zmianę w medycynie przynoszą nowe leki, świadczy fakt, że są prowadzone badania kliniczne nad ich stosowaniem również u pacjentów, którzy nie mają cukrzycy. Toczą się badania nad zastosowaniem flozyn w niewydolności serca, bez towarzyszącej cukrzycy. Z kolei analog GLP-1 jest już zarejestrowany w leczeniu otyłości. Profesor Maciej Małecki, zapytany, czy u tych chorych na cukrzycę, którzy z powodów finansowych nie przyjmują nowoczesnych leków, ryzyko rozwinięcia powikłań jest wyższe, odpowiada, że nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Te leki po prostu przedłużają życie.

Katarzyna Pinkosz

Groźniejsze niż AIDS

Z powodu powikłań cukrzycy na świecie umiera więcej osób niż w wyniku HIV/AIDS, gruźlicy i malarii razem wziętych. Dane Międzynarodowej Federacji Diabetologicznej (IDF) są wręcz alarmujące: co 10 sekund diagnozuje się kolejny przypadek cukrzycy, a co 6 sekund jedna osoba umiera z powodu powikłań tej choroby.

eprasa.pl c850b8daf1

Z prof. Dorotą Zozulińską-Ziółkiewicz, prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Insulina. Jednak jaka?

KATARZYNA PINKOSZ: Czy każdy rodzaj insuliny pozwala na dobre leczenie cukrzycy?

PROF. DOROTA ZOZULIŃSKA-ZIÓŁKIEWICZ: U zdrowego człowieka komórki beta wysp trzustki wydzielają insulinę w sposób dopasowany do stylu życia. Podstawowe wydzielanie jest niewielkie, a duży wyrzut insuliny spowodowany jest posiłkiem, szczególnie bogatym w cukry. W leczeniu insuliną staramy się odzwierciedlić podstawowe wydzielanie insuliny przez podanie tzw. insuliny bazowej, którą jest preparat o przedłużonym lub długim działaniu (w przypadku terapii za pomocą osobistej pompy insulinowej wyprofilowany wlew podstawowy). Insulina w terapii przewlekłej podawana jest podskórnie. Odkrycie analogów insuliny przyczyniło się do zmian jakościowych w terapii insuliną. Analogi długo działające u wielu pacjentów zwiększają komfort i bezpieczeństwo terapii oraz skuteczniej likwidują nadmierny wzrost glikemii w godzinach wczesnorannych.

Analogi szybko działające, dzięki szybszemu wchłanianiu z tkanki podskórnej oraz osiąganiu w krótszym czasie wyższego maksymalnego stężenia, są wygodniejsze w użyciu, gdyż mogą być podawane bezpośrednio przed posiłkiem oraz skuteczniej przeciwdziałają nadmiernemu przyrostowi glikemii po posiłku. Najnowsze preparaty insulin to analogi ultradługo działające i ultraszybki analog insuliny aspart, których stosowanie ma insulinoterapię uczynić jeszcze bliższą fizjologii.

Jak powinno się dobierać insulinę dla pacjenta?

Chorzy z typem 1 cukrzycy powinni być edukowani w zakresie intensywnej czynnościowej insulinoterapii. W metodzie tej pacjent podaje insulinę w sposób naśladujący pracę trzustki. Schemat opiera się na dwóch składowych: tzw. bazie i bolusach. Tak zwana baza zastępuje podstawowe, niezależne od posiłków wydzielanie insuliny, natomiast bolusy zastępują okołoposiłkowy wzrost sekrecji insuliny.

W schemacie opartym na wielokrotnych podskórnych iniekcjach insuliny podstawowe zapotrzebowanie na insulinę zapewniane jest przez podanie preparatu insuliny o przedłużonym działaniu lub długo działającego analogu insuliny albo ultradługo działającego analogu insuliny. W terapii przy zastosowaniu osobistej pompy insulinowej podstawowe zapotrzebowanie na insulinę odtwarzane jest za pomocą zaprogramowanego ciągłego wlewu szybko działającego analogu insuliny.

Czym insulina ultraszybko działająca różni się od dotychczas dostępnych analogów insuliny? U kogo przede wszystkim powinna być stosowana?

Różni się przede wszystkim szybkością działania. Po wstrzyknięciu podskórnym w porównaniu z analogiem szybko działającym ultraszybko działający analog wchłania się szybciej, osiąga w krótszym czasie wyższe stężenie, a czas działania jest krótszy. Lepiej odwzorowuje naturę. Oznacza to większą szansę na skuteczniejsze opanowanie poposiłkowego przyrostu glikemii, mniejsze wahania glikemii i lepsze wyrównanie metaboliczne pacjenta. To insulina szczególnie zalecana osobom leczonym metodą intensywnej insulinoterapii, zwłaszcza przy użyciu osobistej pompy insulinowej, aktywnym sportowo, spożywającym duże ilości kalorii i cukrów prostych, a także np. w cukrzycy w przebiegu mukowiscydozy, cukrzycy typu 1 współistniejącej z nadczynnością tarczycy.

W Polsce pojawiła się kombinacja analogu insuliny działającej przez ponad 24 godziny z najczęściej stosowaną szybko działającą insuliną aspart. Jakie są korzyści z jej zastosowania?

To pierwszy preparat dwuanalogowy, zawierający analog szybko działający w proporcji z analogiem ultradługo działającym 30:70. To ciekawe rozwiązanie w insulinoterapii u chorych na cukrzycę typu 2. Jedna iniekcja, a model baza plus. Iniekcja jest zalecana przed największym posiłkiem, z możliwością zmiany pory iniekcji: jednego dnia iniekcja przed obfitym śniadaniem, innego przed lunchem, a kolejnego przed obfitą kolacją.

Jak ocenia pani dostęp polskich pacjentów do najnowszych rodzajów insulin?

W Polsce mamy duży wybór preparatów insulin, ale dla wielu pacjentów limitowany ceną. Brak refundacji w Polsce dotyczy ultraszybko działającego analogu insuliny. Analogi długo działające i ultradługo działające mają wskazania refundacyjne u chorych na cukrzycę typu 2 dopiero po nieskuteczności leczenia przez sześć miesięcy insuliną NPH.

Co powinno się zmienić? Powinna być dana możliwość realizowania zasad spersonalizowanej terapii, także w zakresie doboru modelu i rodzaju stosowanych preparatów insuliny, w tym tych najnowszych. System refundacyjny powinien motywować do dobrej samoopieki i poprawy efektów leczenia cukrzycy. Aktualnie w cukrzycy typu 2 jest jakby odwrotnie. Złe wyrównanie cukrzycy po sześciu miesiącach przy wartościach HbA1c >8 proc. daje dostęp do refundacji analogu długo działającego i ultradługo działającego.

prof. Dorota Zozulińska-Ziółkiewicz *kieruje Katedrą i Kliniką Chorób Wewnętrznych i Diabetologii UM w Poznaniu, jest prezesem Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.*

eprasa.pl c850b8daf1

Z prof. Maciejem Małeckim, kierownikiem Katedry i Kliniki Chorób Metabolicznych Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie
rozmawia Katarzyna Pinkosz

Chronią serce i odchudzają

KATARZYNA PINKOSZ: W Polsce już ponad 3 mln osób choruje na cukrzycę, głównie typu 2. Jednak to nie sama cukrzyca jest największym problemem, tylko jej powikłania. Najczęściej mówi się o powikłaniach sercowo-naczyniowych. Czy słusznie?

PROF. MACIEJ MAŁECKI: Tak, głównie dlatego, że to przede wszystkim powikłania sercowo-naczyniowe skracają życie. Statystycznie 50-latek, który ma cukrzycę, będzie żył o siedem lat krócej niż jego zdrowy równolatek. Im wcześniejsze zachorowanie na cukrzycę, tym większa liczba straconych lat.

Nowym myśleniem o leczeniu cukrzycy jest odejście od tzw. glukocentryzmu. Dlaczego wyrównanie poziomu cukru nie wydaje się najważniejsze w cukrzycy?

Obniżenie poziomu glukozy jest bardzo ważne, ponieważ zmniejsza liczbę powikłań mikro- i makronaczyniowych. Natomiast jeśli spojrzymy szerzej na problem profilaktyki schorzeń sercowo-naczyniowych, to trzeba zwrócić uwagę na dwa aspekty. Pierwszy to waga kompleksowego, wielokierunkowego leczenia, polegającego na obniżeniu poziomu glukozy, ciśnienia tętniczego, cholesterolu, a jednocześnie redukcji masy ciała. Drugim aspektem jest zmodyfikowane spojrzenie na obniżenie poziomu glukozy – znaczenie ma nie tylko poziom cukru, do którego dochodzimy, lecz także to, za pomocą jakich leków do niego dochodzimy.

Dlaczego jest to tak ważne?

Jeśli popatrzymy na duże grupy pacjentów z cukrzycą typu 2, to normalizacja poziomu glukozy za pomocą leku A niekoniecznie oznacza to samo co za pomocą leku B. Obniżenie poziomu cukru do określonego poziomu za pomocą leków nowej generacji niesie dodatkową korzyść sercowo-naczyniową.

Są obecnie dwie kategorie leków nowej generacji, o których wiemy, że oprócz tego, iż obniżają poziom glukozy (co jest podstawą leczenia), przynoszą jeszcze dodatkową korzyść sercowo-naczyniową. Pierwsza kategoria to leki inkretynowe iniekcyjne (tzw. agoniści receptora GLP-1); druga to leki tabletkowe – flozyny. Stosowanie obydwu tych klas leków bardziej poprawia rokowania sercowo-naczyniowe niż wiele innych preparatów, które są dostępne od lat.

Dla których chorych byłyby najbardziej wskazani agoniści receptora GLP-1, a dla których flozyny?

Obydwie klasy leków zmniejszają ryzyko sercowo-naczyniowe. Ich stosowanie powinno być rozpatrywane szczególnie w przypadku pacjentów, którzy już mają rozpoznaną chorobę sercowo-naczyniową. Powinno się je wtedy podawać wcześnie: zaraz po tym, gdy przestaje wystarczać podawanie samej metforminy. Obie klasy leków różnią się mechanizmem działania, formą podawania, ceną. Obydwie powinny być rozpatrywane u pacjentów ze zdiagnozowaną chorobą sercowo-naczyniową, czyli np. po zawale serca. Leki inkretynowe (analogi GLP-1) szczególnie mocno powinny być rozpatrywane u pacjentów, którzy mają dużą otyłość, ponieważ są to leki bardzo mocno obniżające masę ciała. Z kolei podawanie flozyn powinno się rozpatrywać szczególnie w przypadku pacjentów, którzy mają uszkodzone nerki lub zdiagnozowaną niewydolność serca.

Jakie są w tej chwili zalecenia Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego, a także diabetologicznych towarzystw europejskiego i amerykańskiego, jeśli chodzi o stosowanie tych grup leków?

Powinniśmy rozpatrywać podawanie tych leków w drugim kroku, gdy samo stosowanie metforminy nie jest już wystarczające; obowiązkowo u tych wszystkich pacjentów, którzy przeszli incydent sercowo-naczyniowy. Oprócz tego powinniśmy je brać pod uwagę u pacjentów otyłych (a taka jest większość pacjentów z cukrzycą) oraz u tych, u których występuje większe ryzyko hipoglikemii. W Polsce mamy wiele dylematów z tym związanych ze względu na brak refundacji. Zalecenia i wiedza medyczna obligują nas do proponowania chorym tych preparatów.

Niedługo na rynku ma się pojawić doustny analog GLP-1 (semaglutyd). Czy to będzie kolejny przełom?

Preparat nie jest jeszcze zarejestrowany, ale to kwestia niedalekiej przyszłości. Niedawno zostały opublikowane bardzo interesujące wyniki badań. Okazało się, że po zastosowaniu tego preparatu znakomicie spadał poziom glukozy, była mniejsza liczba zgonów sercowo-naczyniowych, pacjenci chudli. Na pewno gdy ten preparat będzie w formie tabletkowej, będzie to bardzo wygodne dla pacjentów.

prof. dr hab. Maciej Małecki *– kierownik Katedry i Kliniki Chorób Metabolicznych Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie, dziekan Wydziału Lekarskiego Collegium Medicum UJ, past prezes Polskiego Towarzystwa Diabetologicznego.*

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. ADOBE STOCK

Biegunka, która niszczy jelita

Dotyka głównie młodych ludzi między 30. a 40. rokiem życia; jedna czwarta to osoby w wieku poniżej 25 lat. Uczą się, studiują, rozpoczynają karierę zawodową. Choroba często niweczy ich życiowe plany

Choroba Leśniowskiego-Crohna to jedna z chorób zapalnych jelit, może jednak obejmować każdą część przewodu pokarmowego. Objawami są: przewlekła i ciężka biegunka, która wycieńcza organizm, bóle brzucha, gorączka, osłabienie. Im wcześniejszy wiek zachorowania, tym często bardziej agresywny przebieg.

U części osób choroba ma przebieg lekki i umiarkowany, poddający się klasycznemu leczeniu. Niestety, u niektórych rozwija się postać ciężka, wymagająca zabiegów operacyjnych, z powodu pojawienia się ropni w jelitach, szczelin i przetok okołoodbytniczych, które uniemożliwiają normalne funkcjonowanie i są bardzo bolesne. Choroby nie da się wyleczyć, trzeba się z nią zmagać do końca życia. Są jednak okresy remisji, kiedy pacjenci nie mają objawów i mogą normalnie funkcjonować.

ŻYCIE Z CROHNEM

Życie z chorobą Leśniowskiego-Crohna jest wyzwaniem, pacjenci w czasie zaostrzenia choroby są wręcz „przywiązani do toalety" ze względu na biegunkę. Piotr Baranowski choruje od 18 lat; wszystko zaczęło się, gdy był w drugiej klasie liceum. Początkowo wszyscy myśleli, że to fobia lub nerwica szkolna, i lekceważyli objawy. Te jednak nie zmniejszały się. – Biegunka rano nie pozwalała mi wyjść do szkoły. Siedziałem w łazience dwie–trzy godziny, a po pół godzinie do niej wracałem. Mój rekord to było 56 wypróżnień w ciągu dnia – opowiada Piotr. Schudł 60 kg w ciągu trzech miesięcy. – Nie miałem siły chodzić, siedzieć, mogłem tylko leżeć... A potem nie miałem już siły nawet doczołgać się do łazienki. Afty zajęły mi cały przełyk i podniebienie, dziąsła oddzielały się od zębów, pełno było otwartych ran. Katorga, podczas jedzenia nie mogłem wytrzymać z bólu – wspomina Piotr.

Chorobę zdiagnozowano u niego dopiero po trzech latach. Otrzymał leczenie przeciwzapalne i okresowo sterydy. Niestety, remisja była krótka, niebawem pojawiły

eprasa.pl c850b8daf1

- Przyczyna zachorowania: nie jest znana, choroba Leśniowskiego-Crohna ma podłoże autoimmunologiczne i genetyczne. Dużą rolę przypisuje się nadwrażliwości na stres.
- Zachorowalność: w Europie 10–11,5 na 100 tys. osób rocznie. W Polsce choruje ok. 15–30 tys. osób. W ostatnich latach widać zwiększenie częstości zachorowań, zwłaszcza u dzieci oraz nastolatków.

prof. Jarosław Reguła, konsultant krajowy w dziedzinie gastroenterologii:

Udało się niedawno zaoszczędzić w gastroenterologii ok. 20 mln zł rocznie na lekach, które dotychczas były stosowane, ponieważ weszły ich odpowiedniki: leki biopodobne. Refundowanie nowych terapii biologicznych jest ważne, ponieważ mają one zupełnie inne mechanizmy działania niż dotychczas dostępne. Potrzebna jest alternatywa dla osób, u których do tej pory stosowane leki nie działały. Życie tych pacjentów często jest koszmarem: mają gorączkę, biegunkę, przetoki wokół odbytnicy, wymagają leczenia chirurgicznego, niezbędne są hospitalizacje. Potrzebne im są nowe leki, dostępne dla chorych w innych krajach i mające dobrą opinię polskich specjalistów oraz Agencji Oceny Technologii Medycznych i Taryfikacji. Czekamy teraz na decyzję ministra zdrowia w tej sprawie. Ważne jest, aby obydwa leki weszły na listę refundacyjną, by dać wybór lekarzom i pacjentom. Oba są bardzo dobre – dla jednych pacjentów jest wskazany jeden lek, a dla innych – drugi. Wprowadzenie tylko jednego byłoby połowicznym sukcesem, a właściwie porażką.

się przetoki odbytnicze i ropnie na jelitach. – Konałem z bólu, gdy kał rozpychał mi rany. To tak, jakby ktoś tam soli nasypał – wspomina Piotr. Trzeba więc było wykonać operację, zakończoną wyłonieniem stomii.

Mimo wszystko miał szczęście: u wielu chorych ropnie się odnawiają i konieczna jest powtórna operacja.

POTRZEBNE LEKI BIOLOGICZNE

Wiele osób nie znalazłoby się w takim stanie, gdyby w odpowiednim momencie, kiedy przestali reagować na tradycyjne leczenie (głównie przeciwzapalne), mogli dostawać leczenie biologiczne. Jest ono w Polsce dostępne w bardzo ograniczonej formie.

W Polsce można stosować tylko dwa leki biologiczne z grupy inhibitorów anty-TNF-alfa, jednak pod warunkiem, że chory w ogóle zakwalifikuje się do programu lekowego. Muszą zostać spełnione ściśle określone, bardzo wyśrubowane kryteria. Problemem jest też to, że czas leczenia biologicznego w ramach programów lekowych jest ograniczony. W przypadku pierwszego z dostępnych w programie leków czas trwania terapii jest ograniczony do 12 miesięcy (lekiem referencyjnym, oryginalnym) lub 24 miesięcy (w przypadku zastosowania leku biopodobnego). W przypadku drugiego leku anty-TNF-alfa dostępnego w programie lekowym leczenie jest ograniczone do 12 miesięcy. Po tym czasie, nawet jeśli pacjent dobrze reaguje na terapię, przestaje ją dostawać. Żeby zostać ponownie włączonym do programu, musi nastąpić pogorszenie stanu zdrowia. – To absurd, że można ponownie włączyć pacjenta do leczenia dopiero wtedy, gdy jego stan się pogorszy. Pogorszenie stanu zdrowia zawsze jest groźne; może się skończyć operacją, powikłaniami, sepsą, a nawet zgonem – mówi prof. Jarosław Reguła, krajowy konsultant ds. gastroenterologii.

Są pacjenci, którzy od początku nie reagują na leki biologiczne anty-TNF-alfa. Jest również grupa chorych, którzy po pewnym czasie uodparniają się na stosowane leczenie, i przestaje ono być skuteczne. Dla tych osób nadzieją są dwa leki o zupełnie innym mechanizmie działania niż terapie anty-TNF-alfa: wedolizumab i ustekinumab. Wedolizumab jest już dostępny w Polsce dla chorych z wrzodziejącym zapaleniem jelita grubego i bardzo dobrze sprawdza się w ich leczeniu. To do tej pory jedyny dostępny i zarejestrowany w chorobie Leśniowskiego-Crohna lek o selektywnym mechanizmie działania. Z kolei ustekinumab jest innowacyjną terapią o działaniu systemowym. Oba leki są potrzebne pacjentom.

– Osób, które potrzebowałyby w Polsce takiej terapii, byłoby ok. 400 – mówi Piotr Baranowski. Niektóre z nich dobrze zna i wspiera je psychicznie, działając w stowarzyszeniu Łódzcy Zapaleńcy. On sam, gdyby kiedyś miał zastosowane leczenie biologiczne, uniknąłby wielu cierpień, operacji, wyłonienia stomii.

KOSZTOWNE... NIELECZENIE

Nowoczesne terapie biologiczne kosztują, jednak jeszcze wyższe są koszty społeczne, które ponosimy przez to, że chorzy nie są optymalnie leczeni. Nie mogą się uczyć, pracować, rozwijać karier zawodowych, często przebywają na zwolnieniach lekarskich i rentach. Eksperci Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia z Uczelni Łazarskiego, kierowanego przez dr Małgorzatę Gałązkę-Sobotkę, niedawno zakończyli prace, których celem była ocena kosztów pośrednich w chorobie Leśniowskiego-Crohna.

– Zastosowaliśmy metodę kapitału ludzkiego. Po oszacowaniu krótko- i długotrwałej niezdolności do pracy oraz liczby osób z chorobą Leśniowskiego-Crohna, przebywających na zwolnieniach i rentach w 2017 r., obliczyliśmy, że odpowiada to aż 827 latom utraconej produktywności. Jednocześnie odnotowaliśmy najwyższy wzrost liczby lat utraconej produktywności w stosunku do roku poprzedniego: o blisko 15 proc. Odnotowano też wzrost o 30 proc. kosztów pośrednich w wyniku utraty produktywności chorych na chorobę Leśniowskiego-Crohna w 2017 r. w stosunku do 2014 r. – mówi dr Małgorzata Gałązka-Sobotka.

Barbara Jagas

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. ADOBE STOCK

Profilaktyka zapobiega krwawieniom

Z doc. Anną Klukowską ze Szpitala Pediatrycznego w Warszawie
rozmawia Barbara Jagas

BARBARA JAGAS: Co to jest hemofilia dziecięca?

DOC. ANNA KLUKOWSKA: Nie ma rozróżnienia między hemofilią dorosłych a dziecięcą, jest to ta sama choroba. A wyróżniamy dwie jej postaci: A i B, które są spowodowane niedoborem dwóch różnych czynników krzepnięcia, odpowiednio VIII i IX. To białka, które warunkują prawidłowe krzepnięcie krwi. Jeśli ich brakuje w organizmie, to proces krzepnięcia krwi jest poważnie zaburzony i nie tworzy się skrzep. U pacjenta występują krwawienia podskórne, a także do mięśni, do stawów.

Hemofilia jest dziś chorobą ciężką i uciążliwą? Na czym polega jej leczenie?

To choroba uciążliwa, jednak mamy możliwość leczenia – stosuje się czynniki krzepnięcia, które podane zaraz po urazie lub pierwszych objawach krwawienia powodują jego zatrzymanie. Mamy też profilaktykę, która ma na celu zapobieganie przede wszystkim krwawieniom do stawów. Jest więc dobre leczenie, to znak naszych czasów.

eprasa.pl c850b8daf1

Jednak za każdym razem czynnik krzepnięcia trzeba podać dożylnie. Niestety, dostępne czynniki w Polsce działają krótko i trzeba je podawać profilaktycznie: zwykle trzy razy w tygodniu, co jest uciążliwe dla dziecka i jego rodziców. Stosując jednak leczenie profilaktyczne, można zapobiec krwawieniu. Pacjent nie musi się obawiać, że ono nagle wystąpi, co zaburzy jego plany, np. wyjazd na wakacje. Najważniejsze jest jednak, że profilaktyka zapobiega uszkodzeniu stawów i inwalidztwu. Profilaktyka spowodowała, że pacjent w ogóle nie musi być leczony w szpitalu. Lek podaje się w domu, a potem tylko zgłasza się na kontrolę do ośrodka leczenia hemofilii, by sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. Podajemy to, czego brakuje w organizmie, czyli w przypadku hemofilii A czynnik VIII krzepnięcia, a w przypadku hemofilii B – czynnik IX.

Dlaczego dzieci koniecznie muszą być leczone profilaktycznie?

Krwawienia do stawów powodują trwałe ich uszkodzenia i doprowadzają do niepełnosprawności ruchowej. Jeśli leczenie profilaktyczne zaczniemy u małego dziecka, to jego stawy będą zdrowe. Będzie normalnie funkcjonował, nie będzie musiał używać kul, wózka inwalidzkiego, nie będzie musiał mieć wszczepionych endoprotez. Profilaktyka zapobiega krwawieniom stawowym i ich skutkom.

Jakie leki są stosowane w hemofilii?

Koncentraty czynnika krzepnięcia – to leki produkowane z osocza lub rekombinowane, które powstały za pomocą inżynierii genetycznej. Leki osoczopochodne są produkowane z osocza ludzkiego. Obecnie są poddawane różnym procesom chemicznym, co doprowadziło do inaktywacji wirusów, dlatego stosowanie tych leków jest bezpieczne. Po poznaniu genów czynnika VIII i IX wymyślono nowe leki, przy których powstaniu zastosowano metody inżynierii genetycznej – tak powstały leki rekombinowane, których stosowanie nie grozi zakażeniami.

Które dzieci dostają w ramach leczenia profilaktycznego leki osoczopochodne, a które rekombinowane?

Na świecie jest różnie, w niektórych krajach stosuje się tylko leki rekombinowane. W Polsce leki rekombinowane wprowadzono w 2010 r. – dla dzieci, które do tej pory nie były leczone osoczopochodnymi. Każde dziecko, u którego rozpoznano po tym czasie hemofilię, dostało czynnik rekombinowany. Natomiast te, które wcześniej były leczone lekami osoczopochodnymi, mają dalej to samo leczenie.

Na czym polega personalizacja leczenia?

Każdy mały pacjent ma indywidualne potrzeby co do ilości stosowanego czynnika krzepnięcia, w zależności od jego stylu życia, temperamentu, ale też np. wcześniejszego wystąpienia wylewu śródstawowego, co powoduje, że trzeba być bardziej wyczulonym na powtarzające się krwawienia. Znaczenie ma też otyłość: dochodzi do większego nacisku na stawy i w związku z tym może być więcej krwawień, zwłaszcza do stawu skokowego...

Należy wtedy zwiększyć dawkę leku?

Może zajść taka potrzeba albo trzeba częściej podawać lek profilaktycznie. Ważną sprawą jest farmakokinetyka, czyli to, jak ten czynnik krzepnięcia jest przyjmowany przez danego pacjenta, jak długo się utrzymuje w jego organizmie. Na tej podstawie dobieramy dawkę. Personalizacja leczenia polega na doborze dawki i częstości wstrzyknięć dla konkretnego pacjenta, zgodnie z jego potrzebami.

Plusem programu profilaktycznego jest to, że mali pacjenci mają leki dostarczane do domu...

Tak, to ogromny plus. Taki program funkcjonuje od 2011 r. Pacjent nie musi jeździć do szpitala, aby otrzymać do domu lek. Czynnik podawany jest w domu, ale wymaga to także większej odpowiedzialności ze strony pacjenta i jego rodziny. Muszą postępować zgodnie z naszymi wskazówkami, w przeciwnym razie efekty leczenia będą gorsze. Trzeba pamiętać, aby zawsze podać dziecku lek przed pójściem do przedszkola czy szkoły, a nie wieczorem.

Czynnik krzepnięcia podają dziecku rodzice. Uczymy ich tego. Zawozimy specjalne fantomy do domów, gdzie rodzice pod okiem pielęgniarki-koordynatorki ćwiczą na fantomie umiejętność podawania leku. Gdy dzieci są starsze, mają ok. 10 lat, uczą się samodzielnego wykonywania wkłuć dożylnych.

Co można poprawić w leczeniu hemofilii?

Mamy ośrodki leczenia hemofilii, ale nie funkcjonują one doskonałe. Za mało jest personelu pomocniczego; pielęgniarki skupiają się na wstrzyknięciach czynników krzepnięcia, natomiast nie mają czasu na edukację pacjentów. W ośrodkach nie ma pracowników socjalnych. Potrzebna jest też opieka dla pacjentów z umiarkowaną i łagodną postacią hemofilii, którzy nie mają zaleconego leczenia profilaktycznego. W wyniku urazu i krwawienia zgłaszają się na SOR. Niestety, często są tam niekompetentnie traktowani, ponieważ zamiast podać im od razu czynnik krzepnięcia, najpierw przeprowadza się im różne badania diagnostyczne. Wynika to z niewiedzy, czym jest hemofilia i jak się postępuje z chorym na tę chorobę.

Potrzebni są psycholodzy, by wspierać pacjentów i rodziny; jest ich ewidentnie za mało. Nawet u nas w szpitalu ich brakuje. W ośrodkach leczenia hemofilii w innych krajach europejskich opieka wygląda zupełnie inaczej. Zawsze są tam: kilku lekarzy, pielęgniarki, pracownik socjalny, genetyk, stomatolog. U nas zwykle są lekarze, pielęgniarki, i na tym koniec. Tak więc w zakresie opieki nad pacjentem jest dużo do zrobienia. Nawet w tak dużym szpitalu jak nasz mamy utrudniony dostęp do stomatologa.

A co można poprawić w leczeniu dorosłych?

Dorośli mają wiele problemów ortopedycznych, ponieważ kiedy byli dziećmi, nie mieli leczenia profilaktycznego, które by chroniło przed wylewami krwi do stawów. Ich zakres potrzeb jest inny, wymagają przede wszystkim pomocy ortopedów, fizjoterapeutów, którzy zajmują się rehabilitacją narządu ruchu. Prawie każdy dorosły pacjent ma kłopoty z chodzeniem, poruszaniem się itp. Niektórzy mają też problem z podawaniem sobie czynnika krzepnięcia. Jest to związane z zużyciem się żył po kilkudziesięciu latach kłucia, a także z przykurczami w stawie łokciowym. Takimi pacjentami powinniśmy się zająć, ale nie ma kto tego robić. Dorośli nie mają też zapewnionej opieki psychologicznej, a przecież bardzo jest im potrzebna.

prof. Anna Klukowska
– hematolog, pediatra, onkolog, Katedra i Klinika Pediatrii, Hematologii i Onkologii WUM.

eprasa.pl c850b8daf1

Z dr n. med. Joanną Zdziarską, hematologiem
rozmawia Artur Wolski

Kompleksowa opieka i nowoczesne leczenie

ARTUR WOLSKI: Co jest największym wyzwaniem w zapewnieniu optymalnej opieki nad pacjentem z hemofilią?

DR N. MED. JOANNA ZDZIARSKA: Naszym nadrzędnym celem jest zapewnienie pacjentowi multidyscyplinarnej, specjalistycznej opieki. W jej zakres wchodzą m.in.: koordynacja leczenia domowego odpowiednim czynnikiem krzepnięcia w ramach profilaktyki krwawień, opieka ortopedyczna i odpowiednio prowadzona rehabilitacja. To również zapewnienie możliwości skontaktowania się z dodatkowymi specjalistami, gdy zaistnieje taka konieczność, np. ze specjalistą chorób zakaźnych czy z genetykiem. Kobietom staramy się zapewnić opiekę ginekologiczną, nie zapominamy o współpracy z neonatologiem. Myślimy też o wsparciu psychologicznym. Najtrudniejszy w polskich warunkach jest dostęp do rehabilitacji. Chorzy na hemofilię są jeszcze ciągle inwalidami układu ruchu. Powodem niepełnosprawności jest krwawienie do stawów, co skutkuje ich uszkodzeniem,

eprasa.pl c850b8daf1

Od 2005 r. obserwujemy ciągłą poprawę leczenia chorych na hemofilię. Jest jednak pewna różnica między Polską a innymi krajami w dostępie do nowych terapii, takich jak leki rekombinowane, czynniki długo działające czy nowe leki, które nie są czynnikami krzepnięcia

FOT. ADOBE STOCK

a w konsekwencji kalectwem. Pacjenci mają często zaawansowaną artropatię, konieczne są wówczas operacje ortopedyczne. Przyczyną niepełnosprawności w Polsce jest to, że leczenie profilaktyczne jest dostępne dla dzieci dopiero od 2008 r., a dla dorosłych – od 2014 r. Dorośli chorzy nie korzystali w dzieciństwie z leczenia profilaktycznego, dlatego mają tak zniszczone stawy. Im starszy pacjent, tym większa u niego artropatia, konieczność leczenia ortopedycznego i przeciwbólowego oraz rehabilitacji.

Jak wygląda leczenie hemofilii w Polsce z porównaniu ze standardami UE?

Większość krajów rozwiniętych radzi sobie z leczeniem hemofilii bardzo dobrze. W Polsce standard leczenia odpowiada normom europejskim. Od 2005 r. obserwujemy ciągłą poprawę leczenia chorych na hemofilię. Jest jednak pewna różnica w dostępie do nowych terapii, takich jak leki rekombinowane, czynniki długo działające czy nowe leki, które nie są czynnikami krzepnięcia, a podaje się je podskórnie.

Od 2016 r., kiedy weszła terapia odczulająca u chorych z inhibitorem (to naprawdę duża rzecz, na którą czekaliśmy w ramach Narodowego Programu Leczenia Hemofilii), dostępność leczenia oceniam jako dobrą. Zadowalające jest też zaopatrzenie w czynniki krzepnięcia. Poprawy wymaga leczenie wielospecjalistyczne. Brakuje kompleksowych ośrodków leczenia hemofilii, dlatego pacjenci muszą nieraz wiele kilometrów podróżować, aby otrzymać właściwe leczenie i opiekę. Są województwa, w których nikt nie zajmuje się skazami krwotocznymi. Od początku roku trwają jednak intensywne działania, aby to się zmieniło. Zgodnie z nowym Narodowym Programem Leczenia Chorych na Hemofilię powstaną nowe kompleksowe ośrodki leczenia chorych na hemofilię w Polsce.

W raporcie WFH (Światowej Organizacji Hemofilii) z 2017 r. stwierdzono, że w Polsce jest wysoki odsetek leczenia hemofilii najstarszymi terapiami. Powodem są koszty?

Tak, to prawda. W Polsce stosuje się głównie leki osoczopochodne, czyli produkowane z osocza ludzkiej krwi. W Polsce mamy wyjątkowo tanie leki osoczopochodne w porównaniu z innymi krajami, co wynika m.in. z tego, że ich duże ilości są kupowane w przetargach centralnych, planowanych długoterminowo. Rekombinowane czynniki VIII i IX są droższe, jednak mamy nadzieję, że ich dostępność w Polsce będzie się w kolejnych latach poprawiać.

Część dzieci w Polsce jest leczona czynnikami osoczopochodnymi, część rekombinowanymi. Dlaczego?

To wynik kompromisu między decydentami, pacjentami a lekarzami, którzy chcą stosować leki nowocześniejsze i bezpieczniejsze. Od 2010 r. leki rekombinowane możemy stosować u nowo rodzących się dzieci z hemofilią A i B, które nie otrzymywały czynników osoczopochodnych. Jednak nowy program leczenia hemofilii zakłada również stopniowe obejmowanie leczeniem rekombinantami kolejnych grup chorych, np. z hemofilią łagodną, którzy wcześniej nie dostawali czynnika, oraz chorych uczulonych na leki osoczopochodne. Gros pacjentów dorosłych będzie jednak nadal leczone lekami osoczopochodnymi. Niestety, w tym modelu leczenia prawdopodobnie niewiele się zmieni w najbliższej przyszłości, chyba że zmienią się proporcje cen między poszczególnymi klasami czynników krzepnięcia.

Co z organizacji opieki nad dziećmi proponowałaby pani doktor przenieść do opieki nad dorosłymi?

Mile widziane byłyby dostawy do domu czynników krzepnięcia oraz wprowadzenie dzienniczków elektronicznych do monitoringu terapii domowej. To są rzeczy ważne dla wygody i komfortu życia pacjenta. Najpilniejszymi potrzebami są jednak: poprawa organizacji i funkcjonowania ośrodków leczenia, rozszerzenie dostępu do leków rekombinowanych, wprowadzenie nowych terapii dla ciężej chorych, rehabilitacja oraz zapewnienie pomocy psychologicznej.

Narodowy Program Leczenia Chorych na Hemofilię zakłada powołanie rady programowej. Jakie będą jej cele i zadania?

Rada narodowego programu funkcjonuje od początku 2019 r. Spotkaliśmy się już kilka razy. Do rady powołani zostali przedstawiciele ośrodków leczenia. To wzmacnia naszą pozycję i głos w publicznej dyskusji na temat jakości oraz sposobów leczenia hemofilii. W radzie zasiadają też przedstawiciele Ministerstwa Zdrowia oraz pacjentów, czyli wszystkie strony zaangażowane w opiekę nad chorymi z hemofilią. Rada będzie czuwała nad realizacją Narodowego Programu Leczenia Chorych na Hemofilię, będzie również ten program zmieniać, jeżeli zajdzie taka potrzeba. Duży nacisk chcemy położyć na zwiększenie dostępu do rehabilitacji, opieki psychologicznej oraz na wprowadzanie nowych terapii. Rada będzie też forum wymiany informacji pomiędzy ośrodkami, a także miejscem rozwiązywania bieżących problemów. Trzeba pamiętać, że hemofilia jest chorobą rzadką, w jej leczeniu ogromną rolę odgrywa wymiana doświadczeń terapeutycznych. Ważne jest też przekazywanie sobie nawzajem najnowszej wiedzy. Wspólnym celem członków rady jest to, żeby opieka nad osobami cierpiącymi na tę chorobę rzadką była coraz lepsza.

Artur Wolski jest komentatorem radiowej Jedynki.

dr n. med. Joanna Zdziarska *– hematolog, Klinika Hematologii Szpitala Uniwersyteckiego w Krakowie.*

eprasa.pl c850b8daf1

Siedem wniosków z debat „Wspólnie dla zdrowia”

Przez rok toczyliśmy debatę na temat przyszłości sektora ochrony zdrowia. Dla niektórych dyskusja była stratą czasu, bo nic nie wnosi w codzienność pacjenta. Dla innych jest szansą na wypracowanie kierunków, które staną się fundamentem na kolejne lata

Ten czas był szczególny, bo jesteśmy w okresie przedwyborczym. Bez względu jednak na poglądy polityczne, entuzjazm lub sceptycyzm wobec samej inicjatywy „Wspólnie dla zdrowia” łączy nas jedno: wiemy, że sektor zdrowia wymaga radykalnych i odważnych zmian, do których wdrożenia konieczne jest ponadpolityczne porozumienie w sprawie najważniejszego interesu w państwie, interesu pacjenta dotkniętego chorobą, obywatela zatroskanego o swoje zdrowie, nas wszystkich.

NOWA ARCHITEKTURA SYSTEMU

Historia reform w polskim systemie ochrony zdrowia jest długa i wyboista. Obietnice, które za nimi stały, zwykle nie były w pełni spełniane. Źródła porażek były różne: błędna koncepcja, brak zrozumienia, że zmiana wymaga czasu i utrwalenia, aby mogła ukazać pełnię efektów, za małe nakłady, gra interesów hamująca postęp, uległość polityków lub zwykły brak konsekwencji, bo trudno kontynuować projekty swoich przeciwników politycznych. Nigdy też program reform nie wynikał z szerszej analizy ani debaty angażującej kluczowe środowiska sektora. Zwykle powstawał w zaciszu politycznych gabinetów.

Dlatego – może wbrew wszystkiemu – warto było pochylić się nad przyszłością i wskazać kierunki zmian, które bez wątpienia są nieuniknione i wymagają partnerskiego zaangażowania wszystkich interesariuszy systemu, odpowiedzialności za potencjalne zaniechania i hamowanie reform, które uderzają w partykularne interesy. Konkluzje okazały się bardziej oczywiste, niż się tego spodziewano, i zostały przyjęte bez większej polemiki. Kilkadziesiąt rekomendacji szczegółowych spięto w sześć rekomendacji końcowych. Patrząc na cały przebieg debaty i wątki podejmowane przez panelistów, mocno wybrzmiały pojęcia, które powinny być fundamentem nowej architektury systemu.

1. ODPOWIEDZIALNOŚĆ ZA ZDROWIE

Dzisiaj jest rozmyta, a musi wrócić pod właściwy adres. Zgodnie z dowodami naukowymi największa odpowiedzialność za zdrowie spoczywa na nas samych, stąd potrzeba wzmocnienia edukacji zdrowotnej, budowania świadomości skutków naszych własnych wyborów w zakresie profilaktyki i konsumpcji usług zdrowotnych. Odpowiedzialny za zdrowie obywatel będzie też wymagał i oczekiwał znacznie więcej od dostawców usług zdrowotnych, organizatorów oraz właścicieli podmiotów leczniczych, personelu medycznego i regulatorów, których rola jest także istotna w zapewnianiu wysokiej jakości życia, także w chorobie. Czas zatem skończyć z odsyłaniem od drzwi do drzwi i jasno określić role każdego z uczestników

eprasa.pl c850b8daf1

FOT. ADOBE STOCK

systemu. Stąd potrzeba zdefiniowania pojęcia podstawowego zabezpieczenia zdrowotnego (PZZ), które powinno być zagwarantowane każdemu blisko jego miejsca zamieszkania. Musi ono zapewnić dostęp do podstawowej opieki zdrowotnej, interwencji w stanach nagłych, szybkiej diagnostyki, leczenia zachowawczego i zabiegowego, ambulatoryjnego wsparcia specjalistów, a także opieki długoterminowej.

2. INTEGRACJA ŚWIADCZENIODAWCÓW

Ważna jest integracja zarówno pozioma, jak i pionowa, organizacyjna lub funkcjonalna na rzecz jak najlepszych wyników i doświadczeń pacjentów. To kluczowy paradygmat nowego systemu. Odejście od fragmentaryzacji i rozdrobnienia, wynikających z konkurencji o jak najwyższe zyski, przejście do opłacalnej współpracy nakierowanej na wysoką reputację i satysfakcję pacjenta wymaga stworzenia nowych zasad finansowania świadczeń. Biorąc pod uwagę dynamikę starzenia się polskiego społeczeństwa, niezbędna jest integracja opieki zdrowotnej i pomocy społecznej. W zintegrowanym modelu opieki słowo „odpowiedzialność" nabiera jeszcze większego znaczenia. Konieczne jest precyzyjne wskazanie centrów koordynacji zarówno w obszarze zdrowia publicznego, jak i leczenia oraz opieki nad osobami niesamodzielnymi.

3. RACJONALIZACJA

Myślę o racjonalizacji zasobów i procesów. To krytyczny warunek dalszego dynamicznego wzrostu nakładów na ochronę zdrowia i budowania akceptacji społecznej oraz politycznej dla sukcesywnego zwiększania danin na cele zdrowotne. Aktualnie polski system charakteryzuje się największym udziałem wydatków na leczenie szpitalne i w ogóle wydatków na świadczenia zdrowotne, kosztem niewielkiej odpowiedzialności POZ za los pacjenta, a także najmniejszym w Europie poziomem delegacji uprawnień i zadań na niżej uplasowanych w hierarchii profesjonalistów medycznych, np. asystentów lekarza, pielęgniarki, opiekunów medycznych, przerostem liczby łóżek ostrych kosztem dużych niedoborów łóżek długoterminowych. Dlatego istnieje pilna potrzeba skoordynowania polityki inwestycyjnej na poziomie regionów, zwiększenie roli województw w kształtowaniu polityki zdrowotnej, konsekwentnej ambulatoryzacji opieki medycznej oraz promocji współpracy. Koncentracja procedur wysokospecjalistycznych w ośrodkach kompetencji i doskonałości oraz rozwój pionowych sieci współpracy pozwolą zwiększyć bezpieczeństwo pacjenta, skuteczność usług zdrowotnych i efektywność finansową.

4. MONITORING JAKOŚCI OPIEKI

Jest konieczny na wszystkich poziomach zarządzania. To jedyna droga do zbudowania systemu nakierowanego na pacjenta, poprawy wyników zdrowotnych i ograniczania nierówności w zdrowiu. Konieczne jest nie tylko zdefiniowanie celów dla polityki zdrowotnej państwa i regionów, lecz także określenie kluczowych mierników tych celów i stała ewaluacja ich poziomu. Zrównoważenie systemu ochrony zdrowia wymaga ciągłego porównywania nakładów w stosunku do osiąganych rezultatów, zgodnie z modelem Value Based Healthcare. Tymczasem w Polsce brakuje zarówno narzędzi do monitorowania efektów zdrowotnych w postaci rejestrów, jak i nowoczesnych systemów kontroli oraz analiz. Pilne wdrożenie elektronicznej dokumentacji medycznej, dynamiczna cyfryzacja sektora będą sprzyjać przejrzystości i skutecznemu zarządzaniu efektywnością. Porównywalność wyników musi docelowo prowadzić do rozwoju mechanizmów płacenia za efekt leczenia, a nie tylko sam proces.

5. INNOWACYJNOŚĆ

To jedyna droga, aby stawić czoło dynamicznie postępującemu starzeniu się polskiego społeczeństwa i narastającym wyzwaniom epidemiologicznym. Tradycyjne sposoby diagnostyki i leczenia oraz organizacji procesów leczniczych i opiekuńczych będą niewystarczające. Premię czasu i skuteczności mogą nam zagwarantować tylko inwestycje w innowacyjne technologie medyczne, metody zarządzania i organizacji pracy. Elektroniczna dokumentacja medyczna, e-recepta, e-skierowanie, teleopieka są narzędziami niezbędnymi do zwiększania efektywności polskiego systemu i komfortu korzystania z niego polskich pacjentów. To także szansa na poprawę warunków pracy kadr medycznych, których niedobór jest i będzie w najbliższych latach największym wyzwaniem.

6. FINANSE

Ważną konkluzją spinającą debatę były finanse sektora ochrony zdrowia. Stałe zwiększenie nakładów na zdrowie – czy to w postaci wyższej składki, dodatkowych ubezpieczeń czy podatków – wymaga zgody politycznej i poparcia społecznego. Bez nich jednak trudno będzie osiągnąć wzrost efektywności systemu, dostępności i jakości opieki.

7. ZAUFANIE

Jest najbardziej krytycznym „paliwem" zmian. Jego deficyt odczuwamy w relacjach prawie wszystkich interesariuszy w systemie. Odbudowa zaufania będzie możliwa tylko wtedy, gdy zmierzymy się z dominacją partykularnych interesów w kształtowaniu zmian na rzecz interesu pacjenta.

Małgorzata Gałązka-Sobotka

dr Małgorzata Gałązka-Sobotka *jest ekonomistką, ekspertem w obszarze organizacji i zarządzania w ochronie zdrowia, dyrektorem Centrum Kształcenia Podyplomowego i Instytutu Zarządzania w Ochronie Zdrowia Uczelni Łazarskiego, inicjatorką Center of Value Based Healthcare, wiceprzewodniczącą Rady NFZ.*

eprasa.pl c850b8daf1

„Piątka” dla pacjentów

Były „piątka Morawieckiego”, „piątka Kaczyńskiego”, „piątka Szumowskiego”. Czas na „piątkę” zmian oczekiwanych przez pacjentów

Ochrona zdrowia powinna być tematem numer jeden w nadchodzących wyborach parlamentarnych – tak pokazują sondaże. Jak chcieliby system ochrony zdrowia zmienić pacjenci? Poprosiliśmy przedstawicieli pięciu organizacji pacjenckich o wytypowanie jednego postulatu, który jest dla nich najważniejszy do zrealizowania w następnej kadencji.

1. *KRYSTYNA WECHMANN, prezes Federacji Stowarzyszeń Amazonki*

Kontynuacja wprowadzanych zmian. Jesteśmy przed wyborami, niezależnie jednak od tego, czy zmieni się ekipa Ministerstwa Zdrowia, rozpoczęte zmiany powinny być kontynuowane. Oczywiście kierunek można modyfikować, jednak nie należy zmieniać wszystkiego i rozpoczynać od podstaw. Nawet jeśli coś nie przynosi spodziewanych efektów, to nie wywracajmy systemu do góry nogami, tylko próbujmy naprawić sytuację. Niedawny raport NIK pokazał, że np. sieć szpitali nie zmieniła sytuacji, jeśli chodzi o kolejki, a niektóre szpitale mają nawet większe problemy ekonomiczne. Zamiast jednak wszystko zupełnie zmieniać, zidentyfikujmy, co jest powodem problemów ekonomicznych, skąd problem z kolejkami. Jednym z powodów kolejek jest np. to, że wielu pacjentów nie odwołuje wcześniej zarezerwowanych wizyt, zapomina o terminach. Warto pomyśleć, jak to zmienić.

2. *BEATA AMBROZIEWICZ, prezes Polskiej Unii Organizacji Pacjentów*

Jakość i referencyjność. Jako pacjenci mamy wiele oczekiwań, jednak za najważniejsze uważam przykładanie większej wagi do kryteriów jakości i referencyjności. Niezależnie od tego, czy rzecz dotyczy onkologii, kardiologii czy diabetologii, wszelkie procedury powinny być rozliczane na podstawie efektów zdrowotnych. Placówki, które mają lepsze wyniki np. wykonywanych operacji, powinny być wyżej finansowane przez NFZ. Powinno się brać pod uwagę doświadczenie, efekty zdrowotne oraz kompleksowość. Chodzi również o to, żeby np. szpitale nie koncentrowały się tylko na przyjęciu pacjenta do szpitala i wykonaniu procedury, lecz także sprawdzały, co się dzieje z nim dalej. Kluczem finansowania powinna być jakość, wtedy poprawią się wyniki leczenia.

3. *STANISŁAW MAĆKOWIAK, Federacja Pacjentów Polskich*

Narodowy Plan dla Chorób Rzadkich. Jego wdrożenie jest szansą na kompleksową opiekę dla osób z chorobami rzadkimi, składającą się z diagnostyki, leczenia (również farmakologicznego), rehabilitacji i pomocy socjalnej. Pacjenci z chorobami rzadkimi, wśród których 75 proc. to dzieci, to najbardziej potrzebująca grupa obywateli. Od dawna oczekują na zapewnienie wyrównania szans na normalne życie. Mamy nadzieję, że obiecane przyjęcie narodowego planu w drodze uchwały Rady Ministrów nastąpi jeszcze w tej kadencji i będzie rozpoczęciem programu „Opieka+” dla osób z chorobami rzadkimi.

4. *ANNA ŚLIWIŃSKA, prezes Zarządu Głównego Polskiego Stowarzyszenia Diabetyków*

Refundacja i edukacja. Pacjenci diabetologiczni ciągle liczą na poprawę dwóch podstawowych dla choroby cukrzycowej kwestii: refundacji nowoczesnych leków i technologii oraz lepszego dostępu do edukacji diabetologicznej. Cukrzyca jest bowiem taką chorobą, w której farmakoterapia i edukacja pacjenta idą w parze – tylko dobrze wyedukowany pacjent, korzystający z dopasowanej do swojego stanu zdrowia terapii może się cieszyć dłuższym i dobrej jakości życiem. Niestety, w Polsce, mimo licznych apeli, nadal brakuje formalnej, gwarantowanej i opłaconej z budżetu państwa edukacji diabetologicznej, a także refundacji szerokiego wachlarza terapeutycznego skutecznych, nowoczesnych leków i technologii medycznych. Jako że zachorowań na cukrzycę jest coraz więcej, również bardzo ważna jest profilaktyka, zwłaszcza w grupach ryzyka.

5. *MAREK LICHOTA, prezes zarządu stowarzyszenia Apetyt na Życie*

Koordynacja leczenia. Gdy dotyka nas choroba przewlekła, która towarzyszy nam do końca życia, zauważamy, jak trudny i zawiły może być proces leczenia: konieczność częstych hospitalizacji, trudności w dostępie do wykwalifikowanych lekarzy w ośrodkach referencyjnych, długi czas oczekiwania na konsultacje z innymi specjalistami, opieka pielęgniarska, psychologiczna, żywieniowa, ambulatoryjna, pomoc lekarza rodzinnego.

Koordynacja całego procesu leczenia dla osoby zdrowej byłaby niezwykłym wyzwaniem, a w przypadku chorych z tak poważnym problemem jak choroby zapalne jelit staje się wręcz niemożliwa. Dlatego tak ważna jest koordynowana opieka zdrowotna. Cieszy nas to, że taki model opieki w nieswoistych chorobach zapalnych jelit już powstał – dzięki współpracy ekspertów z Polskiego Towarzystwa Gastroenterologii, Uczelni Łazarskiego oraz organizacji pacjentów. Teraz z niecierpliwością czekamy na wdrożenie pilotażu. Liczymy na to, że podobny schemat postępowania uda się wdrożyć w innych jednostkach chorobowych, w tym wśród pacjentów z niewydolnością jelit objętych długotrwałym leczeniem żywieniowym w warunkach domowych.

eprasa.pl c850b8daf1

NAGRODA NOBLA ZA IMMUNOTERAPIĘ W ONKOLOGII POTWIERDZENIEM PRZEŁOMU W LECZENIU NOWOTWORÓW

James P. Allison i Tasuku Honjo

zostali docenieni za

ODKRYCIE TERAPII PRZECIWNOWOTWOROWEJ

poprzez hamowanie negatywnej regulacji immunologicznej

James P. Allison
dyrektor oddziału immunoterapii w MD Anderson Cancer Center.
Opracował przeciwciało anty-CTLA-4.

Tasuku Honjo
immunolog z Uniwersytetu w Kioto.
Odkrył funkcję receptora PD-1.

1506PL1901406-01; 03.2019

Bristol-Myers Squibb
Immuno-Onkologia

eprasa.pl c850b8daf1

20 LAT INWESTYCJI W POLSCE

GSK jest wiodącym inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym, dostarczającym ponad **300 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia** polskim pacjentom od 1998 r.

2 mld zł zainwestowane przez 20 lat

Wielowymiarowe inwestycje w produkcję (fabryka leków w Poznaniu), w dystrybucję leków i szczepionek (centrum logistyczno-dystrybucyjne w Gądkach), informatyzację procesów związanych z lekami i szczepionkami (Centrum Usług Biznesowych GSK IT), inne centra kompetencji oraz badania kliniczne

Około **2000 pracowników**, z czego większość zatrudniona jest w poznańskiej fabryce leków i GSK IT

5 centrów kompetencji zajmujących się IT, finansami, nadzorem nad bezpieczeństwem farmakoterapii, projektami marketingowymi i medycznymi oraz kwestiami regulacyjnymi

Blisko **250 mln zł** to wpływy z podatków CIT, PIT, VAT oraz składek ZUS (dane za rok 2017)

Wiarygodny i solidny partner biznesowy - GSK współpracuje z ok. **2,4 tys. dostawców i partnerów handlowych**

50 badań klinicznych w 2017 r. w 8 obszarach terapeutycznych o wartości **ponad 12 mln zł**

GSK jest wiodącym **inwestorem w polskim przemyśle farmaceutycznym**, dostarczającym ponad 3**00 leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia** polskim pacjentom. W ciągu ostatnich 20 lat firma **zainwestowała w Polsce 2 mld zł**. Spółka zmodernizowała i rozbudowała fabrykę leków w Poznaniu, wdrażając do produkcji ponad **80 transferów** z globalnego portfela produktów GSK, a w 2017 r. uruchomiono produkcję kolejnych innowacyjnych, chronionych patentem leków stosowanych w leczeniu zakażeń HIV. Każdego dnia w wielkopolskim zakładzie wytwarzanych jest **8,5 miliona tabletek i 1,3 miliona kapsułek**. Większość z nich trafia na eksport na ponad **130 rynków**. W Polsce funkcjonują **2 centra** logistyczno-dystrybucyjne realizujące rocznie ok. **760 tys.** dostaw leków, szczepionek i produktów ochrony zdrowia GSK na rynki europejskie i wschodnie. GSK zbudowała także **5 centrów kompetencji** i prowadzi **50 badań klinicznych**. Firma zatrudnia w Polsce ok. **2000 osób**.

nr w ZINC PL/PR/0057/18

eprasa.pl c850b8daf1